



S JAK
STRYCZEK

**MOCNA
SERIA**

GRAFFTON

Grafton Sue

Alfabet zbrodni/Kinsey Millhone 14

S jak stryczek

W powieści "S jak stryczek" Kinsey Millhone czeka niełatwe zadanie. Tom Newquist, policjant z biura szeryfa w Note Lake w Kalifornii, był człowiekiem niezłomnym zasad i cieszył się nieposzlakowaną opinią. Kiedy nagle umarł na zawał, mieszkańcy tego miasta wprawdzie go żalowali, ale uważali, że za ciężko pracował, za dużo palił i prowadził niehigieniczny tryb życia. Jego żona Selma sądzi jednak, że w ostatnich tygodniach życia Toma coś gnębiło. Nie mogąc się pogodzić ze świadomością, że nie wie, co było przyczyną przygnębienia męża, za wszelką cenę pragnie ją poznać. Detektyw Kinsey Millhone podejmuje się wyjaśnić, o co chodziło. Zadanie to będzie przypominać poszukiwanie igły w stogu siana, i to poszukiwanie nieoczekiwanie okaże się niebezpieczne, a może nawet śmiertelnie niebezpieczne.



Czasami zastanawiam się, jak by to było, gdybyśmy mogli zajrzeć w przyszłość, na mgnienie oka zobaczyć wydarzenia, które czekają nas pewnego dnia. Gdybyśmy mogli zerknąć przez jakąś szparkę w Czasie i mignęłoby nam to, co nadejdzie za lat kilka. Wiele z tego, co byśmy ujrzeli, wydałoby się w ogóle pozbawione sensu, a inne rzeczy, jak przypuszczam, śmiertelnie by nas przeraziły. Gdybyśmy wiedzieli, co się stanie, uniknęlibyśmy pewnych decyzji, na rozstaju dróg wybralibyśmy wariant B zamiast wariantu A: w kwestii pracy, małżeństwa, przeprowadzki do innego stanu, urodzenia dziecka, pierwszego kieliszka, niepewnego zabiegu medycznego, od dawna oczekiwanego wyjazdu na narty, który tak wspaniale się zapowiadał, póki z hukiem nie zeszła lawina. Gdybyśmy znali skutki poszczególnych działań, moglibyśmy postępować rozważnie i w ten sposób odmienić nasz los. Czas biegnie jednak tylko w jednym kierunku i w ciągu następstw. Tymczasem w tej niczego nie zdradzającej i obojętnej na wszystko teraźniejszości odcięci jesteśmy od wiedzy o czekających nas niebezpieczeństwach, chronieni przez niczego nie widzącą niewinność przed przyszłymi okropnościami.

Weźmy choćby ten przypadek. Wynajętym za niewielką sumę autem jechałam przez góry, zmierzając na południe szosą numer 395 do Nota Lake w Kalifornii, gdzie miałam umówione spotkanie z potencjalną klientką. Nawierzchnia była sucha, widoczność dobra, pogoda sprzyjająca. Sprawa należała do błahych, przynaj-

mniej na taką się zapowiadała. Nie miałam pojęcia, że narażę się na jakieś ryzyko, bo w przeciwnym razie zajęłabym się czymś innym.

Zostawiłam Dietza w Carson City, gdzie przez ostatnie dwa tygodnie dotrzymywałam mu towarzystwa i opiekowałam się nim w okresie rekonwalescencji po przebytej operacji. Miano mu zrobić endoprotezę kolana, a ja się zaoferowałam odwieźć go do Nevady tym jego eleganckim, niewielkim czerwonym porsche. Nie roszczę sobie pretensji do wykształcenia, jestem za to osobą praktyczną i dziewięciogodzinna jazda wydawała mi się całkiem sensownym rozwiązaniem problemu, jak na powrót sprowadzić do rodzinnego stanu jego samochód. Zaliczam się do kierowców rozsądnych i Dietz wiedział, że może na mnie liczyć - dojedziemy do Carson City bez niepotrzebnego zbaczania z trasy i zbędnych pogaduszek. Przez dwa minione miesiące przebywał w moim mieszkaniu i ponieważ zbliżało się rozstanie, staraliśmy się unikać rozmów na tematy osobiste.

Proszę zaprotokołować: nazywam się Millhone, na imię mam Kinsey. Dwukrotnie się rozwodziłam, za siedem tygodni ukończę trzydzieści sześć lat, zdrowie mam nie najgorsze. Pracuję jako licencjonowany prywatny detektyw, mieszkam obecnie w Santa Teresa w Kalifornii i czuję się przywiązana do tego miasta jak piłka do pała na bardzo krótkim sznurku. Niekiedy muszę służbowo wyjeżdżać w różne rejony naszego kraju, ale w gruncie rzeczy jestem gliniarą z małego miasta i zapewne tak pozostanie do kresu moich dni.

Operacja Dietza, którą wyznaczono na pierwszy poniedziałek marca, przebiegła bez komplikacji, możemy więc ten temat pominąć. Później wróciłam do jego mieszkania i z zainteresowaniem je sobie obejrzałam. Zdumiało mnie, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy, bo jest bardziej komfortowe i znacznie lepiej urządzone niż mój biedny przybytek w Santa Teresa. Dietz to koczownik, nie wyobrażałam sobie więc, że jest posiadaczem aż tylu dóbr materialnych. Ja mieszkam w klitce, w przebudowanym garażu na jedno auto. Niedawno został tak przerobiony,

że na górze jest teraz mansardowy pokój sypialny i druga łazienka. Dietz ma do swojej dyspozycji trzypokojowy apartament o powierzchni pewno ze dwustu siedemdziesięciu metrów kwadratowych, z patio i ogrodem z najprawdziwszą cieplarnią, zbudowany na dachu sześćo-piętrowego domu. Mimo że znajduje się w dzielnicy handlowej, widok stamtąd jest wspaniały i zapewniona całkowita prywatność.

Nie wypadało myszkować tam w obecności Dietza. Jak tylko jednak wylądował bezpiecznie na ortopedii w Szpitalu Carson/Tahoe, poczułam, że mogę się zabrać do przeglądania wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu mojej ręki albo wymagało przesunięcia krzesła z miejsca na miejsce i niekiedy wspięcia się na nie. Skontrolowałam szafy i kartotekę, pudła i papiery, szuflady, kieszenie i walizki, odczuwając zarówno ulgę, jak i rozczarowanie, że on właściwie nie miał nic do ukrycia. No bo jaki sens ma myszkowanie, jeśli nie trafi się na coś zaskakującego? Miałam okazję przyjrzeć się fotografii jego eks-żony, Naomi, która oczywiście okazała się znacznie ładniejsza, niż mi mówił. Prócz tego jego sprawy finansowe sprawiały wrażenie uporządkowanych, apteczka nie zawierała żadnych groźnych specyfików, a prywatna korespondencja składała się niemal wyłącznie z listów, pełnych błędów ortograficznych, pisanych przez dwóch nastoletnich synów. Na wypadek, gdybyście myśleli, że wtykam nos w nie swoje sprawy, mogę was zapewnić, że Dietz równie dokładnie przeszukał moje mieszkanie podczas swojej w nim bytności. Wiem o tym, ponieważ zastawiłam kilka pułapek, a on jednej nie zauważył, kiedy otwierał zamknięte szuflady mojego biurka. Mógł utracić licencję detektywa, lecz mimo wszystko nadal dysponował większością swoich umiejętności operacyjnych. Żadne z nas nie wspomniało nigdy o tym naruszeniu mojej prywatności, ale poprzysięgam sobie, że gdy tylko nadarzy się sposobność, zrobię to samo. Między sobą detektywi nazywają to kurtuazją zawodową. Przeszukałeś moje mieszkanie, to ja w rewanżu przeszukam twoje.

Wyszedł ze szpitala w piątek rano w tamtym tygodniu. Późniejsza rekonwalescencja polegała na siedzeniu z kolaniem tak grubo obwiązanym bandażami, że noga przypominała wałek od kanapy. Oglądaliśmy beznadziejnie telewizję, graliśmy w remika, układaliśmy puzzle - z obrazkiem przedstawiającym tak realistycznie gniazdo kłębiących się glist, że o mało nie pojechałam do Rygi. Przez pierwsze trzy dni ja zajmowałam się gotowaniem, to znaczy przygotowywaniem kanapek na zmianę z uwielbianą przeze mnie pastą z masła orzechowego i pikli oraz z ukochaną kompozycją, składającą się z pokrojonego w plasterki jajka na twardo z mnóstwem majonezu Hellmanna i solą. Potem Dietz zapragnął wrócić do kuchni i nasz jadłospis poszerzył się o pizzę, chińskie jedzenie na wynos i zupy Campbella - pomidorową albo szparagową, zależnie od nastroju.

Pod koniec drugiego tygodnia potrafił już nieźle sobie radzić. Zdjęto mu szwy i teraz kuśtykał o lasce w przerwach między zabiegami fizykoterapeutycznymi. Miał do pokonania sporą odległość, ale mógł na nie jeździć, a ponadto wydawał się zdolny do zaspokajania własnych potrzeb. Wtedy pomyślałam, że chyba bym zwariowała od takiego ciągnięcia się z nim. Najwyższy czas wyjeżdżać, zanim przebywanie ze sobą zacznie nas na dobre denerwować. Było mi z nim przyjemnie, lecz znałam swoje słabostki. Trzymałam się formalnego pożegnania; wiele lekko rzuconych słów typu: okej, dobra, serdeczne dzięki, do zobaczenia. To moja metoda na zminimalizowanie bolesnego ucisku w gardle, na niedopuszczenie do ambarasujących łkań, których moim zdaniem najlepiej unikać. Nie wymagajcie, żebym pogodziła odczuwane cierpienie z niemal błogim uczuciem ulgi. Nikt nigdy nie twierdził, że uczucia mają w ogóle jakiś sens.

Tak więc pędziłam szosą w poszukiwaniu zajęcia i nie zawracałam sobie głowy tym, jakiej pracy się podejmę. Potrzebna mi była jakaś zmiana. Potrzebowałam pieniędzy, ucieczki, czegoś, co odwróci moje myśli od Roberta Dietza. Rozstania nie zaliczają się do moich mocnych stron. Nacierpiałam się swego czasu więcej niż dosyć i nie

lubię tego uczucia. Zarazem moją mocną stroną nie bywają związki z kimś. Zbliżysz się do kogoś, by zaraz się przekonać, że dajesz mu moc ranienia cię, zdradzania, irytowania, porzucenia albo zanudzania na śmierć. Moja generalna polityka polega na trzymaniu się na dystans i unikaniu dzięki temu burzliwych uczuć. Psychiatrzy mają terminy na określenie ludzi takich jak ja.

Włączyłam radio, nastawiłam chrapliwą stację z Los Angeles, leżącego w odległości prawie pięciuset kilometrów na południe. Stopniowo zaczęłam się dostrajać do otaczającego mnie krajobrazu. Szosa numer 395 biegnie na południe od Carson City przez Minden i Gardner-ville. Kawalek na północ od Topaz przekroczyłam granicę i znalazłam się we wschodniej Kalifornii. Kręgosłup tego stanu to wysoki masyw górski Sierra Nevada, wyniosły grzbiet olbrzymiego uskoku, które drażyły później liczne lodowce. Po lewej stronie miałam Mono Lake, jezioro, które zmniejsza się o sześćdziesiąt centymetrów w ciągu roku, jest coraz bardziej słone i może zapewnić egzystencję jedynie słono wodnym krewetkom i żywiącym się nimi ptakom. Po prawej stronie, za ciemną zielenią lasu sosen Jeffreya, rozciągał się Park Narodowy Yosemite ze swoimi wysokimi szczytami i urwistymi kanionami, jeziorami i grzmiącymi wodospadami. Łąki, oproszone teraz lekko śniegiem, stanowiły kiedyś dno plejstoczeńskiego jeziora. Późną wiosną te same łąki pokryją się bujnym dzikim kwieciem. W wyższych partiach gór jeszcze nie stopniały pokłady zimowych śniegów, ale przełęcz już były od nich wolne. Osoby, które łatwo pozbawić tchu, określają taki krajobraz mianem zapierającego dech w piersiach. Nie zaliczam się do wielkich miłośników natury, lecz i na mnie wywierał na tyle silne wrażenie, że wykrzyknęłam „och”, gdy z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę przejeżdżałam koło malowniczego punktu widokowego.

Potencjalna klientka, z którą miałam się spotkać w Nota Lake, nazywała się Selma Newquist. Jej mąż, jak mi powiedziano, zmarł przed kilkoma tygodniami. Dietz już dla niej kiedyś pracował, pomagając wyplątać się z kiep-

skiego pierwszego małżeństwa. Nie znam wszystkich szczegółów, ale Dietz zrobił aluzję do faktu, że finansowe „dobra”, które wykopał u tego męża, dały Selmie dostatecznie przekonujące argumenty, by się wyzwoliła z tego związku. Potem odbył się znowu ślub, i to najwyraźniej właśnie śmierć tego drugiego męża przysporzyła pytań, na które wdowa chciała znać odpowiedź. Telefonowała do Dietza, by go zatrudnić, on zaś zaproponował mnie, ponieważ sam nie wchodził chwilowo w rachubę. Wątpię, żeby pani Newquist w normalnych okolicznościach brała pod uwagę wynajęcie prywatnego detektywa z drugiego krańca stanu, ale mój powrót do domu się zbliżał, a właśnie jechałam w jej strony. Jak się okazało, moje związki z Santa Teresa były bardziej pożądane, niż się początkowo wydawało. Dietz zareczył za moją uczciwość i jednocześnie zapewnił mnie, że osoba ta rzetelnie płaci za wykonane usługi. Sensowne więc było zatrzymać się na chwilę, żeby usłyszeć, co Selma Newquist ma mi do powiedzenia. Jeśli nie zechce mnie wynająć, to stracę co najwyżej pół godziny na przerwę w podróży.

Dojazd do Nota Lake (2356 mieszkańców, 1314 metrów n.p.m.) zabrał mi trochę więcej niż trzy godziny. Miasto takie sobie, ale wspaniale położone. Góry wznoszą się z trzech stron, a ich wierzchołki, wciąż ubielone czapami śniegu, rysują się na tle zachmurzonego nieba. Po zacienionej stronie drogi widziałam resztki płatów śniegu, między bezlistnymi drzewami lodowe bryły. W powietrzu czuło się aromat sosen z domieszką lekkiej słodyczy. Lodowata mgiełka, którą oddychałam, sprawiała, że czułam się tak, jakbym wetknęła twarz w opróżniony do połowy pojemnik z lodami waniliowymi i wdychała słodką woń. Samo jezioro ma nie więcej niż trzy kilometry długości i jakieś półtora szerokości. Na jego szklistej powierzchni odbijały się granitowe wierzchołki oraz rosnące na stokach liczne jodły olbrzymie i cedry kadzidło we. Zatrzymałam się przy stacji benzynowej, by kupić plan miasta, które rozciągało się na kształt kleksa na wschodnim brzegu jeziora.

Najważniejsze sklepy skupiały się chyba wzdłuż głównej ulicy, w promieniu pięciu kwartałów. Zrobiłam krótki objazd miasta i naliczyłam dziesięć stacji benzynowych oraz dwadzieścia dwa motele. Nota Lake oferuje tanie kwatery tłumom narciarzy w Mammoth Lakes. Miasto

chlubi się również odpowiednią liczbą barów szybkiej obsługi, w tym takie jak Burger King, Carl's Jr., Jack in the Box, Kentucky Fried Chicken, Pizza Hut, Waffle House, International House of Pancakes, House of Do-nuts, Sizzler, Subway, Taco Bell i mój osobisty ulubieniec McDonald's. Do tego jeszcze trzeba dodać w równych proporcjach restauracje, gdzie jada się przy stolikach, restauracje Mexican, Bar-B-Que i Family, co oznacza kupę rozwrzeszczanych bachorów i żadnych mocniejszych trunków.

Dom, którego adres mi podano, stał na przedmieściu, w kolonii domków zbudowanych zapewne przez jednego przedsiębiorcę. Ulice w tej okolicy noszą nazwy różnych indiańskich plemion: Szaunisów, Irokezów, Czirokezów, Modoków, Czippewejów. Selma Newquist mieszkała przy ślepej uliczce Paunisów w domku bliźniaczo podobnym do sąsiednich: oszalowany deszczułkami, dach kryty gontem, osłonięty daszkiem ganek z jednej strony i garaż na dwa auta - z drugiej. Zaparkowałam na podjeździe obok ciemnego forda sedana. Zamknęłam odruchowo samochód, weszłam po dwóch stopniach na ganek i zadzwoniłam, dzyń-dzyń, zupełnie jak lokalny akwizytor kosmetycznej firmy Avon. Odczekałam parę minut, potem spróbowałam znowu.

Niewysoka, krępa kobieta, dobrze już po czterdziestce, która otworzyła mi drzwi, miała piwne oczy i rozczochrane, ciemne, krótkie włosy. Była w bluzce w czerwono-niebiesko-żółtą kratę wyrzuconej na żółtą plisowaną spódnicę.

- Dzień dobry, nazywam się Kinsey Millhone. Czy pani Selma?

- Nie. Jestem Phyllis, jej szwagierka. Mój mąż, Macon, to młodszy brat Toma. Mieszkamy dwa domy dalej. W czym mogę pani pomóc?

- Mam się spotkać z Selmą. Powinnam była najpierw zatelefonować. Czy ją zastałam?

- Och, przepraszam. Już sobie przypominam. Położyła się, ale mówiła, że pewno pani tu wpadnie. Jest pani przyjaciółką tego detektywa, do którego telefonowała do Carson City.

- Właśnie - powiedziałam. - Jak ona się ma?

- Selma miewa złe dni i obawiam się, że to jeden z nich. Tom zmarł przed sześcioma tygodniami, a ona dziś zadzwoniła do mnie, zalewając się łzami. Przybiegłam najszybciej, jak mogłam. Była roztrzęsiona i przygnębiona. Biedactwo, wygląda tak, jakby od wielu dni nie spała. Dałam jej valium.

- Mogę przyjechać później, jeśli pani myśli, że tak byłoby lepiej.

- Nie, nie. Jestem pewna, że się obudziła, a wiem, że chce się z panią zobaczyć. Proszę, niech pani wejdzie.

- Dziękuję.

Weszłam do domu i podążałam za Phyllis przez wyłożony dywanem hol do małżeńskiej sypialni. Po drodze pozwoliłam sobie rzucić okiem przez drzwi do pokoi po drugiej stronie holu i odniosłam wrażenie, że są dziko przeładowane ozdobami. W saloniku portierey i obicia mebli dobrano tak, by pasowały do różowo-zielonych tapet, na których widniały bukiety kwiatów, połączone zwojami różowej wstążki. Stolik do kawy przybrano obficie różowym jedwabnym kwieciami. Pokrywająca podłogę od ściany do ściany wykładzina o strzyżonym włosie miała jasnozielony kolor i wydzielala ostrą chemiczną woń, co sugerowało, że niedawno ją położono. Stołowy był umeblowany sztampowo, dużo ciemnego drewna na wysoki połysk i chyba o jeden mebel za dużo jak na taką przestrzeń. Wszędzie wstawiono zimowe okna i szyby od środka pokrywała mgielka pary. Zapach dymu z papierosów i kawy składał się na pizmowe domowe kadzidło.

Phyllis zapukała do drzwi.

- Selmo, kochanie! To ja, Phyllis.

Usłyszałam przytłumioną odpowiedź. Phillis uchyliła drzwi i zajrzała do pokoju.

- Masz gościa. Jesteś ubrana? To ta dama, detektyw z Carson City.

Już chciałam sprostować, ale zrezygnowałam. Nie byłam z Carson City i na pewno nie byłam damą, ale co to w końcu za różnica. Przez szparę w drzwiach mignęła mi kobieta w łóżku - masa platynowych blond włosów ujęta w ramy wezglowia łoża z baldachimem.

Najwidoczniej zaprosiła mnie do sypialni, bo Phyllis się cofnęła od drzwi.

- Muszę zająć się własnym domem, ale proszę dać mi znać, gdyby pani czegoś potrzebowała - rzuciła półgłosem, kiedy obok niej przechodziłam.

Podziękowałam jej skinieniem głowy, weszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Zasłony były zaciągnięte, światło przytłumione, zrzucone poduszki walały się niczym głązy na dywanie. Było tam mnóstwo fintifluzek, jaskrawych, wielokolorowych drukowanych tkanin, które zakrywały ściany i okna oraz - robioną na zamówienie - puszystą pościel. Dominowały chyba jako motyw eksplodujące przy dotyku kwiaty róż.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Ale Phyllis mnie zapewniła, że mogę wejść. Jestem Kinsey Millhone.

Selma Newquist, w wyblakłej flanelowej koszuli nocnej, podciągnęła się do pozycji siedzącej i wyrównała narzutę, przywodząc mi na myśl inwalidę przygotowującego się na przyjęcie tacy z jedzeniem. Oceniałam ją na pięćdziesiątkę z okładem, sądząc po dłoniach usianych plamami pigmentowymi i po nabrzmiałych żyłach. Jej karnacja sugerowała, że z natury jest szatynką, ale włosy miała zrobione na jaś-niutki blond i całe skręcone w loczki, tak że przypominały chmurę cukrowej waty. W tej chwili fryzura przekrzywiła jej się na bok i sprawiała wrażenie lepkiej od lakieru. Pani Newquist podkreślała brwi czerwono-brązową kredką, jednakże ślady ołówka do powiek i cieni dawno zniknęły. Przez ubytki w grubej warstwie makijażu dojrzałam cerę pełną plam, świadczącą o nadmiernym wystawianiu się na słońce.

Selma sięgnęła po papierosy i szukała po omacku na stoliku nocnym, póki nie znalazła ich oraz zapalniczki. Kiedy zapalała papierosa, ręka lekko się jej trzęsła.

- Proszę podejść bliżej - powiedziała. Zrobiła gest w stronę krzesła. - Niech pani to zdejmie i siądzie tam, gdzie będę mogła lepiej panią widzieć.

Przełożyłam jej pikowany szlafrok na łóżko i zanim usiadłam, przysunęłam sobie krzesło.

Patrzyła na mnie podpuchniętymi oczami, a gdy się odezwała, cienka smużka dymu snuła się z jej ust.

- Przykro mi, że musi mnie pani widzieć w takim stanie. Zazwyczaj o tej porze jestem pełna wigoru. Dziś jednak miałam ciężki dzień.

- Rozumiem - powiedziałam. Dym zaczynał otaczać mnie drobnymi kropelkami jakby po czymś kichnięciu.

- Czy Phyllis zaproponowała pani kawę?

- Proszę się nie kłopotać. Ona poszła już do domu, a mnie nic nie potrzeba. Nie chcę zajmować pani więcej czasu niż to konieczne.

Spojrzała na mnie niepewnie.

- Nie szkodzi - odparła. - Nie wiem, czy straciła pani kiedyś kogoś bliskiego, ale jest to okres, kiedy się człowiek czuje tak, jakby miał zachorować na gripę. Całe ciało boli, a głowę masz tak skołowaną, że nie możesz sensownie myśleć. Rada jestem, że mam towarzystwo. Człowiek się uczy doceniać każdą odmianę. Nie da się uciec od swoich uczuć, chwilowa ulga jednak pomaga. - Gdy mówiła, odruchowo przesłaniała ręką usta, najwyraźniej wstydząc się przebarwień na dwu przednich zębach, które, jak teraz zauważyłam, były zdecydowanie szare. Może w dzieciństwie upadła albo jako niemowlę dostawała jakieś lekarstwo, które zabarwiło szkliwo. - Skąd pani zna Roberta Dietza? - zapytała.

- Wynajęłam go przed paroma laty, żeby mi zapewnił osobistą ochronę. Ktoś groził mi śmiercią i Dietz w końcu pracował jako mój ochroniarz.

- Jak z jego kolanem? Zmartwiłam się, że się pochorował.

- Nic mu nie będzie. To twardziel. Już jest w dobrej formie.

- Czy mówił pani o Tomie?

- Tylko tyle, że pani niedawno owdowiała. Nie wiem nic więcej.

- Wprowadzę więc panią w całą sprawę, choć doprawdy nie wiem, od czego zacząć. Może pani uważać, że mam bzika, zapewniam jednak, że tak nie jest. - Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła kłęb dymu. Spodziewałam się łez w czasie opowiadania, tymczasem towarzyszył mu spokój, pewnie spowodowany dawką valium. - Tom dostał ataku serca. Był na szosie... około jedenastu kilometrów od miasta. O dziesiątej wieczorem. Pewno czuł, że dzieje się z nim coś złego, bo zjechał na pobocze. Policjant z drogówki, James Tennyson, nasz znajomy, poznał pikapa stojącego z włączonymi światłami awaryjnymi i zatrzymał się, by sprawdzić, czy Tomowi nie jest potrzebna pomoc. Tom osunął się na kierownicę. Ja byłam na zebraniu w kościele, a kiedy wróciłam do domu, zastałam dwa policyjne wozy na podjeździe. Wie pani, Tom był detektywem w Biurze Szeryfa Okręgowego.

- Nie wiedziałam.

- Bałam się, że kiedyś zginie na służbie. Nie wyobrażałam sobie nigdy, że odejdzie w taki sposób. - Przerwała, zaciągnęła się papierosem, posługując się dymem jak znakiem przestankowym.

- Musiało to być przykre.

- Było straszne. - Uniosła znów rękę, przesłaniając usta, oczy zaczęły jej się napęcznieć łzami. - Wciąż jeszcze nie mogę o tym myśleć. O ile wiem, on nie miał żadnych takich symptomów. Albo ujmijmy to tak: jeśli je miał, to mnie o tym nigdy nie wspominał. Miał wysokie ciśnienie i lekarz nalegał, by rzucił palenie i zaczął uprawiać gimnastykę. Wie pani, jacy są mężczyźni. Machał tylko ręką i dalej robił, co chciał. - Odłożyła papierosa na popielniczkę, żeby wysiąkać nos. Dlaczego ludzie zawsze oglądają w chusteczce efekt siąkania nosa?

- Ile miał lat?

- Był tuż przed emeryturą. Sześćdziesiąt trzy. Ale nigdy o sobie nie dbał. Podejrzewam, że naprawdę dobrą formę miał jedynie w okresie służby w wojsku i krótko potem, gdy ukończył akademię i został zastępcą szeryfa. Później wypijał morze kawy i jadł byle co w godzinach pracy, a po powrocie do domu pociągał burbona. Nie był alkoholikiem, niech mnie pani źle nie zrozumie, lubił jednak wypić sobie koktajl pod koniec dnia. Ostatnio nie sypiał dobrze. Tłukł się po domu. O drugiej, trzeciej, piątej rano słyszałam, że robi diabli wiedzą co. W ciągu ostatnich miesięcy zaczął chudnąć. Prawie nie jadł, tylko palił, pił kawę i gapił się przez okno na śnieg. Czasami myślałam, że przeklina, ale mogło mi się tylko zdawać. Naprawdę to nie powiedział ani słowa. „

- Wszystko wskazuje na to, że żył w jakimś napięciu.

- Właśnie. Tak myślałam. Tom był wyraźnie zestresowany, a ja nie wiedziałam, dlaczego. I to doprowadza mnie do szału. - Sięgnęła po papierosa, zaciągnęła się, po czym strząsnęła popiół do ceramicznej popielniczki w kształcie dłoni. - Dlatego właśnie dzwoniłam do Dietza. Czuję, że mam prawo to wiedzieć.

- Nie chcę, żeby zabrzmiało to brutalnie, ale tak naprawdę co to za różnica? Cokolwiek to było, teraz za późno, żeby coś zmienić, prawda?

Odwróciła ode mnie wzrok na chwilę.

- Ja też tak myślałam. Czasem zdawało mi się, że nigdy naprawdę go nie znałam. Powodziło się nam nieźle, on zawsze potrafił sprostać naszym potrzebom, ale Tom nie należał do ludzi tego pokroju, którzy uważają, że powinni o sobie mówić. Przez ostatnie tygodnie wyjeżdżał czasem na wiele godzin i po powrocie nic mi nie mówił. Nie pytałam, dokąd jeździł. Przypuszczam, że mogłabym, tylko że wyczuwałam w nim... ot, zjeżyłby się, gdybym próbowała naciskać. Nauczyłam się więc nie zadawać pytań. Nie uważam jednak, że powinnam gubić się w domysłach do końca życia. Nie wiem nawet, dokąd pojechał tamtej nocy. Zapowiadał, że będzie siedzieć w domu. Coś widocznie musiało się zdarzyć.

- Nie zostawił żadnej wiadomości?

- Nic. - Odłożyła papierosa i sięgnęła po puderniczkę schowaną pod poduszką. Otworzyła ją i obejrzała twarz w lusterku. Dotknęła palcami przednich zębów, jakby chcąc usunąć plamę. - Wyglądam okropnie.

- Proszę się tym nie martwić. Wygląda pani dobrze. Uśmiechnęła się raczej niepewnie.

- Przypuszczam, że nie ma sensu być próżną. Tom nie żyje i na moim wyglądzie nikomu nie zależy, ze mną włącznie, jeśli chce pani znać prawdę.

- Czy mogę o coś spytać?

- Proszę.

- Nie zamierzam być wścibska, ale czy była pani szczęśliwa w małżeństwie?

Roześmiała się lekko zawstydzona, zatrzasnęła puderniczkę i wsunęła ją znów pod poduszkę.

- Ja na pewno. A co do Toma, to nie wiem. Nie miał zwyczaju się uskarżać. Brał życie takie, jakie jest. Przedtem byłam już zamężna. Wysłałam za człowieka... który znęcał się nade mną fizycznie. Mam syna z tamtego małżeństwa. Na imię mu Brant.

- Ach, ile ma lat?

- Dwadzieścia pięć. Był dziesięciolatkiem, kiedy poznałam Toma, w gruncie rzeczy więc to on wychowywał chłopca.

- A gdzie Brant jest teraz?

- Tu, w Nota Lake. Pracuje jako ratownik w straży pożarnej. Od pogrzebu Toma przebywa ze mną, choć ma własne mieszkanie w mieście

- powiedziała. - Wspominałam mu, że myślę o wynajęciu kogoś. Jego zdaniem to nie ma sensu, ale jestem pewna, że zrobi wszystko, co możliwe, by pomóc. - Nos jej poczerwieniał, lecz zdołała się opanować.

- Jak długo pani i Tom byliście małżeństwem, czternaście lat?

- Prawie dwanaście. Po rozwodzie nie chciałam znowu wpakować się w kłopoty. Było nam z Tomem dobrze przez większość tamtych lat, ale niedawno coś jakby

zaczęło się psuć. To znaczy, Tom robił, co do niego należało, tyle że serca w to nie wkładał. Ostatnio wyczuwałam, że zasklepia się w sobie. Nie wiem, był taki... nabrał wody w usta, chyba tak można to określić. Dlaczego tej nocy znalazł się na szosie? To znaczy, co tam robił? Co to było tak nadzwyczajnego, że nie mógł mi powiedzieć?

- Może chodziło o sprawę, nad którą pracował?

- Mogło tak być. - Rozważała tę ewentualność, gasząc papierosa. - Tak, mogło się to wiązać z jego pracą. Tom prawie o niej nie mówił. Niektórzy zastępcy szeryfa sypali w towarzystwie różnymi historyjkami, ale nie on. Bardzo poważnie traktował swoją pracę, aż do przesady.

- Ktoś z Wydziału Szeryfa musiał przejąć jego obowiązki. Rozmawiała pani z nimi?

- Mówi pani „Wydział”, jakby w grę wchodziło jakieś duże miasto. W Nota Lake jest Biuro Okręgowe, ale i tak właściwie nie ma o czym mówić. Pracowało tu tylko dwóch oficerów dochodzeniowych, Tom i jego partner, Rafer. Rozmawiałam z nim, ale niczego się nie dowiedziałam. Był miły. Rafer zawsze jest miły, tylko wtedy udało mu się powiedzieć bardzo niewiele.

Przyglądałam jej się chwilę, przepuszczając rozmowę przez mój licznik głupstewek, żeby się zorientować, co zarejestruje. Nic specjalnie nie zwróciło mojej uwagi, nie mogłam jednak zrozumieć, czego ona właściwie chce.

- Myśli pani, że jest coś podejrzanego w śmierci Toma? Chyba zaniepokoiło ją to pytanie.

- Bynajmniej - odparła - ale on nad czymś rozmyślał, a ja chcę wiedzieć, nad czym. Wiem, to brzmi niejasno, ale denerwuje mnie, że coś przede mną ukrywał, coś, co najwyraźniej bardzo go dręczyło. Byłam dla niego dobrą żoną i nie chcę teraz, gdy go nie ma, żyć w niepewności.

- A co z jego osobistymi rzeczami? Przejrzała je pani?

- Koroner zwrócił mi wszystko, co Tom miał przy sobie w chwili śmierci. Były to tylko rzeczy, których moż-

na się było spodziewać: zegarek, portfel, drobne monety z kieszeni i obrączka ślubna.

- A jego biurko? Czy w domu miał swój gabinet?

- Tak, miał. Ale nie wiem, od czego zacząć. Na biurku panuje okropny bałagan. Wszędzie piętrzą się papiery. Rozwiązanie może mi leżeć pod samym nosem, cokolwiek to jest. Nie mogę się jednak zmusić do przeglądania tego wszystkiego ani znieść myśli, by cały ten kram wyrzucić. Chciałabym, żeby pani zrobiła właśnie to... przekonała się, czy zdoła pani odkryć, co go dręczyło.

Wahałam się.

- Mogłabym pewnie spróbować. Gdyby pani zechciała powiedzieć coś więcej, to by mi pomogło. Niewiele podała pani konkretów.

Oczy Selmy napełniły się łzami.

- Łamię sobie głowę i nic mi nie przychodzi na myśl. Proszę, niech pani po prostu c o ś zrobi. Ja nie mogę nawet wejść do jego gabinetu, bobym padła.

O rany, tego mi było trzeba: zadania nie tylko niezbyt jasnego, lecz na dodatek w moim odczuciu beznadziejnego. Powinnam była z miejsca odrzucić tę propozycję, ale oczywiście tego nie zrobiłam. Jak się miało okazać, z tym większą szkodą dla siebie.

Pod koniec mojej wizyty Valium chyba już zadziało, bo Selma przyszła do siebie. Udało się jej to zrobić w rekordowym tempie. Czekałam w saloniku, gdy brała prysznic i się ubierała. Kiedy pojawiła się pół godziny później, oznajmiła, że czuje się już znów normalnie. Zdumiewająca transformacja. Ze świeżo zrobionym makijażem wydawała się pewniejsza sobie, choć, mówiąc, nadal przesłaniała ręką usta.

Przez następne dwadzieścia minut omawialiśmy sprawę, osiągając na koniec zgodę co do dalszych kroków. W tym momencie nie miałam już wątpliwości, że Selma potrafi postawić na swoim. Sięgnęła po słuchawkę i jednym telefonem nie tylko załatwiła mi lokum, lecz wymogła także dziesięcioprocentową obniżkę opłaty, która już i tak była opłatą sezonową.

Wyjechałam od niej o drugiej, zatrzymując się w mieście na tyle długo, żeby urozmaicić moją standardową dietę smażoną rybą z frytkami i dużą coca-colą. Później był już czas zgłosić się w motelu. Nawet w najlepszym wypadku na pewno nie opuszczę Nota Lake następnego dnia. Motel Nota Lake Cabins, który mi zamówiono, składał się z dziesięciu wiejskich chatek, usytuowanych w lesie w pobliżu szosy i w odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów od miasta. Prowadziła motel jego właścicielka, Cecilia Boden, owdowiała siostra Toma. Kiedy wjechałam na parking, teren wydał mi się zbyt odludny jak na mój gust. W głębi duszy jestem dziewczyną z miasta i najlepiej czuję się w pobliżu restauracji, banków,

sklepów z alkoholami, kin, zwłaszcza bez insektów. Ponieważ jednak Selma płaciła mi lokum, nie uważałam, by należało podnosić tę kwestię. A prawdę mówiąc, rustykalnie wyglądające chałupy z bali wydały mi się bardziej interesujące od moteli w mieście. Ależ ze mnie idiotka!

Cecilia stała przy telefonie, gdy weszłam do biura. Na oko dałam jej sześćdziesiątkę, była niska i bezkształtna jak dziesięciolatka, ubrana w czerwoną, kraciastą, flanelową koszulę, wepchniętą w sztywne ciemnoniebieskie dżinsy. Nie miała niemal wcale tyłka, tylko coś w rodzaju płaskiej dechy. Zażyczyłam sobie w duchu, by przestała trwać ondulacją zadrećcać na śmierć swoje krótko ostrzyżone włosy. Zastanawiałam się też, co by się stało, gdyby pozwoliła wyjrzeć naturalnej siwiź-nie spod standardowej brązowej farby, którą sobie nakładała.

Recepcja znajdowała się w małym, wykładanym sosnowymi panelami przedsionku, w którym mieściło się zaledwie jedno nieduże tapicerowane krzesło i półka z broszurami oferującymi niezliczone formy rekreacji. Boczne drzwi, z napisem KIEROWNICZKA, prowadziły zapewne do jej prywatnego mieszkania. Za blat do pisania służyła tu dwudziestocentymetrowa deska, przytwierdzona do niższej połówki podzielonych poziomo drzwi między miniaturowym przedsionkiem a biurem. W głębi dostrzegłam zwykłe wyposażenie: biurko, szafkę z segregatorami, maszynę do pisania, kasę, rolodex, rejestr wydatków i wpływów oraz wielką księgę rezerwacji, w której Cecilia coś sprawdzała, odpowiadając na pytania rozmówcy. Wydawała się nawet lekko nimi zirytowana.

- Mam pokoje na dwudziestego czwartego, ale nic na następny dzień... Jeśli chce pan oczyszczalni i zamrażalni ryb, proszę zapytać w Elms albo w Mountain View... Hm... Rozumiem... No cóż, to wszystko, co mogę zrobić... - Uśmiechnęła się do siebie, rozbawiona jakimś osobistym dowcipem. - Na pewno nie... Nie ma obsługi w pokojach, nie ma sali do podnoszenia ciężarów, a sauna zepsuta...

Czekając, aż skończy rozmowę, wzięłam na chybił trafił z półki kilka broszur i przeczytałam o wyciągach narciarskich w środku tygodnia i kwaterach położonych bliżej Mammoth Lakes i Mammoth Summit. Przejrzałam kalendarz lokalnych wydarzeń. Ominęły mnie wielkie doroczne zawody w łowieniu pstrągów. Odbyły się w zeszłym tygodniu. Za późno też było na udział w wielkich zawodach wędkarskich w lutym. Niech to diabli! Wśród atrakcji w kwietniu znalazłam następnny pokaz łowienia ryb, konferencję prasową z okazji inauguracji sezonu na pstragi, oficjalną inaugurację sezonu łowienia pstrągów, wystawę trofeów klubu wędkarskiego, obchody Dnia Muła i bieg przełajowy w maju. Wyglądało na to, że mogłabym powędrować z plecakiem, ewentualnie załadowanym na muła, po wschodnich pasmach górskich. Wyskakiwałyby na nas, szczerząc kły - jak sobie wyobrażałam - stada zgłodniałych dzikich zwierząt, podczas gdy my schodzilibyśmy w dół niebezpiecznie wąskimi ścieżkami, a kamienie staczałyby się z łoskotem ze stoków w ziejącą przepaść.

Uniosłam głowę znad broszur i zobaczyłam, że Cecilia Boden przygląda mi się z kamiennym wyrazem twarzy.

- Słucham panią - odezwała się. Przytrzymała rękami drzwi, jakby nie chcąc wpuścić mnie do biura.

Powiedziałam, kim jestem, i gdy próbowałam podać jej kartę kredytową, machnęła odmownie ręką.

- Selma mówiła, żebym przesłała jej rachunek - oznajmiła, ściągając wargi. - Mam dwie wolne chatki. Może pani sobie wybrać. - Zdjęła z haka pęk kluczy, otworzyła dolną połówkę drzwi i poprowadziła mnie ku drzwiom wejściowym, a potem ścieżką wyłożoną cedrowymi płytkami. Na dworze powietrze było wilgotne, pachniało gliną i żywicą. Słyszałam szum wiatru wśród drzew i odgłosy wiewiórek. Samochód zostawiłam na parkingu, szłyśmy więc na piechotę. Wąską alejkę prowadzącą do chatki zagradzał łańcuch rozpięty między dwoma słupkami. - Nie chcę, żeby auta wjeżdżały do tej części obozowiska.

Przy złej pogodzie rozjeżdżają mi cały teren - wyjaśniła, jakby odpowiadając na moje pytanie.

- Rzeczywiście - mruknęłam, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Nie mamy już prawie wolnych miejsc - zauważyła. -Niezwykła rzecz jak na marzec.

Była to z jej strony niezobowiązująca konwersacja, zamruczałam więc coś w odpowiedzi. Przed nami zobaczyłam rozrzucone chatki w odległości około dwustu pięćdziesięciu metrów od siebie. Oddzielały je bezlistne teraz klony i derenie oraz na tyle liczne daglezie, że przypominały farmę, gdzie można wyciąć sobie choinkę na Boże Narodzenie.

- Dlaczego to się nazywa Nota Lake? Czy to nazwa indiańska?

Cecilia potrząsnęła głową.

- Nie. W zamierzchłych czasach „nota” to było piętno wypalane na skórze przestępcy, żeby go oznaczyć jako tego, kto złamał prawo. W ten sposób zawsze wiedziano, kto jest złoczyńcą. Mnóstwo desperados dotarło do tej okolicy; w połowie siedemnastego wieku deportowano do naszego kraju przestępców z Anglii. I wszystkich piętnowano: zabójców i złodziei, kieszonkowców i cudzołożników, najgorszych z najgorszych. Po odbyciu kary odzyskiwali wolność i ciągnęli na zachód, docierając w te strony. Ich potomkowie najmowali się wraz z kulisami i kolorowymi do pracy przy budowie kolei. Połowa mieszkańców tego miasta jest spowinowacana z tamtymi skazańcami. Musiała to być banda lubieżników, chociaż nikt chyba nie wie, gdzie sobie znajdowali kobiety. Pewno zamawiali je przez pocztę, jeśli moje przypuszczenia są słuszne.

Dotarliśmy do pierwszej chatki, a Cecilia dalej mówiła prawie tym samym tonem, bez wyrazu i modulacji głosu.

- To jest Wierzba. Nadałam im nazwy zamiast numerów. Tak jest ładniej moim zdaniem. - Włożyła klucz do zamka. - Każda jest inna. Proszę sobie wybrać.

W chatce mieścił się duży pokój - mniej więcej sześć na sześć metrów - obłożony sosnowymi panelami, z komin-

kiem zbudowanym ze sporych kamieni. Palenisko było czarne od sadzy, a na ruszcie leżał porządnie ułożony stosik drewna. W pokoju unosił się ostry swąd z niezliczonych ilości spalonego tu twardego drewna. Pod drugą ścianą stało mosiężne łóżko z materacem w kształcie pagórka. Wściekle kolorowa narzuta, zszyta z kawałków różnych tkanin, sprawiała wrażenie, jakby zalatywała pleśnią. Na nocnym stoliku znajdowały się lampka i budzik. Okrągły dywanik ze splecionych gałganków całkiem już wyblakł i wytarł się ze starości.

Cecilia otworzyła drzwi po lewej stronie.

- Tu jest łazienka i szafa na ubrania. Mamy wszelkie udogodnienia. Jeśli nie łowi się ryb - dodała, jakby mówiąc do siebie. - Żelazko, deska do prasowania, maszynka do kawy, mydło.

- Bardzo to miłe - powiedziałam.

- Druga chatka nazywa się Szalej. Stoi koło zagajnika sosnowego nad rzeczką. Jest tam kuchenka, ale nie ma kominka. Mogę do niej zaprowadzić, jeśli pani chce. - Prawie przez cały czas mówiła, nie patrząc na mnie, kierując swoje słowa w stronę jakiegoś punktu znajdującego się na lewo ode mnie i odległego mniej więcej o dwa metry.

- Ta mi w zupełności odpowiada, biorę ją.

- Jak pani sobie życzy - odparła, wręczając mi klucz. - Samochody pozostają na parkingu. Na zewnątrz pod ścianą jest więcej drewna. Jeśli będzie pani brać polana, proszę uważać na czarne pająki. Budka telefoniczna znajduje się obok biura. Oszczędza mi to kłótni przy płaceniu rachunków za telefony. Jakies pięćdziesiąt metrów w tamtym kierunku jest bar przy drodze. Trudno go przeoczyć. Można tam zjeść śniadanie, lunch i kolację. Otwierają o szóstej rano i jest czynny do pół do dziesiątej wieczorem.

- Dzięki.

Kiedy sobie poszła, odczekałam chwilę, dając jej czas, by zdążyła wrócić do biura. Potem pomaszerowałam na parking, zabrałam swój worek podróżny oraz walizkową maszynę do pisania, którą miałam w wynajętym samo-

chodzie. Wolny czas u Dietza poświęcałam odrabianiu swojej papierkowej roboty. Cała moja garderoba składała się w zasadzie z dzinsów i swetrów z golfem, pakowanie więc to była betka, po prostu dorzucałam jeszcze kilka par majtek.

Po powrocie do chatki postawiłam maszynę przy łóżku i włożyłam parę swoich osobistych rzeczy do prymitywnej komódki. Wypakowałam szampon, a położywszy szczoteczkę i pastę do zębów na brzegu umywalki, rozejrzałam się wokół z zadowoleniem. Dom, bezpieczny dom, chroniący przed czarnymi wdowami. Wypróbowałam klozet, który działał, potem skontrolowałam prysznic, umiejętnie osłonięty długą białą tkaniną, zawieszoną na metalowym pręcie. Brodzik wyglądał czysto, ale był z czegoś takiego, że budził we mnie chęć stapania na palcach. Wyprawy na publiczny basen w dzieciństwie nauczyły mnie ostrożności, bosa stopy nadal instynktownie unikały skrzepów kłajstrowatej mazi i zardzewiałych spinek do włosów. Nic takiego nie znalazłam, wyczuwałam jednak widmową obecność starodawnego brudu. Czułam ten sam zapach chloru z domieszką czyjegoś szamponu. Sprawdziłam maszynkę do kawy, ale wtyczce brakowało jednego bolca, nie było też torebek z mieloną kawą, cukrem i roślinnym zabielačem. To tyle, jeśli chodzi o udogodnienia. Byłam wdzięczna za mydło.

Wróciłam do pokoju i dokonałam szybkiego przeglądu. Pod bocznym oknem - z widokiem na las - stał drewniany stół i dwa krzesła. Przyniosłam maszynę do pisania i postawiłam ją na stole. Będę musiała pojechać do miasta, kupić ryzę papieru i znaleźć ksero. Dziś większość prywatnych detektywów używa komputerów, ale ja chyba nigdy ich nie rozgryzę. Moja masywna smith-corona nie potrzebowała kontaktu z elektrycznością, a ja nie musiałam się martwić, że komputer się zawiesi lub że utracę dane. Przysunęłam krzesło do stołu i wyrzesałam przez okno na wysoki łań drzew. Nawet te wiecznie zielone wyglądały jak wyliniałe. Przez koronkę sosnowych igieł widziałam płot oddzielający teren Cecylii od leżącej za

nim parceli. W tej części Nota Lake były chyba tereny rolne przemieszane z dużymi jeszcze obszarami nieużytków, które w pewnym momencie niewątpliwie zostaną zagospodarowane. Wyciągnęłam obszarpany żółty blok i zrobiłam parę notatek, w większości gryzmołąc, jeśli naprawdę chcecie wiedzieć.

W zasadzie Selma Newquist wynajęła mnie, bym zrekonstruowała ostatnie cztery, może sześć tygodni z życia jej zmarłego męża - zakładając, że to, co go trapiło, wydarzyło się rzeczywiście w tych ramach czasowych. W zasadzie nie przepadam za szpiegującymi siebie małżonkami -zwłaszcza gdy jedno z nich już nie żyje - ale ona chyba była przekonana, że znalezienie odpowiedzi zagoi jej ranę. Ja miałam wątpliwości. Może Tom Newquist po prostu martwił się jakimiś sprawami finansowymi albo zastanawiał się, czym sobie wypełni czas na emeryturze.

Zgodziłam się co dwa, trzy dni składać jej ustnie raport, a ponadto dołączyć pisemne sprawozdanie. Selma najpierw się wahała, twierdząc, że ustne raporty najzupełniej wystarczą, ale ja powiedziałam, że wolę sprawozdania pisemne, bo podam w nich wszystkie zebrane informacje. Niezależnie od tego, czy coś jej dadzą, czy nie, chciałam, żeby znała zasięg moich poszukiwań. Dla niej były istotne zarówno informacje, których ja nie mogłam zweryfikować, jak też rejestr faktów zebranych przeze mnie po drodze. W wypadku raportów ustnych znaczna część danych ginie w przekazie. Większości osób nie nauczono słuchania. Przy złożoności naszych procesów umysłowych odbiorca wyłącza, blokuje, zapomina albo źle rozumie osiemdziesiąt procent tego, co zostało powiedziane. Spróbujcie zrekonstruować jakąkolwiek piętnastominutową rozmowę, a zrozumiecie, co mam na myśli. Jeżeli przekaz zawiera jakiś ładunek emocjonalny, jakoś zachowanej informacji jeszcze się pogarsza. Dla mnie sprawozdanie pisemne miało też korzystne aspekty. Po tygodniu nie będę mogła sobie przypomnieć, co różniło poniedziałek od wtorku, a cóż dopiero - jakie podejmowałam kroki i w jakiej kolejności. Zauważyłam, że klienci doceniają

twoje umiejętności, póki nie nadejdzie pora zapłaty -wtedy kwota wydaje im się nagle horrendalna i dziwią się, co takiego zrobiłaś, by żądać aż tyle. Przedkładając rachunek, lepiej jest dołączyć chronologię. Lubię cytować rozdział i wiersz z uwzględnieniem prawidłowej interpunkcji. Jeśli o niczym więcej, świadczy to przynajmniej o twoim ilorazie inteligencji, a także umiejętności pisania. Jak można ufać komuś, kto nie zwraca uwagi na ortografię albo nie potrafi sformułować prostego zdania oznajmującego?

Następną sprawą, którą omawialiśmy, było moje honorarium. Operując w pojedynkę, naprawdę nie musiałam przestrzegać żadnych żelaznych reguł w kwestii rachunków, zwłaszcza gdy pracowałam poza miastem. Czasami wliczałam opłatę za mieszkanie, która obejmowała wszystkie moje wydatki. Czasami liczyłam sobie opłatę za godzinę i dodawałam do niej wydatki. Selma zapewniła mnie, że ma pieniądze i może nimi szastać, ale ja, szczerze mówiąc, czułam się winna, nadszarpując majątek Toma. Z drugiej strony ona go przeżyła i myślę, że miała rację. Dlaczego resztę życia ma spędzić na zastanawianiu się, czy mąż coś przed nią ukrywał? Żałoba jest wystarczająco ciężkim przeżyciem, nawet jeśli pominąć żal z powodu nie ukończonych spraw. Selma już usiłuje pogodzić się ze śmiercią Toma. Odczuwa konieczność poznania prawdy, chce, bym tę prawdę odkryła. Całkiem słusznie. Mam nadzieję, że zdołam przedstawić jej odpowiedź, która ją zadowoli.

Póki się nie zorientuję, ile czasu zabierze mi ta sprawa, umówiliśmy się na dwieście pięćdziesiąt dolców dziennie. Od Dietza pożyczyłam sobie umowę. Wstawiłam datę i wyszczególniłam, do czego zostaje wynajęta, a ona wypisała mi czek na tysiąc pięćset dolarów. Zanim przystąpię do roboty, oddam go do banku, by się upewnić, że ma pokrycie. Z przykrością muszę wyznać, że choć współczuję wszystkim wdowom, sierotom i ludziom upośledzonym na świecie, to uważam, że przed wyruszeniem komuś na ratunek rozsądnie jest się upewnić, czy na miejscu znajduje się odpowiednia suma pieniędzy.

Zamknęłam chatkę na klucz i poszłam znów do wypożyczonego samochodu, żeby przejechać te dziesięć kilometrów dzielące mnie od miasta. Przy szosie widziałam rozrzucone z rzadka różne zakłady: punkt sprzedaży traktorów, parking samochodowy, kemping dla domów na kółkach, wiejski sklep, stację benzynową. Tereny pomiędzy nimi były złotawe od zrudziałej trawy i zarośnięte zielskiem. Bezkresna połać nieba przechodziła od intensywnego błękitu do szarości, a gęsta biaława mgła osnu-wała wierzchołki gór. Daleko na zachodzie trwały w bezruchu strzępiaste chmury. Wszystkie najbliższe góry były brudnobrązowawe w białe ciapki. W drzewach buszował wiatr. Podkreśliłam ogrzewanie, ustawiając dmuchawę w taki sposób, żeby tropikalny podmuch szedł mi na nogi.

Na pobyt w Carson City wzięłam ze sobą w charakterze stroju wyjściowego tweedowy żakiet, a na co dzień niebieską dżinsową bluzę. Obie te rzeczy były za lekkie, nieodpowiednie w tutejszych warunkach. Jeździłam po mieście, póki nie trafiłam na sklep z tanimi rzeczami. Postawiłam samochód na miejscu wyznaczonym do parkowania przed sklepem. Wystawa była załadowana utensyliami kuchennymi, drobnymi sprzętami, jak szafka na książki czy podnózek, stosami nie pasujących do siebie talerzy, pięcioma lampami, trójkołowym rowerkiem, maszynką do mięsa, starym aparatem radiowym marki Philco i kilkoma czerwonymi tabliczkami z reklamą maszynek do golenia firmy Burma, związanymi drutem. Na tej na wierzchu widniał napis: CZY TWÓJ MAŻ. Co? - pomyślałam. Co takiego robi twój mąż? Tabliczki reklamowe maszynek do golenia firmy Burma pojawiły się w latach dwudziestych i wiele z nich przetrwało nawet do czasów mojego dzieciństwa, zawsze z różnymi odmianami prowokującej rymowanki. *Czy twój mąż... zapuszcza brodę?... Czy naprawdę lekceważy modę?... Gdy jaskiniowca chce przypominać... Maszynkę do golenia Burma czas najwyższy mu dać.* Albo podobne wierszyki.

Wnętrze sklepu pachniało jak stare buty. Przeszłam wzdłuż wieszaków obwieszonych odzieżą. Widziałam rzędy

ramiączek ze strojami, które kupuje się ze względu na ich funkcję i odświętność: sukienki na szkolne zabawy, suknie koktajlowe, kostiumy, akrylowe swetry, bluzki i szorty. Wełny robiły wrażenie sfilcowanych, bawełny zniszczonych, kolory po licznych praniach zbladły. W głębi sklepu ujrzałam pręt uginający się pod ciężarem zimowych kurtek i płaszczy.

Włożyłam na siebie obszerną, skórzaną, brązową kurtkę lotniczą. Wydała mi się tak ciężka jak ołowiane fartuchy, którymi technicy dentystyczni osłaniają cię całą, gdy schowawszy się w drugim pomieszczeniu prześwietlają ci zęby. Kurtka była podbita owczym futerkiem, nieznacznie sfilcowanym, i miała ukośne kieszenie na suwaki, z których jeden się zepsuł. Sprawdziłam kołnierz od środka. Rozmiar średni, wystarczająco duży, by w razie potrzeby włożyć pod spód gruby sweter. Do brązowego dżersejowego mankietu przypięto kartkę z ceną. Czterdzieści dolców. Dobry interes. *Czy twój mąż beka i ma ruję? Czy owłosiony zadek rozdrapuje? Jeśli chcesz zobaczyć go w kąpielni... tylko maszynka Burma bestię rozanieli.* Przerzuciłam kurtkę przez ramię i chodziłam tam i z powrotem po odzieżowej części sklepu. Znalazłam bladoniebieską flanelową koszulę i turystyczne wysokie buty. Wychodząc, zatrzymałam się jeszcze i odkręciłam drut, którym związane tabliczki reklamowe maszynek Burmy, żeby przeczytać, co na nich napisano.

CZY TWÓJ MAŻ ŹLE SIĘ ZACHOWUJE?

WŚCIEKA SIĘ I KRZYCZY, KLNIE I UTYSKUJE?

DAJ MU DO MYŚLENIA, RZUCAJĄC MASZYNKĄ BURMA DO GOLENIA.

Uśmiechnęłam się. Nie irytowały mnie wcale te reklamy. Wyszłam na ulicę, niosąc zakupy. Przypomnijmy

sobie dawne dobre czasy. Ostatnio Amerykanie tracą poczucie humoru.

Po drugiej stronie ulicy zauważyłam sklep z artykułami biurowymi. Zaopatrzyłam się tam w papier, kupiłam też kilka paczek kart do kartoteki. O dwa domy dalej znalazłam filię banku Selmy, zrealizowałam więc jej czek i wyszłam z plikiem dwudziestodolarówek w torebce na ramieniu. Potem wróciłam do auta i, objechawszy cały kwartał, ruszyłam we właściwym kierunku. Miasto wydało mi się znajome, porządnie rozplanowane i czyste. Main Street była czteropasmowa. Po obu jej stronach stały parterowe lub piętrowe budynki, niezbyt stylowe. Nastrój nieuchwytnie westernowy. Przy każdym skrzyżowaniu ukazywał mi się klin gór, a wierzchołki w śnieżnych czapach tworzyły jakby kurtynę wzdłuż całego miasta. Ruch panował niewielki i, jak zauważyłam, większość aut to były półciężarówki i furgonetki ze wspornikami na narty na dachach.

Kiedy przyjechałam z powrotem pod dom Selmy, zastałam drzwi garażu otwarte. Miejsce po lewej stronie było wolne, po prawej stał niebieski pikap, najnowszy model. Wysiadając z samochodu, zobaczyłam o dwa domy dalej zastępcę szeryfa w mundurze wychodzącego na dwór. Teraz przemierzał dzielące nas trawniki, idąc w moim kierunku. Poczekiałam, zakładając, że to Macon, młodszy brat Toma. Na pierwszy rzut oka nie potrafiłam określić, o ile młodszy. Oceniałam go na czterdziestkę z hakiem, ale wygląd mógł przecież mylić. Miał ciemne włosy, ciemne brwi i w ogóle przyjemną, choć nie zwracającą uwagi twarz. Był mocno zbudowany i wysoki - ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu - ubrany w grubą kurtkę, rozciętą z boku, żeby mógł swobodnie sięgać do skórzanej kabury na prawym biodrze. Szeroki pas i broń nadawały mu wygląd krzepkiego mężczyzny, ale nie jestem pewna, czy musiało to być tak oczywiste, gdyby pozbawiono go tego ekwipunku.

- Czy pan Macon? - spytałam.

Podał mi rękę, wymieniliśmy uścisk dłoni.

- Tak. Widziałem, jak pani przyjeżdża, pomyślałem więc, że podejdę, by się przedstawić. Trochę wcześniej poznała pani moją żonę, Phyllis.

- Przykro mi z powodu pańskiego brata.

- Dziękuję. To był cios, mogę tak powiedzieć. - Pokazał kciukiem w stronę domu. - Selmy nie ma. Myślę, że niedawno pojechała na targ. Chce pani wejść? Drzwi na ogół są otwarte, ale zapraszam też do nas. Niemiło być wystawionym do wiatru.

- Dam sobie radę. Przypuszczam, że ona lada chwila wróci, a jeśli nie, to potrafię się jakoś pocieszyć. Któregoś z najbliższych dwóch, trzech dni chciałabym z panem pogadać.

- Oczywiście, nie ma sprawy. Powiem wszystko, co chce pani wiedzieć, choć przyznaję, że nie rozumiemy, o co chodzi Selmie. Czym, u licha, ona się martwi? Phyllis i ja nie możemy pojąć, czego ona oczekuje, i to jeszcze od prywatnego detektywa. Przy całym szacunku, wydaje się to śmieszne.

- Może powinien pan z nią o tym porozmawiać - zauważyłam.

- Mogę pani od razu powiedzieć, czego dowie się pani o Tomie. Był porządnym facetem, takim, jakiego zawsze chciałaby pani poznać. Wszyscy w mieście go szanowali, łącznie ze mną.

- W takim razie mój pobyt tu może się okazać krótkotrwały.

- Gdzie Selma panią ulokowała? Mam nadzieję, że w jakimś przyjemnym miejscu.

- W Nota Lake Cabins. Cecilia Boden, jak rozumiem, to pańska siostra. Ma pan jeszcze inne rodzeństwo?

Macon pokręcił głową.

- Nie, było nas tylko troje, a ja byłem najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Tom był starszy o trzy lata od Cecilii i blisko o piętnaście lat ode mnie. Wlokłem się w ogonie za nimi, odkąd pamiętam. Przyszedłem do Biura Szeryfa wiele lat po tym, jak brat się tam zatrudnił. Podobnie było ze szkołą. Zawsze kroczyłem czyimiś ślada-

mi. - Powędrował wzrokiem na ulicę, którą nadjeżdżało auto Selmy. Zwalniając, wtoczyło się na podjazd. - Już przyjechała, zostawiam więc panie same. Proszę dać mi znać, jeśli mógłbym w czymś pomóc. Może pani do nas zadzwonić albo przyjść. To tamten zielony dom z białym szlaczkiem.

Selma wjechała już do garażu. Wsiadła z samochodu. Z Maconem przywitali się z niemal niedostrzegalnym chłodem. Kiedy otwierała bagażnik swojego sedana, Macon i ja zegnaliśmy się, wymieniając zdania sygnalizujące koniec rozmowy. Selma wyjęła papierową torbę z prowiantami i dwie paczki z pralni, po czym zatrzasnęła bagażnik. Miała na sobie futro, a pod nim idealnie wyprasowane, czarne jak węgiel spodnie i koralową jedwabną bluzkę z długimi rękawami.

Kiedy Macon wrócił do domu, ja weszłam do garażu.

- Proszę pozwolić, pomogę pani - powiedziałam, sięgając po jej torbę z wiktuałami.

- Mam nadzieję, że nie czekała pani zbyt długo - odezwała się. - Doszłam do wniosku, że spędziłam dość czasu na litowaniu się nad sobą. Lepiej czymś się zająć.

- Czyj jest ten pikap? Toma? - spytałam.

Selma kiwnęła głową i otworzyła drzwi prowadzące z garażu do domu.

- Zleciłam firmie holowniczej dostarczenie tutaj auta następnego dnia po śmierci męża. Policjant, który go znalazł, zabrał kluczyki, zamknął pikapa i zostawił na miejscu. Nie mogłam się zmusić, żeby sama go sprowadzić. Myślę, że sprzedam ten samochód albo oddam Brantowi. - Nacisnęła guzik i drzwi od garażu zamknęły się z hałasem. - Widzę, że poznała pani Macona.

- Podeszedł, żeby się przedstawić - odparłam, wchodząc za nią do domu. - Muszę wspomnieć o jednej rzeczy. Zamierzam rozmawiać z wieloma osobami w mieście i naprawdę jeszcze nie wiem, na jakie podejście się zdecyduję. Cokolwiek pani usłyszy, proszę z tym nie polemizować.

Schowała klucze do torebki i weszła do składziku, a ja wraz z nią. Zamknęła za nami drzwi.

- Dlaczego nie mówić prawdy?

- Będę mówić prawdę, jeśli będę mogła, ale przypuszczam, że Tom cieszył się ogólnym szacunkiem w mieście. Jeśli zacznę wypytywać o jego prywatne sprawy, nikt mi nie powie ani słowa. Mogę próbować innej drogi. Nie będzie specjalnie odbiegać od prawdy, może tylko trochę przekręcę fakty.

- A co z Cecilią? Co jej pani powie?

- Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę.

- Ona to naopowiada pani różności. Nigdy za mną nie przepadała. Jeśli będzie mogła, to mnie przypisze wszelkie kłopoty, jakie mógł mieć Tom. To samo zrobi jego brat. Macon wiecznie od niego czegoś chciał. A to pożyczki, a to rady, a to, by poparł go w pracy, i tak bez końca. Gdybym tego nie ukróciła, wykorzystałby go do cna. Może mi pani zrobić przysługę i odnosić się do wszystkiego, co oni powiedzą, z pewną rezerwą.

Niezadowoleni są dobrzy, powiedzą ci wszystko - pomyślałam.

W kuchni Selma rzuciła futro na oparcie krzesła. Obserwowałam, jak wyjmowała wiktuwały i kładła je na właściwe miejsce. Zaproponowałam jej pomoc, ale ją odrzuciła, twierdząc, że szybciej zrobi to sama.

Ściany w kuchni miały jasnożółty kolor, a linoleum na podłodze było w białe i żółte ciapki. Komplet chromowanych krzeseł z żółtymi plastikowymi siedzeniami zajmował kąt jadalny we wnęce z wykuszowym oknem, zastawionym sztucznymi roślinami, o czym się przekonałam, przyjrząwszy im się z bliska. Selma wskazała mi krzesło po drugiej stronie stołu, a sama starannie złożyła papierową torbę na zakupy i wsunęła ją na półkę, gdzie już pełno było podobnych toreb.

Podeszła do lodówki i otworzyła drzwiczki.

- Co pani dodaje do kawy? Mam zabielaacz z orzechami laskowymi, mam także mleko. - Wyjęła niewielki kartonik i spróbowała łyk. Skrzywiła się i odstawiła mleko do zlewu.

- Może być bez dodatków.

- Na pewno?

- Naprawdę. Nie ma sprawy. Nie jestem wybredna -powiedziałam. Zdjęłam kurtkę i powiesiłam ją na oparciu krzesła, a Selma tymczasem przygotowała dwa kubki, cukiernicę i łyżeczkę dla siebie.

Nalała kawy, wstawiła z powrotem do maszynki szklane naczynie, żeby się podgrzewało, i stukając obcasami, chodziła tam i z powrotem po kuchni. Jej energia była zabarwiona pewną dozą nerwowości. Gdy tylko usiadła, sięgnęła po małą złotą zapalniczkę i zapaliła kolejnego papierosa. Zaciągnęła się głęboko.

- Od czego pani zacznie? - spytała.

- Myślę, że od gabinetu Toma. Może odpowiedź jest całkiem prosta i leży na samym wierzchu.

Resztę popołudnia spędziłam na przekopywaniu się przez nieznośnie zabałaganione domowe biuro Toma. Pominę nużącą listę dokumentów, które przejrzałam, uporządkowanych segregatorów, opróżnionych szuflad, sprawdzonych pokwitowań w poszukiwaniu jakiegokolwiek dowodu jego troski. Składając raport Selmie, (lekką) przesadziłam ogrom moich wysiłków, by nabrała przekonania, że sumiennie zapracowałam na tych pięćdziesiąt doliczów za godzinę. Przez trzy godziny udało mi się uporać z połową bałaganu. Niezależnie od tego, czym się zamartwiał Tom, pozostawił jak dotąd niezmiernie mało w sensie jakichś śladów materialnych.

Najwyraźniej odczuwał nieodpartą potrzebę zachowania każdego skrawka papieru i jeśli nawet stosował jakieś zasady przy ich gromadzeniu, to w najlepszym wypadku pozostawił po sobie chaos. Na biurku piętrzyły się foldery, korespondencja, zapłacone i nie zapłacone rachunki, formularze zeznań podatkowych, artykuły z gazet i teczki z dokumentacją spraw, nad którymi pracował. Leżało to wszystko w stertach o wysokości do czterdziestu centymetrów, przy czym niektóre zsunęły się na bok, na sąsiednie sterty. Przypuszczam, że on sam potrafił znaleźć to, czego akurat potrzebował, ale zadanie, przed którym stanęłam ja, było przerażające. Być może wyobrażał sobie, że niedługo uporządkuje biurko. Jak większość ludzi niezorganizowanych pewnie uważał, że to jedynie chwilowy bałagan, bo lada moment powyrzuca wszystkie niepotrzebne papierzyska. Niestety, nagle zaskoczyła go śmierć, a teraz

ja miałam zrobić porządek. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby zaraz po powrocie do domu zmienić bieliznę. W dolnej szufladzie biurka znalazłam część rynsztunku Toma: kajdanki, pałkę, latarkę - przedmioty, które musiał nosić przy sobie. Może Macon zechce je wziąć. Muszę pamiętać, żeby spytać o to później Selmę.

Przejrzałam dwa duże worki śmieci, biorąc na siebie wyrzucenie kwitów, dowodów opłat za usługi komunalne z ostatnich dziesięciu lat. Kilka zostawiłam na wypadek, gdyby Selma zamierzała sprzedać dom i chciała przedstawić ewentualnym nabywcom przeciętne koszty jego utrzymania. Drzwi do gabinetu zostawiłam otwarte, by w czasie przeglądania i sortowania papierów móc dalej rozmawiać z Selmą, która pozostała w kuchni.

- Chciałabym mieć zdjęcie Toma.

- Po co?

- Jeszcze nie jestem pewna, ale chyba to dobry pomysł.

- Proszę wziąć jedną z fotografii ze ściany koło okna. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam kilka czarno-białych zdjęć przedstawiających go w rozmaitej scenerii.

- Dobra - powiedziałam. Zdjęłam z kolan stos sortowanych papierów i podeszłam do najbliższej grupowej fotografii. W największej ramce widniał nie uśmiechający się Tom Newquist i szeryf Bob Staffer, sfotografowani chyba na jakimś bankiecie. Przy ładnie udekorowanym stole - z tabliczką z numerem drugim na środku - siedziało kilka par. Staffer napisał w dolnym prawym rogu zdjęcia: „Najlepszemu detektywowi w firmie! Zawsze Twój Bob Staffer”. Data - kwiecień zeszłego roku. Zdjęłam ze ściany fotografię oprawioną w ramki i przysunęłam do okna, do szarzejącego już światła.

Tom Newquist wyglądał dość młodo jak na sześćdziesiąt trzy lata. Miał małe oczy, okrągłą nijaką twarz, krótko ostrzyżone, ciemne, przerzedzone już włosy i wyraz twarzy, jaki zawsze widywałam u gliniarzy - neutralny, czujny, inteligentny. Ta twarz niczego ci nie zdradzi. Gdyby cię przesłuchiwał w charakterze podejrzanego, nie daj się zwieść, bo będzie zadawał trudne pytania i nie da po sobie

poznać, jakie odpowiedzi mogłyby dla ciebie być korzystne. Jeśli zażartujesz, uśmiechnie się tylko półgębkiem. Nagły wybuch wściekłości przekreśli nadzieję na jego pozytywny stosunek do twojej sprawy. Gdyby cię przesłuchiwał jako świadka, mógłbyś ujrzeć jego drugą twarz -zatrokaną, współczującą, cierpliwą, rzetelną. Jeśli był taki jak inni znani mi funkcjonariusze policji, to potrafił pozostać nieubłagany, sarkastyczny i nieprzejednany, żeby tylko dojść prawdy. Niezależnie od kontekstu takie określenia jak „porywczy” i „popędliwy” w jego wypadku raczej rzadko przychodziłyby na myśl. Na gruncie prywatnym mógł być jednak zupełnie inny i do moich zadań należało też ustalenie, na czym polegałaby różnica. Ciekawa byłam, co on widział w Selmie. Na mężczyźnie, który znał się na kamuflażu, powinna była sprawiać wrażenie osoby nazbyt pretensjonalnej i emocjonalnej.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Selma mnie obserwuje, stojąc w drzwiach. W wyglądzie tej kobiety było coś tandetnego, mimo niewątpliwie drogich ubrań. Włosy miała tak mocno utlenione, że wyglądały jak sztuczne niczym u lalki. Ciekawe, czy z bliska nie dostrzegłabym pojedynczych kępek jak po transplantacji.

- Mogę wziąć tę? - spytałam, unosząc w górę fotografię. - Chciałabym wykadrować twarz Toma i zrobić odbitki. Jeśli mam prześledzić jego działalność w ciągu kilku ostatnich miesięcy, to być może ta fotografia zaprowadzi mnie dalej niż samo nazwisko.

- Zgoda. Sama chciałabym mieć odbitkę. Ładnie na tym zdjęciu wygląda.

- Nie był skory do uśmiechu?

- Nie bardzo. Zwłaszcza na spotkaniach towarzyskich. Odpreżał się w obecności kumpli... innych zastępców szeryfa. Jak pani idzie?

Wzruszyłam ramionami.

- Jak dotąd nic, same śmiecie. - Powróciłam do sterty papierów. - Szkoda, że nie zajmowała się pani rachunkami - zauważyłam.

- Nie jestem w tym dobra. Nie znosiłam matematyki

w szkole średniej - odparła i dodała po chwili: - Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że kazałam pani grzebać w jego rzeczach.

- Proszę się tym nie martwić. To mój sposób zarabiania na życie. Jestem diagnostą, jak ginekolog, gdy znajdzie się pani u niego na fotelu ze stopami w strzemionach i pośladkami w powietrzu. Moje zainteresowanie nie ma charakteru osobistego. Po prostu patrzę, chcąc zobaczyć, co tam jest.

- On był dobrym człowiekiem. Wiem to.

- Jestem tego pewna - powiedziałam. - Może się zdarzyć, że niczego się nie dowiemy, ale jeśli nawet tak będzie, to poczuje się pani lepiej. Ma pani prawo do spokoju.

- Potrzebuje pani pomocy?

- Właściwie to nie. W tym momencie wciąż jeszcze szukam drogi. W każdym razie na dzisiejsze popołudnie to już wystarczy. Przyjadę jutro i znowu zabiorę się do szukania. - Wrzuciłam plik katalogów i ulotek reklamowych do kosza na śmieci. Podniosłam głowę, wiedząc, że Selma nadal stoi w drzwiach.

- Nie zjadłaby pani ze mną kolacji? Brant będzie w pracy, byłybyśmy tylko we dwie.

- Lepiej nie, ale dzięki za zaproszenie. Może jutro. Muszę zatelefonować w kilka miejsc, potem szybko coś przegryzę i wcześniej się położę. Powinnam to skończyć jutro rano. W pewnym momencie będziemy musiały przejrzeć listę rozmów telefonicznych. To większa robota i zostawiam ją sobie na koniec. Siądziemy obok siebie i zobaczymy, ile numerów telefonicznych zdoła pani rozpoznać.

- No to pozwolę już pani wrócić do pracy - powiedziała niechętnie.

Kiedy skończyłam pracę tego dnia, Selma dała mi klucz od domu, chociaż zapewniała, że na ogół drzwi zostawia nie zamknięte. Często wyjeżdża, powiedziała, i życzy so-

bie, bym w czasie jej nieobecności miała dostęp do domu. Oznajmiłam jej, że chciałabym także przejrzeć rzeczy osobiste Toma. Nie miała nic przeciwko temu. Wolałam uniknąć sytuacji, że któregoś dnia wejdzie i zastanie mnie grzebiącą w jego ubraniach.

Kiedy stamtąd odjeżdżałam, panowały kompletne ciemności; uliczne latarnie w niewielkim stopniu zmniejszały uczucie wyizolowania. W mieście panował spory ruch. Ludzie jechali do domu na kolację, zamykano sklepy. W restauracjach wrzała praca, drzwi barów pootwierano, by zmniejszyć nadmierny gwar i wywietrzyć dym z papierosów. Kilku odważnych amatorów joggingu biegało po chodnikach wraz z właścicielami piesków różnych ras, które szukały odpowiednich krzaczków, żeby sobie ulżyć.

Kiedy znalazłam się na szosie, uświadomiłam sobie w pełni, jak rozległe tereny są tu pozbawione jakichkolwiek śladów obecności ludzi. W dzień płoty i rozmaite szopy stwarzały wrażenie, że to obszary w jakimś stopniu ucywilizowane. W nocy pasmo gór było czarne jak węgiel i tylko bledy księżyc posrebrzał ośnieżone szczyty. Temperatura spadła, wyczuwałam też atramentową woń wilgoci ciągnącej od jeziora. Ogarnęła mnie tęsknota za Santa Teresa, za czerwonymi dachówkami domów, palmami i huczącym Pacyfikiem.

Zwolniłam, widząc szyld Nota Lake Cabins. Może poprawi mi nastrój trzaskający ogień na kominku i gorący prysznic. Zostawiłam samochód na małym parkingu w pobliżu biura motelu. Cecilia Boden oświetliła ścieżkę prowadzącą do chatki kilkoma słabymi lampkami w kształcie grzybów; rzuciły żółtawy krąg światła na cedrowe płytki. Przy drzwiach chatki paliła się mała lampka. Nie zostawiłam żadnych włączonych świateł, wyczuwając podświadomie, że kierownictwo motelu krzywiłoby się z powodu takiej ekstrawagancji. Przekręciłam klucz w zamku i weszłam do środka, po omacku szukając kontaktu. Rozbłysła mi nad głową czterdziestowatowa żarówka. Podeszłam do łóżka i zapaliłam lampkę na nocnym stoliku,

wzmacniając oświetlenie o kolejne czterdzieści watów. Na budziku błyskała i gasła godzina 12.00, co wskazywało na wcześniejszą przerwę w dostawie prądu. Sprawdziłam godzinę na swoim zegarku i nastawiłam budzik na aktualny czas: 6.22.

Pokój sprawiał wrażenie zimnego i pustego. Wyczuwało się mocną woń spalonego drewna i wilgoci ciągnącej spod chatki, przesiąkającej przez deski podłogi. Skontrolowałam drewno na palenisku. Obok kominka leżał stosik gazet na podpałkę, ale gazowego podpalacza oczywiście nie było. Podejrzywałam więc, że rozniecanie ognia zajęłoby z pewnością więcej czasu, niż trwałaby radość, jaką by mi sprawił. Obeszłam pokój, zaciągnęłam bawełniane zasłony w oknach, potem rozebrałam się i wlałam pod prysznic. Nie należę do ludzi zużywających nadmiernie dużo wody, ale i tak przed upływem czterech minut gorąca woda zaczęła się kończyć, a resztki szamponu z włosów spłukałam ułamek sekundy wcześniej, niż lunął strumień zimnej wody. Poczułam się, jakbym znalazła się poza zasięgiem cywilizacji.

Ubrałam się, zamknęłam chatkę na klucz i ruszyłam z powrotem w stronę szosy. Szłam szybko poboczem, aż dotarłam do restauracji Tęcza. Miała mniej więcej rozmiary podwójnej przyczepy, laminatowy bar z ośmioma wysokimi stołkami, a pod dwiema ścianami osiem boksów obitych czerwoną skórą. Była tam jedna kelnerka, jedna osoba do przygotowywania szybkich dań (też kobieta) i chłopak do zmywania naczyń. Zamówiłam śniadanie na kolację. Nie ma nic przyjemniejszego niż jajecznicę wieczorem; miękka i żółta, lśniąca od masła, posypana pieprzem. Zjadłam trzy chrupkie płatki bekonu, górę smażonych placków kartoflanych z cebulką i dwie żytne grzanki z masłem, grubo posmarowane dżemem. Niemal pomrukiwałam na głos, gdy wszystkie te smaki połączyły mi się w ustach.

W drodze powrotnej do chatki zatrzymałam się, żeby skorzystać z telefonu obok biura. Zainstalowano go w staromodnej budce ze szkła i metalu, której brakowało ory-

ginalnych składanych drzwi. Użyłam karty kredytowej, żeby zadzwonić do Dietza.

- Halo, dziecinko. Jak się ma pacjent? - powiedziałam, gdy się odezwał.

- Znakomicie. A ty?

- Nieźle. Żyję z zaliczki.

- W Nota Lake?

- A gdzie by indziej? Stoję w budce telefonicznej w sosnowych borach.

- Jak ci idzie?

- Dopiero zaczęłam, więc trudno powiedzieć. Zakładam, że Selma mówiła ci o Tomie.

- Tylko tyle, że jej zdaniem nad czymś dumał. To dość niejasne.

- Krańcowo niejasne. Czy ty go znałeś?

- Nieee. W gruncie rzeczy nie widziałem Selmy ponad piętnaście lat. Jak ona się trzyma?

- Jest w dobrej formie. Przygnębiona, ale kto by nie był na jej miejscu.

- Jaki masz plan gry? - zapytał.

- Normalny. Dzisiejszy dzień spędziłam na grzebaniu w biurku Toma. Jutro zacznę rozmawiać z jego przyjaciółmi i znajomymi. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Do czwartku powinniśmy już wiedzieć, na czym stoimy. Chciałabym znaleźć się w domu na weekend, jeśli tylko ta robota się nie przeciągnie. Jak tam kolano?

- O wiele lepiej. Ćwiczenia są okropne, ale powoli zaczynam się przyzwyczajać. Brakuje mi twoich kanapek.

- Kłamczuch.

- Wcale nie, poważnie. Myślę, że jak skończysz robotę, powinnaś od razu zawrócić w te strony.

- Aha. Nie, dziękuję. Chcę spać we własnym łóżku. Nie widziałam od miesiąca Henry'ego. - Henry Pitts to mój osiemdziesięciosześcioletni gospodarz. Gdyby Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów kiedyś wydało coś takiego jak kalendarz przystojnych osiemdziesięciolatków, to jego fotografia powinna znaleźć się na okładce.

- No, pomyśl o tym - powiedział Dietz.

- Och, dobrze. Słuchaj, koniec moich występów w roli Florence Nightingale. Muszę zająć się interesami. W każdym razie lepiej, żebym już szła. Cholernie tu zimno.

- No to już idź. Uważaj.

- Ty też - powiedziałam.

Potem zadzwoniłam do Henry'ego. Właśnie wychodził z domu.

- Dokąd idziesz? - spytałam.

- Do Rosie. Jej i Williamowi potrzebna jest pomoc, taki tłum zwałił się im dzisiaj na kolację - odparł. Rosie prowadzi tawernę w pobliżu mojego mieszkania. W ostatnie Święto Dziękczynienia wyszła za Williama i teraz on na gwałt zamienia się w restauratora.

- A co z tobą? Skąd dzwonisz?

Powtórzyłam moją opowieść, wprowadzając go w aktualną sytuację. Podałam numer telefonu zarówno Selmy, jak i biura motelu Nota Lake Cabins, na wypadek, gdyby chciał się ze mną porozumieć. Chwilę jeszcze gadaliśmy, potem musiał już wyjść z domu. Po ukończeniu rozmowy zadzwoniłam jeszcze do biura Lonniego i zostawiłam wiadomość dla Idy Ruth, informując ją, gdzie jestem, i podając numer telefonu Selmy, gdyby z jakiegoś powodu chciała się ze mną skontaktować. Powiesiłam słuchawkę i wsadziłam ręce do kieszeni kurtki, daremnie licząc na osłonę przed wiatrem. Myśl o spędzeniu wieczoru w chatce wydała mi się przygnębiająca. Przy dwu czterdziestowatowych żarówkach nawet czytanie będzie kłopotliwe. Wyobraziłam sobie, jak zmrużywszy oczy, kulę się pod tą narzutą, która z daleka wygląda na wilgotną, a spod sterty drewna wyłazą pająki, kiedy tylko przestanę się mieć na baczności. Była to żalosna perspektywa, tym bardziej że wzięłam ze sobą tylko książkę o rozpoznawaniu śladów opon i o znakach towarowych.

Podeszłam do biura motelu i zajrzałam przez szklane drzwi. W środku paliło się światło, ale nigdzie nie widziałam Cecylii. Na wywieszce widniał ręczny napis: DZWONEK DO KIER. Weszłam do środka. Minęłam dzwonek

na biurku i zapukałam do drzwi z napisem KIEROWNIK. Po chwili zjawiała się Cecilia w różowym bawełnianym płaszczu kąpielowym i różowych pantofelkach z puszkami.

- Słucham.

- Dobry wieczór, pani Cecilio. Mogę na słówko?

- Czy coś nie w porządku z pokojem?

- Skądże, wszystko w porządku. Mniej lub więcej. Czy zechciałyby mi pani poświęcić parę minut, żeby porozmawiać o swoim, bracie?

- A o czym?

- Czy Selma wspominała, dlaczego jestem tu, w Nota Lake?

- Mówiła tyle tylko, że panią wynajęła. Nie wiem nawet, jak zarabia pani na życie.

- No tak, rzeczywiście. Jestem lokalnym inspektorem Kalifornijskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od Sprzeniewierzeń. Selma interesuje się sprawą odpowiedzialności za śmierć Toma.

- Odpowiedzialności? A za co?

- Dobre pytanie. Nie wolno mi oczywiście szczegółowo omawiać tej kwestii. Wie pani, oficjalnie on nie był w pracy. Ona jednak myśli, że tego wieczoru, gdy umarł, mógł wykonywać jakieś służbowe polecenie. Jeśli tak, to istnieje zawsze możliwość wystąpienia z roszczeniem.

Nie wspominałam, że Tom Newquist nie był reprezentowany przez TUoS, ani o tym, że Towarzystwo zwolniło mnie przed półtora rokiem. Gotowa byłam machnąć jej przed oczami służbową legitymacją, którą nadal miałam. Na wierzchu widniał znak TUoS, a obok moja fotografia, która przypominała zdjęcie przechowywane przez straż graniczną dla szybkiej identyfikacji.

Cecilia patrzyła na mnie tępo i na moment serce mi stanęło na myśl, że być może niedawno odeszła na emeryturę z jakiegoś tajemniczego działu administracji okręgowej. Wyglądała tak, jakby rozważała wszystkie przepisy i zasady, próbując zdecydować, które z nich odnoszą się

do tamtej nocy. Miałam ochotę upiększyć swoją wypowiedź, ale doszłam do wniosku, że mogłabym się posunąć zbyt daleko. Jeśli chodzi o kłamstwa, to najlepiej ślizgać się po powierzchni - jak wałka. Im więcej się powie na wstępie, tym zreźniej trzeba się potem wycofywać, jak się okaże, że naprawdę się wdepnęło.

Przytrzymała drzwi, żeby mnie wpuścić.

- Lepiej niech pani wejdzie. Muszę przyznać, że to bolesny temat.

- Mogę sobie wyobrazić i przykro mi, że się narzucam. Widziałam się już z Maconem.

- On jest do niczego - zauważyła. - Nie przepadamy za sobą. Nigdy też oczywiście nie uważałam Selmy za kogoś z rodziny i pewna jestem, że ona podziela ten punkt widzenia.

Mieszkanie Cecylia Boden przypominało mój pokój, czyli było nijakie, słabo oświetlone i z lekka zaniedbane. Główna różnica polegała na tym, że podczas gdy u mnie panował ziąb, ona utrzymywała u siebie temperaturę zbliżoną do poziomu określanego mianem ogrzewania. Na podłodze leżało linoleum imitujące parkiet. Ściany miała wyłożone sosnowymi panelami, a tapicerowane meble przykryte jaskrawymi szydełkowymi pokrowcami. Wielki telewizor zajmował cały kąt pokoju i w jego stronę zwrócone były wszystkie meble. Na oparciu sofy blisko telewizora leżały okulary do czytania. Zauważyłam, że Cecilia właśnie rozwiązywała krzyżówkę w lokalnym piśmie. Używała długopisu i nie robiła widocznych poprawek. Skorygowałam swoją ocenę tej osoby. Nie potrafiłabym rozwiązać w taki sposób krzyżówki, nawet gdyby przykładano mi pistolet do głowy.

Kilka minut zabrało nam usadowienie się w saloniku. Chociaż moja opowieść brzmiała prawdziwie, nie dawała jednak zbyt wielkich możliwości pytania o charakter Toma. A w ogóle dlaczego sobie wyobrażałam, że Cecilia będzie wiedzieć, co on robił tej nocy, gdy umarł? Jak się okazało, nie spytała, o co mi chodzi, i w toku naszej rozmowy stawało się coraz bardziej oczywiste, że z zado-

wolaniem rozprawia o Tomie i jego żonie, o ich małżeństwie i o wszystkim, o co zechciałam ją zapytać.

- Zdaniem Selmy Tom był w ciągu ostatnich kilku tygodni bardzo czymś zaabsorbowany. Czy wie pani, o co mogło chodzić?

Cecilia zmrużyła oczy, wpatrując się bacznie w podłogę.

- Dlaczego ona myśli, że coś z nim było nie w porządku?

- Tego nie wiem. Powiedziała, że wydawał się napięty, palił więcej niż zwykle i według niej schudł. Twierdzi, że źle sypiał i znikał bez słowa. Rozumiem, że nie było to normalne. Czy on coś pani mówił?

- Nie zwierzył się z niczego specjalnego - odparła ostrożnie. - Będzie pani musiała porozmawiać o tym z Maconem. Byli ze sobą bardziej życzliwi.

- Ale jakie pani odnosiła wrażenie? Czy wyczuwało się, że on żyje w stresie?

- Możliwe.

Szkoda, że nie robiłam notatek, bo co pocznę z takim bogactwem danych.

- Czy pytała go pani kiedyś o to?

- Nie uważałam, żeby to było na miejscu. Nasze stosunki miały inny charakter. Każde z nas pilnowało swoich własnych spraw.

- Nie miała pani żadnych podejrzeń, że coś się działo?

Chwilę się wahała.

- Myślę, że Tom był nieszczęśliwy. Nigdy niczego takiego mi nie powiedział, ale tak się domyślałam.

Wydałam z siebie coś w rodzaju pomruku i posłałam jej współczujące, mam nadzieję, spojrzenie.

Potraktowała to jako zachętę i zapuściła się w analizę.

- Daleka jestem od krytykowania Selmy. To on się z nią ożenił, nie ja. Być może ma w sobie coś, czego osoby postronne nie dostrzegają. Z pewnością powinno się mieć taką nadzieję. Jeżeli chce pani znać moje zdanie, to brat mógł trafić o wiele lepiej. Jeśli chce pani poznać prawdę, Selma to snobka.

- Rzeczywiście - mruknęłam tym razem.

Omiotła spojrzeniem moją twarz i znów odwróciła wzrok.

- Wygląda pani na osobę znającą się na ludziach, nie czuję się więc tak, jakbym, mówiąc to, zdradzała tajemnicę. Ona nie ma podstaw duchowych, mimo że chodzi do kościoła. Jest nastawiona trochę materialistycznie. Chyba jej się wydaje, że może kupować różne rzeczy i w ten sposób zapełnić pustkę w życiu, to jednak nie wystarczy.

- Na przykład co?

- Widziała pani nową wykładzinę w saloniku?

- Tak, widziałam.

Cecilia rzuciła mi pełne satysfakcji spojrzenie.

- Kazała ją położyć jakieś dziesięć dni temu. Uważam, że robienie czegoś takiego, i to tak prędko, jest w złym guście, Selma jednak nigdy mnie nie pyta o zdanie. Przyznała się też, że zamierza sprawić sobie koronki na dwa przednie zęby, a to nie tylko próżność, lecz także trywialność. Marnowanie pieniędzy. Przypuszczam, że teraz, gdy jest wdową, może robić, co jej się żywnie podoba.

A ja pomyślałam, co takiego złego widzi się w próżności? Z ludzkich słabostek zajmowanie się własną osobą jest stosunkowo mało szkodliwe w porównaniu z innymi, które mogłabym wymienić. Czemu nie robić czegoś, co wydaje się ważne dla poprawy własnego samopoczucia - w ramach rozsądku oczywiście. Dlaczego Cecylii przeszkadza to, że Selma pragnie sprawić sobie koronki na zęby?

- Odniosłam wrażenie, że była oddana Tomowi - powiedziałam jednak.

- Tak jak powinno być. On też był jej oddany, mogłabym dodać. Tom spędził życie, usiłując spełniać jej życzenia. Raz chciała tego, innym razem czegoś innego. Najpierw koniecznie musiała mieć dom. Potem chciała, żeby był większy i w lepszej dzielnicy. Później musieli zostać członkami elitarnego klubu towarzyskiego. I tak dalej i tym podobne. Czy kiedykolwiek nie dostała tego, czego pragnęła? Tak długo dąsała się i kaprysiła, aż się złamał i załatwił to, czego chciała. To było żałosne mo-

im zdaniem. Tom robił, co mógł, ale nic nie zdołało uczynić z Selmy szczęśliwej osoby.

- Panie Boże! - wykrzyknęłam. W ten sposób reaguję w tego rodzaju sytuacjach. Za nic na świecie nie mogłam wymyślić, w jakim kierunku powinnam teraz zmierzać. -Był przystojnym mężczyzną. Widziałam jego zdjęcie w domu - rzekłam, lekko improwizując.

- Był zdecydowanie przystojny. Dlaczego ożenił się z Selmą, to dla mnie tajemnica. I jeszcze ten jej syn. -Cecilia zasznurowała usta jak sakiewkę. - Od pierwszej chwili, jak tylko zobaczyłam tego chłopaka, Brant wydał mi się okropny. Język jak u szofera, smarkacz rozpuszczony jak dziadowski bicz. Impertynenckie odzywki i odszczekiwanie. Chyba nigdy nie słyszała pani czegoś takiego. W szkole też kiepsko mu szło. Były kłopoty z jego humorami i, jak to nazywano, kontrolowaniem impulsów. Oczywiście Selma uważała, że jest święty. Nie zniosłaby ani słowa krytyki, cokolwiek Brant by zrobił. Biedny Tom, niemal rwał sobie włosy z głowy. Przypuszczam, że w końcu udało mu się chłopaka wprowadzić na prostą drogę, ale nie dzięki Selmie.

- Wspominała, że Brant pracuje jako ratownik. To odpowiedzialne zajęcie.

- Tak, to prawda - przyznała niechętnie. - Najwyższy czas, żeby się wzięł w garść. To zasługa Toma.

- Czy nie wie pani przypadkiem, dokąd Tom jechał tamtej nocy? Rozumiem, że znaleziono go gdzieś na krańcach miasta.

- Jakież półtora kilometra stąd na północ.

- Nie wstąpił, żeby się z panią zobaczyć?

- Żałuję, że tak się nie stało - powiedziała. - Pojechałam do Independence odwiedzić przyjaciółkę i wróciłam dopiero mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Widziałam karetkę, ale nie miałam pojęcia, że jedzie po niego.

We wtorek o dziewiątej rano zatrzymałam się przed Biurem Koronera Okręgu Nota. Nie spałam dobrze tej nocy. Chatka ma kiepską izolację, a w nocy było zimno. Nastawiłam termostat na 25 stopni, ale tylko wyłączał się i włączał, bez żadnych efektów. Położyłam się do łóżka w podkoszulkach, w golfie i grubych skarpetach. Materac przypominał brudne koryto. Zwinęłam się w kłębek pod kołdrą, narzutą, wełnianym kocem i jeszcze przyłożyłam je z wierzchu swoją ciężką skórzaną kurtką. Kiedy już zaczęłam się rozgrzewać, pęcherz mi zasygnalizował, że jest pełny do granic wytrzymałości i wymaga z mojej strony natychmiastowego działania, bo w przeciwnym wypadku dojdzie do zamoczenia pościeli. Próbowałam zignorować presję pęcherza, potem jednak uświadomiłam sobie, że nie zmrużę oka, jeśli nie potraktuję poważnie tego komunikatu. Zanim wróciłam do łóżka, nagromadzone tam ciepło już się ulotniło i znowu trzęsłam się z zimna, póki nie zapadłam w sen.

Gdy obudziłam się o siódmej, nos miałam jak lody Eskimos i w mętym świetle poranka widziałam kłębki wydychanego powietrza. Trzęsąc się z zimna, wzięłam letni prysznic, wytarłam się i pośpiesznie ubrałam. Potem pobiegłam do Tęczy, gdzie spałaszowałam śniadanie. Wypiłam sok pomarańczowy, kawę, zjadłam kiełbaski i naleśniki polane masłem i syropem. Mówiłam sobie, że potrzebuję cukru i tłuszczu, by uzupełnić nadszarpnięte rezerwy, ale tak naprawdę to litowałam się nad sobą, jedzenie zaś stanowiło najprostszą formę pociechy.

Biuro Koronera ulokowano przy bocznej ulicy w samym centrum miasta. W okręgu Nota wybiera się koronera na cztery lata. Obecny był również właścicielem zakładu pogrzebowego przy jedynej w okręgu kostnicy. Okręg Nota jest niewielki, mniej niż pięć tysięcy dwieście kilometrów kwadratowych, i na dodatek wciśnięty między okręgi Inyo a Mono. Koroner Wilton Kirchner III - nazywany powszechnie Trójką - zajmował to stanowisko przez ostatnie dziesięć lat. Ponieważ nie wymagano od niego formalnych kwalifikacji z zakresu medycyny sądowej, wszystkie sekcje wykonywał anatomopatolog sądowy, zatrudniony na podstawie umowy z okręgiem.

W wypadku zabójstwa na jego terenie koroner okręgu Nota prowadził śledztwo wraz z detektywem z Biura Szeryfa i detektywem z Prokuratury Okręgowej. Sekcja zwłok była robiona w „dużym mieście”, i to przez anatomopatologa, który w wypadkach zabójstw kilka razy w miesiącu dokonywał sekcji i wielokrotnie w ciągu roku składał zeznania przed sądem. W okręgu Nota zabójstwo zdarzało się mniej więcej raz na dwa lata, toteż koroner wolał, by za ekspertyzę odpowiadał ktoś z zewnątrz, i to zarówno jeśli chodzi o sekcję zwłok, jak i zeznania w sądzie.

Kostnica Kirchner i Synowie kiedyś była chyba prywatną rezydencją, zbudowaną zapewne na początku lat dwudziestych. To wokół niej wyrosło potem miasto. Postawiono ją w stylu elżbietańskim, z fasadą z jasnoczerwonej cegły, przyozdobioną belkami pomalowanymi na ciemno. Wątle promienie zimowego słońca połyskiwały na witrażach okien. Trawnik okalający budynek leżał odłogiem, trawa była nijaka i łamliwa jak brązowy plastik. Tylko krzaki ostrokrzewu przydawały koloru scenerii. Potrafiłam wyobrazić sobie czasy, gdy ten dom otaczały rozległe włości. Teraz majątek się skurczył, a na parcelach po obydwu stronach królowały komercyjne przedsiębiorstwa: biuro sprzedaży nieruchomości i skromny kompleks medyczny.

Trójka zjawił się w recepcji, kiedy usłyszał, że tam weszłam. Wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się.

- Jestem Kirchner Trójka - powiedział. - Dzwoniła Selma i mówiła, że pani dziś tu wpadnie. Cieszę się, że się poznamy, panno Millhone. Proszę pozwolić do mojego biura, tam ustalimy, czego pani potrzeba.

Kirchner, mężczyzna pięćdziesięciokilkuletni, był wysoki, szeroki w barach, a w talii może tylko troszeczkę grubszy niż przed dziesięcioma laty. Włosy miał całkiem siwe, z przedziałkiem z boku, krótko przycięte wokół uszu, i miły uśmiech, przy którym z obu stron ust tworzyły mu się koncentryczne bruzdy. Nosił okulary z wielkimi szklami w cienkiej, metalowej oprawce. Kąciki oczu lekko mu opadały, wywołując wrażenie jakby bezgranicznego współczucia. Ubranie odpowiednio dopasowane, porządnie wyprasowane, świeża, wykrochmalona koszula, krawat tradycyjny, ale nie ponury. W sumie sprawiał wrażenie osoby kompetentnej, rzeczowej, a jednocześnie pełnej spokoju. Było w nim coś solidnego - z natury wyglądał tak, jakby mógł złagodzić smutek, zamieszanie i gniew wywołane przez śmierć.

Poszliśmy długim korytarzem do jego biura, które służyło jako jadalnia w czasach, gdy ten dom zbudowano. Na podłodze leżał jasny dywan, a drewniane deski pomalowano na kolor sosny. Kotary były beżowe, z jakiejś tkaniny o lekkim połysku. Dekoracja kostnicy przypominała boazerię, zwieńczoną tapetą z wyobrażeniami łagodnych górskich widoków, wiecznie zielonych lasów i wijących się wśród nich ścieżek. Akwarelowy świat -pastelowe niebo, na nim obłoki, lekka sugestia wietrzyku muskającego wierzchołki tapetowych drzew. Po drugiej stronie korytarza dostrzegłam szereg rozsuwanych szerokich drzwi, przez które widać było pokoje do spania, lecz bez mieszkańców, ogołoczone z innych mebli prócz szarych, metalowych, składanych krzeseł oraz kilku doniczek paproci. Pomieszczenia były chłodne, niedogrzone, pachniało tam goździkami, choć samych kwiatów się nie widziało. Być może przez otwory wentylacyjne wpuszczano specyficzny odświeżacz powietrza. Całe otoczenie jakby skłaniało do lunatycznego spokoju.

Biuro, do którego weszliśmy, chyba przeznaczono do przyjmowania interesantów, nie zauważyłam w nim bowiem żadnych ksiąg, segregatorów czy choćby kawałka papieru. Podejrzewam, że gdzieś w tym budynku Kirchner Trójka miał biuro, gdzie się rzeczywiście pracowało. Gdzieś również poza zasięgiem wzroku interesantów znajdowały się rekwizyty używane przy sekcji: aparaty fotograficzne, rentgen, stół z nierdzewnej stali, piłka Strykerä, skalpele, wieszająca waga. Pokój, w którym mieliśmy zasiąść, był pozbawiony smaku jak pudding - bez zapachu formaliny, bez przyciemnionych słoików Masona z ciemnego szkła wypełnionych wycinkami organów - nie dawał żadnych wskazówek co do techniki przygotowania ciała do kremacji czy pochówku.

- Proszę usiąść - powiedział Kirchner Trójka, wskazując dwa wyściełane krzesła po obu stronach małego bocznego stolika. Zachowywał się swobodnie, miło, przyjaźnie i dziwnie bezosobowo. - Zakładam, że przyjechała pani w związku ze śmiercią Toma. - Sięgnął do szuflady, z której wyjął płaską papierową teczkę z pięciostronicowym raportem. - Zrobiłem kopię raportu z sekcji na wypadek, gdyby panią interesował.

Wzięłam teczkę.

- Dzięki. Myślałam, że będę musiała pana do tego namawiać.

Uśmiechnął się.

- To ogólnie dostępny raport. Gdyby Selma wcześniej o niego poprosiła, mogłem go wysłać pocztą i oszczędzić pani drogi.

- Śmierć Toma zakwalifikowano jako sprawę podlegającą koronerowi?

- Z konieczności - odparł. - Wie pani, on zmarł na szosie numer trzysta dziewięćdziesiąt pięć bez świadków

i zapewne bez specjalnych sygnałów ostrzegawczych. Nie był u swojego lekarza blisko rok. Uważaliśmy, że umarł na serce, ale tego nigdy na pewno nie wiadomo, dopóki nie zrobi się sekcji. Mógł to być tętniak. Sekcję robił Calvin Burkey. To anatomopatolog sądowy w okręgach Nota

i Mono. Było przy niej obecnych kilka osób od nas. Sekcja nie wykazała niczego specjalnego. Żadnych niespodzianek, nic nieoczekiwanego. Tom zmarł na rozległy zawał mięśnia sercowego, spowodowany ostrą niewydolnością krążenia. Sama to pani przeczyta. Tam jest wszystko. Sekcja potwierdziła niedrożność arterii w granicach od dziewięćdziesięciu pięciu do stu procent. Miał sześćdziesiąt trzy lata. To doprawdy zdumiewające, że żył tak długo.

- Nic więcej nie wyszło na światło dzienne?

- W sensie jakichś nieprawidłowości? Nie. Wątroba, pęcherzyk żółciowy, śledziona, nerki w normie. Płuca wyglądały kiepsko. Palił przez całe życie, ale nie było żadnych objawów choroby inwazyjnej. Krótco przed śmiercią spożył posiłek. Zgodnie z naszym raportem wstąpił do baru i przegryzł coś na kolację. W systemie trawiennym nie stwierdzono żadnych pigułek czy kapsułek, testy nie wykazały też trucizn. Dlaczego pani pyta?

- Selma mówiła, że schudł. Zastanawiałam się, czy nie wiedział czegoś, o czym jej nie mówił.

- Nie, proszę pani. Żadnego nowotworu nie było, jeśli to ma pani na myśli. Żadnych guzów, żadnych skrzepów, żadnego krwawienia poza mięśniem sercowym. Doktor powiedział, że miał blizny po przebytych słabszych zawałach.

Rozważałam tę informację.

- Może zatem wiedział, że jego dni są policzone. Mogło to dać mu powód do rozmyślań.

- Być może - zgodził się. - Zdrowszy jak ryba to on nie był, o tym mogę panią zapewnić. Brak jakichś patologii niekoniecznie musi oznaczać, że człowiek czuje się doskonale. Znałem go od wielu lat i nigdy nie słyszałem, żeby się na coś uskarżał, ale miał dwadzieścia siedem kilogramów nadwagi. Palił jak smok, pił jak szewc. Oba te powiedzonka pasowały do niego jak ulał. Był jednak świetnym detektywem, o tym mogę panią zapewnić. Czym Selma się martwi?

- Trudno powiedzieć. Wydaje jej się, jak myślę, że on coś ukrywał, utrzymywał przed nią w tajemnicy. Nie do-

magala się od niego wyjaśnień, a teraz cała ta sprawa bardzo ją gnębi.

- I nie ma pojęcia, co to było?

- Może w ogóle nie było niczego. I tu właśnie zaczyna się moje zadanie. Ma pan jakąś teorię?

- Nie sądzę, żeby znalazła pani coś skandalicznego. Tom chodził do kościoła, był porządnym człowiekiem. Cieszył się ogólną sympatią i dobrą opinią, nie żałował ludziom swojego czasu. Jeśli miał jakieś wady, to powiedziałbym, że był może zanadto skrupulatny, zbyt bezkompromisowy. Widział świat w kolorach albo czerni, albo bieli, a pośrodku ani odrobiny szarości. Jak sądzę, mógł dostrzegać tę szarość, ale nigdy nie wiedział, co z nią począć. Nie wierzył w naginanie przepisów, choć widziałem, że czasami tak postępował. Był to naprawdę prostolinijny facet, co uważam za cenną zaletę. Przydałoby się trochę więcej takich jak on. Będzie go nam brakować.

- Czy w ciągu ostatnich kilku tygodni spędzał pan z nim dużo czasu?

- Nie ma o czym mówić. Widywałem go w związku z jego pracą. To nic dziwnego, bo Biuro Szeryfa Okręgu i Biuro Koronera są ze sobą blisko, o tak - powiedział, splatając palce. - Spotykałem go na mieście. Raz grałem z nim w bilard. Wypiliśmy kilka piw. Zeszłej jesieni całą gromadą wybraliśmy się na ryby podczas jednego z weekendów, ale nie da się powiedzieć, żebyśmy po nocy otwierali przed sobą serca. Jego partner, Rafer, to ktoś, z kim powinna pani porozmawiać.

- Selma o nim wspominała. Jak on się nazywa?

- LaMott.

Siedziałam w wypożyczonym wozie na parkingu zakładu Kirchner i Synowie, przeglądając raport z sekcji Toma Newquista, świadectwo zgonu z konkretnymi danymi. Wiek, data urodzenia, numer ubezpieczenia, stały adres; miejsce i przyczyna zgonu oraz dyspozycja odwiezienia

zwłok. Kiedy przywieziono go do izby przyjęć Szpitala Okręgu Nota, już nie żył. Sekcję zwłok przeprowadzono następnego dnia, pochowany został dzień później. Na papierze wyekspediowanie Toma Newquist do grobu wydawało się nienaturalnie pośpieszne. Ale prawdę mówiąc, jak już dojdzie do śmierci, ludzkie ciało staje się po prostu wielkim kawałem szybko rozkładającego się mięsa. W szczegółach było coś bezdusznego i brutalnego... Tom Newquist zszedł z tego świata... jego życie poszufladkowano; początek, środek i koniec. Pod świadectwem zgonu widniała odręczna notatka, jak przypuszczałam, policjanta z drogówki, który znalazł Toma w pikapie.

Około 21.50 2/3 wezwano karetkę na 11,2 km szosy 395. Denat w pikapie, na poboczu. Reanim. rozpocz. ok. 22.00. Karetka z Nota Lake zabiera go ok. 22.15. W pogotowiu w Nota Lake stwierdzono zgon. Koroner zawiadomiony.

Notatkę podpisał J. Tennyson. Pod nią znajdował się raport z sekcji zwłok: trzy strony maszynopisu z wyliczeniem faktów, o których mówił Kirchner Trójka.

Liczyłam na oczywiste wyjaśnienie - Tom Newquist zmagał się z jakąś śmiertelną chorobą, toteż jego przygnębienie wiązało się ze świadomością zbliżającego się końca. Tymczasem nic z tego. Jeśli wrażenia Selmy odpowiadały prawdzie i on rzeczywiście czymś się trapił, to nie chodziło o bezpośrednie zagrożenie jego zdrowia czy pozycji. Całkiem możliwe, że miał kłopoty z sercem - bóle dusznicowe, arytmie, krótki oddech przy wysiłku. Jeśli tak, to mógł zastanawiać się nad powagą tych symptomów i nad konsekwencjami zasięgnięcia porady u lekarza. Tom Newquist oglądał na własne oczy zapewne wystarczająco wiele śmierci, żeby podchodzić filozoficznie do tego faktu. Mógł bardziej się obawiać interwencji medycznych aniżeli prawdopodobieństwa śmierci.

Położyłam teczkę na siedzeniu obok i uruchomiłam silnik. Nie byłam pewna, dokąd teraz jechać, przypusz-

czałam jednak, że logicznym krokiem powinna być rozmowa z Raferem LaMotte, partnerem Toma. Zajrzałam do planu miasta i znalazłam Biuro Szeryfa: mniej więcej sześć przecznic na zachód, w centrum administracyjnym Nota Lake przy ulicy Benoit. Słońce zaczynało przezierać przez cienką warstwę chmur. Panował ziąb, w świetle było jednak coś bardzo miłego. Wzdłuż głównej arterii komunikacyjnej stały drewniane, otynkowane budynki z dachami z zardzewiałej blachy falistej: stacje benzynowe, drogeria, sklep z artykułami sportowymi i salon fryzjerski. Miasto okalała nieskazitelnie piękna panorama dalekich gór. Termometr umieszczony na banku wskazywał dziewięć stopni.

Zaparkowałam samochód naprzeciwko centrum administracyjnego, w którym znajdował się również komisariat, sąd okręgowy i rozmaite miejskie służby. Biura administracji były w budynku dawnej szkoły. Poinformował mnie o tym napis wyryty drukowanymi literami na architrawie: GIMNAZJUM W NOTA LAKE. Mogłabym przysiąc, że widzę słabe ślady wiedzy i dyni z tektury, poprzyczepianych przezroczystą taśmą do szyb, widm dawnych obchodów święta Halloween. Osobiście nie cierpiałam szkoły, bo prześladowała mnie tam przedziwna kombinacja nieśmiałości i buntu. Szkoła była polem minowym niepisanych reguł, które chyba wszyscy oprócz mnie znali i akceptowali. Moi rodzice zginęli w katastrofie samochodowej, gdy miałam pięć lat, toteż na szkołę patrzyłam jak na dalszy ciąg tej krzywdy i zdrady. Miałam skłonności do torsji bez powodu, co nie zjednywało mi sympatii ani woźnej, ani uczniów siedzących w pobliżu mnie. Do dziś pamiętam to uczucie, gdy wyrzucone z żołądka wymiociny lądowały mi na kolanach, a koledzy pierzchali ze wstrętem. Wcale się nie wstydziłam, raczej odczuwałam złośliwą satysfakcję, potęgę ofiary wywierającej trawienną zemstę. Posyłano mnie do szkolnej pielęgniarce, gdzie mogłam poleżeć na kozetce, dopóki nie przyszła po mnie ciotka Gin. Często w porze lunchu (zanim nauczyłam się jechać do Rygi na żądanie) prosiłam

o pozwolenie pójścia do domu. Przysięgałam rozglądać się na obie strony, zanim przejdę przez jezdnię, obiecywałam nie rozmawiać z nieznajomymi, nawet jeśli obiecują łakocie. Nauczyciele odrzucali wszystkie płacziwe prośby, byłam więc skazana na pozostawanie w szkole; zaleźniona

i niespokojna, mała jak na swój wiek, ledwo opanowująca łyzy. W wieku lat ośmiu nauczyłam się nie prosić. Po prostu wychodziłam, kiedy mi to odpowiadało, a konsekwencje ponosiłam później. Co mi mogli zrobić? Zastrzelić z zimną krwią?

Szeroki korytarz tuż przy wejściu do centrum administracyjnego, który służył za westybul, akurat odnawiano. Szafki z aktami i segregatorami poprzesuwno na miejsca bez wykładziny. Na ścianach były panele z jakiegoś nieokreślonego drewna. Na suficie kratownica antyakustycz-nych płytek. Części korytarza oznaczono drogowymi pachółkami połączonymi taśmą, a odręczne napisy informowały, gdzie obecnie znajdują się różne wydziały.

Znalazłam Biuro Szeryfa. Było małe i składało się z kilku połączonych pomieszczeń, przypominających fotosy ze stanu „Przed” z rozkładówki jakiegoś czasopisma. Jarzeniowe światło w małym stopniu poprawiało nastrój tworzony przez galimatias pomocy technicznych, plakietek ściennych, błyszczących paneli, maszyn biurowych, druczanych koszy i karteczek poprzyklepianych na wszelkich płaskich powierzchniach. Trzydziestokilkuletnia cywilna urzędniczka, w adidasach, džinsach i trykotowej koszulce ze znakiem MIT, włożonej na biały golf, nazywała się Margaret Brine, jak można było przeczytać na plakietce. Miała czarne, krótko obcięte włosy, owalne okulary w czarnej oprawce, mnóstwo piegów pod warstwą pudru i różu, duże, kwadratowe zęby, a między nimi widoczne szpary.

Wyjęłam służbową wizytówkę i położyłam ją na kontuarze.

- Czy mogłabym rozmawiać z Raferem LaMotte? Wzięła wizytówkę, choć ledwie na nią spojrzała.

- Czy on będzie wiedział, o co chodzi?

- Koroner sugerował, żebym porozmawiała z nim na temat Toma Newquist.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

- Chwileczkę - powiedziała i wyszła drzwiami w tylnej części pomieszczenia, prowadzącymi pewnie do innych biur. Usłyszałam przyciszoną wymianę zdań i po chwili zjawił się Rafer LaMott, który wkładał właśnie czarno-brązową sportową marynarkę. Był to czterdziestoparoletni Afroamerykanin, jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, o karmelowej karnacji, krótko ostrzyżonych czarnych włosach i niepokojących piwnych oczach. Wąsy miał rzadkie, poza tym był gładko ogolony. Linie na czole przypominały równoległe spoiny w drobnoziarnistej skórze. Marynarka, którą nosił do czarnych gabardynowych spodni, wyglądała na kaszmirową. Koszulę miał jasnobłękitną, krawat w odcieniu średniego brązu, w skośne prążki w szlaczek utworzony z czarnych spinaczy.

Trzymał w ręce moją wizytówkę i nieco zadziornym tonem odczytywał to, co na niej widniało.

- Kinsey Millhone, prywatny detektyw z Santa Teresa w Kalifornii. W czym mogę pomóc?

Poczułam nieprzyjemne uczucie swędzenia na karku. Wyrażał się wymijająco. Właściwie nie był nieuprzejmy, na pewno jednak nie zachowywał się przyjaźnie i z jego zachowania wyczułam, że nie zamierza udzielić mi pomocy. Uśmiechnęłam się urzędowo, niespecjalnie szczerze ani ciepło.

- Wynajęła mnie Selma Newquist. Ma pewne pytania w sprawie Toma.

Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, potem wyszedł drzwiczkami na końcu kontuaru.

- Muszę gdzieś pojechać, ale pani może mi towarzyszyć do wyjścia na dwór. Jakie pytania?

Nie pozostało mi nic innego, tylko biec kłusem u jego boku, gdy szedł korytarzem w stronę tylnego wyjścia.

- Ona twierdzi, że Tom czymś się zamartwiał. Chciałaby wiedzieć, co to było.

Pchnął drzwi i minął je, przyspieszając kroku w sposób,

który wskazywał na narastające zniecierpliwienie. Chwyciłam drzwi w momencie, gdy już miały się zatrzasnąć, i wyszłam tuż za nim. Musiałam biec, żeby dotrzymać mu kroku. Schodząc po stopniach, wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu. Szedł szybko przez parking, zwolnił dopiero przy nieokreślonym białym autku i włożył kluczyki do zamka. Kiedy otworzył drzwiczki, odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

- Niech pani posłucha, to prawda, i nie chodzi o lekceważenie. Selma wiecznie usiłowała wścibiać nos w sprawy Toma, wciąż czegoś od niego chciała, żeby temu biednemu facetowi nie przemknął czasem przez głowę jakiś własny pomysł. Ta kobieta urodziła się z radarem na uczucia, nie tylko kontrolowała otoczenie, usiłując badać sprawy, które jej nie dotyczyły. Jeśli pani powoła się na moje słowa, wyprę się ich, szkoda więc zachodu.

- Nie zamierzam się na nie powoływać. Doceniam pańską szczerść...

- Może pani doceni również to - dodał - że Tom nigdy nie powiedział o niej złego słowa. Mogę jednak na podstawie doświadczenia zapewnić panią, że przebywanie z nią jest męczące. Tom był dobrym człowiekiem, ale teraz już go nie ma. Co za ulga, że już nie muszę jej widywać. Moja żona i ja nigdy naprawdę nie chcieliśmy spędzać czasu z Selmą. Spotykaliśmy się towarzysko, kiedy musieliśmy, ze względu na sympatię do Toma. Przykro mi, jeśli to wygląda na złośliwość, ale tak przedstawia się prawda. Najlepiej by było, gdyby zostawiła pani tego człowieka w spokoju. Ciało ledwie ostygło w grobie, a ona już je próbuje wykopać.

- Może martwił się jakąś sprawą?

Odwrócił ode mnie wzrok z uśmiechem niedowierzania, że nie przerywam indagacji. Widziałam, że się opanowuje. Usiłuje zachować cierpliwość, licząc na to, że się mnie pozbędzie.

- Kiedy umarł, na biurku miał dziesięć albo piętnaście teczek. I nie może ich pani obejrzyć. Proszę nie próbować nawet o to zabiegać.

- Ale nic szczególnie niepokojącego?

- Obawiam się, że nie mogę pani powiedzieć, co niepokoiło Toma, a co nie.

- Kto przejął jego obowiązki?

- Część spraw wziąłem ja. Zatrudniono też nowego człowieka i on przejmie resztę. Żadna z tych informacji nie jest przeznaczona do wiadomości publicznej. Nie zamierzam komplikować żadnego z prowadzonych obecnie śledztw, żeby zadowolić chorobliwą ciekawość Selmy. Może pani dać sobie z tym spokój.

- Czy pan sądzi, że Tom miał jakieś osobiste kłopoty i nie chciał, by Selma o nich wiedziała?

- Proszę o to spytać kogo innego. Nie chcę więcej mówić o Tomie.

- To ci dopiero! Gdyby mi pan pomógł, już bym się stąd wyniosła - oznajmiłam.

W odpowiedzi wszedł do auta i zatrzasnął drzwiczki. Przekręcił kluczyk w stacyjce i nacisnął guzik na desce rozdzielczej. Szyba w oknie opuściła się z cichym wizgiem. Kiedy znów się odezwał, jego ton był trochę miłszy.

- Może to zabrzmie brutalnie, ale niech pani wyświadczy sobie przysługę i da z tym spokój, okej? Selma jest egocentryczką. Uważa, że wszystko ma związek z nią.

- A nie ma?

Nacisnął znów guzik i szyba podjechała na miejsce. Koniec rozmowy. Koniec pytań i odpowiedzi. Wrzucił wsteczny bieg, wycofał samochód z parkingu i ruszył, przerzucając z lekkim zgrzytem bieg na jedynekę. Mogłam tylko gapić się za nim. Poniewczasie poczułam, że twarz mi płonie. Podniosłam rękę do policzka, jakby uderzono mnie w twarz.

Wsiadłam do samochodu i pojechałam do Selmy, nadal kompletnie nieoświecona. Nie potrafiłabym powiedzieć, czy Rafer coś wiedział, czy też po prostu był zaniepokojony tym, że Selma wynajęła prywatnego detektywa. Dziwna rzecz, jego grubiaństwo wpłynęło na mnie raczej inspirująco niż odstręczające Tom zmarł bez wcześniejszych sygnałów ostrzegawczych, na szosie, bez możliwości uporządkowania swoich spraw. W tej chwili oceniałam, że Selma miała dobrą intuicję.

Zostawiłam samochód przed domem i przez trawnik poszłam na ganek. Selma przyczepiła do drzwi kartkę z wiadomością, że do południa będzie w kościele. Przekonałam się, że drzwi były nie zamknięte, nie potrzebowałam więc klucza, który mi dała poprzedniego wieczoru. Weszłam do środka i zawołałam: - Halo! - na wypadek, gdyby w domu był Brant. Nikt nie odpowiedział. Choć w kilku miejscach paliło się światło, potrzebowałam paru minut na przejście przez puste pokoje. Dom miał jedno piętro i większa część przestrzeni mieszkalnej znajdowała się na tym właśnie poziomie. Przy kuchni odkryłam schody prowadzące do suterenu.

Zapaliłam światło, zeszłam pół piętra i wychyliłam się przez poręcz. Zobaczyłam narzędzia stolarskie, pralkę i suszarkę, bojler i różne graty, a wśród nich przenośny rożen i leżaki. Na wpół otwarte drzwi po przeciwległej stronie prowadziły do kotłowni. Sprawiała wrażenie obszernego magazynu. Poniucham tam później, przejrzę tekturowe pudła i ścienne szafki.

Wróciłam do gabinetu Toma, usiadłam przy biurku i zastanawiałam się, jakie mógł ukrywać tajemnice. To, czego szukałam - jeśli rzeczywiście istniało - nie musiało mieć związku z jego pracą. Mogło chodzić o cokolwiek: o alkohol, narkotyki, pornografię, hazard, romans, skłonność do młodych chłopców, do przebierania się za kobietę. Większość z nas ma coś do ukrycia przed innymi ludźmi. A może niczego nie było. Nie miałam ochoty przyznać, że stosunek Rafera do Selmy zrobił swoje. Odrzucałam wprawdzie jego opinię, zaczynały się jednak budzić we mnie jakieś wątpliwości.

Porzuciłam biurko Toma, czując niepokój i znudzenie. Jak dotąd nie udało mi się trafić choćby na jeden papierek, który coś by mi dał. Może Selma ma bzika, a ja tylko marnuję czas. Poszłam do kuchni i nalałam sobie szklanek wody. Otworzyłam lodówkę i zlustrowałam jej zawartość, udając jednocześnie, że gaszę pragnienie. Zamknęłam lodówkę i skontrolowałam spizarkę. Wszystkie prowianty przywiezione ze sklepu wyglądały alarmująco - sztuczniadła i imitacje w rodzaju Miracle Whip. Na kuchennej ladzie stał talerz czegoś, co wyglądało na owsiane ciasteczka z rodzynkami, a obok kartka, na której napisano: „Proszę się częstować”. Zjadłam parę sztuk. Postawiłam szklanek na suszarce i powędrowałam do holu. Telefon dzwonił chyba co piętnaście minut, ale nie odbierałam, pozwalając, by rozmówcy nagrywali się na automatycznej sekretarce. Wiele osób pragnęło skontaktować się z Selmą, chodziło jednak wyłącznie o działalność charytatywną - o wentę kościelną, o aukcję na rzecz budowy nowego skrzydła szkoły niedzielnej.

Skoncentrowałam teraz uwagę na sypialni. Ubrania Toma nadal wisiały w jego połowie garderoby. Zaczęłam przeszukiwać kieszenie. Sprawdziłam górną półkę, pudełka od butów, szuflady bieliźniarki, worek na kije golfowe. W szufladce jednego ze stolików nocnych znalazłam nabitego kolta, magnum 357, a poza tym nic, co by miało większe znaczenie. W szufladce były same kłopotliwe drobiazgi, jakie każdy chyba gdzieś przechowuje: kontrolne

odcinki biletów wstępu, kartoniki zapalek, przeterminowane karty kredytowe, sznurowadła. Żadnych pornograficznych pism, żadnych erotycznych zabawek. Zajrzałam pod łóżko, wsunęłam rękę pod materac, zerknęłam pod ramy obrazów, obstukałam ściany garderoby, podniosłam róg dywanu w poszukiwaniu skrytek w podłodze.

W łazience sprawdziłam apteczkę, szafę z bielizną i kosz na brudne rzeczy. Nic stamtąd na mnie nie wyskoczyło. Wszystko było na swoim miejscu. W rozpaczy wyciągnęłam się na podłodze w sypialni, oddychając wonią dywanu i zastanawiając się, jak szybko mogłabym wycofać się z honorem.

Wróciłam do gabinetu, aby dokończyć przeglądanie śmieci na półkach. Poza poczuciem rzetelnie wykonanego oczyszczenia szuflad biurka nie uzyskałam nawet najmniejszego wglądu w życie Toma Newquista. Skontrolowałam potwierdzenia wypłat z jego karty kredytowej z ostatnich dwunastu miesięcy, ale zarówno te z karty Visa, jak i MasterCard nie wykazywały niczego nadzwyczajnego. Większość operacji dawała się z łatwością skorelować z zapiskami w jego kalendarzu biurkowym. Na przykład rachunki z hotelu i restauracji wiązały się z seminarium w Redding w Kalifornii, w którym brał udział w lutym zeszłego roku. Był człowiekiem systematycznym, za co przyznałam mu punkty. Opłaty za telefony związane z pracą odliczano później z jego rachunku telefonicznego i całkowicie pokrywano w całości. Nie doliczył sobie ani centa. Nie dopatrzyłam się żadnych nadzwyczajnych wydatków ani niczego, co by sugerowało jakieś znaczące lub nie dające się wyjaśnić wydawanie gotówki.

Usłyszałam wjeżdżający na podjazd samochód. Jeśli to Selma, powiem jej, że się wycofuję, by nie musiała wydawać pieniędzy ciężko zarobionych przez Toma. Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły.

- Halo! - zawołałam i czekałam na odpowiedź. - To pani, Selmo? - Znowu czekałam. - Straszdyło?

Tym razem usłyszałam w odpowiedzi męski głos i w drzwiach pojawił się syn Selmy, Brant. W czerwonej

włóczkowej czapce, w czerwonym dresie, śnieżnobiałych skórzanych reebokach, z zarzuconym na szyję białym ręcznikiem. Brant miał dwadzieścia pięć lat i był młodzieńcem, za którym oglądały się matronowate panie w supermarkecie. Ciemne włosy, nastroszone brwi i poważne piwne oczy, świetna cera, kwadratowa szczęka i rysy tak wyczelowane, jakby jego twarz najpierw wymodelowano w glinie, a dopiero potem wyrzeźbiono. Miał zmysłowe usta i ładną karnację, mocną zimową opaleniznę o brunatnym odcieniu - dzieło wiatru i słońca odbijającego się od śniegu. Figura też bez zarzutu: proste ramiona, płaski brzuch, wąskie biodra. Gdybym była młodsza, mogłabym zapisać na jego widok. Teraz jednak skłonna byłam zdyskwalifikować każdego faceta o tyle młodszego ode mnie, zwłaszcza w czasie pracy. Musiałam się nauczyć trudnej (bo tak to jest) sztuki niełączenia przyjemności z interesami.

- Mojej mamy jeszcze nie ma? - zapytał, ściągając ręcznik z szyi. Zdjął jednocześnie włóczkową czapkę i mogłam zobaczyć, że włosy ma lekko kręcone i w tej chwili trochę wilgotne od potu. Błysnął w uśmiechu równymi białymi zębami.

- Powinna lada chwila wrócić. Mam na imię Kinsey. A pan jest Brant?

- Tak, proszę pani. Przepraszam, powinienem się przedstawić. - Podaliśmy sobie ręce nad zaśmieconym blatem biurka jego ojca. Dłoń miał dziwnie szarą. Kiedy zobaczył, że to zauważyłam, uśmiechnął się nieco zawstydzony. - To od rękawic do podnoszenia ciężarów. Wracam prosto z treningu - wyjaśnił. - Zobaczyłem auto przed domem i domyśliłem się, że pani tu jest. Jak pani idzie?

- Całkiem nieźle, jak sędzę.

- No, to lepiej pozwolę pani wrócić do roboty. Jak zjawi się mama, proszę jej powiedzieć, że jestem pod prysznicem.

- Jasne.

- Do zobaczenia niedługo - rzucił na odchodnym. Selma wróciła kwadrans po dwunastej. Usłyszałam ru-

mor podnoszonych i opuszczanych drzwi garażu. Parę minut później weszła stamtąd do kuchni. Potem usłyszałam szcęk talerzy, otwieranie i zatraskiwanie drzwiczek lodówki, później brzęk sztućców. Stała w drzwiach gabinetu ubrana w spodnie, dopasowany do nich sweter i narzucony na to bawełniany fartuszek.

- Przygotowuję sandwicze z sałatką z kurczaka. Dołączy się pani do nas? Zna pani już Branta?

- Tak. Sałatka z kurczaka, to brzmi wspaniale. Potrzebuje pani pomocy?

- Nie, nie, ale proszę pójść ze mną, to pogadamy, a ja dokończę sandwicze.

Poszłam za nią do kuchni, gdzie najpierw umyłam ręce.

- Wie pani, nie natrafiłam dotąd na notes Toma. Czy on nie robił notatek, prowadząc śledztwo?

Zaskoczona Selma odwróciła się od blatu, przy którym przygotowywała sandwicze.

- Oczywiście, że tak. Był to mały kołonoatnik oprawiony w czarną skórę, mniej więcej wielkości kartki katalogowej, może odrobinę większy. Musi gdzieś tu być. Nosił go zawsze przy sobie. - Zaczęła kroić sandwicze na pół i układać na tacy, ozdobionej przy brzegach natką pietruszki. Mnie nigdy nie udawało się kupić pietruszki, która nie okazałaby się oślizgła. - Jest pani pewna, że go nie ma? - spytała.

- Nie natrafiłam na ten notes. Przeszukałam szuflady w biurku i kieszenie marynarki.

- A jego pikap? Czasami zostawiał notatnik w schowku albo w bocznej kieszeni.

- Słuszna sugestia. Powinam była sama na to wpaść. Zaszłam do garażu. Obeszłam auto Selmy i otworzyłam

drzwiczki pikapa od strony kierowcy. Wnętrze pachniało dymem papierosowym. Popielniczka była wypełniona petami powtykanymi w niewielką warstwę popiołu. Za to w schowku panował porządek, znajdowało się tam tylko parę map drogowych, instrukcja obsługi wozu, karta rejestracyjna, polisa ubezpieczeniowa i rachunki za benzynę. Zajrzałam do bocznych kieszeni na drzwiczkach po obu

stronach, za osłony przeciwsłoneczne, schyliłam się, by sprawdzić pod siedzeniami. Popatrzyłam też do tyłu, ale znalazłam tylko mały zestaw podręcznych narzędzi. Poza tym wewnątrz auta niczego nie ujawniło. Zatrzasnęłam drzwiczki od strony kierowcy, a po drodze do kuchni jeszcze rzuciłam okiem na półki w garażu. Nie wiem, co miałabym tam zobaczyć, w każdym razie w polu widzenia na pewno nie dostrzegłam małego czarnego notatnika. Wróciłam do kuchni.

- Można to skreślić - powiedziałam. - Jakies inne pomysły?

- Później poszukam go sama. Może Tom zostawił notatnik w pracy, choć rzadko to robił. Zadzwoń i spytam Rafera.

- Nie będzie twierdził, że notatnik jest własnością Wydziału?

- Och, jestem pewna, że nie - odparła. - Mówił mi, że zrobi, co będzie mógł, żeby pomóc. Wie pani, to był najlepszy przyjaciel Toma.

Lecz nie twój, pomyślałam.

- Jednej rzeczy jestem ciekawa - rzekłam niezobowiązująco. - Tej nocy, kiedy on umarł... czy były jakieś sygnały ostrzegawcze... może wzywał pomocy, jeśli miał nadajnik radiowy. Dlaczego nie ma w aucie CB radia? Dlaczego żadnego pagera? Znam wielu facetów z policji, którzy instalują radionadajniki w swoich wozach.

- Och, wiem. Zamierzał to zrobić, ale nie zdążył. Zawsze był taki zajęty. Nie mogłam go skłonić, żeby trochę zwolnił tempo i dał go sobie zainstalować. Tego rodzaju sprawę się pamięta, gdy nie ma sposobu, żeby ją załatwić.

Zjawił się Brant, tym razem w niebieskim mundurze ratownika straży pożarnej. Na piersi po lewej stronie miał wyhaftowane B. NEWQUIST. Zapach mydła emanował z jego skóry, włosy miał teraz mokre po prysznicu i pachnące szamponem Ivory. Pozwoliłam sobie na niemal bezgłośny jęk, z rodzaju tych, które słyszą jedynie psy; ani Brant, ani jego matka nie zwrócili chyba na to uwagi.

Usiadłam przy stole naprzeciw Branta i grzecznie konsumowałam swój sandwicz, przysłuchując się ich rozmowie. Po jakimś czasie zadzwonił telefon. Selma wstała.

- Nie przeszkadzajcie sobie w jedzeniu. Odbiorę w gabinecie Toma.

Brant kończył już swój sandwicz, ale mówił niewiele. Uświadomiłam więc sobie, że to mnie przypada obowiązek rozpoczęcia rozmowy.

- Domyślam się, że Tom pana adoptował.

- Kiedy miałem trzynaście lat - odparł Brant. - Mój... rodzony, jak by go pani nazwała, ojciec... nie kontaktował się z nami od lat, bo mama i on się rozwiedli. Kiedy wyszła za Toma, on wystąpił do sądu o adopcję. Ale czyby mnie adoptował, czy nie, to i tak uważałbym go za swojego prawdziwego tatę.

- Pewnie byliście ze sobą zżyci.

Przysunął talerz z ciasteczkami, sięgaliśmy po nie na zmianę w czasie dalszej rozmowy.

- Przez ostatnie parę lat owszem. Przedtem tak dobrze się nie układało. Mama zawsze była wyrozumiała, a Tom wymagający. Służył w wojsku i naprawdę rygorystycznie domagał się posłuszeństwa. Zachęcał mnie, żebym interesowałam się skautingiem, którego nie cierpiałem, żebym zaczął uprawiać karate, zajął się lekkoatletyką i podobnymi rzeczami. Nie byłem przyzwyczajony do tego, by narzucano mi ograniczenia, na początku więc się broniłem. Robiłem niemal wszystko, co tylko wpadło mi do głowy, żeby podważyć jego autorytet. W końcu on się z tym pogodził - powiedział, uśmiechając się lekko.

- Od jak dawna jest pan ratownikiem?

- Od trzech lat. Przedtem właściwie nic nie robiłem. Przez jakiś czas chodziłem na uczelnię, choć niewielka była pociecha ze mnie jako studenta.

- Czy Tom rozmawiał z panem o sprawach, które prowadził?

- Czasami. Ostatnio nie.

- A wie pan, dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Może to, czym się wtedy zajmował, nie było specjalnie ciekawe.
- A przez ostatnie sześć tygodni?
- Nie wspominał o niczym wyjątkowym.
- Widział pan jego zapiski operacyjne? Zmarszczył brwi.
- Jego zapiski operacyjne?
- Notatki, które... Brant mi przerwał.
- Wiem, co to są zapiski operacyjne, ale nie rozumiem pytania.

Zginęły?

- Tak myślę. Albo wyrażając to inaczej, nie udało mi się trafić na jego notes.

- To dziwne. Jeśli nie miał notesu w kieszeni, to trzymał go w szufladzie biurka albo w pikapie. Wszystkie stare notesy, ściągnięte gumkami, chował do pudełek w suterenie. Pytała pani jego partnera? Może notes jest w biurze.

- Rozmawiałam raz z Raferem, ale nie pytałam o notes, bo jeszcze nie wiedziałam, że będę go szukać.

- Nie mogę pani na razie pomóc. Będę to mieć na oku. Po lunchu oboje wyszli z domu. Brant miał coś do

załatwienia przed stawieniem się w pracy, a Selma wracała do swojej nie kończącej się ochotniczej działalności. W kalendarzu, który powiesiła na lodówce, większość kwadracików oznaczających dni w tym tygodniu wypełniały zapiski. W domu zaległa cisza, czułam lekki dreszczyk niepokoju. Nie miałam co robić. Poszłam z powrotem do gabinetu, wyciągnęłam z górnej szuflady biurka książkę telefoniczną. W takiej miejscowości jak ta jest ona nie większa od ilustrowanego czasopisma. Szukałam Jamesa Tennysona, policjanta z drogówki, który tamtej nocy znalazł Toma. W książce telefonicznej był tylko jeden Tennyson, niejaki James W., mieszkający przy Iroquois Drive, a więc na tym samym osiedlu. Sprawdziłam na swoim planie miasta, jak tam dojechać, złapałam kurtkę i torebkę i pobiegłam do auta.

Iroquois Drive to kręta ulica z piętrowymi domkami

i mnóstwem wiecznie zielonych drzew po obu stronach. Mieszkańców zapewne zachęcano do zamykania garaży. Ogródki za domkami były tu ogrodzone albo otoczone żywopłotami; widziałam tam zarówno huśtawki i drabinki gimnastyczne, jak też nadziemne baseniki, wciąż jeszcze zakryte na zimę. Tennysonowie mieszkali na końcu ulicy w żółtym domku z ciemnozielonymi okiennicami i ciemnozielonym dachem. Zaparkowałam od frontu i, idąc do drzwi, podniosłam poranną gazetę z trawnika. Nacisnęłam dzwonek, ale nie słyszałam w środku uspokajającego dzyń-dzyń. Odczekałam parę minut, po czym lekko zapukałam.

Drzwi otworzyła młoda kobieta w dżinsach ze śpiącym dzieckiem na rękach. Bobas miał jakieś pół roku, rzadkie złote loczki, rumiane policzki i flanelowe śpioszki, wypchane dużą pieluchą.

- Pani Tennyson?

- Owszem.

- Nazywam się Kinsey Millhone. Chciałabym chwilę porozmawiać z pani mężem. Rozumiem, że on pracuje w drogówce.

- Owszem.

- Czy jest teraz w pracy?

- Nie, jest w domu. Pracuje w nocy i śpi potem do późna. Dlatego dzwonek mamy wyłączony. Chce pani wejść i poczekać? Słyszałam, że już się tłucze, więc nie powinno to trwać długo.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. - Uniosłam gazetę. - Zabrałam ją z trawnika. Wydaje mi się, że jest państwa.

- Och, dziękuję. Nie zawracam sobie głowy gazetą, dopóki mąż się nie obudzi. Dziecko złapie ją i porwie na strzępy, jeśli nie przypilnuję. To samo robi kot. Siedzi tam i ogryza gazetę, doprowadzając mnie do szału.

Odsunęła się na bok, żeby mnie wpuścić. Weszłam do przedsionka. Podobnie jak u Selmy i ten dom wydawał mi się przegrzany, ale może tak reagowałam pod wpływem kontrastu z zimnem na dworze. Zamknęła za mną drzwi.

- Nawiasem mówiąc, na imię mam Jo. A ty, Kimmy?

- Kinsey - skorygowałam. - To panięskie nazwisko mojej matki.

- Ślicznie - powiedziała, posyłając mi uśmiech. - To jest Brittainy. Biedna dzidzia. Z jakiegoś powodu nazywamy ją Bugsy. Nie wiem, skąd się to wzięło, ale ona nigdy już się tego nie pozbędzie. - Jo Tennyson była zadbana, miała koński ogon i grzywkę, a włosy o ton ciemniejsze niż córka. Chyba niedawno ukończyła dwadzieścia jeden lat, pewnie więc została matką, zanim zgodnie z prawem mogła pić alkohol. Kiedy szliśmy do kuchni, mała nawet się nie poruszyła. Jo położyła gazetę na stole i wskazała mi krzesło. Sama krzątała się po kuchni, jedną ręką przygotowując śniadanie mężowi, na drugiej trzymając śpiące dziecko. Patrzyłam zafascynowana, jak otwiera nie napoczęte pudełko płatków, wytrząsa trochę jego zawartości do miseczki, wyjmując łyżkę z szuflady i zasuwa ją biodrem. Potem bierze z lodówki karton z mlekiem, nalewa kawy do trzech kubków i jeden przysuwa w moją stronę.

- Mam nadzieję, że niczego nie sprzedajesz. Potrząsnęłam przecząco głową i wymamrotałam słowa

podziękuję za kawę, która pachniała wspaniale.

- Jestem prywatnym detektywem. Mam kilka pytań do twojego męża w sprawie śmierci Toma Newquista.

- Och, przepraszam. Nie wiedziałam, że chodzi o sprawy służbowe, przecież mogłam go zaraz zawołać. On się po prostu grzebie. Rano stara się nie spieszyć, bo przez resztę dnia musi się porządnie uwijać. Niech no zobaczę, co on robi. Jeśli masz ochotę na więcej kawy, to sobie doleję. Zaraz wracam.

Skorzystałam z jej nieobecności i dokonałam na siedząco małego przeglądu. Dom był zaniedbany - zauważyłam to już w drodze do kuchni - ale tutaj panował szczególny bałagan. Wszystkie blaty były pozastawiane, drzwiczki szafek pootwierane, w zlewie sarta brudnych talerzy z kilku ostatnich posiłków. Wydawało mi się, że winylowe płytki podłogi są szare w ciemne ciapki. Tymczasem po bliższych oględzinach okazało się, że mają kolor biały, ale

pokrywają je czarne ślady od butów. Wyprostowałam się, gdy Jo wróciła.

- On zaraz tu przyjdzie. Nie rozpoznałam w tobie detektywa. Jesteś stąd?

- Nie, z Santa Teresa.

- Nie wydawałaś mi się znajoma. Powinnaś pogadać z żoną Toma. Mieszka na tym samym osiedlu, o sześć przecznic stąd, przy Pawnee Way. Snobskiej ulicy, jak ją nazywamy.

- To właśnie ona mnie wynajęła. Znasz ją?

- Aha. Chodzimy do tego samego kościoła. Ona dba o kwiaty na ołtarzu, a ja pomagam, kiedy mogę. Jest naprawdę życzliwa. To właśnie ona podarowała Bugsy strój na chrzciny. Oto i James. Zostawię was samych, żebyście mogli sobie porozmawiać.

Podniosłam się z krzesła, gdy wszedł do kuchni. Jasnowłosey, krótko ostrzyżony i smukły James Tennyson był tego rodzaju poważnym młodzieńcem, którego miałoby się ochotę poprosić o pomoc na drodze, gdyby nawalił pasek napędu wentylatora albo tylna opona. Ubrany po cywilnemu: dzinsy, trykotowa koszulka, futrzane kapcie.

- James Tennyson. Miło mi panią poznać.

- Kinsey Millhone - powiedziałam, potrząsając mu dłoń. - Przepraszam, że napastuję pana w domu, ale byłam u Newquistów, a to tak blisko. Natrafiłam na pańskie nazwisko w raporcie, który wzięłam od koronera, poszukałam więc pana w książce telefonicznej.

- Nie szkodzi. Proszę siadać.

- Dzięki. Niech pan je śniadanie. Nie chcę przeszkadzać.

Uśmiechnął się.

- Chyba będę jeść, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Czym mogę służyć?

Kiedy wcinał swoje płatki, wyłożyłam niepokoje Selmy.

- Rozumiem, że znał go pan osobiście, tak?

- Taak, znałem Toma. To znaczy, nie byliśmy naprawdę zaprzyjaźnieni... on i Selma byli starsi i trzymali się z innym towarzystwem... w Nota Lake wszyscy jednak

znali Toma. Mówię pani, jego śmierć doprawdy mną wstrząsnęła. Wiem, miał swoje lata, ale on był jakby elementem tutejszego krajobrazu.

- Proszę mi powiedzieć, jak go pan znalazł. Wiem, że dostał zawału. Usiłuję wczuć się w atmosferę tego, co się stało.

- *Cóż*, to działo się... no... pięć, sześć tygodni temu... i naprawdę nie było w tym nic niezwykłego. Patrolowałem szosę trzysta dziewięćdziesiąt pięć, kiedy zauważyłem auto na poboczu. Światła awaryjne miało zapalone, silnik pracował. No to podjechałem z tyłu. Poznałem pikap Toma. Wie pani, on mieszkał w sąsiedztwie, widywałem więc stale to auto. Najpierw myślałem, że Tom pewno ma jakieś kłopoty z silnikiem czy coś takiego. Drzwiczki z obu stron były zamknięte, ale jak tylko się zbliżyłem, zobaczyłem, że Tom leży na kierownicy. Zapukałem w szybę, myśląc, że zjechał z drogi i zasnął. Ogrzewanie musiało być włączone, bo szyby zaparowało.

- Jak się pan dostał do środka?

- Szyba od strony kierowcy była ciut opuszczona. W aucie miałem drut i nim otworzyłem zamek. Zorientowałem się, że z Tomem jest źle. Wyglądał okropnie, oczy otwarte, piana w kącikach ust.

- Czy wtedy jeszcze żył?

- Jestem całkiem pewny, że nie, ale mimo wszystko robiłem, co mogłem. Mówię pani, ręce to mi się tak trzęsły, że zrobiły się całkiem do niczego. O mały włos, a byłbym wybił szybę, gdyby nie udało mi się otworzyć tego zamka. Wyciągnąłem Toma z pikapa na pobocze i tam przystąpiłem do reanimacji. Nie mogłem wymacać mu pulsu. Skórę na dotyk miał chłodną, a przynajmniej tak mi się zdawało. Na dworze marzło, więc nawet przy włączonym ogrzewaniu temperatura w aucie się obniżyła. Wie pani, jak to jest. Poprosiłem przez radio o pomoc...

o przysłanie możliwie najszybciej karetki, ale to na nic się nie zdało. Lekarz w izbie przyjęć stwierdził już tylko zgon.

- Jak pan myśli, czy on wiedział, co się z nim dzieje, i dlatego zjechał z szosy na pobocze?

- Tak przypuszczam. Musiał chyba odczuwać ból w piersiach albo może duszności.

- Czy nie widział pan przypadkiem notesu Toma? W czarnej skórzanej oprawie, mniej więcej tej wielkości.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym pokiwał wolno głową.

- Nie, proszę pani. Nie sędzę. Choć ja go, oczywiście, nie szukałem. A był na pewno w tym wozie?

- No nie, Selma jednak twierdzi, że on zawsze miał przy sobie ten notes. A na razie się nie znalazł. Pomyślałam, że może pan go zauważył i przekazał Wydziałowi.

- Na pewno tak bym postąpił, gdybym go zauważył. Nie chciałbym, żeby moje zapiski krążyły między ludźmi. Wiele z nich sprawia wrażenie niezrozumiałych, ale przydają się przy pisaniu raportów i w sądzie, kiedy jesteś wzywany do zeznawania. Nie ma go wśród osobistych rzeczy Toma? Biuro Koronera musiało oddać jego ubranie i wszystko, co miał przy sobie. Wie pani, zegarek, zawartość kieszeni i tak dalej.

- Zapytałam Selmę o to samo, ale ona tego notesu nie widziała. No cóż, będziemy szukać dalej. Wdzięczna jestem za poświęcenie mi czasu. Jeśli coś pan sobie przypomni, można się ze mną skontaktować przez Selmę.

- Nie wyobrażam sobie, żeby dało się cokolwiek na niego znaleźć. Nie znam lepszego faceta. On był najlepszy. Dobry człowiek i dobry gliniarz.

- I ja tak sędzę.

Wróciłam do motelu. Nie wytrzymałabym ani minuty dłużej wysiadania w gabinecie Toma. Z tego, co wiemy, mógł on cierpieć na jakiś rodzaj depresji wywołany przez środki chemiczne. Założyliśmy, że jego przygnębienie miało charakter sytuacyjny, ale przecież tak być nie musiało. To moje przygnębienie miało charakter sytuacyjny. Tęskniłam za domem i pragnęłam stąd wyjechać.

Weszłam do chatki i z zadowoleniem stwierdziłam, że pokój sprzątnięto. Łóżko zostało posłane, łazienka wyszo-

rowana, przyniesiono świeżą rolkę papieru toaletowego. Usiadłam przy stole i wkręciłam kartkę papieru do mojej smith-corony. Zaczęłam pisać sprawozdanie ze swojej działalności z ostatniego dnia. Selma Newquist będzie po prostu musiała pogodzić się z tym, że Tom umarł. Śmierć zawsze pozostawia pewne sprawy nie ukończone, tajemnice nie dające się zgłębić, niezliczone pytania bez odpowiedzi pośród szczątków życia. Wszystkie historie się zapomina, traci się wspomnienia. Wynajmij sobie, kogo tylko zechcesz, a i tak nigdy nie odkryjesz, z czego składa się istota ludzka. Mogłabym tu siedzieć i pisać na maszynie, aż zsinieję. Tom Newquist nie żyje i przypuszczam, że nikt się nigdy nie dowie, jakie były jego ostatnie chwile.

Tego wieczoru znalazłam się w tawernie U Tiny, w jednym z tych kowbojskich barów, w które wydaje się obfitować tak wiele małych miast. Cecilia wskazała mi ją jako knajpę cieszącą się popularnością wśród policjantów po służbie, siedziałam więc tam, w duchu sobie podśpiewując. Uniknęłam też przebywania w chatce - z jej niską temperaturą i przygnębiającym oświetleniem. Tawerna miała ściany z nie heblowanych desek, podłogę posypaną trocinami i bar z mosiężną listwą pod nogi, która optycznie wydłużała pomieszczenie. Jak w dawnym saloonie z westernów za barem znajdowało się długie lustro, migotliwie odbijające butelki z trunkami wystawione na pokaz. W lokalu było siwo od dymu z papierosów. Przegrzane powietrze pachniało rozlanym piwem, zepsutą kanalizacją, kiepskim dezodorantem i tanią wodą kolońską. Ja-skrawozielono-żółtą szafę grającą, z rurkami bąbelków uchodzących po bokach, załadowano dziwną mieszaniną gospelowych melodii z muzyką country, która zresztą przeważała. Od czasu do czasu jakaś para tupiała mechanicznie wokół niewielkiego, 3 na 3 m, parkietu, przeznaczonego do tańca, a inni gapili się na nich i wykrzykiwali słowa zachęty - moim zdaniem dość wulgarne.

Nie czułam się zbyt pewnie, bo w takim lokalu jak ten obawiałam się zaczepek. Samotna kobieta może wydawać się łatwym łupem każdemu niemal chcącemu się zabawić mężczyźnie. Jak na wieczór w dzień powszedni w lokalu było sporo facetów, w pojedynkę, ale po godzinie nikt już chyba nie zwracał na mnie specjalnie uwagi. To tyle, jeśli

chodzi o moje wyobrażenia co do zaczepek ze strony jakichś podrywaczy. Siedziałam na stołku barowym, sącząc kiepskie piwo i łuskając orzeszki arachidowe znajdujące się w mosiężnej misce, która w poprzednim wcieleniu mogła być spluwaczką. Było coś satysfakcjonującego w rzucaniu skorupki na podłogę, choć czasem chrupałam orzeszki ze skorupkami w przekonaniu, że przy moim sposobie odżywiania się - ładowania się takim množstwem cholesterolu - błonnik wyjdzie mi na zdrowie.

Barman, dwudziestoparoletni młodzieniec o ogolonej głowie, miał ciemny wąs, brodę i skorpiona wytatuowanego na grzbiecie prawej dłoni. Trochę z nim flirtowałam dla zabicia czasu, ale on zdawał się rozumieć, że w najbliższej przyszłości ma raczej słabe szanse na namiętą przygodę seksualną. Wrzuciłam kilka ćwierćdolarówek do szafy grającej. Pogadałam z Alice, kelnerką, która miała włosy w kolorze pomarańczowym. Parę razy poszłam do damskiej toalety. Poćwiczyłam balansowanie widelcem na wypalonych zapalcach. Doszłam do wniosku, że jeśli w lokalu znajdowali się nawet jacyś policjanci nie będący na służbie, to i tak ich nie poznam w cywilnych ubraniach.

O dziesiątej zjawił się Macon Newquist. Był w mundurze, poruszał się po lokalu bez pośpiechu, przepatrywał go w poszukiwaniu pijusów, nieletnich oraz innych ewentualnych sprawców kłopotów. W przelocie rzucił mi parę słów, ale nie zdradzał ochoty na pogawędkę. Wkrótce po jego wyjściu moje nicnierobienie okazało się opłacalne - zobaczyłam cywilną urzędniczkę z Biura Szeryfa. Za nic w świecie nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywa. Przyszli we czwórkę: ona, facet, którego uznałam za jej męża, i jeszcze jedna para, wszyscy mniej więcej w tym samym wieku. Cała czwórka w strojach na wpół kowbojskich, na wpół narciarskich: wysokie buty, dzinsy, koszule, jakie nosi się w westernach, puchowe kurtki, narciarskie rękawice i włóczkowe czapki. Wolny stolik znaleźli w drugim końcu sali. Gapiłam się na tę urzędniczkę o ciemnych włosach, krótko obciętych nad uszami, i błyszczą-

cych piwnych oczach za małymi owalnymi okularkami. Druga kobieta miała włosy kasztanowe, obfity biust i była ładna, choć zapewne trafiły ją nieproszone rady na temat operacyjnego zmniejszenia piersi. Mężulek urzędniczki naradzał się z resztą towarzystwa, po czym ruszył w moją stronę i zatrzymał się przy drugim końcu baru, gdzie poprosił o dzban piwa i cztery wielgachne kubasy. Panie tymczasem zdjęły kurtki, wzięły torebki i odeszły od stolika, kierując się w stronę damskiej toalety. Zamówiłam następne piwo, żeby zarezerwować sobie miejsce, po czym poszłam prosto do ubikacji. Nasze drogi się przecięły i do drzwi dotarliśmy we trzy mniej więcej jednocześnie. Zwolniłam kroku i przepuściłam obydwie przodem.

- Och, kochana, Billie chodzi z tym cherlakiem ze sklepu z kasetami wideo - odezwała się urzędniczka. - Wiesz, tego typka z podejściem. Nie mam pojęcia, co ona w nim widzi, chyba że... wiesz co. Powiedziałam jej, że powinna trochę bardziej myśleć o sobie...

Rozmawiały nadal, wchodząc do toalety, a potem znikając w pierwszych dwu kabinkach. Ja udałam się do trzeciej i pilnie nasłuchiwałam, gdy wszystkie siusiałyśmy zgodnym chórem. Jak ona się nazywa, do diabła? Dyskutowała z koleżanką o Sebie, synu Billie, cierpiącym na kurzajki genitalne, i to bardzo uporczywie. Według słów jakiejś Candy, która z miejsca go zdyskwalifikowała, jego penis wygląda jak różowy mięsisty korniszon. We wszystkich trzech ubikacjach kolejno spuszczano wodę, po czym zeszłyśmy się przy umywalkach i mogłyśmy umyć ręce. Ta druga kobieta nie dbała zbyt o osobistą higienę i od razu przystąpiła do rytuału czesania się i poprawiania makijażu. Korciło mnie, żeby jej pokazać napis na ścianie, który apelował o nierozprzestrzenianie chorób, ale uświadomiłam sobie, że jest zaadresowany do tutejszego personelu. Najwidoczniej reszcie użytkowniczek toalety pozwalano na zarażanie każdego, kogo dotkną. Próbowałam dać dobry przykład i starannie namydlałam ręce, prawie jak chirurg przed operacją, lecz tamta babka nie poszła w moje ślady.

Właśnie w tym momencie jakimś cudem z mózgu wyskoczyło mi jakby w mentalnym beknięciu imię tej urzędniczki. Napotkałam w lustrze jej wzrok i uśmiechnęłam się do niej, gdy sięgała po papierowy ręcznik, żeby wytrzeć ręce.

- Czy to nie Margaret?

Popatrzyła na mnie z obojętną miną, po czym odparła raczej dość chłodno:

- O, cześć.

Nie wiedziałam, czy mnie nie poznała, czy też pamiętała i nie chciała po prostu dać się wciągnąć w rozmowę. Zapewne to drugie. Zmiała papierowy ręcznik i wyrzuciła do kosza na śmieci.

- Kinsey Millhone - podpowiedziałam, jakby o to właśnie mnie pytała.

- Poznałyśmy się dziś rano w biurze, kiedy rozmawiałam z detektywem LaMotte. - Wyciągnęłam rękę, a ona była zbyt grzeczna, żeby nie podać mi swojej.

- To miło, że znów się widzimy - rzekła.

- Poznałam cię od razu, jak tylko tu weszłaś, ale nie mogłam sobie przypomnieć, skąd się znamy. - Odwróciłam się i pomachałam tej drugiej.

- Cześć, jak się masz? Jestem Kinsey Millhone. A ty?...

Jakby z wahaniem spojrzała na Margaret.

- Earlene. - Wyciągnęła do mnie rękę, nie pozostało mi więc nic innego, jak tylko ją uścisnąć, nie zważając na zarazki.

- Moja najlepsza przyjaciółka - wtrąciła Margaret.

- Jakże mi miło - powiedziałam.

Earlene, podawszy rękę, położyła pasywnie swoje palce na moich. Odnosiłam wrażenie, jakby mi dała do potrzymania pół kilograma gotowanego makaronu. Miała ładną okrągłą buzię, nos jak guziczek, pulchne usta, jakby zmutowane ciało o wielkich piersiach, pomniejszonych biodrach i nogach, które zanikały, przechodząc w drobne stopki. Spojrzała znowu na Margaret, dostrzegając w niej brak entuzjazmu. Zachowywałam się jak komiwojażer, narzucając pogawędkę, żeby zdobyć oparcie w rozmowie. Spece od telemarketingu zawsze posługują się tą bronią,

jakby cała reszta ludzi nie wiedziała, o co chodzi w tej ich udawanej serdeczności.

Margaret nie dała się nabrać. Wzięła torebkę i przycisnęła ją mocno ramieniem do siebie.

- Nie wiem, co powiedziałaś Raferowi, ale przez cały dzień się wściekał, i to ja musiałam znosić jego zły humor.

- Naprawdę? Tak mi przykro. Nie chciałam go zdenerwować.

- Wszystko go denerwuje od śmierci Toma. Pracowali razem przez wiele lat, długo przedtem, nim mnie tam zatrudniono.

- Mogę zrozumieć, co go boli. - Mdlilo mnie od tej pojednawczej paplaniny, choć wydawało się, że daje pożądane efekty.

Margaret przewróciła oczami.

- Raferowi złość minie, jak przypuszczam, ale nie radzę ci stawać mu na drodze, jeśli tylko możesz tego uniknąć.

- Postaram się go unikać, jeśli będzie to możliwe. Zostanę zresztą tutaj jeszcze tylko parę dni, a nie mam pojęcia, gdzie indziej mogłabym uzyskać informacje.

Miałam nadzieję, że zaoferuje mi swoją pomoc, lecz Margaret miała to chyba w nosie. Stała bez słowa, zmuszając mnie do brnięcia dalej.

- Czemu nie miałabym ci wprost powiedzieć, czego mi potrzeba? Może mogłabyś mi pomóc. Daję słowo, nie szukam żadnego haka na Toma Newquistą. Nie mam takiego zamiaru. Wszyscy powtarzają, że był to wspaniały facet, i chyba szczerze go żałują.

- No tak, to prawda - odparła niechętnie.

- Nie wiem, co mam myśleć o twoim szefie. To znaczy, mogę się zgodzić, że był zdenerwowany, ale nie mam pojęcia, co ja takiego zrobiłam.

- Nie chodzi specjalnie o ciebie. Rafer mówi, że to Selma stwarza kłopoty. Ma po dziurki w nosie tego jej mieszania się w sprawy Toma.

- To żadne mieszanie się - oponowałam. - Była jego żoną i ma prawo się tym interesować.

- Czym?

- Powiedziała mi, że Tom czymś się gryzł. Źle sypiał. Był pogrążony w myślach. Miała nadzieję, że się jej zwierzy ze swoich trosk. Niestety, nie powiedział ani słówka. Chciała go zapytać i nie mogła się na to zdobyć. Wiesz, jak to jest. Chcesz o czymś porozmawiać i czekasz na odpowiedni moment. Przypuszczam, że on się najeżał, a ona nie chciała go drażnić. W każdym razie, zanim poruszyła tę sprawę, Tom nieoczekiwanie zmarł, a ona znalazła się w ślepej uliczce.

- To jeszcze nie upoważnia jej do wtykania nosa w sprawy Toma.

- Oczywiście, że nie. Niepokoi ją jednak możliwość, że on zmarł z jakimś brzemieniem na sercu. Boleje nad tym, że przeoczyła okazję, kiedy mogła mu pomóc. Dlatego właśnie zdecydowała się mnie wynająć.

- Powodzenia - rzekła Margaret tonem, który wskazywał, że życzy mi czegoś wręcz przeciwnego.

- Nie sądzę, bym miała wielkie szanse, ale nie winię Selmy za to, że próbuje. Ma nadzieję, że doczeka się zadośćuczynienia. Co w tym złego? Na jej miejscu też byś tak postąpiła, może nie?

Margaret mruknęła coś nieokreślonego. Widziałam, że trudno jej znaleźć argumenty. Krytykować potrafiła, gorzej było z obroną własnego stanowiska. Czułam się przygnębiona z powodu wysiłku wkładanego w mówienie prawdy. Kłamstwa są zawsze łatwiejsze, bo ryzykuje się jedynie, że cię na nich złapią. Jak tylko zniżysz się do prawdy, jesteś załatwiona, jeśli bowiem ta druga osoba jej nie kupi, nie masz już nic do sprzedania.

Earlene obserwowała nas jak widz mecz tenisowy. Jej błyszczące niebieskie oczy spozierały z zainteresowaniem raz na moją twarz, raz na twarz Margaret. Nie potrafiłabym orzec, po czyjej stała stronie, zdecydowałam się jednak wciągnąć ją w całą tę sprawę.

- A ty co myślisz, Earlene? Jakbyś postąpiła na miejscu Selmy?

- Przypuszczam, że tak samo. Mogę zrozumieć jej

punkt widzenia. - Spojrzała na Margaret. - Sama mówiłaś, że przez ostatnich kilka tygodni przed śmiercią Tom był nieznośny. - Popatrzyła znów na mnie, wskazując kciukiem w stronę Margaret. - Myślała, że on przechodzi klimakterium. Wiesz, humory i wybuchowość...

- Earlene.

- No cóż, to prawda.

- Oczywiście, że prawda, ale to nie znaczy, że ma się te opinie wygłaszać w damskiej toalecie. - I mówi to kobieta, rozprawiająca przed chwilą o czyichś kurczakach genitalnych.

- Czy orientujesz się, co mogło go trapić? spytałam. Margaret się oburzyła.

- Nie mam pojęcia. I muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem dla niej byłoby lepiej, gdyby dała temu spokój. Gdyby Tom chciał, żeby to wiedziała, toby jej powiedział. A zatem to nie jej sprawa. Jeśli nawet był w złym humorze i ledwie dało się z nim wytrzymać, to nie żadna zbrodnia.

- A kto mógłby coś wiedzieć o tej sprawie? Z kim powinnam porozmawiać, jeśli nie z Raferem?

Earlene podniosła rękę.

- Nie zawadziłoby spytać Hatcha.

- Może byś się wyłączyła? - warknęła Margaret.

- Kto to jest Hatch? - spytałam Earlene.

- To jej mąż. Siedzi tam - odparła, wskazując w stronę baru.

Margaret się zachnęła.

- On ci nie pomoże i założę się, że Wayne też nie. Wayne od dawna nie pracował z Tomem, o czym więc może wiedzieć?

- Hatch pracował z Tomem? - zagadnęłam Margaret.

- Aha. Obaj, on i Wayne, są zastępcami szeryfa, tyle że Wayne na terenie Whirly Township, a Hatch tutaj.

- To nie może zaszkodzić - powiedziałam. Margaret zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym zmarszczyła czoło.

- Nie przypuszczam, żebyś zdołała cię powstrzymać, ale moim zdaniem to strata czasu.

Wyszliśmy z toalety razem.

- Wezmę swoje piwo i zaraz przyjdę.

Ruszyłam w stronę baru po swoje rzeczy. Wyobrażałam sobie, że zanim do tej czwórki dołączę, Margaret zdoła przygotować męża, posuwając do przodu moją sprawę. Chwyciłam kubek z piwem, kurtkę i poszłam do ich stolika. Widziałam, jak Hatch posłusznie dostawia dodatkowe krzesło od sąsiedniego stolika. Ściskając dłonie obu panów podczas kolejnej rundki przedstawiania się, starałam się być ujmująca. Normalnie nie usiłuję wywołać takiego wrażenia.

- Czy Margaret mówiła, o co mi chodzi?

- Tak, proszę pani - odparł Hatch. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o jasnej czuprynie krótko przyszczyżonej po bokach. Miał kościstą twarz o wydatnej szczęce i kościach policzkowych oraz wielki, wystający nos. Uszy sterczały mu jak uchwyty wazy.

Mąż Earlene, Wayne, wypił haust piwa i z hałasem postawił kubek na stół. Włosy miał ciemne, krótko obcięte i zaczesane do przodu, by zakrywały łysinę. Miał wygląd przystojniaka w stylu drobnego rzezimieszka. Chyba nie przypadłam mu do gustu. Unikał mojego wzroku, poświęcając swoją uwagę innym stronom lokalu. Od czasu do czasu włączał się do rozmowy, ale wyraźnie dawał do zrozumienia, że pomysł dyskusowania z kimkolwiek na temat Toma wcale mu się nie podoba.

Za to Hatch wydawał się nastawiony przyjaźnie, skoncentrowałam się więc na nim.

- Rozumiem, że pan znał Toma.

- Każdy znał Toma - odparł.

- Czy może mi pan coś więcej o nim powiedzieć? Hatch przyjrzał mi się z niepokojem i potrząsnął głową.

- Nie zmusi mnie pani, żebym powiedział choćby jedno złe słowo o tym człowieku.

- Absolutnie nie zamierzam. Liczę na to, że uda mi się zorientować, kim był. Nie znałam go osobiście, poruszam się zatem po omacku. Jak długo się znaliście?

- Trochę więcej niż piętnaście lat. Poznałem go, zanim

zatrudniono mnie w Biurze Szeryfa. Przeprowadziłem się tu z Barstow i zaraz ktoś włamał się do mojego mieszkania i ukradł mi stereo. Kiedy wykrociliłem 9 1 1, przyjechał właśnie Tom.

- Jaki był?

- Pod jakim względem?

- Pod każdym. Czy był cwany? Czy był zabawny? Czy był to facet z tych na luzie?

Hatch przechylił głowę i jedno ramię podjechało mu do ucha.

- Powiedziałbym, że Tom był dobrym gliniarzem w każdym calu, i to zawsze. Nie dałoby się po prostu oddzielić tego człowieka od jego pracy. Był cwany, to na pewno, i postępował zgodnie z wszystkimi regułami.

- Ktoś, kto nie naginał zasad - powiedziałam, powtarzając opinię koronera.

- Taak, zgoda. Wie pani, w drobnych sprawach mógł próbować dać facetowi szansę, ale przy poważnym przestępstwie rygorystycznie egzekwował prawo. Takie stylizowanie się na ofiarę, jakie się w dzisiejszych czasach widuje, nie robiło na nim żadnego wrażenia. Uważał, że jest się odpowiedzialnym za swoje czyny i co do tego nie ma dwóch zdań. Zajmował w tej kwestii twarde stanowisko i myślę, że miał rację. W takim małym mieście jak nasze ktoś łamie prawo, a ty mogłeś chodzić na randki z jego siostrą albo mieszkać kiedyś na tej samej ulicy. Dla Toma takie rzeczy się nie liczyły. On nie był małostkowy ani nic w tym sensie. Służba to była służba i za taką postawę należał mu się szacunek.

- Mógłby mi pan przytoczyć jakiś przykład?

- Nie przychodzi mi akurat żaden na myśl. A tobie, Wayne? Wiesz, o czym mówię. Jak postępował Tom?

Wayne potrząsnął głową.

- Hej, Hatch, to twoja działka według mnie.

Hatch poskrobał się po policzku i pociągnął za podbródek.

- No, dobrze. To jeden przykład, który pamiętam, ale powiedziałbym, że bardzo typowy dla niego. Mieli-

śmy dobrego kumpla, nazywał się Sonny Gelson. Pamiętasz go, kochanie? Mogło to być, przypuszczam, jakieś pięć, sześć lat temu. Mieszkał koło Winona w dużym starym, walącym się domu. - Nie czekał na odpowiedź Margaret, ale zauważyłam, że kiwnęła potakująco głową, gdy mówił dalej. - Pewnego wieczoru żona go zastrzeliła. Przez pomyłkę. Myślała, że to jakiś nieproszony gość, i zrobiła mu wielką dziurę w piersiach. Mniej więcej pół roku wcześniej zgłosiła, że zauważyła kręcącego się tam włóczęgę, Sonny dał jej więc rewolwer Smith and Wesson. No i pewnego wieczoru on wyjechał z miasta, a ona była sama w domu. Usłyszała kogoś w sieni na dole, wzięła rewolwer z szuflady i wypaliła z niego do faceta, gdy wszedł do środka. Kłopot w tym, że broń zawiodła i wybuchła jej w ręce. Sonny sam ją nabijał. No to myślałem, że zrobił coś nie tak, a przynajmniej na to wyglądało. Kula mimo wszystko wyleciała z lufy i trafiła go prosto w klatkę piersiową. Przypuszczam, że skonał, zanim Judy zdążyła wykręcić numer dziewięćset jedenaście. Sama miała pełno odłamków w ręce i cała zalana była krwią. No a teraz ten przykład. Tom wbił sobie do głowy, że to morderstwo z premedytacją. Był przekonany, że cała sprawa została sfingowana. Judy Gelson zalewała się łzami z powodu swojej strasznej pomyłki. Nie wiedziała, że to Sonny. Przysięgała. Całe miasto było wzburzone. Wszyscy protestowali. Prokurator okręgowy zamierzał jej pozwolić, żeby się przyznała, i na tym poprzestać. Wątpię, by odsiadywała wyrok, bo miała czyste konto. Zaoszczędziłoby to okręgowi mnóstwo pieniędzy, a także zły prasy. Tom jednak wciąż kopał i kopał i wkrótce dokopał się polisy ubezpieczeniowej, i to na wielką sumę. Okazało się, że Judy miała kochanka i we dwójkę uknuli plan pozbycia się jej męża, podjęcia pieniędzy i czmychnięcia stąd. To ona spreparowała nabój, władowała do niego nadmierną dawkę materiału kruszącego, żeby wyglądać na niewinną ofiarę zbiegu okoliczności. Przygwoździł ją właśnie Tom. A przecież kiedyś z nią chodził. Wybrano ją

królową abiturientów i w noc balu maturalnego niewiele brakowało, a byliby razem uciekli. Dla niego to się nie liczyło i na tym to właśnie polegało.

- Co się stało z Judy Gelson?

- Odsiaduje gdzieś wyrok od dwudziestu pięciu lat do dożywocia. Kochanek zniknął. W gruncie rzeczy nikt się nie domyślał, o kogo chodziło. Może był to ktoś miejscowy, kto miał wiele do stracenia. Tom pracował nadal nad tą sprawą, usiłował trafić na ślad tego faceta. Wściekało go, że uszło mu to na sucho.

- Lubił zajmować się starymi sprawami?

- Każdy lubi. Zawsze jest szansa, że którąś z nich wyjaśnisz i staniesz się sławny. Zresztą chodzi nie tylko o to; to kwestia wyrównania rachunku. Teraz się to nazywa „zamknięcie”, ale chodzi o to samo.

- Tego właśnie chce Selma - powiedziałam, zerkając na Margaret.

Hatch potrząsnął głową na dźwięk jej imienia.

- A Selma, Selma to co innego. Nie chcę o niej mówić nic złego. Tom miał hopla na jej punkcie, wielbił ziemię, po której stapała. To święta prawda.

- A my wszyscy uważaliśmy, że trudno z nią wytrzymać - wtrąciła Margaret.

- Dlaczego?

- Och, wiesz, ona łatwo się obraża, wymyśla sobie zniewagi tam, gdzie ich nie ma. Tom stawał na głowie, żeby ją zadowolić, a jej zawsze było mało. Jak się spotkało ich w towarzystwie, to on zawsze starał się, żeby brała udział w rozmowie, czyż nie? - powiedziała Margaret, zwracając się do Earlene, by potwierdziła jej słowa. - On wiedział, jak myślę, że ludzie jej nie lubią, i chciał, żeby wypadła jak najlepiej.

- Tak, to prawda. Siedział tam i wciągał ją do rozmowy... Zmuszał, żeby zabierała głos, jakby komuś na tym zależało. Wszyscy go lubili, a za nią nie przepadali.

- A zatem ten jej brak pewności siebie w pewnym stopniu był uzasadniony - zauważyłam.

Earlene się zaśmiała.

- Jasne, tylko że bardziej by ją lubiano, gdyby nie była taką egocentryczką. Selma wyobraża sobie, że słońce wschodzi i zachodzi na jej własnym kuprze, i przekonała o tym też Toma. Skakał, jak tylko pstryknęła palcami. A na dodatek to okropna snobka, zadziera nosa, jakby była o wiele lepsza od nas. W takim małym mieście wszyscy spotykają się na gruncie towarzyskim. Wiesz, chodzimy do tego samego kościoła, należymy do jednego klubu. Selma musi być wszędzie, i to na pierwszym planie. Ta kobieta jest niestrudzona, to muszę jej przyznać. Poprosisz ją, żeby coś zrobiła, i już to robi, tak po prostu.

Wayne więcej niż raz przyciągnął moją uwagę podczas perory swojej żony. Irytowało go chyba to, że ze mną rozmawia. Wayne pracował z Tomem, podejrzewałam więc, że nie podobała mu się szczerść wyrażanych przez nią opinii. Sam sprawiał wrażenie ostrożnego, zachowywał się z rezerwą, wzrok miał wbity w stół, gdy tamta trójka opowiadała anegdoty. Nie mogłam się zorientować, skąd się bierze ta jego niechęć. Może rozmawiał z nim Rafer i dał mu jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, by któryś z jego zastępców ze mną współpracował. Albo może na jego postawę wywierała wpływ zwyczajowa niechęć policjanta do dzielenia się informacjami - nawet na poziomie plotek czy osobistych opinii.

Zwróciłam na siebie jego uwagę.

- A pan, Wayne? Może zechciałby pan coś dodać? Uśmiechnął się, raczej do siebie niż do mnie.

- Moim zdaniem oni we trójkę całkiem dobrze sobie radzą.

- Zgadza się pan z ich oceną?

- W gruncie rzeczy uważam, że małżeństwo Toma to nie nasza sprawa. Jak on i Selma ułożyli je sobie, to ich rzecz.

Earlene rzuciła zmiętą serwetkę w jego kierunku.

- Ale z ciebie zrzęda - powiedziała.

- Nie uda ci się zmusić mnie do reakcji - odparł impertynencko.

- Och, wyluzuj się. Słowo daję, nigdy nie lubiłeś Selmy podobnie jak my, dlaczego więc nie przyznasz się do tego?

- Mów sobie, co chcesz. Mnie w to nie wciągniesz.

- Zostaw go - wtrąciłam. Poczułam się nagle zmęczona. Połączenie napięcia i powietrza pełnego dymu z papierosów przyprawiło mnie o ból głowy. Pytałam o ogólne informacje i oto, co osiągnęłam. Najwyraźniej niczego więcej od nikogo już się nie dowiem. - Myślę, że wyruszę z powrotem do motelu.

- Nie odchodźcie w złości. Po prostu odchodźcie -rzekł Wayne z uśmiechem.

- Bardzo śmieszne. Ha, ha - powiedziała do niego Earlene.

- My też lepiej się zbierajmy - odezwała się Margaret, patrząc na zegarek. - O rany, muszę być w robocie o ósmej, a patrzcie, która godzina. Za kwadrans dwunasta.

Earlene sięgnęła po kurtkę.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno, a jeszcze musimy was odwiedzić do domu.

- Możemy iść piechotą. To niedaleko - rzekła Margaret.

- Nie bądź głupia. To żadna fatyga. I tak tamtędy przejeżdżamy.

Cała czwórka zaczęła zbierać swoje rzeczy, wkładać kurtki, wstając, szurać krzesłami.

- Skontaktuję się z wami później - powiedziałam.

Wymieniliśmy formułki pożegnalne, sztuczne towarzyskie frazesy. Patrzyłam, jak wychodzili, po czym wróciłam do baru, gdzie zapłaciłam swój rachunek. Alice, kelnerka o pomarańczowych włosach, zrobiła sobie właśnie przerwę. Przyciągnęła stółek barowy w moją stronę i zapaliła papierosa. Oczy miała podmalowane czarną kredką, rzęsy gęste i ciemne, z pewnością sztuczne, jasnokoralową szminkę na wargach i warstwę różu na policzkach.

- Jesteś gliną?

- Jestem prywatnym detektywem.

- No, to wszystko tłumaczy - skonstatowała, wydmuchując w jedną stronę dym. - Słyszałam, że wypytujesz o Toma Newauiста.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Jasne. W takim małym mieście nie ma wielu tematów do rozmowy. Z tą bandą, z którą rozmawiałaś, daleko nie zajedziesz. To wszystko są ludzie z policji lojalni wobec siebie. Nikogo nie skłonisz, żeby powiedział jedno złe słowo o Tomie.

- Już się o tym przekonałam. Masz coś do dodania?

- Nie wiem, co mówiono. Jego znam stąd. Ją znałam trochę lepiej. Spotykałam ich oboje w kościele przy różnych okazjach.

- Przypuszczam, że nie była popularna. Przynajmniej na podstawie tego, co słyszałam.

- Staram się nie osądzać bliźnich, ale trudno nie mieć jakiegoś zdania. Wszyscy obrabiają Selmę, a to chyba nieuczciwe. Życzyłabym sobie tylko, by przestała się martwić tymi swoimi głupimi zębami. - Alice przytknęła dłoń do ust. - Zauważyłaś, że tak robi? Połowy z tego, co mówi, ja nie słyszę, bo tak gorliwie stara się zasłonić sobie usta. Tom w każdym razie był super. Nie zrozum mnie źle... zgadzam się, że Selma jest niesympatyczna... ale wiesz co... on musiał dobrze wypadać przez kontrast, bo nie był konfliktowy, Tomowi nigdy się nie śniło, żeby skakać komuś do oczu z byle powodu. Po co? Miał Selmę, która to za niego robiła. Podskakiwała każdemu. Wiesz, co mam na myśli? Niech ona będzie tą zołąką. Niech ściąga na siebie gromy. W tym związku to jej przypadała niewdzięczna rola, a on miał być porządnym facetem, takim, co to do rany przyłóż. Rozumiesz?

- Jasne.

- Taki układ mógł im odpowiadać, a obarczanie jej całą odpowiedzialnością nie wydaje mi się w porządku. Znam takie jak ona, w głębi serca to kotka. Tom mógł ją poskromić. Mógł zrobić wielką chryję i ona raz-dwa by przystopowała. Brakowało mu oleju w głowie, dlaczego więc to ma być jej wina? Chyba należy przypisać im na równi tę winę.

- Ciekawe - powiedziałam.

- No wiesz, ja tak na to reaguję. Mam powyżej uszu

słuchania, jak każdy wiesz psy na Selmie. Może jestem taka jak ona i dlatego mnie to drażni. Pary dochodzą do takich układów, kto co robi. Nie mówię, że siadają i nad tym dyskutują, ale chyba rozumiesz, o co mi idzie. Jedno z nich jest małomówne, drugie gadatliwe. Albo może jedno towarzyskie, a drugie nieśmiałe. Tom był całkiem bierny, to dlaczego winić ją za to, że rządziła? Sama byś tak postępowała.

- Selma mówi, że Tom przez ostatnich kilka tygodni był bardzo zatroskany. Masz jakiś pomysł, o co mogło chodzić?

Rozważała to przez chwilę, zaciągając się papierosem.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz, jak

o tym wspomniałaś, to chyba rzeczywiście nie był w swojej skórze. Powiem ci, co zrobię. Popytam i zobaczę, może ktoś coś wie. Nie chodzi o to, że miejscowi ludzie są nieuczciwi czy utrzymują coś w tajemnicy, ale oni osłaniają swoich.

- Nie musisz mi tego mówić - powiedziałam. Wyjęłam wizytówkę i zapisałam na niej mój telefon w Santa Teresa i nazwę motelu, w którym się tu zatrzymałam.

- Cecilia Boden. - Alice się uśmiechnęła. - To dopiero numer. Jeśli będziesz mieć dość tego motelu, zawsze możesz przenieść się do mnie. Mam mnóstwo miejsca.

Ja też się uśmiechnęłam.

- Dzięki za pomoc.

Wyszłam na powietrze. Temperatura opadła i mogłam zobaczyć swój oddech. Zastanawiałam się, czy po tym, jak na wdychałam się kłębow dymu w barze, nie wydycham teraz tego, co mi się nagromadziło w płucach. Na parkingu była zajęta tylko połowa miejsc, a oświetlenie na tyle słabe, że robiło się nieprzyjemnie. Zatrzymałam się chwilę i zlustrowałam teren. Nikogo nie widziałam, choć ktoś mógł się ukrywać za szpalerem sosen. Przełożyłam kluczyki od auta do prawej ręki i z torebką przerzuconą przez lewe ramię podeszłam do wypożyczonego samochodu i otworzyłam drzwiczki.

Wsunęłam się za kierownicę, zatrzasnęłam drzwiczki auta, czym prędzej zamknęłam je od środka i z ulgą

usłyszałam dźwięk zasuwanego się zamka. Przednia szyba była całkiem zaparowana, musiałam gołą ręką oczyścić kawałek, żeby cokolwiek widzieć. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i zaniepokoiłam się, słysząc niemiły zgrzyt, świadczący o wyczerpaniu akumulatora. Spróbowałam raz jeszcze i silnik niechętnie zaskoczył. Parokrotnie się zakrztusił, po czym zgasł. Siedziałam w aucie, oglądając oczami duszy film, w którym musiałam wrócić do baru, przywołać pomoc i trafić w końcu do łóżka o jakiejś nonsensownej porze i po Bóg wie jakich kłopotach.

Zauważyłam światła reflektorów w alejce za sobą, spojrzałam więc we wsteczne lustro. Ciemna furgonetka dostawcza jechała bardzo wolno. Kierowca w czarnej kominiarce narciarskiej odwrócił się, żeby na mnie popatrzeć. Otwory na oczy w jego czapce miały białą obwódkę, a otwór na usta - grubą czerwoną lamówkę. Patrzyliśmy na siebie, nasze oczy spotkały się w prostokącie wstecznego lusterka. Czułam mrowienie na skórze, pory kurczyły się ze strachu. Pomyślałam: mężczyzna. Pomyślałam: biały. Lecz, oczywiście, mogłam się mylić co do pierwszego i co do drugiego.

Słyszałam chrzęst żwiru, przytłumione pafnięcie, jakby daleki wystrzał. Furgonetka zwolniła i w końcu stanęła. W ciszy nocnej słyszałam silnik pracujący na wolnych obrotach. Uświadomiłam sobie, że wstrzymuję oddech. Nie byłam pewna, co bym zrobiła, gdyby kierowca wysiadł i zbliżał się do mojego samochodu. Po trwających niemal wieczność trzydziestu sekundach furgonetka ruszyła. Obserwowałam ją we wstecznym lusterku. Nie miała żadnego napisu z boku, nie sądzę więc, by używano jej do celów komercyjnych. Obróciwszy głowę, przyglądałam się, jak dojeżdża do końca parkingowej uliczki i skręca w lewo. Było coś nieprzyjemnego w tym, że poddano cię takiej obserwacji.

Spróbowałam znowu uruchomić samochód. - Proszę - powiedziałam. Silnik wydawał się trochę mniej energiczny. Furgonetka jechała teraz z prawej strony na lewą wzdłuż alejki przede mną. Rozdzielał nas rząd aut zaparkowanych frontem do mojego samochodu. Dostrzegłam, że kierowca pochylił się do przodu, a zasłoniętą twarz zwrócił w moim kierunku. Denerwował mnie właśnie ten brak oblicza, bezkształtna czapka zacierała jego rysy prócz oczu i ust uwydatnionych w sposób alarmujący. Takie kominiarki noszą terroryści i rabusie podczas napadów na banki, a nie normalni ludzie w obawie przed odmrożeniami. Furgonetka przystanęła. Twarz w czarnej kominiarce znowu była zwrócona w moją stronę, mężczyzna lustrował mnie bacznie i długo. Otwory w kominiarce przeznaczone na oczy i usta ściągnięto białą włóczką, przy czym

duże, widoczne ściegi świadczyły o tym, że nie starano się ukryć tej modyfikacji. Kierowca wyciągnął prawą dłoń w rękawiczce i wycelował we mnie palec wskazujący, jakby mierząc z pistoletu. Dwukrotnie odegrał scenkę strzelania do mnie, nie pomijając nawet „kopnięcia” broni. Zrewanżowałam się obscenicznym gestem. Ta krótka wymiana naładowana była agresją z jego strony, a przekorą z mojej. Kierowca jakby zeszywniał, a ja się zaczęłam zastanawiać, czy nie powinnam była darować sobie zgryźliwej riposty przy użyciu środkowego palca. W Los Angeles zdarzały się na drogach strzelaniny z błahszych powodów. Po raz pierwszy zlekłam się, że on może mieć na dole, przy nodze, prawdziwą broń.

Nacisnęłam pedał gazu i przekreśliłam znów kluczyk, wydając ciche ponaglenie. I o dziwo, silnik zakrzuszył się i ożył. Przerzuciłam bieg na luz, nacisnęłam pedał gazu, włączyłam reflektory i rozpędziłam silnik do pełnych obrotów. Strzałka woltomierza przechyliła się w prawo. Zainteresowałam się furgonetką, która właśnie zawracała na drugim końcu parkingu. Zwolniłam ręczny hamulec i wrzuciłam wsteczny bieg.

Wycofałam się na uliczkę, zmieniłam biegi i wjechałam w aleję prowadzącą w przeciwnym kierunku, próbując wypatrzeć w ciemnościach, co stało się z furgonetką. Słyszałam własne kołaczące mi w głowie serce, jakby strach wepchnął ten nieszczęsny organ pomiędzy uszy. Podjechałam do oznaczonego wyjazdu i, wychylona do przodu, szukałam oznak świadczących o tym, że furgonetka okrążyła kwartał. Ulica była pusta, o ile mogłam to stwierdzić. Poklepałam się po piersi w uspokajającym geście, który miał mi przywrócić spokój i przynieść pociechę. W gruncie rzeczy nic się przecież nie stało. Może kierowca się pomylił, wziął mnie za kogoś znajomego, a potem przekonał się o swoim błędzie. Ktoś, kto prowadził furgonetkę, obrócił się i symbolicznie strzelił do mnie z palca wskazującego, pstrykając kciukiem. Nie sądziłam, by to zdarzenie zasługiwało na ogólnokrajowy rozgłos.

Dopiero w połowie drogi przez miasto zauważyłam za sobą furgonetkę w odległości mniej więcej połowy kwartału. Widziałam teraz, że jeden przedni reflektor ma lekko przekrzywiony i światło skierowane w dół, jak ktoś zezujący jednym okiem. Rozejrzałam się na wszystkie strony, ale nie zobaczyłam żadnych aut ani pieszych. O tak późnej godzinie Nota Lake było wyludnione, sklepy pozamykane na noc i tylko tu i ówdzie oświetlone wewnątrz zimnym światłem. Nawet stacja benzynowa była nieczynna i spowijały ją ciemności. Latarnie uliczne rzucały dość przygnębiający blask na puste chodniki. Światła sygnalizacyjne zmieniały się bezdźwięcznie z zielonych na czerwone, a potem znowu na zielone.

Czy jest to problem, czy nie? Rozwahałam, co mam robić. Bak był do połowy pełny, a zatem miałam więcej niż dość benzyny, by dojechać do motelu. Nie podobało mi się jednak, że ktoś mnie śledzi, i nie chciałam posuwać się tak daleko, by próbować zgubić swojego prześladowcę. Szosa numer 395 prowadząca do Nota Lake Cabins wydawała się długą, nieprzerwaną, ciemną taśmą. Nieliczne lokale, które się przy niej znajdują, będą zamknięte na noc, to zaś oznacza, że w miarę jak okolica będzie coraz mniej zamieszkana, moja bezbronność będzie wzrastać. Zerknęłam we wsteczne lusterko. Furgonetka utrzymywała nadal tę samą odległość, dostosowując się do mojej prędkości - trzydziestu kilku kilometrów na godzinę. Czułam, że dygoczę z jakiegoś wewnętrznego zimna. Włączyłam ogrzewanie. Rozpaczliwie pragnęłam się rozgrzać, pragnęłam widoku jakiejś ludzkiej istoty. Czy ludzie nie wyprowadzają tu psów na dwór? Czy rodzice nie wybiegają po mleko albo po lekarstwo na kaszel dla dzieci chorych na krup? Może trafię na kogoś uprawiającego jogging i zamacham na niego. Chciałam, by kierowca furgonetki widział, że mam kogoś, kto mi pomoże.

Skręciłam przy następnej ulicy w lewo i minęłam trzy przecznice ze wzrokiem wbitym we wsteczne lusterko. W ciągu kilku sekund furgonetka pojawiła się za zakrę-

tem i podjęła znów obserwację. Jechałam na zachód, minęłam jeszcze sześć przecznic, po czym skręciłam ponownie w lewo. Ta ulica biegła równoległe do Main, choć była węższa i ciemniejsza. Spokojna dzielnica mieszkaniowa, nie świeciło się w żadnym domu. Zazwyczaj wożę ze sobą broń w aktówce schowanej za tylnym siedzeniem volkswagena, ale teraz jechałam wypożyczonym autem. Kiedy wyjeżdżałam z Santa Teresa, towarzyszył mi Dietz, po co mi więc była broń? Jedynym ryzykiem, jakie potrafiłam sobie wyobrazić, mogło być gnieźdzenie się w ciasnym mieszkaniu z inwalidą. Przy moim usposobieniu najbardziej przerażała mnie możliwość emocjonalnej klaustrofobii, a nie fizycznego zagrożenia.

Co kilka sekund nerwowo zerkałam we wsteczne lustro. Furgonetka nadal jechała za mną, świecąc jednym reflektorem na jezdnię, a drugim na mnie. Przeszłam wystarczająco wiele kursów samoobrony, by wiedzieć, że kobiety z natury mają trudności w ocenie ryzyka osobistego. Jeśli na ciemnej ulicy ktoś za nami idzie, to wiele z nas nie wie, kiedy podjąć akcję obronną. Oczekujemy znaku, że instynkt nas nie zawiódł. Nie chcemy wywoływać zamieszania, bo może się mylimy w ocenie sytuacji. Bardziej niepokoi nas to, że mogłybyśmy zaambarasować faceta, który za nami idzie. I wolimy nic nie robić, dopóki nie jesteśmy pewne, że on rzeczywiście ma nieczne zamiary. Poproś jakąś kobietę, by krzyczała, wzywając pomocy, a usłyszysz żałosny pisk, pozbawiony wewnętrznej siły i mocy odstraszenia. Dziwna rzecz, ale i ja odczuwałam to samo nastawienie psychiczne. Może ten facet w furgonetce po prostu wraca do domu, a ja przypadkiem wybrałam tę samą trasę, którą zamierzał jechać. Hm... hm... Z drugiej strony, jeśli tamten kierowca próbował mnie podłamać, to nie chciałam jakąś wyraźną reakcją sprawić mu satysfakcji.

Wzbraniałam się przed dodaniem gazu, przed bawieniem się w berka. Skręciłam znów w lewo i jadąc z niewielką prędkością, mijałam przecznicę za przecznicą. Przed sobą

w pobliżu skrzyżowania zobaczyłam centrum administracyjne Nota Lake z Biurem Szeryfa. Obok znajdowała się straż ogniowa, koło niej komisariat policji. Widziałam światła na zewnątrz, ale nie byłam pewna, czy tuż przed północą jest jeszcze czynny. Jechałam na luzie, z silnikiem na wolnych obrotach i z zapalonymi reflektorami. Furgonetka zrównała się ze mną i kierowca obrócił się jak przedtem, aby na mnie popatrzeć. Mogłabym przysiąc, że przez oblamowany na czerwono otwór na usta ujrzałam uśmiech. Nie zrobił żadnego gestu i odjechał po chwili pełnej napięcia. Chciałam zobaczyć numer rejestracyjny z tyłu wozu, ale tablice zaklejono taśmą i nic nie było widać. Furgonetka przyspieszyła, na skrzyżowaniu skręciła w lewo i zniknęła mi z oczu. Czułam, że wraz z podnoszeniem się poziomu adrenaliny rozjaśnia mi się umysł.

Odczekałam całych pięć minut, choć wydawały się wiecznością. Skontrolowałam wzrokiem ulice ze wszystkich stron, wykręcając sobie szyję, żeby sprawdzić teren za sobą, ktoś przecież mógł zbliżyć się pieszo. Bałam się zgasić silnik, bo obawiałam się, że nie uda mi się go znów uruchomić. Włożyłam dłonie między zaciśnięte kolana, usiłując rozgrzać zlodowaciałe palce. Uczucie lęku było równie namacalne jak gorączka, która mną trzęsła. Zauważyłam znowu światła reflektorów za sobą. We wstecznym lusterku zobaczyłam wyjeżdżający wolno zza rogu samochód.

Z gardła wydarł mi się okrzyk i nacisnęłam klakson. Donośny ryk naruszył nocną ciszę. Samochód podjechał i przystanął koło mnie, a wtedy zobaczyłam, że to wóz patrolowy, w którym siedzi James Tennyson z drogówki. Poznał mnie, opuścił szybę od strony kierowcy.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Nacisnęłam guzik na konsoli, otwierając w aucie okno od strony pasażera.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Ktoś mnie śledzi. Nie wiedziałam, co mogłabym innego zrobić, jak tylko przyjechać tu i zatrzeć.

- Proszę poczekać - powiedział. Zauważył miejsce do

parkowania po drugiej stronie ulicy i wjechał na nie zajęty pas krawężnika. Zostawił silnik na chodzie, przeciął jezdnię i obszedł auto, chcąc podejść z mojej strony, po czym przykucnął, żebyśmy mogli rozmawiać twarzą w twarz. -O co chodzi?

Wyjaśniłam sytuację, starając się nie przesadzać ani niczego nie przekreślić. Nie wiedziałam, jak go przekonać o swoim przerażeniu, ale on potraktował chyba poważnie moją opowieść, bo nie próbował wyperswadować mi strachu jako czegoś głupiego czy nieuzasadnionego. Oceniałam go na dwadzieścia kilka lat, toteż podejrzewałam, że

o obronie osobistej wiem więcej niż on. Tyle że on był policjantem w mundurze, a ten widok działa na mnie kojąco. Był poważny, uprzejmy, miał jasną gładką twarz

i niewinność młodości.

- Potrafię zrozumieć, że to panią przeraża. Mnie też by przyprawiło o gęsią skórkę - powiedział. - Może to ktoś, kto siedział w barze. Tutejsi ludzie zachowują się czasami dziwnie, jak sobie popijają. Wygląda na to, że czekał, aż pójdzie pani na parking.

- Pomyślałam to samo.

- Nie zauważyła pani kogoś, kto gapił się na panią w tawernie U Tiny?

- Absolutnie nie.

- Przypuszczalnie nie zamierzał zrobić pani krzywdy, nawet jeśli trochę panią wystraszył.

- A co z furgonetką? Chyba w takim mieście jak to nie ma zbyt wiele ciemnych furgonetek.

- Nie widziałem jej, ale patrolowałem szosę na południe od miasta. Przejeżdżałem przez skrzyżowanie i zauważyłem pani światła, więc zawróciłem. Myślałem, że może ma pani jakieś kłopoty z autem, ale nie byłem pewien. - Skinął głową w stronę komisariatu. - Oni nie pracują w nocy. Chce pani, żebym pojechał z panią do domu? Bardzo chętnie to zrobię.

- Proszę.

Eskortował mnie przez dziesięć kilometrów do motelu, jadąc przede mną, tak że mogłam nie spuszczać z oczu

patrolowego wozu. Nie dostrzegłam nawet śladu furgonetki. Dojechaliśmy do Nota Lake Cabins, zaparkowaliśmy obok siebie, odprowadził mnie do chatki i zaczekał, aż otworzę drzwi i zapalę w środku światło. Zamierzałam sprawdzić wewnątrz, ale wyciągnął ramię niczym strażnik pilnujący przejścia przez jezdnię przed szkołą podstawową.

- Pani pozwoli, że ja to zrobię.

- Doskonale, proszę bardzo - powiedziałam.

W takich sprawach nigdy się nie upieram. Jestem silną, niezależną kobietą, a nie jakąś idiotką. Wiem, kiedy trzeba przekazać zadanie policjantowi; komuś, kto ma broń, pałkę, kajdanki i pensję. On dokonywał pobieżnej inspekcji, a ja szłam tuż za nim na lekko drżących nogach, czując się jak postać z rysunków satyrycznych. Gdyby wyskoczyła skądś mysz, wrzasnęłabym jak głupia.

Zajrzał do garderoby, za drzwi łazienki. Odsunął na bok zasłonę od prysznicza, potem ukląkł i popatrzył pod łóżko. Chatka nie zrobiła na nim lepszego wrażenia niż na mnie.

- Nigdy nie byłem w żadnej z nich w środku. Sądzę, że nie dałbym się na nią skusić. Czy pani Boden nie uznaje ogrzewania?

- Przypuszczam, że nie. Wstał, otrzepał sadzę z kolan.

- Ile sobie za nią liczy?

- Trzydzieści dolców za noc.

- Aż tyle? - Potrząsnął ze zdumieniem głową. Upewnił się, że okna są zamknięte. Zaczekałam w środku, a on obszedł chatkę dokoła, przyświecając sobie latarką. Wrócił pod drzwi. - Wydaje mi się, że nikogo nie ma.

- Miejmy nadzieję.

Utkwił wzrok w mojej twarzy.

- Mogę panią zabrać gdzie indziej, jeśli pani chce. Mamy motele w centrum miasta, jeśli myśli pani, że czułaby się tam bezpieczniej. I byłoby tam też cieplej.

Przez moment się nad tym zastanawiałam. Byłam jed-

nak podniecona i wyczerpana zarazem. Przenosiny o tej porze byłyby kłopotliwe.

- Tu jest nieźle - powiedziałam. - Nie widziałam ani śladu tej furgonetki po drodze. Może to był po prostu głupi kawał.

- Na to bym nie liczył. Świat pełen jest postrzelenców. Niech pani nie lekceważy czegoś takiego. Może zechciałaby pani rano skontaktować się z policją i zgłosić meldunek. Nie zawadziłoby przygotować grunt na wypadek, gdyby znowu doszło do czegoś takiego.

- Dobra myśl, tak zrobię.

- Ma pani latarkę? Niech pani weźmie teraz moją, może mi ją pani zwrócić rano. Mam drugą w aucie. Poczuje się pani lepiej z jakimś orężem przy sobie.

Wzięłam latarkę, oceniając w ręce jej znaczną wagę. Rzeczywiście, gdyby kogoś nią walnąć w głowę, można by go załatwić. Gdyby kant trafił we właściwe miejsce, ujrzałabym rozplątany skalp. Miałam ochotę poprosić jeszcze o pałkę i radio, ale nie chciałam pozbawiać go całego wyposażenia.

Uniosłam latarkę.

- Dziękuję. Oddam ją jutro z samego rana.

- Nie ma pośpiechu.

Kiedy poszedł, zamknęłam drzwi, po czym skrupulatnie skontrolowałam chatkę, robiąc to, co przedtem on zrobił. Upewniłam się, że okna są zamknięte, zajrzałam pod wszystkie meble, do szaf, za zasłony. Pogasiłam światła i przyzwyczajałam oczy do ciemności, potem przeszłam od jednego okna do drugiego i sprawdziłam, co dzieje się na zewnątrz. Ciemność nie była całkowita. Gdzieś wysoko świecił księżyc, zalewając srebrzystą poświatą okoliczne lasy. Pnie brzoź i platanów połyskiwały jak pokryte lodem. Wiecznie zielone drzewa rosły gęsto, wydawały się na tle nocnego krajobrazu niekształtne i nieubłagane. Powinnam była przenieść się do innego motelu. Przeszkadzała mi ta izolacja od ludzi, życzyłabym sobie znaleźć się bezpiecznie ukryta w hotelu którejs z wielkich sieci - Hyatta lub Marriotta - z set-

kami identycznych pokoi i licznymi ochroniarzami. W obecnej sytuacji nie miałam ani telefonu, ani sąsiadów w pobliżu. Wynajęty samochód stał na parkingu odległym co najmniej o trzysta metrów, tak że gdybym musiała szybko wyjechać, niełatwo byłoby do niego dotrzeć.

Oparłam czoło o szybę. Na szosie widziałam błyski reflektorów przejeżdżających aut, ale żadne z nich chyba nie zwolniło i żadne nie wjechało na motelowy parking. W takich chwilach jak ta tęskniłam za jakimś mężem czy psem, ale nigdy nie mogłam się zdecydować, który na dłuższą metę okazałby się bardziej kłopotliwy. Mężowie przynajmniej nie szczekają i można ich wychować.

Nie rozbierałam się, zęby wyczyściłam po ciemku i umyłam twarz pod cieniutką stróżką wody. Często robiłam przerwy i wsłuchiwałam się w ciszę. Zdjęłam buty, ale postawiłam je obok łóżka, by móc ich łatwo dosięgnąć. Wpełzłam pod kołdrę i oparłam się o poduszki z latarką w ręce. Dwukrotnie wstawałam i wyglądałam przez okna, nic jednak nie zobaczyłam i w końcu odzyskałam spokój.

Spałam niezbyt dobrze, ale przy świetle poranka poczułam się lepiej.

Rozkoszowałam się gorącą wodą przez całe trzy minuty, zanim rury zaczęły hałasować. Udałam się na szosę. Ranek był mroźny i słoneczny, powietrze przejrzyste jak szkło. Czulałam zapach piaszczystej gleby i sosnowego igliwia. Ani śladu furgonetki. Nikt w kominiarce się nie zatrzymał, żeby mi się przyjrzeć. Zjadłam śniadanie w Tęczy, czerpiąc pewną otuchę z doczesnej natury tego miejsca. Obserwowałam kucharkę przygotowującą szybkie dania, młodą Murzynkę, która pracowała z niezwykle efektywnością i skupieniem.

Potem pojechałam do Selmy.

W kuchni zastałam też jej szwagierkę Phyllis. Obie pracowały przy stole zasłanym papierami. Leżały tam roz-

łożone teczki, listy nazwisk na oficjalnych blankietach z przyklejonymi tabliczkami. Wywnioskowałam, że zajmują się rozmieszczeniem osób na jakiejś klubowej imprezie, dyskutując nad tym, kto ma siedzieć obok kogo, żeby zabawa była jak najlepsza, a konfliktów jak najmniej.

- Skądże, nie robiłabym tego - powiedziała Phillis. - Ci faceci lubią się nawzajem, ale panie ze sobą nie rozmawiają. Nie pamiętasz tej historii między Ann Carol a Joanną?

- Chyba nie wściekają się wciąż z tego powodu?

- Oczywiście, że tak.

- Nie do wiary.

- Zaufaj mi. Posadzisz je razem i zaraz będziesz mieć wojnę. Widziałam, jak Joanna rzuciła w Ann Carol jednym z tych twardych rogalików. Palnęła ją prosto w oko i nabiła jej wielkiego siniaka.

Selma zrobiła przerwę, żeby zapalić papierosa, i studiowała schemat.

- A może posadzić ją przy stole numer trzynastcie? Phyllis miała smutną minę.

- Myślę, że to by było jakieś wyjście. Nieciekawe, ale ostatecznie niezłe. Przynajmniej Ann Carol nikt nie zaatakuje i nie rzuci w nią drożdżówką.

Selma popatrzyła na mnie.

- Dzień dobry, Kinsey. Co masz w planie na dziś? Już tu kończysz?

- Prawie - odparłam. Zerknęłam na Phyllis, zastanawiając się, czy mam mówić w jej obecności.

Selma zauważyła moje wahanie.

- W porządku. Mów dalej. Nie musisz się nią przejmować. Ona to wszystko wie.

- Kiepsko mi idzie. Nie wątpię w prawdziwość twojej relacji, jestem pewna, że Tom czymś się martwił. Inni też mi mówili, że był jakby odmieniony. Nie mogę jednak znaleźć żadnej wskazówki, co go gnębiło. Doprawdy nie jestem teraz lepiej poinformowana niż na początku. To przygnębiające.

Na twarzy Selmy pojawiło się rozczarowanie.

- To dopiero dwa dni - szepnęła.

Phyllis lekko się skrzywiła, wyrównując stertę papierów przed sobą. Miała nadzieję, że coś zasugeruje, ale nie odezwała się, mówiłam więc dalej.

- Tak, to prawda. I zawsze jeszcze istnieje szansa, że coś nagle wyskoczy. Na razie jednak nie mam nic. Pomyślałam sobie, że powinnaś o tym wiedzieć. Zdam ci szczegółową relację, jak znajdziesz trochę czasu.

- Przypuszczam, że się starasz - powiedziała Selma. - Jeśli chcesz się napić, kawa jest gorąca. Zostawiłam ci kubek, tam koło tego dzbanuszka z mlekiem.

Podeszłam do ekspresu i nalałam kawy do kubka. Potem szybko powąchałam mleko, zanim dodałam je do kawy. Zastanawiałam się, czy wspomnieć o historii z furgonetką, lecz nie widziałam w tym sensu. Obie panie zabrały się znowu do pracy i nie chciałam wywoływać ich zaniepokojenia czy domysłów. Mogłam zapewnić sobie trochę współczucia, ale co mi to da.

- Zobaczymy się niedługo - rzekłam. Nawet nie uniosły głowy. Wzruszyłam ramionami i skierowałam się do gabinetu.

Stałam w drzwiach, popijając kawę i patrząc na nieporządek, jaki wciąż tam panował. Przekopywałam się metodycznie przez cały ten bałagan, osiągnęłam jednak tylko częściowy rezultat. Wiele spraw doprowadziłam do połowy, a te, które ukończyłam, nie dały mi niczego, żadnych konkretnych informacji. Kierowałam się prostą przesłanką, że jeśli Tom Newquist coś planował, to jakiś ślad musiał gdzieś pozostać. Znalazłam mnóstwo różnych dziwnych papierów, których nie potrafiłam sklasyfikować. Większość z nich ułożyłam na biurku według klucza niewidocznego gołym okiem. Znalazłam się na dnie i nie wiedziałam, co robić dalej. Wyparował ze mnie cały entuzjazm i cała ta robota wydawała mi się nienawistna i bezsensowna. Pod ścianą stało już sześć tekturowych pudeł wypchanych teczkami, które oznaczyłam i posortowałam: stare formularze podatkowe, gwarancje, polisy ubezpieczeniowe, wyceny majątkowe, różne kwity, rachunki tele-

foniczne, pokwitowania zakupów płaconych kartami kredytowymi. Nadal ani śladu notatnika Toma, ale mógł zostawić go w komendzie. Zanotowałam sobie w pamięci, żeby zapytać o to Rafera.

Postawiłam kubek na pustej półce, wzięłam następne tekturowe pudło i zaczęłam sprzątać biurko. Wkładałam te papierzyska do pudła bez specjalnego celu poza jednym - chciałam oczyścić przestrzeń. Byłam tu w charakterze detektywa, a nie posługaczki domowej. Kiedy uprzątnęłam biurko, poczułam się lepiej. A to dlatego - jak mogłam teraz stwierdzić - że cały bibularz był pokryty gryzmołami: bazgroły, numery telefonów, chyba numery spraw, psy i koty w rozmaitych pozach, terminy spotkań, nazwiska i adresy, rysunki aut z płomieniami buchającymi z rury wydechowej. Niektóre cyfry narysowane były trójwymiarowo, techniką, którą niekiedy posługiwałam się i ja w czasie telefonowania. Niektóre notatki były zakreślone piórem, inne ujęte w ramki i zaczernione kreskami różnej grubości. Patrzyłam na całość, jakby chodziło o hieroglify, po czym przyglądałam się po kolei każdemu bazgrołowi. Szkice przypominały rysunki uwielbiane w czasach mojego dzieciństwa przez szóstoklasistów - sztylety i krew, i rewolwer, z którego wylatywały wielkie kule i trafiały w czyjąś głowę. Jedyne rysunek, jaki się tam powtarzał, przedstawiał gruby sznur z pętlą na końcu - coś jakby stryczek. Narysowano go dwukrotnie: raz z przekreślonym numerem telefonicznym w środku, za drugim razem - z szeregiem numerów telefonicznych i ze znakiem zapytania. W jednym z rogów bibularza znajdował się ręcznie namalowany kalendarz na luty ze starannie zaczernionymi cyferkami. Przyjrzałam mu się i stwierdziłam, że daty nie pasują do lutego w tym roku. Pierwszy wypadał w niedzielę, a dwie ostatnie soboty miesiąca były wykreślone. Poświęciłam sporo czasu na sporządzenie listy wszystkich numerów telefonicznych i numerów spraw.

Zaintrygowana, sięgnęłam po teczkę z rejestrem rozmów telefonicznych z ostatnich sześciu miesięcy, licząc

na jakieś odkrycie. Znalazłam się chwilowo na bocznym torze, natrafiwszy na siedem telefonów poprzedzonych numerem kierunkowym 805, który obejmuje okręg Santa Teresa, a także Perdido na południe i San Luis Obispo na północ od nas. Jeden z tych numerów rozpoznałam, był do Biura Szeryfa Okręgu Perdido. W odstępie mniej więcej dwu tygodni sześciokrotnie telefonowano pod inny numer. Ostatnia rozmowa odbyła się pod koniec stycznia, kilka dni przed śmiercią Toma. Pod wpływem nagłego impulsu sięgnęłam po aparat i wykreciłam ten numer. Po trzech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszałam kobiecy głos oznajmiający standardowo: - Przykro mi, że jestem chwilowo nieobecna i nie mogę odebrać tego telefonu. Proszę zostawić swoje nazwisko, numer i wiadomość. Oddzwonię najszybciej, jak będę mogła. Proszę mówić tak długo, jak potrzeba, i pamiętać, że należy poczekać na długi sygnał. - Był to głos gardłowy, głos osoby dojrzałej, ale dowiedziałam się z tego telefonu tylko tyle. Zaczekałam na długi sygnał, po czym zrezygnowałam z pozostawienia wiadomości, cicho odkładając słuchawkę i nie mówiąc ani słowa. Może to znajoma Selmy. Przy najbliższej okazji będę musiała ją o to spytać.

Zanotowałam ten numer i wróciłam do roboty. Starłam się porównać numery z rachunków telefonicznych z tymi z bibularza i to dało efekt. Wyglądało na to, że ktoś - pewnie Tom, jak zakładałam - dzwonił pod numer, który widniał przekreślony w środku jednej pętli. Numer ten zapisano bez kierunkowego 805. Wykreciłam go i słuchawkę ktoś podniósł.

- Gramercy. Do kogo przełączyć?
- Gramercy?
- Tak, proszę pani.
- Czy to Hotel Gramercy w Santa Teresa?
- Tak jest.
- Przepraszam, to pomyłka.

Przycisnęłam widelki i rozłączyłam się. Dziwne. Gramercy to podły hotel na końcu State Street. Dlaczego

Newquist miałyby tam dzwonić? Zakreśliłam kółeczkiem w swoich notatkach ten numer, postawiłam przy nim znak zapytania i powróciłam do przeglądania rachunków telefonicznych. Nie znalazłam żadnego innego numeru, który wydawałby się ważny. Postawiłam kolejne tekturowe pudło na biurku i znów zajęłam się pakowaniem.

Przy dziesiątym zrobiłam sobie przerwę, żeby rozprostować nogi i wykonać kilka przysiadów. Musiałam jeszcze powyjmować rzeczy z dolnych szafek, z których dwie miały drzwiczki szerokości półek na książki. Postanowiłam uporać się z najgorszym zadaniem. Uklękłam i zaczęłam wyciągać pudła z lewej strony. Szafki były bardzo głębokie, tak że musiałam wsunąć do środka głowę i ramiona, żeby sięgać do samego końca. Wytaszczyłam stamtąd dwa pudła, potem usiadłam na podłodze i zaczęłam przeglądać ich zawartość.

Na wierzchu drugiego trafiłam na dwa niebieskie skoroszyty, które wyglądały obiecująco. Tom najwidoczniej miał fotokopie większości protokołów spraw z Biura Szeryfa. Znalazłam tam rejestr nie wyjaśnionych zbrodni - w dalszym ciągu aktualny, nie przekazany do archiwum, choć pozółkły i z datami sprzed wielu lat. Były to sprawy, do których detektywi wracali, gdy tylko pojawiły się jakieś nowe informacje albo dodatkowe tropy. Przerzucałam te materiały z zainteresowaniem. Obejmowały przestępstwa popełnione w Nota Lake od roku 1935 do dziś. Można się było zorientować, nawet czytając między wierszami, że we wczesnych sprawach nie przywiązywano wielkiej wagi do praw podsądnych. W roku 1942 pojęcie „prawa ofiary” wydawałoby się raczej dziwnym pomysłem. W tamtych czasach ofiara miała prawo do zadośćuczynienia w sądzie, obecnie w rozprawie nie chodzi o winę czy niewinność. To batalia umysłów, w której rywalizujący ze sobą prawnicy niczym intelektualni gladiatorzy szermują argumentami. Cechą dobrego adwokata jest umiejętność przedstawienia danych faktów w takim świetle, że czary-mary i już to, co wydawało się stuprocentowo pewne, okazuje się

sfabrykowane albo zamienia się w podstępny spisek ze strony policji lub władz. Jakimś cudem sprawca staje się ofiarą, a o nieboszczyku w ogóle się zapomina.

- Kinsey! Podskoczyłam.

W drzwiach stała Phyllis.

- Cholera, przestraszyła mnie pani - powiedziałam. -Nie słyszałam, jak pani weszła.

- Przepraszam. Idę już do domu. Mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

- Oczywiście. Niech pani tu wejdzie.

- Na osobności - dodała i obróciła się na pięcie.

Wstałam z podłogi i poszłam za nią do holu. Za plecami słyszałam Selmę rozmawiającą z kimś przez telefon. Kiedy dotarłyśmy do drzwi frontowych, Phyllis otworzyła je i wyszła na ganek. Po chwili wahania dołączyłam do niej, odsuwając się na bok, gdy przyciągała i zamykała drzwi za nami. Dmuchnął lodowaty ziąb. Niebo się zamglilo, z gór w oddali zsuwały się ciężkie, ołowiane chmury. Skrzyżowałam ręce na piersiach i zestawiłam stopy, próbując ocalić ciepło ciała przed atakiem zimna.

Phyllis ubrana była w cienką bawełnianą bluzkę, nadającą się bardziej na letni piknik. Na nogach miała zrolowane tenisowe skarpetki z pomponikami, które opadały na tył sportowych butów. Nie miała ani płaszcza, ani kurtki. Mówiła przyciszonym głosem, jakby Selma mogła stać pod drzwiami.

- Jest coś, o czym powinnam, jak sądzę, wspomnieć przy nadarzającej się okazji.

- Nie jest pani zimno? - spytałam. Stała na ganku z gołymi rękami, w kusej bawełnianej bluzce, a wiatr podwiewał jej spódnicę, obnażając gołe nogi. Ja byłam w golfie z długimi rękawami i w dżinsach, a i tak niemal doznałam szczękościsku, usiłując powstrzymać szczekanie zębami.

Machnęła lekceważąco ręką na przeraźliwe zimno.

- Jestem do tego przyzwyczajona. Nie przeszkadza mi. To potrwa tylko chwilkę. Powinnam była coś powiedzieć już wcześniej, ale nie miałam okazji.

Jak na połowę marca twarz miała nadzwyczajnie opaloną. Domyśliłam się, że tę opaleniznę zawdzięcza jeżdżeniu

na nartach, bo reszta skóry pozostała blada. Twarz miała mocno pomarszczoną, od kącików oczu biegły promieniście kurze łapki, usta ujęte jakby w nawias. Nos miała długi i prosty, zęby białe i równe. Sprawiała wrażenie takiej właśnie osoby, którą chciałoby się mieć przy sobie w chwili przygnębienia: miłej i przydatnej, a przy tym nie zanadto gorliwej.

Ostry wiatr rozwiewał suche trawy w ogródku. Zacisnęłam usta, próbując powstrzymać się od skomlenia jak pies. Oczy łzawiły od zimna. Niedługo zaczniesz mi ciec z nosa, a nie miałam chusteczki. Pociągnęłam nosem, usiłując opóźnić moment, kiedy będę musiała posłużyć się rękawem. Skoncentrowałam się na Phyllis, która już zaczęła swoją opowieść.

- Wie pani, Macon poszedł do pracy w Biurze Szeryfa ze względu na Toma. Zawsze byli bardzo ze sobą zżyci mimo różnicy wieku. I kiedy Tom ożenił się z Selmą, życzyliśmy mu oczywiście wszystkiego najlepszego.

- Czy w tym mieście nie ma innej pracy? Wszyscy, których poznałam, zatrudnieni są w organach ścigania.

Phyllis uśmiechnęła się lekko.

- Wszyscy się znamy. Utrzymujemy ze sobą kontakty towarzyskie, zupełnie jak członkowie jakiegoś klubu.

- Tak przypuszczam - powiedziałam, błagając ją w myślach, żeby się pospieszyła, bo zamarzałam na kość.

- Tom był cudownym człowiekiem. Myślę, że pani sama się o tym przekona, jak zaczniesz o niego pytać.

- Każdy to mówi. Większość osób chyba wolała jego od niej - zauważyłam.

- Och, Selma ma swoje zalety. Nie każdy ją lubi, ale ona jest w porządku. Nie twierdzą, że się bardzo przyjaźnimy... w gruncie rzeczy nie jesteśmy zbyt ze sobą zżyte, co może wydawać się dziwne, bo mieszkamy o dwa domy dalej... Tyle że można widzieć czyjeś wady, a mimo wszystko lubić tego kogoś za jego dobre strony.

- Oczywiście. - Nie, żebym się w pełni z nią zgadzała, rozumiałam jednak, o czym mówi. Miałam ochotę machnąć ręką w geście ponaglenia: No już, już.

- Selma skarżyła się od miesiący na Toma. Przypuszczam, że chodziło o to samo, o czym mówiła pani. We wrześniu... to było jakieś sześć miesięcy temu... Tom i Macon pojechali na pokaz broni do Los Angeles, a ja się z nimi zabrałam. Selmy to nie interesowało, miała zresztą jakąś wielką uroczystość w ten weekend, nie wybrała się więc z nami. Krótko mówiąc, zobaczyłam przypadkiem Toma z tą kobietą i pamiętam, że pomyślałam sobie: no, no. Wie pani, co mam na myśli. Nie wydawało mi się stosowne to, jak się ku sobie pochylali. Ujmijmy to w taki sposób. Ta dziewczyna była zainteresowana. Zauważyłam, jak na niego patrzyła.

Poczułam przyływ irytacji. Nie chciałam wierzyć, że mówi mi coś takiego.

- Szkoda, że mówi pani o tym dopiero teraz. Ja tu się morduję, przekopując te śmieci, a teraz słyszę, że „zmartwienie” Toma nie ma nic wspólnego z tymi papie-rzyskami.

- No właśnie o to chodzi. Tak naprawdę to ja nie wiem. Pytałam Maconą o tę babkę, a on mi powiedział, że to jest detektyw szeryfa na teren wybrzeża. Chyba okrąg Perdido, mogę się jednak mylić. W każdym razie Macon mówił, że widział ją z Tomem przy paru okazjach. Kazał mi trzymać język za zębami i ja trzymałam, choć czułam się okropnie. Selma planowała to wielkie rocznicowe przyjęcie w klubie, a ja wciąż myślałam, czy Tom, no, wie pani... czy się z kimś nie zaplątał, bo jeśli tak, to Selma wyjdzie na idiotkę. Daję słowo, co to za poniżenie, gdy twój mąż ma romans i wie o tym całe miasto, tylko ty jedna nie. Nie wiem, czy przeżyła pani kiedy coś takiego...

- Więc pani jej powiedziała - zasugerowałam, próbując ją przebić jak w grze w damę. Z jej komentarza wywnioskowałam, że doznała ze strony Maconą takiego właśnie poniżenia, jakie ku jej przerażeniu groziło Selmie.

Phyllis zrobiła niewyraźną minę.

- Nie, nie powiedziałam. Nigdy się na to nie zdobyłam. Nie cierpię sprzeciwiać się Maconowi, bo on się

piekli, ale rozważałam to w duchu. Przepadałam za Tomem i nie mogłam się zdecydować, ile winna jestem Selmie jako swojej szwagierce. To znaczy czasami przyjaźń ma pierwszeństwo mimo wszystko. Z drugiej strony, mówiąc coś takiego, nie zawsze wyświadcza się komuś przysługę. Niekiedy to jest działanie nieprzyjazne. Tak właśnie na to patrzę. W każdym razie następna rzecz, o której wiedziałam, to to, że Tom umarł, a Selma pogrążyła się w rozpacz. Od tej pory czuję się okropnie. Gdybym powiedziała jej o swoich podejrzeniach, mogłaby postawić się Tomowi i położyć temu kres.

- Wie pani na pewno, że on miał romans?

- No nie, w tym cały kłopot. Myślałam, że Selmę trzeba ostrzec, nie miałam jednak żadnego dowodu. Dlatego właśnie tak się wahałam. Macon uważał, że to nie nasza sprawa, a mając go za plecami, znalazłam się między młotem a kowadłem.

- Dlaczego mówi mi pani o tym teraz?

- To pierwsza okazja, jaka mi się nadarzyła. Kiedy słuchałam pani w kuchni, uświadomiłam sobie, jakie to musi być frustrujące z pani punktu widzenia. To znaczy, może zdołałaby pani znaleźć jakiś dowód, wiedząc, gdzie go szukać. Jeśli on się pie... źle prowadził, tak to okreśmy, to musiał zostawić jakieś ślady, chyba że był sprytniejszy od większości mężczyzn.

Frontowe drzwi się otworzyły i Selma wychyliła głowę.

- Tutaj jesteście. Już myślałam, że poszłyście sobie i zostawiłyście mnie samą. Co się dzieje?

- Po prostu sobie gadamy - odparła Phyllis, nie tracąc kontenansu. - Szłam do domu, a ona była tak miła, że zechciała mnie odprowadzić.

- Spójrz na nią! Zamarzła. Na miłość boską, pozwól biedaczce wejść do środka i odtajać.

Z wdzięcznością wbiegłam do domu, a one tymczasem umawiały się na dalszy ciąg pracy nazajutrz. Poszłam do kuchni, gdzie umyłam ręce. Powinnam była wziąć pod uwagę w tej sprawie inną kobietę. To mogło tłumaczyć,

dłaczego kumple Toma tak go osłaniali. Mogło też tłumaczyć sześć telefonów z numerem kierunkowym 805 do nie zidentyfikowanej kobiety, której głos słyszałam z automatycznej sekretarki.

Po kilku minutach w kuchni zjawiła się Selma, bardzo podniecona.

- No, to już szczyt wszystkiego! Aż nie chce mi się wierzyć. Powiedziała mi właśnie o przyjęciu w sąsiedztwie. A czy mnie zaproszono? Oczywiście, że nie. Jestem teraz wdową, to mnie odrzucają jak gorący kartofel. Znam przyjaciół Toma... faceci to by mnie zaprosili, ale wiesz, jakie są baby. One czują się zagrożone na myśl o samotnej, wolnej kobiecie. Kiedy żył Tom, należeliśmy do paczki, z którą wszędzie chodziliśmy. Na koktajle, na kolacje, na tańce w klubie. Zawsze zapraszano nas do towarzystwa, a po jego śmierci nigdzie od tyłu tygodni nie byłam. Przez pierwszych parę dni oczywiście wszyscy oferowali pomoc i wsparcie. Obiecanki cacanki. Tak o tym myślę. Teraz siedzę w domu co wieczór i nawet nikt nie zadzwoni, chyba że z czymś takim jak to. Kusy ogon, tak to nazywam. Stara dobra Selma zawsze się nadaje do pracy w komitecie. Pracuję i pracuję. Naprawdę staram się ze wszystkich sił, no i po co? Te babki są tylko szczęśliwe, że mogą zrzucić na kogo innego odpowiedzialność. Oszczędzają się, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Ale, Selmo, to dopiero sześć tygodni. Może chcą okazać szacunek, dając ci czas na żałobę.

- Jestem pewna, że taka jest ich wersja - powiedziała kwaśno.

Wymyśliłam jakąś odpowiedź, mając nadzieję, że odwiędę ją od tego tematu. Miała fałszywe wyobrażenie o własnej osobie i zastanawiałam się, co by się stało, gdyby mogła popatrzeć na siebie oczami innych. To właśnie wielka pretensjonalność zrażała do niej ludzi, a nie brak pewności siebie. Selma chyba nie zdawała sobie sprawy, że budzi pogardę swoim snobizmem.

Otrząsnęła się ze złego humoru.

- Dość już tych żalów. To niczego nie zmieni. Mam ci

przygotować coś do zjedzenia? Podgrzewam zupę i mogę jeszcze zrobić opiekane sandwicze z serem.

- Brzmi to zachęcająco - odparłam. Miałam wyrzuty sumienia, że korzystam z jej gościnności, a z ust różnych ludzi wysłuchuję zdecydowanie krytycznych o niej opinii. Mówiłam sobie, że to tylko część zbieranych przeze mnie informacji, ale przecież mogłam protestować przeciw zjadliwości, z jaką te opinie wygłaszano. Orientując się już teraz w kuchni, otworzyłam drzwiczki kredensu, by wyjąć miseczki do zupy i talerze.

- Czy Brant zje z nami?

- Wątpię. Wciąż jest jeszcze w swoim pokoju i zapewne nie istnieje dla świata. Chodzi na treningi trzy razy w tygodniu, a w pozostałe ranki lubi się wysypiać. Niech no sprawdzę. - Zniknęła na chwilę, po czym wróciła, potrząsając głową. - Zaraz przyjdzie - oznajmiła. - Może opowiesz mi teraz, co dotąd ustaliłaś.

Wyjęłam jeszcze jeden talerz i miseczkę, z szuflady ze sztućcami wzięłam łyżki. Kiedy ona podgrzewała zupę i opiekała sandwicze, ja składałam sprawozdanie ze swoich dotychczasowych działań, informowałam, gdzie byłam i z kim rozmawiałam. Moje wysiłki wypadły dość blado w relacji ustnej. To, co powiedziała Phyllis, otworzyło przede mną nowy szlak do zbadania, ale nie chciałam o nim wspominać, miałam bowiem do czynienia jedynie z podejrzeniami. Selma nigdy nawet nie sugerowała możliwości istnienia innej kobiety, a ja nie zamierzałam wprowadzać tego tematu bez jakiegoś szczególnego powodu.

Brant zjawił się, kiedy siadałyśmy do stołu. Był w dzinsach i kowbojkach, a czyściutki biały trykot podkreślał rezultaty jego ćwiczeń kulturystycznych. Selma rozlała zupę do miseczek i położyła na każdym talerzu przekrojony na pół sandwicz.

Zaczęliśmy jeść w ciszy, która wydała mi się dość denerwująca.

- Co pana skłoniło do tego, by zostać ratownikiem? - spytałam.

Zaskoczyłam Branta w momencie, gdy miał pełne usta.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i sygnalizując odłożenie odpowiedzi, pośpiesznie łykał jedzenie.

- Miałem paru przyjaciół w straży pożarnej, zrobiłem więc sześciomiesięczny kurs. Bandażowanie i jazdy. Tom liczył, jak myślę, że pójdę pracować do Biura Szeryfa, ale ja nie widziałem siebie w tej pracy. Lubię to, co robię. Wie pani, zawsze to coś jest.

Pokiwała głową, wciąż jedząc.

- Czy to taka praca, jakiej się pan spodziewał?

- Jasne. Tylko więcej frajdy - odparł.

Mogłabym jeszcze o coś zapytać, ale zauważyłam, że spogląda na zegarek. Połknął ostatni kęs sandwicza i zmiął papierową serwetkę. Odszedł od stołu, zabierając ze sobą talerz i do połowy opróżnioną miseczkę, stanął przy zlewie i wypił parę łyków zupy, zanim opłukał miseczkę i wstawił do zmywarki.

Selma machnęła ręką.

- Ja to zrobię.

- Już to zrobiłem - powiedział, dokładając jeszcze swój talerz. Usłyszałam brzęk łyżki wpadającej do pojemnika na sztućce na moment przed zatrzaśnięciem drzwiczek zmywarki. Cmoknął matkę w policzek. - Zostaniesz tu jeszcze przez chwilę?

- Mam zebranie w kościele. A ty?

- Chyba pojedę do Independence i zobaczę się z Sherry.

- Wrócisz dziś na noc?

- Nie liczyłbym na to - odparł.

- Jedź ostrożnie.

- To całych czterdzieści kilometrów. Myślę, że sobie poradzę.

Chwycił pozostałe cztery ciasteczka z talerza i z uśmiechem włożył jedno do ust.

- Lepiej upiecz więcej ciastek. To była mała porcja - powiedział. - Do zobaczenia.

Selma wyjechała po lunchu, nie miałam więc okazji pogadać z nią o tym, co zaczynało mnie kusić: o szybkim

wypadzie do Santa Teresa i wzięciu własnego samochodu. Wypożyczyłam auto ponad trzy tygodnie temu i moje koszty codziennie wzrastały. Nie planowałam też dłuższego pobytu w Nota Lake, w związku z czym miałam ograniczony zapas ubrań. Marzyłam o spędzeniu choćby jednej nocy we własnym łóżku. Jak tylko znajdę się w domu, będę mogła zbadać sprawę tej babki - detektywa szeryfa. Wszystkie tutejsze sprawy mogłyby zaczekać do mojego powrotu do Nota Lake.

Tymczasem nadeszła pora pogadania z tutejszym Wydziałem Policji. Wobec pojawienia się nowego tropu nie wiedziałam, jak wydarzenie z ostatniej nocy można by powiązać z moim śledztwem, ale pomyślałam, że na wszelki wypadek mądrze będzie o nim zameldować. Zostawiłam wiadomość Selmie, narzuciłam skórzaną kurtkę, zabrałam swoją torbę na ramię i pojechałam.

Wydział Policji w Nota Lake mieści się w zwykłym parterowym budynku z tynkowaną fasadą, granitowym wejściem i dwoma granitowymi stopniami. Ramy okien i drzwi z witrażowym szkłem zrobione są z aluminium. Strzałka poniżej narysowanej postaci na wózku wskazuje dogodne wejście gdzieś po lewej stronie. Krzaki wzdłuż frontu są przycięte na wysokości okien, a na maszcie powiewają dwie flagi: Stanów Zjednoczonych i stanu Kalifornia. Sześć anten radiowych ustawiono na dachu niczym wędki w rzędzie.

Podobnie jak budynek Wydziału Straży Ogniowej w Nota Lake, stojący obok, i ten odznacza się niewymyślną architekturą, jest ściśle funkcjonalny. Nie szastano tu dolarami podatników.

Wnętrze dostosowane do surowego wystroju zewnętrznego bardzo przypominało Biuro Szeryfa o dwa domy dalej: niski sufit z panelami jarzeniówek i płytkami antyakustycznymi, metalowe szafki, kontuary z laminatu imitującego drewno. Widziałam na biurkach tyły dwu monitorów oraz pudło komputera, z którego wyrastały niczym napowietrzne korzenie niezliczone przewody elektryczne.

Funkcjonariusz dyżurny M. Corbet miał czterdzieści parę lat, gładką okrągłą twarz, rzadziejące włosy i trudności z oddychaniem.

- Mam astmę, nie jakąś zakaźną infekcję, jak mogłaby pani pomyśleć - wyjaśnił. - Szkodzi mi chłodne powietrze, a to suche ciepło też nie pomaga. Przepraszam na sekundę. - Wsunął między wargi inhalatorów i wciągnął głęboko w płuca mgiełkę rozszerzającą oskrzela. Potem potrząsając głową, odłożył go na bok. - To coś okropnego. Nigdy w życiu nie miałem żadnych kłopotów ze zdrowiem, dopiero teraz od paru lat. Okazało się, że jestem uczulony na kurz, sierść zwierząt, pyłek kwiatowy i pleśń. I co człowiek ma zrobić? Jedyne sposobem na to, jaki znam, to przestać oddychać.

- To raczej trudne - powiedziałam.

- Lekarz mówi, że coraz więcej ludzi cierpi na alergię. Jedną z jego pacjentek jest uczulona na powietrze w domu. Syntetyki, chemikalia, bakterie docierające kanałami grzewczymi. Biedna kobieta musi ciągać ze sobą wszędzie, gdzie pójdzie, butlę z tlenem. Traci przytomność i mdleje, gdy zetknie się z jakimkolwiek obcym alergenem. Na szczęście ze mną jeszcze nie jest tak źle, choć szef musiał wycofać mnie z czynnej służby i posadzić za biurkiem. No, ale to moja sprawa. A teraz w czym mogę pomóc?

Zanim przystąpiłam do opisywania zdarzeń związanych z kierowcą ciemnej furgonetki, podałam mu swoją wizytówkę. Funkcjonariusz Corbet był uprzejmy, ale patrząc na niego wiedziałam, że nie zakwalifikuje jako poważnej sprawy dla Działu Przepływów przeciw Osobom przypadku kogoś, kto w kominiarce naciągniętej na twarz jeździł za mną i natrętnie mi się przyglądał. Tym bardziej że ten dział zapewne składał się tylko z niego samego. Ze świstem w płucach przyjął moje zgłoszenie, wypisał drukowanymi literami poszczególne dane w odpowiednim formularzu. Potem położył dłonie na kontuarze i wystukiwał palcami jakąś melodię.

- Znam kogoś z taką furgonetką.

- Zna pan? - zdziwiłam się.

- Tak, proszę pani. Wygląda mi to na furgonetkę Ercella Riccardiego. Mieszka tuż za rogiem, w trzecim domu. Zostawia swój wóz na ulicy. Dziwi mnie, że jadąc tutaj, nie widziała pani tej furgonetki.

- Przyjechałam nie z tej strony. Skręciłam w prawo z Main Street.

- Może zechce ją pani zobaczyć. Ercell zawsze zostawia tam furgonetkę, jak jej nie potrzebuje.

- Z kluczykami w stacyjce?

- Tak, proszę pani. Nota Lake nie jest światową stolicą złodziei aut. Zaczął tak robić chyba jakieś pięć, sześć lat temu. Mieliśmy mnóstwo włamań, banda dzieciaków wdzierała się do samochodów, rozbijała okna, zabierała odtwarzacze kaset, urządzała sobie przejażdżki. Ercell czuł się zmęczony instalowaniem na nowo stereo, wobec czego „ustąpił i dał sobie spokój”, jak to określa. Ostatnim razem, gdy włamano mu się do furgonetki, już nawet tego nie zgłosił. Przekonał się, że tylko podnosi mu to opłaty, do diabła więc z tym wszystkim. Teraz zostawia wóz otwarty, z kluczykami w stacyjce i z kartką na tablicy rozdzielczej tej treści: „Proszę, odstaw z powrotem, jak już nie będzie ci potrzebny”.

- Ludzie więc biorą sobie jego auto, kiedy im się podoba?

- Nie zdarza się to tak często. Od czasu do czasu ktoś wypożycza sobie furgonetkę, ale zawsze potem odstawia ją na miejsce. Wzięli to sobie za punkt honoru, no i Ercell jest o wiele spokojniejszy.

Zadzwoił telefon i Corbert się wyprostował.

- W każdym razie, jeśli pani zdaniem była to furgonetka Ercella, proszę do nas zadzwonić, a my z nim pogadamy. On czegoś takiego nie zrobił, każdy jednak mógł wskoczyć do jego wozu i jeździć za nią.

- Pójdę zobaczyć.

Znalazłszy się na ulicy, wsadziłam ręce do kieszeni kurtki i poszłam za róg. Zaraz po wejściu w Lone Star zobaczyłam ciemną furgonetkę. Zbliżałam się do niej ostrożnie, zastanawiając się, w jaki sposób mogłabym po-

łączyć ją z tamtą, którą widziałam. Obeszłam auto i pochyliłam się nad reflektorami. Przy dziennym świetle nie można się było przekonać, czy światła są ustawione krzywo. Podeszłam do tyłu wozu i przejechałam palcem po tablicy rejestracyjnej, badając, czy na jej powierzchni nie znajdę śladów taśmy przyklepnej. Potem wyprostowałam się i zaczęłam oglądać sam dom. W oknie stał jakiś mężczyzna i patrzył na mnie z ponurą miną. Zawróciłam i poszłam w kierunku miejsca, gdzie zostawiłam samochód.

Kiedy dotarłam do wypożyczonego auta, czekał tam Macon Newquist, a jego czarno-biały wóz był zaparkowany przy krawężniku tuż za moim. Zerknął na mnie i uśmiechnął się, napotkawszy moje spojrzenie.

- Dzień dobry! Jak się pani miewa? Domyśliłem się, czyj to wóz. Jak idą sprawy?

- Dobrze. - Uśmiechnęłam się. - Przez chwilę myślałam, że wlepi mi pan mandat.

- O to proszę się nie martwić. W tym mieście staramy się raczej rezerwować mandaty dla przejeżdżających. - Skrzyżował ramiona i oparł się biodrem o bok samochodu z wypożyczalni. - Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za niestosowne, ale Phyllis wspomniała o tym pokazie broni. Przypuszczam, że podzieliła się też swoją opinią na temat dziewczyny, z którą rozmawiał Tom.

Nie spieszyłam się z odpowiedzią i najpierw ją sobie przemyślałam. Phyllis musiała mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co mi powiedziała, i natychmiast po powrocie do domu wygadała się przed mężem. Pomyślałam, że najlepiej będzie to zakamuflować, potraktowałam więc sprawę lekko.

- Wspomniała o tym między innymi, ale doprawdy nie zwróciłam na to specjalnej uwagi.

- Nie chcę, żeby odniosła pani fałszywe wrażenie.

- Nie ma sprawy.

- Bo ona przywiązuje do tej sprawy większe znaczenie, niżby należało.

- Aha.

- Niech mnie pani źle nie zrozumie. Nie zna pani

tutejszych kobiet. Nic nie ujdzie ich uwagi, a kiedy okaże się, że niczego nie ma, zrobią z tego coś innego. Tom rozmawiał z tą kobietą o sprawach czysto zawodowych.

- Nic dziwnego. Wszyscy mi mówią, że był dobry w swoim fachu. Zna pan jej nazwisko?

- Nie, nie znam. Ona jest detektywem szeryfa. Tyle wiem, bo go potem o nią zapytałem.

- Nie wie pan przypadkiem, w jakim okręgu? Podrapał się po policzku.

- Tak od ręki to nie wiem. Może Kern, a może San Benito, nie pamiętam, co mówił. Widziałem, jak Phyllis gapiła się na nich oboje, i nie chcę, żeby wprowadziła panią w błąd. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Selma, to jakieś plotki na temat Toma. Pozostały jej tylko wspomnienia i jeśli się je zbruka, to co jej zostanie?

- Całkowicie się z panem zgadzam. Proszę mi zaufać, nigdy nie pozwoliłabym sobie na nieodpowiedzialne zachowanie w takich sprawach jak ta.

- To dobrze. Cieszę się, że to słyszę. Ludziom nie podoba się, że korzysta pani z pieniędzy Toma, szukając czegoś, co nie istnieje. Jaki więc ma pani harmonogram?

- To się zobaczy. Jeśli wpadnie pan na jakiś pomysł, liczę, że da mi pan znać.

Macon potrząsnął głową.

- Chciałbym pomóc, ale zdaję sobie sprawę, że nie jestem osobą, którą należy pytać. Zaoferowałem pomoc, istnieją jednak takie okoliczności, że nie byłbym obiektywny. Ludzie podziwiali Toma i mówię to nie dlatego, że ja sam go podziwiałem. Jeśli w jego życiu było coś nie tak... to nikt nie zechce przyjąć tego do wiadomości. Niech pani weźmie kogoś takiego jak mąż Margaret. Wiem, że rozmawiała pani z nim w tawernie U Tiny. Hatch był protegowanym Toma, a tego drugiego, Wayne'a, Tom wyciągnął z bardzo złych warunków życiowych w rodzinie zastępczej. Rozumie pani, co mam na myśli? Nie może pani biegać w kółko i wypytywać, jaki był Tom. Oni nie

przyjmują tego zbyt dobrze. Będą uprzejmi, ale podobać to im się nie będzie.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

- Nie nazwałbym tego ostrzeżeniem. Nie chcę, żeby pani odniosła fałszywe wrażenie. Człowiek ze swej natury pragnie chronić tych, których ceni. Ja tylko mówię: nie bądźmy nierozważni i nie przyczyniajmy zmartwień bez powodu.

- O czymś takim nie ma mowy!

Wróciłam do motelu, wpadłam do Tęczy, gdzie wzięłam paczkę chipsów i puszkę pepsi. Jadłam dla uspokojenia nerwów i nie mogłam się powstrzymać, chociaż od trzech tygodni nie uprawiałam joggingu i czułam, że z każdym kęsem rośnie mi tyłek. Młoda Murzynka, krzątająca się przy płycie do pieczenia, przerwała na chwilę i oglądała prognozę pogody, wpatrując się w mały kolorowy telewizorek na końcu kontuaru. Była zadbana i atrakcyjna, włosy skrecone jak spiralki sterczały jej na głowie na wszystkie strony. Kiedy zobaczyła, co się szykuje, zauważyłam, że się zmartwiła.

- No i znowu. Mam już tego po dziurki w nosie. Co się dzieje z tą wiosną? - wykrzyknęła, nie kierując do nikogo tego pytania.

Radar ukazywał na Pacyfiku kolorowe kłęby - identyczne jak na tomograficznym obrazie mózgu - tereny aktywności burzowej w odcieniach błękitu, zieleni i czerwieni. Liczyłam na to, że będę już w drodze do domu, zanim nadciągnie tu zła pogoda. W marcu pogoda nie daje się przewidzieć, i silne zawieje śnieżne mogły spowodować zamknięcie przełęczy. W zasadzie Nota Lake znajduje się poza zasięgiem takich blokad, ale auto z wypożyczalni nie było wyposażone w łańcuchy, a ja miałam skromne doświadczenie, jeśli chodzi o jazdę w trudnych warunkach.

Po powrocie do chatki skończyłam przepisywać na maszynie swoje notatki, tłumacząc wszystkie mało istotne czynności na półurzędowy język pisemnego sprawozdania. To, co znalazło się na papierze, niczego nie wносиło,

ponieważ z pewnością pominęłam nie zidentyfikowaną jeszcze panią detektyw z Biura Szeryfa, która mogła być - albo i nie - zainteresowana Tomem Newquistem, a on nią. Okręg San Benito czy Kern, tak, racja, Macon.

O drugiej postanowiłam pojechać do miasta i zrobić kserokopie sprawozdania. Zamknęłam chatkę i pomaszerowałam do samochodu. Cecilia musiała patrzeć przez okno w biurze, bo kiedy przechodziłam obok, zastukała w szybę i dała mi znak ręką. Podeszła do drzwi, trzymając w powietrzu kawałek papieru. Przy tak niskim wzroście musiała chyba kupować ubrania w dziale odzieży dziecięcej. Dzisiaj miała na sobie długi czerwony trykot z naszytym na piersiach misiem, białe legginsy oraz wielgachne sportowe buty. Jej nogi były tak cienkie jak nogi żrebaka z podobnie uwydatnionymi kolanami.

- Był do pani telefon. Alice prosi o skontaktowanie się z nią. Tym razem zapisałam numer, ale w przyszłości ona powinna próbować panią łapać u Selmy. Ja tu prowadzę motel, a nie punkt obsługi telefonicznej.

Pretensje Cecylii i płaczliwy ton były irytujące i skłoniły mnie do złożenia skargi.

- Och, skoro panią widzę, to chciałabym zapytać, czy nie mogłabym uzyskać trochę więcej ciepła. W chatce prawie nie da się mieszkać, panuje tam temperatura bliska zera - powiedziałam.

Zaniepokojenie przemknęło przez jej oblicze.

- Pierwszego marca wyłącza się tutaj ogrzewanie olejowe. Nie mogę ot tak sobie gwizdnąć i zamówić dostawę dlatego, że kilkoro gości, którzy przyjechali tutaj na krótki pobyt, robi szum. - Ton Cecylii sugerował, że przez większość dnia trapiły ją narzekania.

- Niech pani zrobi, co się da. Nie chcę być zmuszona do poskarżenia się Selmie, skoro ona płaci rachunek.

Cecilia trzasnęła lekko drzwiami, wycofując się do biura. Będę mogła mówić o szczęściu, jeśli przekaże mi jeszcze jakąś wiadomość. Poszłam do budki telefonicznej i stałam tam, szukając drobnych na dnie torebki. W rogu znalazłam niewielką kupkę monet wraz z kłębkim wło-

sów i strzępków materiału. Wrzuciłam parę monet do otworu w aparacie i wykręciłam numer. Alice podniosła słuchawkę przy czwartym sygnale, kiedy już myślałam, że włączy się sekretarka automatyczna.

- Halo?

- Halo, czy to Alice? Tu Kinsey Millhone. Dostałam wiadomość od ciebie. Jesteś w pracy czy w domu?

- W domu. W tawernie U Tiny nie muszę być przed czwartą. Właśnie układam sobie fryzurę. Zaczekaj sekundę, zdejmę wałki z tej strony. No, teraz lepiej. Nic się tak nie wbija w ucho jak kolce od nakrętek. Posłuchaj, może to się do niczego nie przyda, ale pomyślałam, że ci przekażę. Kelnerka, która pracuje w Tęczy, jest moją przyjaciółką. Na imię ma Nancy. Wspomniałam jej o Tomie i powiedziałam, o co ci chodzi. Mówiła, że on przyszedł tamtej nocy koło pół do dziewiątej i wyszedł stamtąd tuż przed zamknięciem. Jak chcesz, to możesz z nią sama porozmawiać.

- Czy to ta Murzynka?

- Niece. To Barret, córka Rafera LaMotta. Nancy zastępuje kasjerkę. Szatynka, czterdzieści kilka lat. Jestem pewna, że ją tam widziałaś, bo ona ciebie zapamiętała.

- I co jeszcze mówiła? Czy on był sam, czy z kimś?

- Też ją o to zapytałam. Odpowiedziała, że był sam, a przynajmniej tak jej się wydawało. Zjadł cheeseburgera i frytki, napił się kawy, wrzucił kilka monet do szafy grającej i wysłuchał paru piosenek, zapłacił rachunek i wyszedł koło pół do dziesiątej, jak Nancy podliczała kasę. Jak mówiłam, może to nic nie znaczy, ale ona twierdzi, że nigdy o tej porze go tam nie widziała. Wiesz, tamtej nocy, kiedy go znaleziono, był na szosie numer 395, tylko że jechał w stronę gór, a nie do siebie do domu.

- Pamiętam to. Koroner wspomniał, że Tom zjadł jakiś posiłek. Zdaniem Selmy miał być w nocy w domu. Nie zostawił jej nawet żadnej kartki. Kiedy wróciła z kościoła, on już nie żył, co stwierdzono w izbie przyjęć miejscowego szpitala. Może ktoś zadzwonił i Tom pojechał z tym kimś się spotkać.

- Albo może był po prostu głodny, kochana. Selma jest z tych, co to zmuszają do jedzenia jarzyn i nie łuskanego ryżu. Mógł się wykraść, żeby wtrząchnąć coś porządnego. - Zaśmiała się pod nosem. - Zawsze mówiłam, że tamtejsze jedzenie może człowieka zabić. Założę się, że arterie miał pozatykane od tego całego tłuszczu, który wcinał.

- Przynajmniej wiemy, gdzie był na godzinę przed śmiercią.

- No, to nic nowego. Nancy mówi, że koroner też do tego doszedł. Tak czy inaczej, zapowiadałam ci, że wiele to nie da. Przypuszczam, że na tym koniec mojej kariery jako detektywa.

- Nigdy nie wiadomo. Och, jeszcze jedna rzecz, póki mam cię przy telefonie. Słyszałaś kiedy plotki o Tomie i jakiejś innej kobiecie poza Selmą?

Parsknęła śmiechem.

- Tom? Chyba żartujesz. On był staromodny, jeśli chodzi o seks. Wielu facetów ma problem z dominacją, co możesz poznać od pierwszego spojrzenia. Ci, co chwytają za tyłek i cię podszczypują, faceci opowiadający pieprzne dowcipy i gapiący się na twoje cycki. Nie mają nic przeciw szybkiemu numerkowi na przednim siedzeniu w ich furgonetkach, ale wierz mi, romans to ostatnia rzecz, jaka przyszyłaby im do głowy. Tom był zawsze sympatyczny. Nie widziałam nigdy, żeby z kimś flirtował, i nigdy nie słyszałam, by rzucił jakąś pikantną uwagę. Dlaczego o to pytasz?

- Pomyślałam, że mógł przyjechać do Tęczy na randkę.

- Och, na randkę! Można pęknać ze śmiechu. Słuchaj, jak w tym mieście zamierzasz się zabawić, to najlepiej zrobisz, spotykając się gdzie indziej, chyba że chcesz, by wszyscy się o tym dowiedzieli. Po co się na to narażać? Gdyby przyjechała jego siostra, natychmiast by go zauważyła. Cecilia nie przepada za Selmą, ale i tak by jej o tym doniosła. Tak właśnie tutejsi ludzie postępują. Cokolwiek odkryjesz, staje się łatwą zdobyczą.

- Zakładam, że słyszano o mnie.

- Możesz być pewna.

- Jaka jest ogólna opinia? Czy ktoś wydaje się zaniepokojony?

- Och, jakieś narzekania tu i tam. Ściągasz na siebie uwagę, ale niczego nadzwyczajnego nie słyszałam. W mieście tej wielkości każdy ma opinię na każdy temat, zwłaszcza na temat kogoś nowego, jak właśnie ty. Niektórzy faceci zastanawiali się, czy jesteś mężatką. Przypuszczam, że nie zauważyli obrączki.

- Rzeczywiście, zdjęłam ją, żeby wprawić na nowo diamenty.

- Gówno prawda.

- Nie, naprawdę. Mój mąż jest olbrzymem. Na-pompowuje się wiecznie sterydami, wybucha więc z byle powodu. Urwałby łeb każdemu, kto by mnie dotknął.

Roześmiała się.

- Założę się, że nigdy w życiu, ani przez jeden dzień, nie byłaś mężatką.

- Zdziwiłabyś się, Alice.

Pogoda, jak przewidywano, robiła się paskudna -nadciągał front. Ranek był pogodny, temperatura w okolicy dziesięciu stopni, a wczesnym popołudniem na północy spiętrzyła się gruba warstwa chmur. Niebo z niebieskiego zrobiło się jednolicie białe, potem mglisto ciemnoszare, w związku z czym dzień wydawał się ponury jak przy zaćmieniu Słońca. Wszystkie szczyty górskie poznikały, powietrze stało się gęste od drobnej, dokuczliwej mżawki.

Oto czym się zajmowałam tego popołudnia: pojechałam do miasta, zrobiłam kserokopie maszynopisu mojego sprawozdania i kilka fotokopii powiększonych zdjęć głowy Toma Newquista w formacie 12x17. Wrzuciłam oryginalną fotografię i oryginał sprawozdania do skrzynki na listy Selmy, przejechałam sześć przecznic i zostawiłam Jamesowi Tennysonowi latarkę pod drzwiami na frontowym ganku. I wciąż pozostawało mi jeszcze sporo czasu do

zabicia, zanim będę mogła z czystym sumieniem położyć się do łóżka.

A tymczasem nudziłam się i chciałam się ogrzać. W Nota Lake nie ma kina, nie ma czytelnicy publicznej, nie zauważyłam też kręgielni. Weszłam do jakiejś księgarni i wędrowałam tam i z powrotem wzdłuż półek. Księgarnia była niewielka, lecz atrakcyjna, a zasoby książek więcej niż wystarczające. Wybrałam sobie dwa kryminały, wróciłam do chatki, wpełzłam pod stos koców i zabrałam się do czytania.

O szóstej wbiłam na siebie skórzaną kurtkę i poszłam do Tęczy, walcząc z dziwną mieszaniną zacinającego śniegu i deszczu. Zjadłam bekon z sałatą i pomidorem na pszennej grzance, następnie pogadałam sobie z Nancy, gdy wystawiała mi rachunek. Wiedziałam już, co może powiedzieć, ale naciskałam mimo wszystko, chcąc się upewnić, czy relacja Alice była dokładna. Pięc po wpół do siódmej wróciłam do chatki, skończyłam pierwszą książkę, odłożyłam ją na bok i sięgnęłam po następną. O dziesiątej, wyczerpana po dniu ciężkiej pracy, wstałam, wyczyściłam zęby, umyłam twarz, po czym wskoczyłam do łóżka i natychmiast zasnęłam.

Jakiś dźwięk przeniknął do mojego snu. Z wielkim trudem usiłowałam się podnieść, kręciło mi się w głowie, ciało miałam obciążone ciemnymi wizjami i ciężkim jak ołów dramatem snu. Czułam się tak, jakby przyklejono mnie do łóżka. Otworzyłam oczy i nasłuchiwałam, nie będąc nawet pewna, gdzie jestem. Potem w mojej świadomości pojawiło się Nota Lake i chatka - tak zimna, że równie dobrze mogłam spać na dworze. Co słyszałam? Z wielkim trudem obróciłam głowę, by spojrzeć na budzik. Wskazywał 4.14 i wciąż panowały kompletne ciemności. Lekki brzęk metalu o metal... nie dźwięk klucza... może wkładania wytrycha do zamka w drzwiach. Strach eksplodował we mnie jak fajerwerk, rozświetlając mi wnętrze przysznicem adrenaliny. Odrzuciłam kołdrę. Byłam całkiem ubrana, ale od zimna panującego w chatce drętwiała mi twarz i ręce. Przerzuciłam nogi przez

krawędź łóżka, trafiłam na buty i wsunęłam w nie stopy, nie zwracając sobie głowy zawiązywaniem sznurowadeł.

Stałam, dostrajając się teraz do ciszy. Przekonałam się, że nawet na głuchej wsi niemal nie skażonej oświetleniem ciemność nie jest całkowita. Widziałam sześć jaśniejszych szarych kwadratów - okna wychodzące na trzy strony. Zerknęłam do tyłu na łóżko, pusta biała pościel świadczyła o tym, że mnie tam nie ma. Pospiesznie ułożyłam poduszki, nadając im kształt pulchnej postaci, i nakryłam je kocami. To zawsze wprowadzało w błąd złoczyńców. Ostrożnie podkrađłam się do drzwi, usiłując mimo głośnego walenia serca nasłuchiwać skrobań intruza. Pomacałam framugę drzwi. Nie znalazłam tam zabezpieczającego łańcucha, a zatem jak tylko zamek zostanie wyłamany, nic już nie będzie mnie oddzielać od nocnego gościa. Chatka, choć ciemna, zaczynała mi się konkretyzować, dokonałam jej przeglądu w pamięci, szukając wśród znajdujących się w niej sprzętów jakiegoś oręża. Łóżko, krzesło, mydło, stół, zasłona wokół prysznic. Przytrzymałam palcami zasuwę po swojej stronie drzwi, żeby nie można było jej ruszyć. Może facet dojdzie do wniosku, że wyszedł z wprawy albo że zamek się zaciał. Po drugiej stronie drzwi usłyszałam jakby skrzypienie drewnianych płytek, mój nocny gość zapewne się wycofywał, szukając innego sposobu na dostanie się do środka. Podeszłam na palcach do stołu, wzięłam krzesło, po czym wróciłam do drzwi i podstawiłam je pod klamkę, zapierając nogami o podłogę. Długo to nie wytrzyma, ale może trochę opóźnić wtargnięcie napastnika. Wykorzystałam krótką chwilę przerwy, schyliłam się i zawiązałam sznurowadła, bojąc się, że ich skuwki mogłyby stukać na gołej drewnianej podłodze. Z zewnątrz dochodziły słabe odgłosy, jakby intruz cierpliwie obchodził dokoła chatkę.

Czy okna są zamknięte? Nie mogłam sobie przypomnieć. Wędrowałam od okna do okna i sprawdzałam palcami zasuwki. Wszystkie chyba były zasunięte. Przez wąską szparę w zasłonach mogłam ujrzeć niewiele z tego,

co dzieje się na dworze. Widziałam zarys gęstych choinek i liczne wiecznie zielone drzewa. Szosą nie przejeżdżały żadne auta, w sąsiednich chatkach nie było widać światła. Po lewej stronie ktoś mi mignął, przesuwał się z boku na tyły chatki.

Bezszelestnie przeszłam przez pokój i weszłam do ciemniejszej strefy łazienki. Wymacałam zasłonę od prysznicza zawieszoną na kółkach na okrągłym metalowym pręcie. Zbadałam palcami podpórki przyśrubowane do ściany po obu stronach prysznicza. Ostrożnie zdjęłam pręt z podpórek, zsunęłam z niego zasłonę, kółko po kółku. Kiedy już miałam pręt w ręce, zorientowałam się, że nie będę mieć z niego pożytku - za lekki i łatwo da się wygiąć. Potrzebowałam jakiegoś oręża, a co miałam? Spojrzałam na matową szybę okna łazienki, które wydawało się minimalnie jaśniejsze od ściany wokół niego. W samym środku okna ujrzałam głowę i ramiona intruza. Przyłożył dłonie do szyby, osłaniając oczy, żeby lepiej widzieć. Musiało go frustrować odkrycie, że ciemność jest zbyt gęsta i nie da się jej przeniknąć. Stałam nieruchomo, choć widziałam, jak on się porusza za oknem. Usłyszałam jakiś odgłos, jakby słabe skrobnięcie szewskiego młotka wsuwanego w szczelinę między ramą a szybą.

Gorączkowo dokonywałam przeglądu wszystkich przedmiotów znajdujących się w chatce, mając nadzieję, że przypomnę sobie coś, co mogłoby posłużyć mi za oręż. Papier toaletowy, dywanik, wieszaki na ubrania, deska do prasowania. Żelazko. Odłożyłam pręt od zasłony, starając się zrobić to bezgłośnie. Poszłam do garderoby, po omacku dotarłam do deski do prasowania. Wspięłam się na palce i z półki nad nią zdjęłam żelazko, osłaniając je ręką, żeby nim w coś nie stuknąć. Sięgnęłam po wtyczkę na końcu sznura i trzymając ją w ręce, rozwinęłam go na całą długość. Na ślepo znalazłam kontakt w pobliżu umywalki, włożyłam wtyczkę do kontaktu i nastawiłam żelazko na temperaturę najwyższą z możliwych. Postawiłam je pionowo na blacie. Zerknęłam do tyłu, na okienko. Głowy i ramion już w nim nie ujrzałam.

Ruszyłam przez pokój w stronę drzwi, nachyliłam się ku nim i przyłożyłam ucho do zamka, starając się nie poruszyć krzesła. Słyszałam, jak wytrych wsuwa się znowu do zamka. Słyszałam, jak mały klucz francuski chwyta nakrętkę, a dwa metalowe bolce przesuwiają się w zamku. Za sobą słyszałam dochodzące z łazienki cykanie rozgrzewającego się żelazka. Nastawiłam je na LEN, tkaninę, która - jak wiadomo - mnie się łatwiej niż ludzkie ciało. Pragnęłam poczuć w ręce ciężar żelazka, ale nie odważyłam się jeszcze wyciągnąć wtyczki z kontaktu. Czułam ból w piersiach w miejscu, gdzie elastyczny mięsień serca tłukł w nieczułą palisadę żeber. Nieraz sama otwierałam zamki wytrychem i orientowałam się, jak wiele wymaga to cierpliwości. Nie znałam nikogo, kto potrafiłby posługiwać się wytrychem w rękawiczkach, było zatem duże prawdopodobieństwo, że intruz ma gołe ręce. Wydawało mi się, że słyszę z głębin zamka, jak wytrych unosi jeden bolec za drugim.

Położyłam prawą dłoń na gałce i poczułam, że obraca mi się pod palcami. Krzesło wciąż stało na swoim miejscu, a ja czym prędzej pobiegłam na palcach do łazienki. Kiedy wyciągałam wtyczkę z kontaktu, czułam gorąco promieniujące z żelazka. Chwyciłam je za rączkę i wróciłam pod drzwi, stając znów na czatach. Nocny gość przystąpił teraz ostrożnie do otwierania drzwi, pewno bojąc się, że skrzypienie mogłoby mnie zaalarmować. Wpatrywałam się w otwór, czekając, aż się w nim ukáže. Napastnik napierał na drzwi i krzesło zaczęło się odsuwać. Palcami chwycił się framugi jak pajak. Skoczyłam do przodu i zaatakowałam żelazkiem. Zdawało mi się, że to odpowiedni moment, niestety, intruz był szybszy, niż się spodziewałam. Wprawdzie dosięgnęłam celu, lecz on już zdążył kopniakiem otworzyć drzwi. Krzesło przeleciało obok mnie. Poczułam ostry swąd spalonej wełny. Jeszcze raz zaatakowałam napastnika żelazkiem i tym razem czułam, że przypieka się ciało. Z ust wyrwało mu się przekleństwo - właściwie nie tyle słowo, ile skowyt.

Jednocześnie przyskoczył i zdzielił mnie pięścią w twarz. Zatoczyłam się do tyłu, tracąc równowagę. Żelazko wypadło mi z ręki i gruchnęło na podłogę. Był szybki. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, podciął mi nogi. Runęłam na podłogę, on zaś wykręcił mi rękę do tyłu i wraził kolano w środek pleców. Nie mogłam oddychać, wiedziałam, że jeśli mnie nie puści, to w ciągu paru minut stracę przytomność. Za mało miałam w płucach powietrza, by wydać jakiś dźwięk. Najmniejszy ruch sprawiał mi nieznośny ból. Czułam zapach potu, nie byłam tylko pewna, czyj to pot -jego czy mój.

No i patrzcie. To dokładnie taki moment, o jakim wspominałam. Oto leżę twarzą w dół na plecionym dywaniku Cecylii Boden, unieruchomiona przez faceta, który zamierza zrobić mi krzywdę. Gdybym wyjeżdżając z Carson City, przeczuwała, że sytuacja rozwinie się tak żałośnie, postąpiłabym inaczej... pozbyła się wypożyczonego auta i poleciała samolotem do domu, rezygnując z tej roboty w Nota Lake. Lecz skąd mogłam to wiedzieć?

Napastnik i ja znaleźliśmy się chwilowo w patowej sytuacji, ale to on decydował, jak ma mnie ukarać. Zamierzał zrobić mi krzywdę, co do tego nie miałam wątpliwości. Nie spodziewał się oporu i był rozjuszony, że próbowałam walczyć, choćby nawet tak słabo. Kipiał wściekłością, dyszał ciężko i chrapliwie. Próbowałam się odprężyć, a jednocześnie przygotować psychicznie na to, co nieuniknione. Oczekiwałam ciosu w tył głowy. Modliłam się, żeby szczyryk czy nóż sprężynowy nie należał do jego ulubionych broni. Gdyby odchylił moją głowę do tyłu, mógłby poderżnąć mi gardło jednym szybkim pociągnięciem noża. Czas w sposób niemal wyzwalający trwał w zawieszeniu.

Nie jestem amatorką tortur. Zawsze wiedziałam, że w sytuacjach ekstremalnego zagrożenia - mając wybór, powiedzmy, między groźbą wpakowania mi w oko rozżarzonego pogrzebacza a zdradą wobec przyjaciela - wydałabym kumpla. To jeszcze jeden powód trzymania się na dystans od bliźnich, ponieważ najwyraźniej nie można mi

ufać, że dochowam tajemnicy. W obecnych okolicznościach na pewno błagałabym o zmiłowanie, gdybym tylko zdołała wydobyć głos z gardła.

Wrogość pobudza energię. Złość, raz spuszczone ze smyczy, oszałamia, nabiera gwałtowności i staje się nie do opanowania. Napastnik na wpół się uniósł i rąbnął mnie kolaniem prosto w żebra, aż zaparło mi dech. Potem chwycił wskazujący palec mojej prawej ręki i jednym gwałtownym ruchem go przemieścił, wyłamując - jak się później dowiedziałam - z bliższego międzypaliczkowego stawu. Rozległo się takie puste pyknięcie, jakby przełamano na pół surową marchewkę. Z ust wydobył mi się krzyk, piskliwy i urywany, kiedy napastnik sięgnął po następny palec i szarpał na boki knykieć. Czułam, że oba palce sterczą teraz nienaturalnie w stosunku do reszty dłoni. Potem mnie kopnął i słyszałam, jak ciężko dyszy, stojąc nade mną. Zamknęłam oczy, bojąc się sprowokować następny atak.

Przyciskałam twarz do dywanika, wdychając odór za-wilgotniałych i przesyconych sadzami bawełnianych warkoczyków, i w absurdalny sposób odczuwałam wdzięczność, że nie kopnął mnie znowu. Przeszedł szybkim krokiem przez pokój, potem usłyszałam trzaśnięcie drzwi i oddalające się przytłumione kroki, a następnie z oddali zapalenie silnika samochodu. Żyłam nadal, miałam obrażenia. Najwyższy czas wstać - pomyślałam.

Odwróciłam się na plecy, osłaniając prawą dłoń. Ręka mi się trzęsła, a z gardła wydobył jęk. Oblewałam się potem, w całym ciele czułam falę gorąca i pomyślałam, że chyba tego nie wytrzymam. Zaczęłam dygotać. Pod wpływem stresu jakaś odrębna osobowość oddzieliła się od reszty mojej osoby, unosiła się w powietrzu i komentowała sytuację, jakby nie biorąc udziału w moim bólu i poniżeniu.

Naprawdę powinnaś poszukać pomocy - sugerowała. Te obrażenia cię nie zabiją, ale szok może. Pamiętasz te objawy? Puls i oddech przyspieszone. Ciśnienie krwi obniżone. Słabość, apatia, skóra lekko wilgotna i lepka. Czy to ci coś mówi?

Staralam się złapać dech i usilowałam wziąć się w garść, tymczasem przed oczami mi się przejaśniało i zawężało pole widzenia. Upłynęło sporo czasu od chwili, gdy zadawano mi ból, i niemal zapomnialam, jak to jest, kiedy pochłania cię cierpienie. Napastnik mógł być mnie zabić, to wiedzialam, powinnam więc być szczęśliwa, że skończyło się tylko na tym. W jakże świetnym humorze musiał być teraz. Zostałam poniżona, a próby mojej samoobrony wydawały się z obecnej perspektywy żalodne.

Oslaniałam dłoń, trzymając ją na piersiach, gdy obracałam się na bok, a potem z tej pozycji podciągałam na klęczki. Podparłam się lewym łokciem i niezdarnie usilowałam wstać. Pomiaukiwałam jak kociak, oczy szczypały mnie od łez. Czulałam się upokorzona, że tak łatwo zwalono mnie z nóg. Byłam niczym, robakiem, którego napastnik mógł bez trudu rozdeptać. Opuściła mnie buta. Teraz on miał do niej prawo. Wyobrazałam sobie, jak się uśmiecha, a nawet śmieje na cały głos, pędząc szosą. Mógł z radości wymachiwać pięściami w powietrzu, przeżywając pokonanie mnie prawie w taki sam sposób, jak ja zrobię to w przyszłości.

Zapaliłam górne światło i obejrzałam swoją rękę. Palce wskazujący i środkowy sterczały pod kątem trzydziestu stopni. Właściwie niewiele czulałam, ale widok był okropny. Znalazłam swoją torbę w pobliżu łóżka. Wzięłam kurtkę i zarzuciłam ją na ramiona jak szal. Dziwna rzecz, w chatce nie było widać wielkiego nieładu. Żelazko poleciało w kąt pokoju. Drewniane krzesło było przewrócone, pleciony dywanik leżał krzywo. Taka ze mnie porządnicza, że postawiłam krzesło i wyrównałam dywanik, podniosłam żelazko i wstawiłam z powrotem na górną półkę, z której zwieszał się sznur. Teraz już tylko musiałam zadbać o siebie.

Z trudem zamknęłam drzwi do chatki, posługując się niewprawną lewą ręką, po czym ruszyłam do biura motelu. Noc była zimna i na twarzy czulałam miękkie białe płatki śniegu. Wciągnęłam głęboko w płuca haust zimnego i odświeżająco wilgotnego powietrza. Na dole w pobliżu szo-

sy świecił czerwony neon - informował o wolnych miejscach w motelu i zapraszał przejeżdżających automobili-stów. Na szosie ruchu nie było, również w żadnej z pozostałych chatek nie widziałam oznak życia. Ujrzałam przez okno lampę palącą się na stole w biurze. Weszłam do środka. Opierając się o framugę, zapukałam do drzwi Cecilii. Mijały minuty. Wreszcie je uchylono i przez szparę wyjrzała gospodyni.

Huczało mi w uszach, słyszałam jakby nasilający się ryk. Marzyłam o tym, żeby usiąść i schować głowę między kolana. Zrobiłam głęboki wdech, potrząsnęłam głową, mając nadzieję, że pozbędę się tego pragnienia.

Cecilia zawiązała pasek swojego różowego szlafroka i wyszła zza drzwi, rzucając wciąż ukradkowe spojrzenia.

- O co chodzi? - zapytała zgryźliwym tonem. - Co się z panią dzieje?

Uniosłam rękę.

- Potrzebuję pomocy.

Cecilia wykręciła numer 9 1 1, zawiadomiła o włamaniu i późniejszej napaści. Dyspozytor powiedział, że wyśle ambulans, ale zapewniła go, że sama może odwieźć mnie do szpitala, zanim dojadą tu sanitariusze. Włożyła żakiet na swoje trykoty, wzięła sportowe obuwie i wsadziła mnie do swojego krążownika szos marki Oldsmobile. Muszę oddać jej sprawiedliwość, bo naprawdę przejęła się moimi obrażeniami, klepała mnie od czasu do czasu po ramieniu i powtarzała: - Niech się pani trzyma. Wszystko będzie dobrze. Już prawie dojeżdżamy. Jeszcze tylko kawaleczek drogi. - Prowadziła auto nader ostrożnie, kierownicę trzymała obiema rękami i zadzierała brodę, by dobrze widzieć drogę. Nie rozwijała większej prędkości niż sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, a problem, którym pasem ma jechać, rozwiązywała połowicznie, połową auta jadąc po jednym, a drugą połową po drugim pasie.

Nie odczuwałam już teraz bólu. Jakieś naturalne znieczulenie owładnęło moim organizmem, tak że w efekcie odnosiłam wrażenie jakby oszołomienia. Położyłam głowę na oparciu siedzenia. Cecilia przyjrzała mi się badawczo, bez wątpienia zaniepokojona, że mogę zarzygać tapicerkę; trudno byłoby ją wyczyścić.

- Jest pani blada jak śmierć - powiedziała. Nacisnęła guzik, opuszczając do połowy szybę, tak by strumień lodowatego powietrza owiewał mi twarz. Szosa połyskiwała od wilgoci, śnieg zacinał z ukosa. O tej nocnej porze dookoła panowała przyjemna cisza. Na razie śnieg się nie utrzymywał, ale dostrzegłam, że pnie drzew są jakby

upudrowane na biało, a martwe i zachwaszczone pola oproszone cieniutką warstewką.

Szpital, długi i niski jednopoziomowy budynek, ciągnął się w linii prostej niczym jakiś nie kończący się medyczny motel. Elewację miał z cegły i tynku, a dach z trójdzielnych bitumicznych płytek. Parking w pobliżu wjazdu dla karetek był zupełnie pusty. W sali, w której udzielano pomocy w nagłych wypadkach, nie dojrzałam nikogo, choć kilka zacnych dusz pełniących dyżur poderwało się i zjawilo po chwili. Jedna z nich miała przyczepioną plaketkę z wypisanym nazwiskiem L. LIPPINCOTT. Domyślałam się, że na imię ma Lucille, Louise, Lillian albo Lula.

Pani Lippincott odwróciła wzrok od mojego rozwichrzonego bukietu palców.

- Jak pani upadła? - spytała.

- Nie upadłam. Napadnięto mnie - odparłam, po czym w skrócie poinformowałam o napaści.

Wyraz jej twarzy zmieniał się, przechodząc od niechęci do sceptycyzmu, jakbym w swojej relacji coś pominęła. Może wyobrażała sobie, że chodzi o jakąś osobliwą formę samookaleczenia albo praktyki sadomasochistyczne, zbyt odrażające, by o nich mówić.

Siedziałam na niewielkim wyściełanym krześle, podawałam swoje dane personalne - nazwisko, adres, ubezpieczenie - a ona wprowadzała je do komputera. Mogła mieć sześćdziesiąt lat z okładem, grube kości i siwiejące włosy ułożone w idealne fale. Jej twarz wyglądała tak, jakby uszła z niej połowa powietrza, zostawiając po sobie woreczki i rysy. Ubrana była w spodnium z białego poliestru, wytłaczanego w wafelkowy wzór - z wielkimi poduchami na ramionach i dużymi białymi guzikami na przodzie.

- Gdzie zniknęła Cecilia? Czy to nie ona panią tu przywiozła?

- Myślę, że poszła poszukać toalety. Siedziała tam - powiedziałam, wskazując poczekalnię. Nowo nabyte umiejętności umożliwiały mi pokazywanie jednocześnie dwu kierunków - palce wskazujący i środkowy kierowały się na pół-

nocny zachód, a serdeczny i mały na północny wschód. Próbowałam unikać tego widoku, ale trudno było się pohamować.

Pani Lippincott sporządziła fotokopię mojej karty ubezpieczeniowej. Następnie, zleciwszy drukowanie, przygotowała dokumenty, z których żadnego nie mogłam podpisać obolałą i opuchniętą prawą ręką. Zrobiła w związku z tym odpowiednią adnotację, zaznaczając, że zgadzam się uznać finansowe zobowiązania. Za pomocą urządzenia przypominającego dziurkacz przyczepiła mi do nadgarstka plastikową bransoletkę z moim nazwiskiem i numerem identyfikacyjnym.

Z kartą w ręce zaprowadziła mnie do salki zabiegowej wielkości więziennej celi i wskazała krzesło. Zanim sobie poszła, włożyła moją kartę do otworu w drzwiach.

- Zaraz ktoś tu przyjdzie.

Pomieszczenie przypominało wszystkie inne salki pomocy w nagłych wypadkach, jakie miałam okazję oglądać: wywoskowana do połysku beżowa podłoga w ciapki, z której łatwo zmywa się krew i inne ciecze, antyakustyczne płytki na suficie, odpowiednio wygłuszające wszelkie jęki i okrzyki bólu. Przemóżny zapach spirytusu do dezynfekcji, jaki tu panował, skojarzył mi się natychmiast z igłami i od razu strasznie zachciało mi się położyć. Odłożyłam na bok kurtkę i wspięłam się na stół do badań lekarskich. Tam wyciągnęłam się na szeleszczącym papierze i zaczęłam gapić się w sufit. Nie czułam się najlepiej. Miałam dreszcze. Światła wydawały mi się nienaturalnie jasne, pokój kołysał się przed oczami. Położyłam na nich lewą rękę i próbowałam myśleć o czymś przyjemnym, jak na przykład seks.

Słyszałam na korytarzu cichą rozmowę, potem ktoś wszedł i wziął moją kartę z drzwi.

- Panna Millhone?

Usłyszałam pstryknięcie długopisu i otworzyłam oczy.

Siostra z sali pomocy w nagłych wypadkach była ciemnoskóra i, jak widniało na noszonej na piersiach plakietce, nazywała się V. LaMott. Musiała to być żona Rafera

LaMotta, matka młodej dziewczyny, która przygotowywała szybkie dania w Tęczy. Czyżby w Nota Lake mieszkała tylko ta jedna afro amerykańska rodzina? V. La Mott, podobnie jak jej córka, była kobietą zadbaną, o skórze koloru brunatnego tytoniu, krótko obciętych włosach i twarzy bez makijażu.

- Moje nazwisko LaMott. Poznała pani mojego męża, jak myślę.
- Rozmawialiśmy przez chwilę.
- Obejrzyjmy tę rękę.

Podniosłam dłoń. Coś w jej wzmiance o mężu skłoniło mnie do przypuszczenia, że Rafer opowiedział z detalami żonie o tym, jak grubiańsko mnie potraktował. Wyglądała na osobę, która z tego powodu zmyła mu głowę. Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Odwróciłam twarz, gdy dokonywała oględzin mojej ręki. Czułam, że się napinam, choć starała się dotykać mojej kończyny możliwie delikatnie. Najwyraźniej na dyżurze nie było asystentki lekarza, sama więc przeprowadziła podstawowe badania. Zmierzyła mi gorączkę elektronicznym termometrem, który niemal natychmiast pokazuje aktualną ciepłotę ciała, po czym przytrzymując moje lewe ramię, napompowała mankiet aparatu do mierzenia ciśnienia krwi i odczytała wynik. Ręce miała ciepłe, moje natomiast były jak pozbawione krwi. Zapisała coś w mojej karcie.

- Jakie imię oznacza to V? - spytałam.
- Victoria. Jeśli pani chce, może nazywać mnie Vicky. Nie zachowujemy się tu zbyt formalnie. Bierze pani jakieś lekarstwa?
- Pigułki antykoncepcyjne.
- Jakież alergie?
- O żadnych nie wiem.
- Czy w ostatnich dziesięciu latach dano pani zastrzyk przeciwężcowy?

Umysł mnie zawodził.

- Nie pamiętam.
- No, to miejmy już za sobą tę sprawę - powiedziała.

Zaczeła mnie ogarniać panika.

- To doprawdy nie jest konieczne. Nie ma po co. Mam przemieszczone dwa palce, ale skóra nie została naruszona. Widzi pani? Żadnych cięć, żadnych ran kłutych. Nie nadepnęłam na gwóźdź.

- Zaraz wracam.

Upadłam na duchu. Wskutek swojej słabej kondycji nie pomyślałam, że mogę przecież skłamać. Mogłam jej podać dowolne informacje o swoim zdrowiu. Nigdy i tak by nie doszła prawdy, to już moja sprawa. Szczękościsk, wielka mi rzecz. Za dużo już tego wszystkiego. Panicznie boję się igieł, czasami robi mi się słabo na samą myśl o zastrzykach i dostaję zawrotu głowy na widok strzykawki. Wiadomo, że mdleję, gdy innym robią zastrzyk. Nigdy nie wybrałabym się w podróż do kraju, w którym wymaga się szczepień ochronnych. Kto chciałby zresztą spędzać czas na takim terenie, gdzie wśród mieszkańców wciąż panuje ospa czy cholera?

Najbardziej ze wszystkiego na świecie nienawidzę tych obrzydliwych wiadomości telewizyjnych, gdzie z nagłą pokazują kwilące dzieci, bo wbija się im w słodkie, tłusciutkie rączki igłę przy podskórnym zastrzyku. Po ich buziach widać, że czują się zdradzone, a to wystarcza, by człowiekowi robiło się słabo. Zaczynały mi się pocić dłonie. Martwiłam się, że nawet leżąc, mogłabym stracić przytomność.

Pani LaMott wróciła błyskawicznie, przynosząc na małej plastikowej tacce - jak wyszukaną przekąskę - wiadomo co.

Licząc na ostatnią szansę zachowania jakiejś kontroli, przekonałam ją, żeby zrobiła mi zastrzyk w pośladek, a nie w przedramię, choć zsunięcie dzinsów jedną ręką było nie lada sztuką.

- Ja tego też nie lubię - powiedziała. - Zastrzyki mnie głupio przerażają. No, to robimy.

Stoicko zniosłam ten niemiły zabieg, który doprawdy nie był tak przykry, jak tamte zachowane w pamięci. Może wydoroślałam? Ha, ha, ha!

- Cholera.

- Przepraszam. Wiem, że to boli.

- Nie o to chodzi. Przypomniałam sobie, że zastrzyk przeciwtężcowy dano mi przed trzema laty. Dostałam postrzał w ramię i wtedy mi go zrobili.

- Och, to nic - odparła. Włożyła strzykawkę do urządzenia oznaczonego napisem „ostre igły” i zręcznie złamała igłę, zupełnie jakbym zamierzała dla zabawy wbić ją sobie jeszcze ze sześć razy. Jak na profesjonalnego detektywa przystało, skorzystałam z okazji, by czekając na przyście lekarza, przepytac ją o Newquistów.

- Sądzę, że Rafer i Tom byli serdecznymi przyjaciółmi - zagałam rozmowę.

- Tak, to prawda.

- Czy spędzaliście we czwórke dużo czasu? - Nie spieszyła się jakoś z odpowiedzią, dodałam więc: - Może pani być szczerą. Słyszałam już, że nikt nie lubił Selmy.

Vicky się uśmiechnęła.

- Spędzaliśmy wspólnie czas, kiedy musieliśmy. Bywały sytuacje, gdy nie mogliśmy jej unikać, więc się z tym pogodziliśmy. Rafer nie chciał robić scen, ja też nie. Przysięgam na Boga, kiedyś tak mi powiedziała, to są dokładnie jej słowa: „Zaprosiłabym was, ale myślę, że będziecie czuli się lepiej z ludźmi ze swojej sfery”. Musiałam ugryźć się w język, bo korciło mnie, by palnąć: „Na pewno nie chciałabym się zadawać z taką bandą białej hołoty jak wy”. A cała sprawa komplikowała się tym bardziej, że nasza córka, Barrett, chodziła z jej synem.

- Musiałoby się to Selmie bardzo podobać...

- Protestować jednak by nie mogła. Tak usilnie starała się zawsze udawać, że nie ma żadnych uprzedzeń. Co za ironia! Gdyby to nie było takie pożałowania godne, to pękłabym ze śmiechu. Ta kobieta nie ma ani wykształcenia, ani jakiejś specjalnej inteligencji. Rafer i ja studiowaliśmy na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. On skończył kryminologię... jeszcze zanim ubiegał się o stanowisko w Biurze Szeryfa. Ja mam tytuł bakałarza

w zakresie pielęgniarstwa, jestem też dyplomowaną pielęgniarką.

- Selma wiedziała, że oni się spotykali?

- Och, na pewno. Chodzili ze sobą od lat. Tom uwielbiał Barrett.

Wiem, że według niego miała dobry wpływ na Branta.

- Czy Brant ma jakieś przywary?

- W gruncie rzeczy to dobry chłopak. Po prostu kiedyś był znerwicowany jak wielu smarkaczy w tym wieku. Nie wydaje mi się, żeby brał narkotyki, za to sporo pił i stawiał się przy każdej okazji.

- Dlaczego ze sobą zerwali?

- Musiałaby pani zapytać o to Barrett. Staram się nie wtrącać w jej sprawy. Jeśli chce pani znać moją opinię, to myślę, że Brant dla kogoś takiego jak ona był zbyt biedny i niesamodzielny. Jakiś taki bez życia i nie do odzyskania. Oczywiście, to było dawno. Miał wówczas dwadzieścia lat. Ona skończyła właśnie szkołę średnią i nie wyglądało na to, by poważniej się nim interesowała.

Przyjście lekarza przerwało jej wynurzenia. Doktor Price dobijał trzydziestki, był chudy i chłopcęcy, miał błyszczące niebieskie oczy, duże uszy, ciemnokasztanowe włosy i jasną piegowaną cerę. Na policzku odcisnął mu się ślad zwiniętej poduszki, na której spał. Wyobraziłam sobie, że wszyscy pełniący dyżur w pogotowiu podrzemują gdzieś na łóżkach polowych. Doktor Price był w zielonym chirurgicznym stroju i białym laboratoryjnym fartuchu, w kieszeni miał zwinięty stetoskop, przypominający oswojonego węża. Zastanawiałam się, dlaczego wylądował w tak małym szpitalu jak ten. Miałam nadzieję, że nie dlatego, iż na medycynie był najgorszym studentem.

- Och! Wspaniale! - powiedział, spojrzawszy na moje palce.

Podobał mi się ten jego entuzjazm. Porozmawialiśmy o napastniku i o tym, co mi zrobił. Doktor obejrzał moją zuchwę.

- Musiał panią porządnie palnąć - skonstatował.

- Zgadza się. Zapomniałam o tym. Jak to wygląda?

- Jakby cień do powiek położyła pani na niewłaściwym miejscu. Jeszcze jakieś otarcia lub stłuczenia? To taki żargon lekarski - dodał. - Oznacza niewielkie bolesne miejsca na ciele.

- Kopnął mnie dwa razy w żebra.

- No to zobaczymy - rzekł, podciągając mi koszulę.

Klatka piersiowa z prawej strony błyskawicznie mi zsiniała. Doktor osłuchiwał płuca, żeby się upewnić, czy pod wpływem uderzenia nie wbiło się w nie któreś żebro. Obmacał prawą rękę, nadgarstek, dłoń i palce, po czym wygłosił krótki wykład o stawach, więzadłach, ścięgnach i o tym, co właściwie się dzieje, kiedy ktoś je wywichnie lub zerwie. Przeszliśmy do innego pomieszczenia, gdzie wymiętoszony technik prześwietlił mi klatkę piersiową i rękę. Wróciłam potem na stół i znowu się położyłam. Kręciło mi się w głowie i cały pokój wirował wraz ze mną, czułam się więc, jakby poddano mnie całkowitej klimatyzacji.

Kiedy wywołano zdjęcia rentgenowskie, lekarz poprosił mnie na korytarz i na podświetlonym ekranie zademonstrował różne ujęcia. Dołączyła do nas Vicky. Staliśmy tam w trójkę i oglądaliśmy rezultaty badań. Czułam się jak koleżanka zaproszona na konsultację przy jakimś skomplikowanym przypadku. Żebra miałam stłuczone, ale nie pęknięte, prawdopodobnie będą mnie przez jakiś czas boleć, nie wymagają jednak żadnych szczególnych zabiegów lekarskich. Ujmując sprawę rentgenograficznie, te dwa cholerne palce zostały całkowicie wyłamane. Widziałam, że żadna kość nie była złamana, ale doktor Price wskazał dwa małe odpryski, które jak twierdził, zostaną zresorbowane.

Wróciłam do stołu i z ulgą znowu się położyłam. Pośladek wciąż mnie palił po zastrzyku przeciwtężcowym, prawie więc nie zauważyłam, kiedy doktor, wesoło pogwizdując, nastawiał mi kolejno stawy obu palców. Przestałam już wtedy się tym interesować. Byłam zbyt otepiała, by zwracać uwagę na to, co ze mną robiono. Wpatrywałam

się w ścianę, a lekarz manipulował moimi palcami, ustawiając je w oryginalnej, pionowej pozycji. Potem na chwilę wyszedł z pokoju. Kiedy wreszcie ośmieliłam się spojrzeć na swoją rękę, stwierdziłam, że uszkodzone palce są czerwone i opuchnięte. Mogłam je zgiąć, ale knykcie miałam tak obrzmiałe, jakbym nagle dostała reumatoidalnego zapalenia stawów. Dotknęłam ustami gorących, zdrętwiałych miejsc, jak matka badająca wargami gorączkę dziecka.

Wrócił doktor Price, przynosząc ze sobą: po pierwsze, rolkę plastra, po drugie, paczkę gazy, a po trzecie, metalowe łupki, wyglądające jak wygięte lody na patyku. I za to wszystko moje towarzystwo ubezpieczeniowe zostanie obciążone sumą około pięciuset dolarów. Najpierw owinał mi plastrem oba palce, potem połączył je z serdecznym palcem, okręcając kolejną warstwą plastra, a w końcu całość umieścił w łupkach. Niemal czułam, jak moja stawka ubezpieczeniowa szybuje w górę. Ubezpieczenie medyczne coś daje tylko wtedy, gdy nie dostało się nigdy odszkodowania. W przeciwnym razie otrzymasz zawiadomienie, że ubezpieczenia ci nie przedłużą albo znacznie podwyższą składkę.

Z holu dobiegały odgłosy kolejnej konferencji i pod drzwiami pokoju do badań lekarskich pojawił się zastępca szeryfa. Przez jakiś czas konferował z doktorem Price'em, który potem się oddalił i zostawił mnie z nim sam na sam. Tego człowieka przedtem nie widziałam - wysoki, kościsty młodzian o pociągłej twarzy, ciemnych włosach, krzaczastych, zrośniętych brwiach i z błyszczącą metalową klamrą na zębach. No dobra, poczułam do niego pełne zaufanie.

- Pani Millhone, jestem Carey Badger, zastępca szeryfa. Wiem, że miała pani kłopoty. Może mi pani powiedzieć, co się stało?

- Oczywiście - odparłam i przystąpiłam znów do opowiadania smutnej historii mojej klęski.

Zapisywał coś lewą ręką w małym kołnotesie, nie spuszczając ze mnie wzroku ani na chwilę. Używał cienkiego

i krótkiego ołówka, wielkości tych do zapisu brydżowego, i chyba niespecjalnie zaostrego. Przypominał kelnera, który notuje sobie zamówienia... tuńczyk na pszennej grzance, bez majonezu.

- Domyśla się pani, kim był ten facet? - spytał.

- Nie mam pojęcia.

- A może mi pani z grubsza określić jego wzrost i wagę?

- Myślę, że ma około stu osiemdziesięciu trzech centymetrów i musi być ode mnie cięższy o jakieś trzydzieści kilogramów. Ja ważę pięćdziesiąt trzy, a on wobec tego minimum od siedemdziesięciu ośmiu do osiemdziesięciu jeden kilogramów.

- Coś jeszcze? Jakies blizny, pieprzyki, tatuaże?

- Panowały egipskie ciemności. Miał kominiarkę i był grubo ubrany, nie widziałam więc właściwie nic. Poprzedniej nocy ten sam facet śledził mnie od parkingu koło tawerny U Tiny. Nie mogłabym przysiąc na Biblię, ale trudno mi uwierzyć, że dwóch różnych facetów mnie w taki sposób prześladowało. Za pierwszym razem jeździł czarną dostawczą furgonetką z niewidocznymi numerami rejestracyjnymi. Zgłosiłam to dziś rano policji w Nota Lake.

- Czy może mi pani coś jeszcze o nim powiedzieć?

- Śmierdział potem.

Obrócił kartkę i pisał dalej, po czym zachmurzył się nad swoimi notatkami.

- Co zrobił przy tym pierwszym spotkaniu? Czy zagadnął panią przy tej okazji?

- Patrzył na mnie i zrobił tak - odparłam, naśladując lewą ręką strzelanie z broni. - Nie wygląda to groźnie, ale miało mnie przestraszyć, no i przestraszyło.

- Za drugim razem też nic nie powiedział?

- Ani słowa.

- A jakim samochodem przyjechał? Tym samym co ostatniej nocy?

- Nie widziałam. Musiał zaparkować auto przy szosie i na piechotę przyjść do chatki, w której mieszkam.

- Musiał zatem wiedzieć, która to chatka, chyba że włamał się na chybił trafił.

Popatrzyłam na niego z zainteresowaniem.

- Rzeczywiście. Nie przyszło mi to do głowy. Ciekawe, jak się dowiedział, w której chatce jestem. Obudziłam się, gdy usiłował otworzyć zamek wytrychem. Kiedy mu to nie szło, próbował okna w łazience. Potem wrócił znowu do otwierania drzwi.

- A później, jak wyłamał pani palce ze stawów, to odjechał?

- Zgadza się. Słyszałam z daleka zapalenie silnika, nie mam jednak pojęcia, co to był za samochód. W tym momencie koncentrowałam się na tym, by wziąć się w garść i szukać pomocy.

Zastępca szeryfa Badger zrobił sobie dodatkową notatkę, po czym wpakował mały kołonotatnik do kieszeni razem z ołówkiem zatkniętym w spiralkę.

- Przypuszczam, że na razie to wszystko. Przekażę te informacje na naradzie zastępców szeryfa.

Usłyszałam za drzwiami rozmowę i do pokoju wszedł Rafer LaMott. Przywitał się z Badgerem, a ten szybko przeprosił i zniknął na korytarzu. Koło pokoju pielęgniarek zobaczyłam żonę Rafera. Jej zachowanie świadczyło, że wie o obecności męża. Zastanawiałam się, czy to ona go wezwała. Rafer chyba dopiero co wziął prysznic i świeżo się ogolił. Wyglądał elegancko w jasnobrązowych sztruksowych spodniach, miękkiej, czerwonej, kaszmirowej kamizelce i frakowej koszuli. Wyraz twarzy miał neutralny. Ręce wsadził do kieszeni i oparł się, jakby od niechcienia, o ścianę. Przypominał reklamę z katalogu męskiej odzieży.

- Cecilia czuła się zmęczona, kazałem jej więc jechać do domu. Jak tylko skończą tu panią opatrywać, pojedziemy, gdzie pani sobie życzy.

Zbliżała się szósta rano, gdy Rafer wreszcie posadził mnie na przednie siedzenie w swoim samochodzie. Propozycja odwiezienia oznaczała zapewne maksymalną formę przeprosin, na które mogłam liczyć. Bez wątpienia prawdziwym motywem była w tym wypadku chęć wyptania o aktualny stan mojego śledztwa, doprawdy jednak nic mnie to nie obchodziło. Słońce jeszcze nie wzeszło i atmosfera wczesnego poranka była dziwnie deprymująca. Nie miałam pojęcia, gdzie mam mu się kazać zawieźć. Nie mogłam znieść myśli o samotnym przebywaniu w chatce. Nie sądziłam, żeby Selma o tej porze już wstała ani też by moje towarzystwo sprawiło szczególną przyjemność Cecilii.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Rafer, jakby czytając w moich myślach.

- Najlepiej chyba będzie, jeśli wysadzi mnie pan przy Tęczy. Mogę tam posiedzieć, zanim wymyślę, co mam robić dalej.

- Chciałbym obejrzeć tę chatkę. Zamówiłem w Independence technika od zdejmowania odcisków, przyjedzie tu o siódmej, jak tylko zjawi się w pracy. Może dopisze nam szczęście i okaże się, że napastnik zostawił odciski palców.

- Proszę dokonać jakichś egzorcyzmów, jak już się pan tam znajdzie. Nie przewiduję, bym mogła porządnie się wyspać, póki się stąd nie wyniosę.

Spojrzał na mnie.

- Myśli pani o powrocie do domu?

- Myślę o tym przez cały czas, odkąd się tu zjawiłam. Milczał przez chwilę, koncentrując uwagę na drodze.

Miasto zaczynało powracać do życia. Mijały nas samochody, a reflektory niemal przestawały już być potrzebne, bo niebo zmieniało stopniowo barwę ze stalowoszarej na jasnoszarą. Na jednym ze skrzyżowań paliły się światła w restauracji U Elma, przez okna można było zobaczyć stołowników. Widziałam głowy pochylone nad talerzami ze śniadaniem. Kelnerka krążyła między stolikami, w obu rękach trzymając dzbanki z kawą i oferując dolewkę. Na chodniku dwie panie w dresach zajmowały się rozmową podczas joggingu. Znalazły się na rogu ulicy w chwili, gdy zapaliło się czerwone światło, biegły więc teraz w miejscu. Pojechaliliśmy dalej.

- Kiedy ostatni raz miałem do czynienia z prywatnym detektywem? - przerwał w końcu milczenie Rafer. - Gość twierdził, że poszukuje kogoś, kto zaginął. Miałem sporo kłopotów, żeby tego kogoś wyśledzić, poświęciłem dwa dni swojego czasu na wytropienie faceta w innym stanie. I okazało się, że ten prywatny detektyw mnie okłamał. Próbowałem odebrać zaległy dług. Byłem zły jak cholera.

- Wcale się nie dziwię - powiedziałam. Zaczęłam wysilać mózgownicę, przypominając sobie, czy ja go też okłamałam.

- Ma pani jakąś teorię na temat tej dzisiejszej nocnej napaści?

- Zakładam, że to był ten sam facet, który jechał za mną od parkingu tawerny U Tiny - odparłam.

Popatrzył znów na drogę.

- Słyszałem o tym. Corbet postarał się, żebyśmy otrzymali kopię tego meldunku. Przekazałem go drogówce, żeby też mieli to na oku. Coś zginęło?

- Nawet nie zawracałam sobie głowy sprawdzaniem. Byłam zbyt zajęta troszczeniem się o to - odparłam, podnosząc rękę. - Zresztą wątpię, żeby szło o kradzież. Myślę, że chodziło o to, żeby mnie zniechęcić do śledztwa.

- Dlaczego?

- Tego to ja nie wiem. Przypuszczam, że on usiłuje

osłaniać Toma Newquista. To najlepsza hipoteza, na jaką wpadłam.

- Nie jestem przekonany, że ma to coś wspólnego z Tomem.

- A ja nie mogę udowodnić, że ma. I dokąd to nas zaprowadzi?

- Mogła się pani pomylić. Jest pani samotną, a przy tym atrakcyjną kobietą. Naturalnym więc obiektem...

- Czego? Ta napaść nie miała motywacji seksualnej. To był wyraźnie zwykły napad i pobicie. Ten facet chciał spowodować poważne uszkodzenia cielesne.

- No i co jeszcze?

- A co jeszcze więcej? Już nic więcej nie było. Oto pytanie dla pana: Gdzie jest notatnik Toma? Bo zginął. Od śmierci Toma nikt go nie widział.

Obrzucił mnie spojrzeniem i potrząsnął głową. Widziałam, że wraca myślami w przeszłość.

- Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widziałem. Tom zazwyczaj trzymał notatnik gdzieś pod ręką, ale wiem, że nie ma go w szufladach biurka, bo je opróżniliśmy.

- Policjant z drogówki nie przypomina sobie, żeby widział ten notatnik w pikapie Toma. Nie przyszło mu do głowy, by go szukać. Niemniej wydaje się to dziwne. Wiem, musi pana irytować fakt, że się tym zajmuję...

- Niech pani posłucha. Puściły mi trochę nerwy. Rozzłościła mnie Selma. Pani nie ma z tym nic wspólnego.

Czułam, że dystans między nami zaczyna się zmniejszać. Nic bardziej nie rozbiera niż przyznanie się tego rodzaju.

- Może to nie mieć znaczenia w każdym przypadku - powiedziałam. - Jaka procedura obowiązuje przy raportach? Czy większość jego notatek nie została już przepisana i oddana?

- Prawdopodobnie. Przechowywał własne kopie wszystkich raportów w teczce sprawy, nad którą pracował. Oryginały posyła się do sekcji akt w Independence. Raporty przekazuje się w regularnych odstępach czasu.

Nowsi pracownicy chyba pod tym względem są lepiej zorganizowani. Weterani, jak ja i Tom, zabierali się do tego dopiero, gdy mieli czas.

- Czy można by w jakiś sposób wrócić do starych spraw i zobaczyć, których raportów brakuje?

- Nie wiem, jak mogłaby to pani zrobić, zresztą nie dałoby to zbyt wiele. Nie zdoła się pani dowiedzieć, gdzie on był i z kim rozmawiał, a tym bardziej poznać treści tych rozmów. Nie należy do rzadkości to, że w jakiejś teczce brak paru raportów... Zwłaszcza jeśli Tom pracował nad jakąś sprawą i jeszcze nie przepisał na maszynie swoich notatek. Poza tym nie zostały włączone wszystkie notatki, tylko te informacje, które jego zdaniem były istotne. Można zapisać mnóstwo rzeczy, a jak im się przyjrzyysz, okazuje się, że funta kłaków nie są warte.

- Założmy, że wykorzystywał informacje z jakiejś swojej sprawy.

- Pewno tak. Mogła to być także sprawa prowadzona przez kogoś innego, do której on z jakiegoś powodu wrócił.

- Jaka?

Rafer wzruszył ramionami.

- Mógł trafić na nowy ślad. Niekiedy zdarza się sprawa, w której informacja ma charakter poufny... Może to być informator z innego stanu albo mieć coś wspólnego z Wydziałem Spraw Wewnętrznych.

- Właśnie tak uważam. Chodzi mi o to, że być może Tom został w coś wtajemniczony i nie wiedział, co z tym począć.

- Byłby mi o tym powiedział. Mówiliśmy sobie wszystko.

- A jeśli to dotyczyło pana?

Poruszył się, co wskazywało na zdenerwowanie.

- Zostawmy to już, okej? Nie twierdzę, że nie możemy potem o tym porozmawiać, ale muszę to sobie trochę przemyśleć.

- Jeszcze jedna rzecz. I proszę się na mnie nie złościć,

tylko powiedzieć, co pan myśli. Czy istnieje możliwość, że Tom mógł się zaplatać z jakąś inną kobietą?

- Nie.

Roześmiałam się.

- Proszę sformułować swoją odpowiedź najwyżej w dwudziestu pięciu słowach - zasugerowałam. - A dlaczego nie?

- Był człowiekiem głęboko moralnym.

- A czy to właśnie nie mogłoby tłumaczyć jego zatroskania? Człowiek bez skrupułów nie walczyłby z sobą samym.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Czysta spekulacja.

- Ale coś go przecież gnębiło. Selma nie była jedyną osobą, która to widziała. Nie wiem, czy to było zmartwienie osobiste czy zawodowe, jednak z informacji, które zebrałam, wynika, że czymś naprawdę się gryzł.

Wjechaliśmy na parking pomiędzy Tęczą a Nota Lake Cabins. Rafer zaparkował wóz, po czym otworzył drzwiczki ze swojej strony.

- Proszę wysiąść. Postawię pani śniadanie. Moja córka tu pracuje.

Walczyłam z klamką, ale musiałam się poddać. Siedziałam dalej, a on obszedł samochód i otworzył drzwiczki po mojej stronie. Nawet wyciągnął do mnie rękę, oferując pomoc przy wysiadaniu.

- Dzięki. Czuję, że to będzie boleć.

- Dobrze to pani robi - powiedział. - Zmusi do uporania się z problemem uzależnienia.

- Nie mam problemów z uzależnieniem — zaprotestowałam dziarsko.

Rafer uśmiechnął się w odpowiedzi.

Przytrzymał mi drzwi, weszłam więc do restauracji przed nim. Lokal był pełen ludzi, samych mężczyzn, najwyraźniej ściągali tu ci, którzy wstają wcześniej, ranczerzy i gliny, także robotnicy w drodze do pracy. Jak zwykle było tu zbyt ciepło, ale pachniało kawą, bekonem, kielbasami, syropem klonowym i papierosami. Brązowowłosa kelnerka, Nancy, przyjmowała zamówienia przy stoliku,

gdzie siedziało wielu facetów w roboczych kombinezonach. Barrett za kontuarem koncentrowała uwagę na płycie, na której smażyła naleśniki i omlety. Rafer ruszył przodem i znalazł dla nas wolny boks. Kiedy przechodziliśmy obok kolejnych stolików, zauważyłam, że przyciągaliśmy wzrok wielu osób. Domyśliłam się, że miejscowe tam-tamy przekazały już wiadomość o napadzie na mnie.

- Jak pan wylądował w Nota Lake? - spytałam, gdy zajęliśmy miejsca w boksie.

- Zaczynałem jako dyspozytor w Departamencie Policji w Los Angeles, a wieczorami studiowałem. Kiedy skończyłem uniwersytet, zgłosiłem się do Akademii. Zatrudniono mnie w San Bernardino i w końcu dostałem przydział do jednostki do spraw rozbojów. Ale jak urodziła się Barrett, Vicky zaczęła wiercić mi dziurę w brzuchu, żebyśmy się wyprowadzili z Los Angeles. Ona pracowała jako pielęgniarka w izbie przyjęć w Szpitalu Królowej Aniołów i nie znosiła dojazdów do pracy. Nawet przy dwu pensjach nie mogliśmy sobie pozwolić na kupno domu w takim miejscu, które by nam się podobało. Dowiedziałem się o wakacie w tutejszym Biurze Szeryfa. Przyjechaliśmy tu oboje na jeden weekend i zakochaliśmy się w tej miejscowości. To było dwadzieścia trzy lata temu. Tom już tu mieszkał. Wychował się w Bakersfield.

Dwa stoliki dalej zauważyłam Maçona, który wbił we mnie wzrok. Wychylił się do przodu i rzucił jakąś uwagę. Jego towarzysz odwrócił się jakby od niechcienia, udając, że omiata spojrzeniem lokal, a naprawdę chodziło mu o moją osobę. Wzięłam jadłospis, udając, że nie zauważyłam tego udawania, że mnie nie zauważa. To był mąż Margaret, Hatch.

- Czy pani wie, czego chce? - spytał Rafer. - Ja wykonuję całą robotę sam. Próbuje się poprawić, ale nie umiem przyhamować.

- Ze mną jest tak samo - przyznałam. - Pańska córka ma na imię Barrett?

- To był pomysł Vicky. Nie wiem, skąd wytrzasnęła to imię, ale chyba do córki pasuje. Nawiasem mówiąc, Bar-

rett pracuje tu chwilowo. Zgłosiła się na uczelnię medyczną. Chce zostać psychiatrą. Pracując tu, może mieszkać w domu i oszczędzać pieniądze, zanim wyjedzie na studia.

- Gdzie będzie studiować? Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles?

- A gdzież by indziej? - odparł, uśmiechając się. - A pani?

- Nienawidziłam szkoły. - Ledwie przepchnęłam się przez szkołę średnią i na tym poprzestałam. No, zaliczyłam jeszcze chyba trzy semestry college'u, ale nienawidziłam go również.

- Jak to możliwe? Wydaje się pani osobą inteligentną.

- Mam zbyt buntownicze usposobienie - oznajmiłam. - Ukończyłam Akademię Policyjną, ona jednak przypominała bardziej obóz szkoleniowy niż jakąś Akademię.

- Jest pani policjantką?

- Byłam. Przeciwno temu też się buntowałam.

Pojawiła się Nancy z dzbankiem kawy. Miała czterdzieści kilka lat, włosy ściągnięte do tyłu w kok, na nim jeszcze siatkę, duże piwne oczy, pieprzyk na prawym policzku i taką figurę, która sprawiała, że mężczyźni z trudem utrzymywali ręce przy sobie. Ubrana była w koszulkę z krótkimi rękawami i obcisłe spodnie, na nogach miała brązowe półbuty na grubej słoninie.

- Wcześniej wyszedłeś z domu - zagadnęła Rafera. Oboje wyciągnęliśmy w jej stronę kubki, naląła więc nam kawy.

- Znasz Kinsey?

- Formalnie nie, ale wiem, kim jest. Ja jestem Nancy. Mówiłaś z Alice o mnie.

- Jak się masz - powiedziałam. - Podałabym ci rękę, gdybym mogła.

- Taak, słyszałam o tej historii. Cecilia wstąpiła tu, właśnie kiedy otwierałyśmy. Mówiła, że dostałaś łomot. Widzę, że szczeka ci zsiniała.

Przyłożyłam rękę do tego miejsca.

- Zapominam o tym. Musi to strasznie wyglądać.
 - Nadaje ci charakter - odparła. Spojrzała na Rafera. -Co na śniadanie? Rafer zajął z powrotem do jadłospisu.
 - Zobaczmy, co tu jest. Staram się podnieść poziom cholesterolu, myślę więc, że wezmę naleśniki z jagodami, kiełbasę, jajecznicę i kawę.
 - Dla mnie to samo - odezwałam się.
 - Chcecie sok pomarańczowy?
 - No oczywiście. Co za pytanie - powiedział.
 - Zaraz przyniosę.
- Zobaczyłam, że wzrok Rafera powędrował w stronę okna.
- Przepraszam, ale widzę Alexa. Zaprowadzę go do chatki, żeby przystąpił do działania.

Musiałam używać obu rąk, by utrzymać kubek z kawą, bo trzy palce prawej dłoni miałam połączone i oklejone plastrem, tak że przypominały kuchenną rękawicę. Doktor powiedział mi, że będę mogła zdjąć plaster za dzień lub dwa, jeśli nie będzie boleć. Dał mi cztery antybólo-we proszki w zapieczętowanej białej kopertce. Pamiętam z dzieciństwa podobną kopertę z czasów chodzenia do kościoła, kiedy mój pieniążek na ofiarę kładziono na tacy. Taca była drewniana i podawano ją sobie z ręki do ręki, aż dotarła do kościelnego na końcu ławki. Wielokrotnie wyrzucano mnie z niedzielnej szkółki z powodów, które ukrywałam, ale moja ciotka Gin, oburzona w moim imieniu, zdecydowała, że mam prawo chodzić na nabożeństwa do kościoła. Przypuszczam, że tak naprawdę chodziło jej o to, by poddać mnie duchowym napomnieniom. Nauczyłam się tam głównie tego, że bardzo trudno jest dokładnie zliczyć pęczki organów.

Patrzyłam przez okno, obserwując, jak Rafer przechodzi przez parking i zmierza do chatki w towarzystwie młodego człowieka z czarną torbą, podobną do lekarskiego kuferka. Dokonałam w duchu inwentaryzacji obolałych żeber po prawej stronie klatki piersiowej. Szczęka, moim zdaniem, nie była opuchnięta, za to wyraźnie zasiniała.

Nie brakowało żadnego zęba, żaden się też nie ruszał. Na pośladku wyczuwałam guz wielkości srebrnego dolara; z doświadczenia wiedziałam, że będzie mnie świerzbil jak diabli przez wiele tygodni.

- Czy moglibyśmy porozmawiać, panno Millhone? Podniosłam wzrok. Przy stoliku stał James Tennyson

w jasnobrązowym mundurze drogówki i z całym rynsztunkiem: pałką, latarką, kluczami, rewolwerem, kaburą i nabojami.

- Oczywiście. Proszę usiąść.

Położył rękę na kaburze, osłaniając broń przy wsuwaniu się na siedzenie. Wydawało mi się, że jest zakłopotany, ale nie znałam go na tyle, by mieć pewność.

- Zobaczyłem, że Rafer odszedł od stołu. I pomyślałem, że będzie pani mieć parę wolnych minut.

- To dobrze, miło mi znowu pana widzieć. Znalazł pan swoją latarkę?

- Tak, proszę pani. Dziękuję za jej zwrot. Jo znalazła ją pod drzwiami, kiedy wyszła po gazetę. - Wskazał moją rękę. - Właśnie się dowiedziałem, że w nocy ten facet napadł na panią. Jest pani cała?

- Mniej lub więcej.

- On nie żartował.

- Jakoś to przeżyję - zapewniłam.

- Powód, dla którego przyszedłem... nawet o tym nie pomyślałem aż do wczoraj. Tej nocy, kiedy umarł Tom, patrolowałem szosę numer trzysta dziewięćdziesiąt pięć i zobaczyłem jego pikapa... wie pani... z włączonymi światłami awaryjnymi. Początkowo nie wiedziałem, że chodzi o niego, bo byłem za daleko, zamierzałem jednak się zatrzymać i zobaczyć, czy mógłbym coś zrobić. W każdym razie w stronę miasta szła po szosie jakaś kobieta.

- Jakaś kobieta?

- Tak, proszę pani. Jestem prawie pewien.

- Zwrócona twarzą do pana?

- Owszem, ale zaraz się odwróciła. To było chwilę przedtem, nim przejechałam koło niej, za dobrze więc jej się nie przyjrzałam. Pozostało mi tylko ogólne wrażenie.

Była porządnie okutana. Gdybym nie znalazł Toma i nie próbował go ratować, zawróciłbym w tamtą stronę, bo mogła potrzebować pomocy.

- Czy to, że ktoś wędruje tamtędy na piechotę, to coś dziwnego?

- Tak, proszę pani. Przynajmniej tak wtedy pomyślałem. To miejsce oddalone jest od wszystkiego wiele kilometrów i prawie nie ma tam domów, poza jedną parcelą. Mogła wprawdzie urządzić sobie przebieżkę, ale była nieodpowiednio do niej ubrana. A na dodatek po ciemku? Wątpię. W każdym razie uderzyło mnie to jako coś osobliwego. Pomyślałem, że pewno pokłóciła się ze swoim chłopakiem i na piechotę od niego zmyka. Nie zauważyłem żadnego auta, nie mogło więc chodzić o przebicie opony czy coś w tym rodzaju.

- I nie była to osoba panu znana?

- Tak naprawdę to nie mógłbym tego powiedzieć. Nie był to ktoś, kogo poznałbym w takich okolicznościach. Jak mówiłem, nie zastanawiałem się nad tym faktem i później zupełnie o nim zapomniałem. Nie wiem nawet, skąd mi teraz przyszedł na myśl. Chyba dlatego, że mnie pani pytała.

Przez chwilę rozmyślałam nad jego słowami.

- W jakiej znajdowała się odległości od pikapa, kiedy ją pan zobaczył?

- Pewnie nie dalej niż jakieś czterysta metrów, bo widziałem awaryjne światła pikapa Toma migające w oddali.

- Czy pan myśli, że ona była z nim?

- Uważam, że to możliwe - odparł. - Jeśli odczuwał ból w klatce piersiowej, ona mogła wyruszyć po pomoc.

- Dlaczego nie machała, żeby się pan zatrzymał?

- To przechodzi moje pojęcie. Nie wiem, jak to rozumieć - powiedział.

- Chciałabym zobaczyć to miejsce, gdzie był zaparkowany pikap Toma - oznajmiłam. - Mógłby mnie pan tam później zawieźć?

- Jasne, zrobiłbym to z przyjemnością. Ale to miejsce nietrudno znaleźć, jakieś półtora kilometra stąd, w tym

kierunku. Musi pani szukać dwu dużych głazów koło sosny ze ściętym wierzchołkiem. Strzelił w nią piorun w czasie wielkiej burzy w zeszłym roku. Proszę mieć na nią oko. Nie można jej nie zauważyć. Stoi po prawej stronie.

- Dzięki.

Zerknął w kierunku jednego ze stołów bliżej wejścia.

- Moje śniadanie już czeka. Jeśli pani będzie mieć jeszcze jakieś pytania, to proszę do mnie zadzwonić.

Odprowadziłam go wzrokiem. Hatch i Macon stali przy kasie, czekając aż Nancy przyjmie od nich pieniądze. Moja rozmowa z Jamesem nie uszła ich uwagi, chociaż obaj demonstracyjnie udawali brak zainteresowania. Wrócił Rafer, ale przyszedł bez technika, który - jak przypuszczałam - został w chatce i używał swoich pędzelków i proszków.

- Przepraszam, ale obiecałem, że dołączymy do niego, jak tylko zjemy śniadanie - powiedział, wsuwając się na swoje miejsce.

Kiedy przyszliśmy po śniadaniu do chatki, zastaliśmy drzwi szeroko otwarte. Widziałam ślady proszku na zewnętrznych krawędziach progu. Rafer przedstawił mnie technikowi, specjalście od daktyloskopii, a ten zrobił serię odcisków moich palców, żeby móc dokonać eliminacji. Później miał w tym samym celu pobrać odciski palców Cecilii oraz wszystkich pracowników obsługi. Równie dobrze mógł oszczędzić sobie tego kłopotu. Chatka nie dostarczyła niczego, co dałoby się uznać za dowód: ani odcisków palców na szybie okna w łazience czy na przedmiotach metalowych, ani śladów stóp na wilgotnej ziemi, prowadzących do chatki i z powrotem na szosę.

W środku pachniało wilgocią, na łóżku nadal leżały ułożone przeze mnie poduszki przykryte kocami. Wnętrze było szare, zimne. Budzik mrugał, co świadczyło o tym, że znowu na jakiś czas wyłączono światło. Adrenalina ściekała stopniowo ze mnie jak brudna woda przez zatkany

odpływ. Czułam się gówniano. Zalała mnie fala obrzydzenia i zawstydziłam się na nowo z powodu własnej nieporadnej próby obronienia się przed napastnikiem. W miejscu, gdzie kończy się kręgosłup, pojawił się niepokój, lekkie przypomnienie, jak bardzo jestem bezbronna. Ożyło wspomnienie. Miałam znowu pięć lat, byłam potłuczona i zakrwawiona po kraksie, w której zginęli moi rodzice. Zapomniałam o bólu fizycznym, ponieważ bolesna emocjonalna strata zawsze ma przed nim pierwszeństwo.

Rafer i technik konferowali przyciszonymi głosami na dworze, a ja wyciągnęłam worek podróżny i zabrałam się do pakowania swoich rzeczy. Poszłam do łazienki, zebrałam przybory toaletowe i wrzuciłam je na wierzch worka. Nie słyszałam, kiedy Rafer wszedł, lecz nagle uświadomiłam sobie, że stoi w drzwiach.

- Wyjeżdża pani? - zapytał.

- Musiałabym mieć źle w głowie, żeby tu zostać.

- Zgadza się co do tego, ale nie przypuszczałem, że kończy pani śledztwo.

- To się okaże. Popatrzył na mnie z uwagą.

- Chciałaby pani porozmawiać? Teraz ja na niego spojrzałam.

- O czym? To dla mnie zwykła praca, a nie jakiś moralny imperatyw. Płacą mi za wykonaną robotę. Tylko dotąd posuwam się w tych sprawach.

- Zamierza się pani wycofać?

- Tego nie powiedziałam. Najpierw rozmówię się z Selmą, a potem zobaczymy, co dalej.

- Widzę, że jest pani zdenerwowana. Zaofiarowałbym ochronę, ale nie mam wolnego zastępcy. Brakuje nam forsy...

- Doceniam dobre chęci. Dam panu znać, co zdecydowałam.

- Nie zaszkodziłoby mieć pomoc. Zna pani kogoś, kto mógłby się podjąć ochrony osobistej?

- Och, proszę pana. Absolutnie nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. To wyłącznie moja sprawa i ja się nią

zajmę - oznajmiłam. - Niech mi pan uwierzy, nie jestem uparta ani zarozumiała. Kiedyś wynajęłam sobie ochroniarza, ale w tym wypadku jest inaczej.

- Dlaczego?

- Gdyby ten facet zamierzał mnie zabić, zrobiłby to dzisiejszej nocy.

- Niech pani posłucha, dostawałem w życiu nieraz w skórę i wiem, co to potrafi z człowiekiem zrobić. Odbiera ci odwagę. Tracisz pewność siebie. To jak jazda na koniu...

- Nie, nic podobnego! Dostawałam w skórę już przedtem... - Podniosłam rękę, nie kończąc zdania, i potrząsnęłam głową. - Przepraszam. Nie zamierzałam się na pana rzucić. Wiem, że chciał pan dobrze, ale ja muszę się sama tym zająć. Nic mi nie jest. Tylko nie chcę spędzić ani minuty dłużej w tym zakazanym miejscu.

- No - rzekł, nasycając tę pojedynczą sylabę sceptycyzmem. Zamilkł i stał z rękami w kieszeniach, kołysząc się na piętach. Zaciągnęłam suwak worka, wzięłam kurtkę i torebkę i rozejrzałam się jeszcze po pokoju. Na stole walały się moje papiery i zupełnie zapomniałam o maszynie do pisania, która nadal stała na swoim miejscu z na pół przymkniętym wiekiem. Zatrzasnęłam je, papiery wsadziłam do koperty z szarego pakowego papieru i wsunęłam do zewnętrznej kieszeni worka. W lewą rękę wzięłam maszynę.

- Dzięki za odwiezienie, a także za śniadanie.

- Muszę wracać do pracy, ale proszę dać mi znać, jeśli mógłbym w czymkolwiek pomóc.

- Może mi pan to zanieść - powiedziałam, dając mu maszynę do pisania. Zrobił więcej, bo w drodze do samochodu dygował i maszynę, i worek. Zaczekałam, aż odjedzie, po czym poszłam do biura motelu. Wetknęłam głowę przez drzwi. Ani śladu Cecylii. Palila się jak zawsze lampa na stole, ale drzwi do jej mieszkania były zamknięte. Pomyślałam, że odsypia to, co straciła, zawożąc mnie do szpitala. Wsiadłam do samochodu, wyjechałam z parkingu i skręciłam w lewo, na szosę numer 395.

Spoglądałam na licznik, a kiedy pokazał, że ujechałam półtora kilometra, zaczęłam rozglądać się za miejscem, gdzie Tom zaparkował pikap tej nocy, gdy umarł. Tak jak mówił Tennyson, nietrudno było je znaleźć. Dwa potężne głązy i wyniosła sosna bez wierzchołka. Widziałam nie zagojoną białą szramę na pniu, tam gdzie uderzył piorun.

Zjechałam na pobocze i zaparkowałam. Wysiadłam z auta, narzuciłam na ramiona ciężką skórzaną kurtkę.

O tej porze nie było żadnego ruchu i poranek wydawał się spokojny. Niebo pokrywały ciemnoszare chmury, gór nie było widać zza mgły. Zaczął sypać śnieg; wielkie koronkowe płatki osiadały mi na twarzy niczym liczne pocałunki. Odchyliłam na chwilę głowę do tyłu i chwyciłam śnieg na język.

Nie było oczywiście żadnych śladów po autach, które parkowały tu przed sześcioma tygodniami. Jeśli pikap, patrolowy wóz Tennysona i karetka rozjeździły ziemię

1 żwir wzdłuż krawężnika, to przyroda zrobiła porządk i zatarła wszelkie ślady. Starannie przeszukałam okolicę, chodząc ze wzrokiem utkwionym w ziemi wzdłuż i wszerz pobocza. Wyobraziłam sobie Toma siedzącego w swoim pikapie, ból między łopatkami przeszywa go jak ostry nóż, mdłości, słabość, lodowaty pot śmierci -wszystko to zmusza do koncentracji. Na razie odsunęłam od siebie myśl o kobiecie idącej po szosie. Z tego, co wiedziałam, mogło wynikać, że jest ona wytworem fantazji Tennysona, jakąś błędną wskazówką, która miała mnie wyprowadzić w pole. W każdym śledztwie trzeba zachować ostrożność, nie przyjmować informacji bez pewnej dozy sceptycyzmu. Nie miałam pewności, czym kierował się Tennyson. Przypuśćmy, że to naprawdę chłopak, który szczerze pragnie pomóc, traktuje poważnie swój zawód i chciał mnie poinformować o tym, co sobie przypomniał. Interesowała mnie tutaj jednak raczej możliwość, że Tom wyrzucił przez okno swój notatnik albo w jakiś sposób zniszczył jego zawartość w ostatnich minutach swojego życia.

Przepatrzyłam każdy centymetr ziemi w promieniu trzydziestu metrów. Nie było żadnego notatnika, żadnych kartek trzepoczących na wietrze, żadnego konfetti z podartego papieru, żadnej dziury czy rozpadliny, gdzie można by schować zwinięte strony z notesu. Odkopywałam nogą kamienie i zeschnięte liście, odsuwałam na bok spadłe gałęzie i grzebałam w zamrożonym płatach śniegu. Trudno było uwieżyć, żeby Tom dowlóknął się aż tutaj i zajmował się tego rodzaju sprawami. Opierałam się na przypuszczeniu, że notatnik zawierał jakieś tajne zapiski. Tom więc podjął starania, żeby zapewnić im poufność. A może nie. Notatnik wcale nie musiał być istotny.

Wróciłam do samochodu, przekręciłam nie bez trudności kluczyk w stacyjce. Plaster na prawej ręce utrudniał mi wszystkie czynności i podejrzewałam, że wysiłek, jaki będę musiała w nie wkładać, wyczerpie mnie w ciągu najbliższych paru dni. Uszkodzenie palców, choć niewielkie, było irytujące i uciążliwe, ponadto nieustannie przypominało, że zadała mi je czyjaś ręka. Zawróciłam na szosę i pojechałam do Selmy. O dziesiątej rano byłam już w drodze do domu.

Wkrótce po wyjeździe z Nota Lake wydawało mi się, że zauważyłam samochód patrolowy szeryfa okręgowego towarzyszący mi w odległości jakichś siedmiuset metrów. Był zbyt daleko, bym mogła rozpoznać kierowcę, ale odniosłam wrażenie, jakby mnie eskortowano do granic okręgu. Spoglądałam we wsteczne lusterko, lecz czarno-biały wóz utrzymywał dyskretny dystans. Kiedy dojeżdżałam do skrzyżowania szosy numer 395 i 168, ujrzałam drogowskaz informujący, że do Whirly Township jest osiem kilometrów, a do Rudd jedenaście. Wóz patrolowy skręcił. Nie mogłam mieć pewności, czy jechał za mną celowo, czy przypadkiem. Nie mogłam też ustalić, czy w grę wchodziło nastawienie wojownicze, czy też nieszkodliwe. Mąż Earlene, Wayne, był zastępcą szeryfa w Whirly Township i może to właśnie on jechał do pracy.

Potem przejeżdżałam przez pustynny krajobraz z monotonię powtarzającymi się niewysokimi, porośniętymi kosodrzewiną górami, tak że resztę podróży odbyłam w stanie lekkiego oszołomienia, wywołanego drogową hipnozą. Niewiele miast znajdowało się po drodze - Big Pine, Independence, Lone Pine, Cartago, Olancho - nieoczekiwane małe enklawy składające się głównie ze stacji benzynowych, drewnianych domków, małych restauracyjek, może jakichś pizzerii albo lodziarni, czasami jeszcze pozamykanych na sezon zimowy. W większości tych miast przeważały budynki opuszczone nad zamieszkanymi. Niskie, o drewnianych fasadach, przypominały stylem domy wiktoriańskie lub te z wester-

nów. W niektórych miejscowościach działalność komercyjna ograniczała się niemal wyłącznie do sprzedaży propanu i wymiany butli z gazem. Napotykałam sporadycznie sklepy spożywcze schowane wśród balsamicznych topoli i sosen. Minęłam też jeden z tych prostych, brązowo-żółtych kościołów przypominających motel, które budziły w tobie podejrzenie, że przygnębiającą rzeczą byłoby wierzyć w to, w co w nich się wierzy.

Pomiędzy okręgami miejskimi rozciągały się puste, dzikie przestrzenie. Powietrze było czyste i robiło się coraz cieplejsze, w miarę jak droga schodziła z wyższych rejonów w dół. Śnieg zniknął, miękkie płatki zamieniły się w jeszcze delikatniejsze krople deszczu. To, co powinno być rozległym, nieskażonym widokiem, poprzecinano liniami elektroenergetycznymi, słupami sieci telefonicznej i wieżami wiertniczymi - oto koszt robienia interesów w dziewiczej do niedawna krainie. W oddali, za dzikimi górami po lewej stronie, zauważyłam pojedynczy stożek żużlu i popiołów oraz ciemne nierówności zastygłej lawy z dawnej działalności wulkanicznej. Cała ta kraina usiana jest skałami: zielonymi, czerwonymi, brązowymi, kremowymi. Podcinają ją dwa wielkie uskoki - Świętego Andrzeja i Garlocka - które w roku 1872 spowodowały jedno z największych trzęsień ziemi w dziejach Kalifornii.

Stopniowo pozwoliłam sobie na powrót w myślach do wydarzeń, które pozostawiłam za sobą. Zanim wyjechałam z Nota Lake, spędziłam godzinę u Selmy. Jak dotąd za swoją czterodniową pracę zarobiłam tysiąc dolarów z tysiąca pięciuset, które dała mi z góry. To oznaczało, że byłabym jej dłużna pieniądze, gdybym się zdecydowała wycofać... co, jak przyznaję, przychodziło mi do głowy. Moje ubezpieczenie zdrowotne pokryje koszty spowodowane uszkodzeniem ręki. Selma zaniepokoiła się bardzo tym, co się zdarzyło, i nie obyło się bez wyliczania zagrożeń i dających się przewidzieć wyrzutów sumienia.

- Czuję się fatalnie. To moja wina. Wciągnęłam cię w to wszystko - powiedziała.

- Nie bądź niemądra, Selmo. To wcale nie twoja

wina. To tylko uwiarygodnia twoje podejrzenia co do „tajemnicy” Toma, jeśli tak chcesz to określać.

- Nigdy jednak nie przypuszczałam, że będzie to niebezpieczne.

- Życie jest niebezpieczne - zauważyłam. Czułam się dziwnie niecierpliwa, gotowa natychmiast przystąpić do roboty. - Możemy tu siedzieć i litować się nad sobą, ale ja wolałabym wykorzystać czas bardziej konstruktywnie. Mam tu stos rachunków telefonicznych. Usiądźmy i przekonajmy się, ile numerów rozpoznasz. Każdy, który wyda ci się nieznanym, mogę sprawdzić z Santa Teresa.

Tak też zrobiłyśmy i trochę więcej niż trzy czwarte połączeń z ostatnich dziesięciu miesięcy mogłyśmy wyeliminować. Wiele z nich to były telefony Selmy związane z jej pracą w kościele, z działalnością charytatywną i do rozmaitych przyjaciół w miejscowościach o innym numerze kierunkowym niż 619. Niektóre z pozostałych połączeń rozpoznała jako telefony służbowe, co potwierdzało przezorne używanie przez Toma rolodexu. Wpakowałam do swojego worka podróżnego komplet rachunków telefonicznych z ubiegłego roku, po czym zesłam do piwnicy, żeby pozaglądać jeszcze do pudeł, które tam wcześniej zauważyłam. W suchym przegrzanym pomieszczeniu, gdzie pachniało rozpalonym kotłem centralnego ogrzewania i rozgrzanym papierem, królował wyjątkowy porządek.

Mimo że na biurku jak i w gabinecie na górze panował nieładny bałagan, Tom Newquist był człowiekiem systematycznym, przynajmniej wtedy, gdy chodziło o jego pracę. Na półce po mojej lewej ręce stał rząd tekturowych pudeł, w których poukładał swoje notatniki operacyjne z minionych dwudziestu pięciu lat, łącznie z okresem pobytu w Akademii. Kiedy zapisał cały notatnik, metodycznie wyjmował z niego kartki w linie z sześcioma dziurkami, wkładał je w okładkę, oznaczał okres, z którego pochodziły, po czym zabezpieczał gumową opaską. W wielu wypadkach tej samej sprawy dotyczyło kilka notatników, wówczas były one zapako-

wane w odrębne koperty, oznaczone numerem i datami. Mogłam cofnąć się w przeszłość, wędrując palcami po śledztwach Toma rok po roku, bez żadnych luk czy przerw. Niekiedy na kopercie widniała notatka zrobiona jego ręką, że otrzymał telefon lub dalekopis dotyczący szczegółów sprawy. Wtedy przepisywał na maszynie najświeższe informacje i dołączał je do swoich notatek, oznaczając, skąd otrzymał telefon, informując o charakterze pytań i szczegółowo o swoich odpowiedziach. Najwyraźniej był przygotowany do udowodnienia przed sądem - gdyby okazało się to konieczne - wniosków z każdego z prowadzonych przez siebie śledztw od chwili podjęcia służby w Nota Lake. Ostatnia paczka notatek pochodziła z kwietnia zeszłego roku. Brakowało zapisków z maja i czerwca tamtego roku i aż do chwili jego śmierci. Musiałam założyć, że zaginiony notatnik obejmował dziesięć poprzednich miesięcy. W notatnikach Toma nie było innej tak znacznej luki.

Wróciłam na górę i przez kuchnię poszłam do garażu, gdzie ponownie przeszukałam pikap - dokładniej niż za pierwszym razem. Oparłam się nawet na ramieniu, by poświecić latarką pod siedzenia, bo Tom mógł schować swój notatnik między sprężynami. Nie było po nim ani śladu, czyli w gruncie rzeczy znalazłam się w punkcie wyjścia. Pocieszałam się tylko myślą, że przeszukałam, co się dało - tak mi się przynajmniej wydawało. Najwyraźniej jednak coś musiałam przeoczyć, w przeciwnym razie bowiem miałabym go w ręce.

Deszcz się nasilił, gdy jechałam na południe. W Rosamond znalazłam McDonalda i zatrzymałam się, żeby pójść do ubikacji. Potem zamówiłam dużą colę, potężną porcję frytek i ćwierćfunciaka z serem. Zażyłam też proszek antybólowy. Dwanaście minut później byłam już znowu w drodze. Im bliżej miałam do Los Angeles, w tym lepszym byłam nastroju. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo czułam się przygnębiona, dopóki humor nie zaczął mi się poprawiać. Deszcz wiernie mi towarzyszył, wycieraczki pracowały w niezmiennym ryt-

mie, a szosa świszczała pod oponami. Włączyłam radio i wewnątrz auta wypełniło się kiepską muzyczką.

Kiedy znalazłam się na szosie numer 5, jechałam na północ aż do skrzyżowania z szosą numer 126, gdzie skręciłam na zachód, przez Fillmore i Santa Paula. Tu w krajobrazie dominowały gaje cytrusowe i drzewa awo-kado, wzdłuż drogi stało pełno kramów z owocami, a za nimi wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się osiedla mieszkaniowe. Szosa numer 126 doprowadziła mnie do szosy numer 101 i z ust niemal wyrwał mi się okrzyk na widok Pacyfiku. Opuściłam szybę i wysunęłam głowę, przekrzywiając ją na bok i pozwalając, by krople deszczu padały mi na twarz. Zapach oceanu był intensywny i słodki. Fale przyboju nadpływały i cofały się wytrwale, tłukąc o brzeg, a po ubitym piasku spacerowały morskie ptaki. Woda była jak jedwab, bezkresne masy szarej tafty pieniającej się koronką przy brzegu. Nie przepadam za górami, częściowo dlatego, że w małym stopniu interesują mnie sporty zimowe, zwłaszcza te wymagające drogiego ekwipunku. Unikam czynności związanych z szybkością, zimnem i wysokościami oraz wszystkich tych, w których grozi niebezpieczeństwo upadku i połamania sobie kości. Nigdy nie pociągały mnie tego rodzaju rozrywki. Z oceanem sprawa ma się inaczej i choć potrafię spędzać jakiś krótszy czas w miejscowościach leżących w głębi lądu, nigdy tam nie jestem tak szczęśliwa jak wtedy, gdy znajduję się w pobliżu głębokiej wody. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie wchodzę do wody, bo są tam wszelakie kąsające, kłujące, pełne macek i kleszczy, oślizgłe stwory i rzeczy, natomiast lubię na nią p a t r z e ć i trawić czas w obecności nieustannie zmieniającego się ogromu wód. Dlatego też przypisuję terapeutyczne działanie pewności, że wszystkie te stwory w pewnym momencie mnie nie pochłoną.

Tak więc, rozweselona na duchu, przejechałam ostatnich kilka kilometrów do Santa Teresa. Skierowałam się na zjazd Cabana i skręciłam w lewo, mijając po prawej stronie ptasi rezerwat i wkrótce potem boiska do siatków-

ki na piaskach East Beach. Już od pięciu godzin byłam w drodze i tak dalece skoncentrowałam się na dotarciu do domu, że stopę miałam jakby przyspawaną do pedału gazu. Czułam się wyczerpana. Kark mi zeszywniał. W ustach miałam smak jakby rozgrzanego metalu. Ból, mimo że przytłumiony na skutek leków, zaczął pulsować w uszkodzonych palcach. Dokuczał mi też pośladek oraz wszystko inne.

Okolice mojego domu wyglądały tak samo jak zawsze -krótka willowa uliczka o przecznicy odległa od plaży: palmy, wysokie sosny, siatki ogrodzeń, krzywe chodniki, tam gdzie beton odkształciły korzenie drzew. Większość domów miała tynkowane fasady i dachy pokryte starymi czerwonymi dachówkami. Pomędzy jednorodzinnymi domkami trafiał się pojedynczy blok mieszkalny. Znalazłam miejsce na zaparkowanie samochodu po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mojej siedziby, czyli dawnego garażu na jedno auto, a teraz dwupoziomowego mieszkania, połączonego gankiem z domem właściciela. W tym miesiącu upływało pięć lat od chwili, gdy podpisałam umowę wynajmu, i traktowałam to mieszkanko jak swój skarb.

Rozładowałam wypożyczony samochód na dwa razy, wchodząc i wychodząc przez skrzypiącą bramę Henry'ego. Ułożyłam rzeczy w stos na małym krytym ganku, otworzyłam frontowe drzwi mieszkania, postawiłam maszynę do pisania przy biurku, wróciłam po worek podróżny i wciągnęłam go po spiralnych schodach. Zrzuciłam z siebie ubranie, zdjęłam bandaż z ręki i zafundowałam sobie porządny, gorący prysznic, pod którym umyłam włosy. Potem, goląc nogi lewą ręką, odśpiewałam wiązanek rewiowych piosenek, wstawiając na miejsce połowy tekstu ta-ta-ta. Rozkosz płynąca z faktu, że jestem czysta i rozgrzana, przekraczała niemal moją wytrzymałość. Zrezygnowałam tym razem z oczyszczenia zębów nitką dentystyczną, umyłam je tylko szczoteczką, używając lewej ręki, i skropiłam się niedrogą konwaliową wodą kolońską. Wzięłam świeży golf, świeże dżinsy, czyste skarpetki,

reeboki i trochę szminki. Obejrzałam się w lustrze w łazience. Nie, to wygląda idiotycznie. Starłam szminkę kawałkiem papieru toaletowego i uznałam się za ozdrowiałą. Potem musiałam jeszcze tylko poświęcić około dwudziestu minut na umieszczenie palców w łupkach i ponowne okręcenie ich plastrem. To było supernieprzyjemne.

Wyskoczyłam z drzwi i pobiegłam w deszczu przez patio. Ogród Henry'ego budził się znowu do życia. Santa Teresa ma umiarkowany klimat przez cały rok, a mimo to tak samo jak gdzie indziej rozkoszujemy się niemal niezauważalną wiosną, kiedy zielone pędy przebijają się przez twardą ziemię. Henry przystąpił już do oczyszczania kwiatowych grządek, na których posadzi jednoroczne kwiaty i kilka pomidorowych krzaków. Czulałam zapach wilgotnych ścieżek, kompostu i paru narcyzów. Widocznie musiały rozwinąć się na deszczu. Była za kwadrans piąta, dzień ciemny z powodu zbliżającego się zmierzchu, światło szarawe od deszczowych chmur.

Zerknęłam przez okienko w tylnych drzwiach mieszkania Henry'ego i zapukałam w szybę. Paliło się światło i pewne oznaki wskazywały, że gospodarz zajęty jest gotowaniem. Przez wiele lat Henry Pitts zarabiał na życie jako piekarz i teraz, będąc na emeryturze, nadal uwielbiał coś pichcić. Jest to pan o szczupłej twarzy, opalony, długonogi, o śnieżnobiałych włosach, niebieskich oczach, haczykowatym nosie i z pełnym własnym uzębieniem. Ma osiemdziesiąt sześć lat, dużą inteligencję, dobry humor i zdumiewającą energię. Wszedł do kuchni z holu ze stertą białych frotowych ręczniczków, których używa, kiedy gotuje. Zazwyczaj jeden zatyka sobie za pasek, drugi kładzie na ramieniu, a trzeci służy mu czasem jako łapawica. Miał na sobie granatową trykotową koszulkę i białe szorty, osłonięte wielkim, sięgającym za kolana, piekarskim fartuchem. Położył ręczniczki na blacie roboczym i z uśmiechem na ustach pospieszył odemknąć drzwi.

- No, Kinsey. Nie spodziewałem się, że dziś wrócisz. Wejdz. Co ci się stało w rękę?

- To długa historia. Za chwilę podam ci jej skróconą wersję.

Odstąpił na bok, a ja weszłam, obejmując go po drodze. Na blacie roboczym zobaczyłam wysoki słój z mąką, mniejszy z cukrem, dwie kostki masła, puszkę proszku do pieczenia, karton jajek, miskę jabłek Granny Smith oraz blachę do pieczenia, wałek i tarkę.

- Coś tu wspaniale pachnie. Co pieczesz? Henry się uśmiechnął.

- Niespodziankę na urodziny Rosie. W piecyku mam makaronowy pudding. To węgierska potrawa, mam nadzieję, że nie każesz mi wymawiać jej nazwy. Przygotowuję też dla niej węgierską szarlotkę.

- Które to urodziny?

- Ona nie powie, które. Ostatnio słyszałem, jak przyznała się do sześćdziesięciu sześciu lat, ale ja myślę, że się odmładza. Musi mieć z siedemdziesiątkę. Mam nadzieję, że do nas dołączysz.

- Nie przepuściłabym takiej okazji - powiedziałam. -Będę musiała tylko pomknąć do miasta i znaleźć jakiś prezent. O której?

- Ja tam nie pójdę wcześniej niż o szóstej. Siadaj, siadaj, zrobię herbatę.

Posadził mnie na bujaku i nastawił czajnik, a tymczasem gadaliśmy o tym, co się wydarzyło w czasie mojej nieobecności. Nie zachowując jakiegoś szczególnego porządku, wymienialiśmy jak zwykle informacje: o podróży, o operacji Dietza, miejscowe nowinki. Opowiedziałam -najzwyczajniej, jak się dało - o swojej robocie, o charakterze śledztwa, o jego uczestnikach i o napaści z poprzedniej nocy. W ten sposób udało mi się posłuchać samej siebie.

- Mam parę wskazówek do sprawdzenia. Wygląda na to, że Tom kontaktował się z detektywem lokalnego szeryfa, choć nie jestem pewna, czy były to kontakty osobiste, czy też zawodowe. Słyszałam, że pochylali się do siebie, a ta kobieta zachowywała się w sposób zdecydowanie kocietyjny. To oczywiście są plotki, warto się jednak temu przyjrzeć.

- A jeśli to nic nie da?

- To będę ugotowana.

Kiedy dopiłam herbatę, Henry zrobił już podstawę do szarlotki i zajął się obieraniem i ucieraniem na tarce jabłek. Umyłam filiżankę i spodeczek i postawiłam je na suszarce.

- No, to biegnę szukać prezentu. Wystroisz się na to przyjęcie?

- Włożę długie spodnie - rzekł. - Może wezmę jakąś sportową marynarkę. Ty ładnie wyglądasz w tym, co masz na sobie.

Jak się okazało, na przyjęcie urodzinowe zarezerwowano cały lokal Rosie. To moja ulubiona, niezbyt droga tawerna w sąsiedztwie. W dawnych czasach (pięć lat temu) świeciła często pustkami, jeśli nie liczyć paru miejscowych pijaczków, którzy zjawiali się tam codziennie zaraz po otwarciu i na ogół trzeba ich było zanosić do domu. Przez kilka ostatnich lat z nie znanych mi powodów stała się ulubioną knajpką najrozmaitszych sportowych zespołów i ich trofea zdobiły teraz wszystkie ściany. Rosie, która nie słynęła z poczucia humoru, tolerowała jednak z niezwykłym opanowaniem tę bandę naszpikowanych testosteronem osobników. Tego wieczoru sportowcy stawili się tłumnie i z okazji urodzin udekorowali restaurację serpentynami, balonikami i transparentami z ręcznie wypisanym życzeniem TYLKO TAK DALEJ, ROSIE! Stał tam olbrzymi bukiet kwiatów, baryłka kiepskiego piwa, stos pudeł z pizzą i kolosalnych rozmiarów tort urodzinowy. W powietrzu unosił się dym z papierosów, nadając lokalowi delikatny, zamglony koloryt jakby starego dageroty-pu. Sportowcy nafaszerowali szafę grającą wysokodecybe-lowymi szlagierami z lat sześćdziesiątych i zsunęli wszystkie stoły pod ścianę, żeby móc tańczyć twista i watusi. Rosie przyglądała się temu z uśmiechem zrozumienia. Ktoś włożył jej na głowę stożkowy kapelusz pokryty cekinami, z gumką pod brodę i piórkiem na czubku. Ubrana była jak zwykle w długi, luźny, wielobarwny hawajski strój, tym razem jaskraworóżowy, z mniej więcej siedmio-

centymetrową krezą lamującą głęboki dekolt. William prezentował się elegancko w ciemnym trzyczęściowym garniturze, białej koszuli i granatowym krawacie w czerwone kropki. Nie widać było za to nikogo więcej z sąsiedztwa. Henry i ja siedliśmy z boku - on w dżinsach i dżinsowej sportowej marynarce, ja w dżinsach i tweedo-wym żakiecie - jak widzowie na konkursie tańca. Spędziłam prawie godzinę w domu towarowym w centrum i w końcu wybrałam czerwoną jedwabną koszulę, która moim zdaniem mogła polechtać próżność Rosie.

Wynieśliśmy się stamtąd o dziesiątej i podreptaliśmy w deszczu do domu.

Zamknąwszy drzwi za sobą, chodziłam po swoim mieszkaniu, podziwiając wszystko: okienko w drzwiach wejściowych, ściany z polerowanego drewna tekowego i dębowego, schowki poutykane w każdym kącie i zakamarku. Dla gości miałam amerykańkę w wykuszowym oknie, dwa płócienne składane krzeselka, regały, swoje biurko. Na górze, dokąd prowadziły spiralne schody, oprócz ściennej szafy znajdował się szereg kołków do wieszania ubrań, podwójny materac na stelażu z wbudowanymi szufladami oraz druga łazienka, z wanną wpuszczoną w podłogę i z oknem, skąd roztaczał się widok na ocean. Odnosiłam wrażenie, jakbym znalazła się na łodzi mieszkalnej i pływała po jakiejś rzece, bezpiecznie i wygodnie, w błogim ciepłe i świetle. Byłam tak podniecona powrotem do domu, że wcale nie miałam ochoty iść do łóżka. Wśliznęłam się naga pod koce i słuchałam, jak deszcz bębni w pleksiglas świetlika. Ogarnęło mnie absurdalne uczucie posiadania wszystkiego - mojej poduszki, moich koców, mojej tajnej kryjówki, mojego domu.

Następną rzeczą, jaka przeniknęła do mojej świadomości, było to, że jest szósta rano. Nie nastawiłam budzika, ale obudziłam się automatycznie, powracając do starego nawyku. Dostroiłam się do szumu deszczu, odpędziłam myśl o joggingu i znowu zapadłam w sen. Wstałam o ósmej i odbyłam zwyczajowe poranne ablucje. Zjadłam śniadanie, przeczytałam gazetę, po czym postawiłam na biurku maszynę do pisania.

Następnie pobiegłam na górę, żeby wyciągnąć z worka swoje notatki. Pierwszym zadaniem tego ranka będzie zwrócenie wypożyczonego samochodu. Jak już to zrobię, pojedę taksówką do biura, gdzie się pokażę i posłucham najświeższych prawniczych plotek. Wciąż jeszcze nie zdecydowałam, czy będę pracować w biurze, czy w domu. Wolałabym zostać tu, gdzie jestem, albo naciągnąć kogoś u Kingmana i Ivesa na podrzucenie mnie do domu.

Na razie pomyślałam, że muszę otworzyć maszynę i zabrać się do uciążliwego wystukiwania uzupełnień do sprawozdania. Dopiero kiedy uniosłam wieko, zobaczyłam to, czego nie zauważyłam, pakując się przed odjazdem z Nota Lake. Ktoś wyszarpał z maszyny dwa środkowe rzędy klawiszy i zrobił z nich beznadziejną plataninę. Niektóre klawisze były połamane, inne powykręcane na boki jak moje palce. Usiadłam i patrzyłam na to, zbita z tropu. Co tu się stało?

Postanowiłam darować sobie biuro i skoncentrować się na zbadaniu jednego lub obu tropów, które miałam. Byłam absolutnie pewna, że zniszczenia maszyny dokonano w Nota Lake, zanim stamtąd wyjechałam. Niemniej jednak to odkrycie wyprowadziło mnie z równowagi i odebrało poczucie bezpieczeństwa i dobry humor. Zaniepokojona wysunęłam dolną szufladę biurka, wyjęłam spis telefonów, odszukałam dział MASZYNY DO PISANIA - REPERACJE i dzwoniłam dopóty, dopóki nie znalazłam kogoś, kto podjął się naprawić moją starą smith-coronę. Zanotowałam adres i zapowiedziałam właścicielowi warsztatu, że przyjadę w ciągu godziny.

Wyciągnęłam swoje notatki i odnalazłam numery spisane z bibularza Toma Newquistą. Kiedy z jego gabinetu zadzwoniłam pod jeden z tych numerów, włączyła się automatyczna sekretarka. Zakładałam, że kobieta, którą usłyszałam wtedy, to była ta pani detektyw od szeryfa, co to zdaniem Phyllis flirtowała z jej szwagrem. Gdyby udało mi się z nią porozmawiać, mogłaby pomóc wyjaśnić wiele moich pytań. Wykręciłam ten numer. Raz jeszcze włączyła się automatyczna sekretarka i ten sam gardłowy kobiecy głos poinstruował, co mam zrobić po usłyszeniu sygnału. Zostawiłam swoje nazwisko, numer domowy i biurowy oraz krótką wiadomość, że chciałabym porozmawiać na temat Toma Newquistą. Następnie zatelefonowałam do Wydziału Szeryfa Okręgu Perdido.

- Może moglibyście mi pomóc - powiedziałam. - Próbuje skontaktować się z detektywem szeryfa, kobietą. Ma

jakieś czterdzieści kilka, może pięćdziesiąt kilka lat. Nie znam jej nazwiska, ale myślę, że pracuje w Wydziale Szeryfa Okręgu Perdido. Czy to kogoś przypomina?

- Jaka sekcja?

- W tym sęk. Tego nie wiem. Facet przy telefonie się roześmiał.

- Szanowna pani, mamy z pół tuzina funkcjonariuszek, które odpowiadałyby temu opisowi. Będzie pani musiała podać więcej danych.

- Ach, tego się obawiałam. No cóż, będę musiała sama odrobić to zadanie domowe. W każdym razie dziękuję.

- Proszę bardzo.

Siedziałam i w myślach ogryzałam ołówek. Co tu robić, co robić? Wykręciłam numer Phyllis Newquist w Nota Lake i oczywiście nadziałam się na sekretarkę automatyczną, której powierzyłam następującą wiadomość:

- Cześć, Phyllis. Mówi Kinsey. Czy mogłaby mi pani podać nazwisko tej kobiety detektywa z Biura Szeryfa, z którą tutaj kontaktował się Tom. Mam jej numer domowy, ale pomogłoby mi, gdyby się pani dowiedziała, jak się nazywa. Wtedy złapałabym ją w pracy i może przyspieszyłabym sprawę. W przeciwnym razie muszę siedzieć i czekać, aż ona do mnie zadzwoni. - Znów zostawiłam oba moje telefony, domowy i biurowy, i sięgnęłam po kolejny numer z mojej listy.

Drugi numer przepisany z bibularza Toma był numerem Hotelu Gramercy. Uznałam, że to miejsce warte jest odwiedzin. Włożyłam zdjęcie Toma do torebki, chwyciłam kurtkę i parasol i wyruszyłam w deszcz. Palce, wprawdzie opuchnięte i posiniaczone, już mnie nie rwały, za co byłam wdzięczna losowi. Posługiwałam się, jak tylko się dało, lewą ręką, sięgając po kluczyki samochodowe, przekładając przedmioty z ręki do ręki. Na skutek tego najprostsze czynności ulegały spowolnieniu, bo łupki na prawej ręce zmuszały do wykonywania ich w niewygodnej pozycji. Odbyłam drugą wyprawę po maszynę do pisania, którą postawiłam na przednim siedzeniu w aucie.

Zostawiłam maszynę do zreperowania w warsztacie,

wyciągnąwszy od właściciela obietnicę, że odda mi ją najszybciej, jak będzie mógł. Zwróciłam samochód do wypożyczalni w centrum miasta, uregulowałam sprawy finansowe, po czym taksówką wróciłam do domu. Wzięłam swój samochód, który po serii prychnięć i stęknęć w końcu obudził się do życia. Wreszcie postęp.

Pojechałam do centrum Santa Teresa, samochód zostawiłam w pobliskim garażu publicznym. Osłaniając się parasolką przed deszczem, minęłam jedną przecznicę, a drugą zesłam w dół. Hotel Gramercy to stojący na końcu State Street trzykondygnacyjny przysadzisty budynek, w którym szukają schronienia bezdomni, gdy dostaną swój miesięczny zasiłek. Otynkowany jest na słodki zielony kolorek likieru miętowego, wyróżnia się krytym wejściem, na tyle dużym, że może zapewnić schronienie przed deszczem sześciu ciasno stłoczonym palaczom. Na markizie na froncie wypisane są stawki hotelowe.

POJ. POK. \$ 9,95 PODW. POK. \$ 13,95 NA DZIEŃ, TYDZIEŃ, MIESIĄC NA ŻĄDANIE MOŻLIWOŚĆ RAT

Jegomość o załzawionych oczach, używający plastikowego worka na śmieci jako płaszcz od deszczu, powitał mnie, przesuwając nogę, bym mogła wejść do holu. Opuściłam parasolkę, usiłując nie ukłuć nikogo z zebranych tu na porannej libacji. Wydawało się, że to zbyt wczesna pora na popijanie alkoholu, ale może w papierowej torbie krążyła z rąk do rąk butelka soku owocowego.

Hotel musiał kiedyś uchodzić za elegancki. Na zielonej marmurowej posadzce, od wejścia, rozłożono gazety, by krzyżujące się w holu ślady mokrych butów miały w co wsiąkać. Tam gdzie wilgotne papiery już zdjęto, na posadzce odbiły się tytuły i teksty artykułów. Sześć ozdobnych pilastrów dzieliło mroczną przestrzeń na segmenty, a w każdym z nich królowała zwalista, zielona plastikowa kanapa. Klientelę najwyraźniej zniechęcano do spędzania

czasu na wysiadywaniu na tym meblu, ponieważ ręcznie wykaligrafowane napisy napominały:

NIE PALIĆ NIE PLUĆ NIE WAŁĘSAĆ SIĘ NIE ŻEBRAĆ NIE PIĆ
NA TERENIE NIE BIĆ SIĘ NIE SIUSIAĆ DO DONIC

Wszystko to niemal dokładnie odpowiadało mojemu prywatnemu kodeksowi. Podeszłam do długiego frontowego kontuaru pod łukiem ozdobionym białą sztukaterią i dekoracyjną roślinnością. Mężczyzna urzędujący za marmurowym blatem wychylił się do przodu, oparł na łokciach i najwyraźniej interesował się moimi intencjami.

- Chciałabym rozmawiać z dyrektorem. Czy jest? -zapytałam. Sprawiało to wrażenie jeszcze jednego pomysłu głupca, ale doprawdy nic innego nie mogłam w tym momencie wymyślić.

- Przypuszczam, że chodzi o mnie. Jestem Dave Estes. A pani godność?

- Kinsey Millhone. - Wyjęłam i podałam mu swoją służbową wizytówkę.

Przestudiował bardzo uważnie każde słowo. Miał trzydzieści kilka lat. Z wyglądu wesołek o szczerym obliczu, w okularach i z krzywym uśmiechem, z lekko wysuniętą górną szczęką i włosami ustępującymi z czoła, które, tak odsłonięte, wydawało się wysokie i wygładzone jak pusta plaża po odpływie. Resztkę brązowych włosów przystrzygał krótko. Ubrany był w brązowy kombinezon z mnóstwem kieszeni na suwaki, taki, jakie noszą mechanicy samochodowi. Rękawy podwinął, odsłaniając muskularne przedramiona.

- W czym mogę pani pomóc?

Położyłam przed nim na kontuarze fotografię Toma Newquista.

- Chciałabym wiedzieć, czy widział pan kiedyś tego człowieka? To detektyw z Wydziału Szeryfa Okręgu Nota. Nazywa się Tom...

- Chwileczkę, chwileczkę - wtrącił. Uniósł rękę, żeby mnie uciszyć, dając znak, bym zaczekała. Zrobił taką minę, jaka poprzedza kichnięcie. Zamknął oczy, zmarszczył nos, otworzył usta, ciężko dyszał. Po czym zmienił wyraz twarzy i wskazał na mnie palcem.

- Newquist. Tom Newquist. Zdumiałam się.

- Zgadza się. Pan go zna?

- Nie, nie znam, ale był tutaj.

- Kiedy?

- Och, w czerwcu zeszłego roku. Zapewne w pierwszym tygodniu. Gdybym musiał określić bliżej datę, powiedziałbym, że piątego.

Byłam tak dalece nie przygotowana na sprawdzenie tego faktu, że nie przyszło mi do głowy nic, o co jeszcze mogłabym zapytać.

Estes spoglądał na mnie.

- Czy coś mu się stało?

- Umarł na zawał kilka tygodni temu.

- To fatalnie. Przykro mi. Nie wyglądał staro.

- Nie wyglądał, ale nie dbał zbyt o siebie, jak sędzę. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co go tu sprowadziło?

- Oczywiście. Szukał pewnego faceta, którego właśnie zwolniono z więzienia. Mamy tu, jak się wydaje, sporo osobników w podobnej sytuacji. Proszę mnie nie pytać, dlaczego. W takim eleganckim hotelu! Pewno szeroko rozchodzi się wieść, że oferujemy dobre ceny, czyste pokoje i nie tolerujemy kupy idiotyzmów.

- Czy pamięta pan nazwisko tego człowieka, którego on szukał?

- Łatwo byłoby zapamiętać z innych powodów, ale lubię siebie sprawdzać. Proszę zaczekać. - Dokonał tej samej co poprzednio operacji z twarzą, chcąc zademonstrować, jak usilnie się zastanawia. Po czym zaprzestał swoich wysiłków. - Pewno jest pani ciekawa, jak ja to

robię. Zaliczyłem kurs mnemotechniki, umiejętności wspomaganie pamięci. Spędzam mnóstwo czasu w samotności, zwłaszcza w nocy, urzędując w recepcji. Cała sztuka w tym, wie pani, żeby posługiwać się pomocniczymi technikami i skojarzeniami, które ułatwiają wbijanie sobie do głowy danej rzeczy.

- To wspaniałe. Jestem pod wrażeniem.

- Zapamiętałem, kiedy zjawił się tu ten pani Newquist, bo właśnie mniej więcej wtedy zacząłem ów kurs. Na nim jako pierwszym wypróbowałem w praktyce te techniki. A więc nazwisko Newquist. To żaden kłopot. *New* w1, bo facet był dla mnie całkiem nowy, prawda? *Quist* przypomina kwestionowanie czy indagację. Przychodzi nowy facet i kwestionuje, no to i mamy *Newquist*.

- Nadzwyczajne - powiedziałam. - A co z jego imieniem?

Estes się uśmiechnął.

- To pani je wymieniła. Ja go nie zapamiętałem.

- A ten drugi gość? Ten, o którego pytał?

- Co ja sobie na niego wykombinowałem? Przekonajmy się. Miało to coś wspólnego z dentystami. Och tak. Nazywał się *Tooth*. Jak *tooth* bez jednego *o*. To była dobra kombinacja, bo facetowi brakowało zęba, czyli wszystko pasowało. Na imię miał *Alfie*. Dentyści kojarzą się z lekarzami. *A* u nich mówisz „*Aa*”, gdy wsadzi ci do ust szpatułkę do przyciskania języka. Imię zaczyna się na literę *A*. Przeleciałem więc w myślach wszystkie imiona na *A*, jakie mi przyszły do głowy. *Allen*, *Arnold*, *Avery*, *Alfie*. No i już mamy to imię.

- *Tom Newquist* był tutaj służbowo?

- Zgadza się. Kłopot polegał na tym, że się minęli. *Tooth* mieszkał tu dwa tygodnie, ale wyprowadził się pierwszego czerwca, na krótko przed pojawieniem się tutaj tego pani detektywa.

1 *New* - *ang.* nowy (przyp. tłum.).

2 *Tooth* - *ang.* ząb (przyp. tłum.).

- Może wie pan, dlaczego on szukał Totha?

- Mówił, że bada pewien trop w śledztwie, które prowadzi. Pamiętam, bo to było jak w filmach. Rozumie pani, wchodzi Clint Eastwood, pokazuje odznakę i zgrywa ważniaka. Wiem tylko tyle, że Tom Newquist nie miał okazji porozmawiać z Tothem, bo ten już się wyniósł.

- Czy zostawił adres, pod który miano przesyłać mu pocztę?

- Nie, ale w rubryce „najbliższy krewny mieszkający gdzie indziej” mam adres jego byłej żony. Dzięki temu jest do kogo zadzwonić, jeśli facet zdemoluje pokój albo padnie trupem. Wymyślanie, co zrobić z trupozem, to okropny kłopot.

- Mogę to sobie wyobrazić - powiedziałam. - A czy mogłabym dostać nazwisko i adres tej byłej żony?

- Oczywiście, nie ma sprawy. To nie jest informacja poufna, przynajmniej tak uważam. Ludzie meldują się, a ja im mówię, że księgę hotelową udostępniamy władzom. Przychodzą tu gliny i proszą o pokazanie księgi. Nie wymagam wezwania do stawienia w sądzie. Moim zdaniem byłoby to matactwo.

- Jestem pewna, że policja docenia pańską postawę, ale czy goście hotelowi nie mają obiekcji?

Dave Estes wzruszył ramionami.

- Gdyby mnie zaskarżyli, to przypuszczam, że natychmiast zmienilibyśmy naszą politykę. Wie pani, inny facet też się tu pojawił. Detektyw w cywilu. To było wcześniej, może pierwszego czerwca. Nie pracowałem tego dnia, bo zarejestrowałbym to sobie w mózgownicy. - Stuknął się w skroń. - Mówiłem potem Peckowi, że powinien iść na ten kurs co ja, ale jak dotąd nie udało mi się go namówić.

- Szkoda - powiedziałam. - Co to za drugi detektyw tutaj się pojawił?

- Tu nie mogę pomóc, w tym cała rzecz. Gdyby Peck chodził na kurs, mógłby sobie przypomnieć wszystkie szczegóły. A ponieważ nie chodził, to nici z tego. *Tabula rasa*. Koniec pieśni.

- Czy mogłabym osobiście porozmawiać z Peckiem?
- Naturalnie, ale mogę pani dokładnie przedstawić, co on powie. Pamięta, że zjawił się ten śledczy, miał nakaz i wszystko, tylko że Totha nie było. Faktycznie wymeldował się później, jeszcze tego samego dnia, może więc martwił się, że jest poszukiwany. Detektyw przyszedł ponownie nazajutrz i Peck dał mu adres i numer telefonu byłej żony Totha, co ja też bym zrobił.
- Czy mówił pan Tomowi Newquistowi o tym drugim detektywie?
- Mówiłem to samo co i pani. Domyśliłem się, że musiał to być gliniarz, którego on znał.
- A co z byłą żoną Totha? Powiedział mu pan, jak się z nią skontaktować?
- Pewnie. Drzwi w domu tej kobiety musiały się nie zamykać, bo było tylu odwiedzających.
- Nikt wam nie sugerował, że nie powinniście tak ochoczo udzielać informacji?
- Proszę pani, ja nie jestem strażnikiem bezpieczeństwa publicznego. Przychodzi gliniarz i chce dostać informacje, a ja nie chcę stawać mu na drodze.
- A co z tym nakazem? Wystawiono go tutaj?
- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Peck nie zwraca uwagi na tego rodzaju sprawy tak jak i ja. Podziela właściwy pogląd: jesteśmy tu po to, żeby współpracować. W takim miejscu jak to chce się mieć gliniarzy po swojej stronie. Wybuchają bójki, to każdy woli, żeby ruszyli do akcji, kiedy wykręci się numer dziewięćset jedenaście.
- Nie mówiąc o pomocy przy tych wszystkich zwłokach.
- Jakby pani zgadła.
- Może cofnęlibyśmy się na moment i sprawdzili, czy właściwie to zrozumiałam. Alfie Toth przebywał tu przez dwa tygodnie, gdzieś od połowy maja.
- Tak.
- Potem zjawił się detektyw w cywilu z nakazem aresztowania. Alfie dowiedział się o tym, nic zatem dziw-

nego, że wymeldował się jeszcze tego samego dnia. Detektyw powrócił i Peck mu powiedział, jak skontaktować się z byłą żoną Alfiego Totha.

- Pewnie. Peck domyślał się, że tam właśnie udał się Toth - powiedział Estes.

- Potem w okolicy piątego czerwca pojawił się Tom Newquist i przekazał mu pan te same informacje.

- No tak, moje motto brzmi: nikogo nie faworyzować. Dlatego właśnie daję je i pani. Dlaczego jednemu miałbym mówić tak, a drugiemu nie?

- Na razie niczego mi pan jeszcze nie dał - zauważyłam.

Sięgnął po kawałek papieru, napisał na nim nazwisko kobiety, adres i numer telefonu - najwyraźniej wprost z głowy - i podał mi przez kontuar.

Wzięłam ten papierek, rzuciłam okiem na adres w Perdido.

- Wydaje się, że Alfie Toth był nieoczekiwanie bardzo popularny.

- Owszem.

- I nie wie pan, dlaczego?

- Nie.

- Jak ma na imię Peck?

- Leland.

- Znajdę go w książce telefonicznej, gdybym musiała z nim porozmawiać?

Estes potrząsnął głową.

- Ma zastrzeżony numer. Tej informacji nie mogę pani podać bez jego zgody.

Zastanawiałam się przez chwilę, ale nie mogłam wymyślić, o co jeszcze miałabym go zapytać. Zawsze mogę się z nim potem skontaktować, jeśli na coś wpadnę.

- No, dobrze. Dzięki za pomoc. Był pan bardzo wspaniałomyślny i ja to doceniam. - Sięgnęłam po parasolkę, przekładając torebkę z prawego ramienia na lewe, tak bym mogła poradzić sobie z jedną i drugą rzeczą.

- Nie chce pani posłuchać tej historii do końca?

Zawahałam się.

- Jakiego końca?

- Ten facet nie żyje. Został zamordowany. Parę miesięcy temu pewien turysta znalazł jego szczątki w pobliżu Ten Pines. Trzynastego stycznia. Pamiętam to, bo tego dnia są urodziny mojej ciotecznej babki. Śmierć. Urodziny. Nie trzeba czarodzieja, by te dwie rzeczy połączyć. Wbiłem to sobie do głowy.

Wpatrywałam się w niego, przypomniawszy sobie małą notatkę w gazecie.

- To był Alfie Toth?

- Aha. Koroner uważał, że nie żył od sześciu, siedmiu miesięcy, czyli właśnie od czasu, kiedy wszyscy go szukali, włącznie z tym facetem z nakazem aresztowania i pani Tomem Newquistem. Ktoś musiał go dopaść. Szkoda, że Peck nie starał się rozwinąć swoich umiejętności. Mógł być koronnym świadkiem na procesie.

- O co?

- O cokolwiek ten proces będzie.

Siedziałam w swoim samochodzie, próbując wykombinować, co to znaczy. Wszyscy chcieli rozmawiać z Tothem, nim okazało się, że nie żyje. Będę musiała przejrzeć stare numery lokalnej gazety, ale jeśli pamiętam, niewiele było tam informacji. Rozkładające się zwłoki znaleziono na odludziu w Parku Narodowym Los Padres, lecz nie zarejestrowałam samej nazwy. Nie było wzmianki o przyczynie śmierci, domniemywano jednak morderstwo. Policja skąpiła szczegółów, choć być może powiedziała dziennikarzom wszystko, co wiedziała. Nie obity mi się o uszy żadne inne informacje dotyczące tej sprawy i nie myślałam już o niej więcej. Parki Narodowe Angeles i Los Padres to śmietniska, gdzie się wyrzuca ofiary morderstw, a ciała, jak można sobie wyobrazić, walają się przy trasach turystycznych niczym worki z odpadkami.

Uruchomiłam swojego yolkswagena i pojechałam do

biblioteki publicznej osiem przecznic dalej. *Znalazłam* odnośną notatkę w numerze „Santa Teresa Dispatch” z piętnastego stycznia.

W LOS PADRES ZNALEZIONO ZWŁOKI Zwłoki w stanie rozkładu znalezione przez turystę w Parku Narodowym Los Padres 13 marca zostały zidentyfikowane jako zwłoki Alfreda Totha, lat 45, jak informuje Wydział Szeryfa Okręgowego w Santa Teresa. Ciało odnaleziono w poniedziałek na odludziu, osiem kilometrów na wschód od Manzanita Mountain. Detektywi zidentyfikowali Totha na podstawie uzębienia, kiedy ustalono, że zwłoki można powiązać ze zgłoszeniem o zaginięciu osoby, złożonym przez Olgę Toth, jego byłą żonę, mieszkankę Perdido. Podejrzewa się zabójstwo i wszczęto śledztwo. Ktokolwiek wie coś o tej sprawie, proszony jest o skomunikowanie się z detektywem Clayem Boydem z Biura Szeryfa.

Znalazłam budkę telefoniczną przed budynkiem, wygrzebałam z dna torebki parę monet, zadzwoniłam do Biura Szeryfa Okręgowego w Santa Teresa i zapytałam o detektywa Boyda.

- Boyd. - Głos brzmiał beznamiętnie, profesjonalnie, rzeczowo. Jak dotąd podał mi jedynie swoje nazwisko, a już wiedziałam, że nie będzie moim najlepszym przyjacielem.

- Nazywam się Kinsey Millhone - powiedziałam, starając się mówić niezbyt szczebiotliwie. - Jestem prywatnym detektywem i pracuję nad pewną sprawą, która może mieć związek ze śmiercią Alfiego Totha.

Pauza.

- Jaki?

- Tego jeszcze nie wiem. Nie proszę o poufne informacje, ale może mógłby mi pan podać aktualne dane. Ostatnia wzmianka w gazetach pochodzi ze stycznia.

Pauza. Zupełnie jakby się rozmawiało z kimś z opóźnieniem w czasie. Mogłabym przysiąc, że on robi notatki.

- Jaki charakter ma pani zainteresowanie?

- Ach, trudno to wytłumaczyć. Zostałam wynajęta przez żonę... przypuszczam, że powinnam ją nazywać raczej wdową po detektywie z Biura Szeryfa w Nota Lake, o nazwisku Tom Newquist. Może pan go przypadkiem znał?

- Nie wydaje mi się znajome to nazwisko.

- Przyjechał tu w czerwcu zeszłego roku, żeby porozmawiać z Tothem, ale kiedy dotarł do Gramercy, Toth już się wyprowadził. Później mogli się skontaktować, tego jeszcze nie wiem, jednakże zakładam, że miało to związek z prowadzonym śledztwem.

- Hm.

- Czy są meldunki o tym, że Newquist kontaktował się z waszym biurem?

- Proszę zaczekać. - Głos miał zrezygnowany, człowieka, który nie chce być później oskarżony o ograniczanie prawa dostępu do informacji.

Kazał mi czekać, słuchałam więc słabego syczenia, które sygnalizuje wejście do telefonicznej hiperprzestrzeni. Zmówiłam modlitwę dziękczynną z powodu tego, że nie zmuszano mnie do słuchania jakiejś polki czy melodii Johna Philipa Sousy. Niektóre towarzystwa telefoniczne puszczają ci nadawane przez radio wiadomości, ale tak cicho, że zastanawiasz się, czy nie oblewasz przypadkiem jakiegoś osobliwego testu na ostrość słuchu.

Detektyw Boyd znowu się włączył. Na biurku przed sobą miał najwidoczniej otwarte akta, bo słyszałam, jak przewraca kartki.

- Jeszcze pani tam jest? - spytał niepotrzebnie.

- Jestem.

- Tom Newquist nie kontaktował się z nami, kiedy tu był, ale okazuje się, że nawiązał z nami kontakt z Nota Lake.

- Aha. Zastanawiam się, dlaczego nie dał wam znać, że tu przyjedzie.

- U licha, nie wiem. To ciężki orzech do zgryzienia - powiedział uprzejmie.

- A gdyby się skontaktował, zostałyby to odnotowane?

- Tak, proszę pani.

Wiedziałałam, jak będzie się to dalej rozwijać. Ja miałam zarzucać wędkę, a detektyw Boyd będzie udzielał odpowiedzi jedynie na zadane pytanie. Jeśli o coś nie zapytam, to on mi tego sam nie powie. Musiałam wzbudzić w jakiś sposób zainteresowanie i skłonić go do współpracy.

- Wdowa po nim jest przekonana, że jej mąż był czymś okropnie zatroskany - oznajmiłam.

- Hm.

Czułam narastającą we mnie frustrację. Jak ten człowiek może być tak miły i jednocześnie tak absolutnie tępy? Przerzuciłam biegi.

- Czy Alfie Toth, wtedy gdy umarł, był poszukiwany za jakieś przestępstwo?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Odsiedział właśnie wyrok za drobną kradzież.

- Recepcjonista w Gramercy mówi, że zjawił się tam detektyw w cywilu z nakazem aresztowania Totha.

- To nie był nikt od nas.

- Nie widzi pan żadnych zaległych nakazów aresztowania?

- Nie, proszę pani, nie widzę.

- Ale przyjazd Toma Newquist musiał mieć z nim jakiś związek, inaczej przecież nie jechałby z tak daleka.

- Coś pani powiem. Jeśli to jest tylko kwestia zaspokojenia ciekawości pani Newquist, to nie widzę powodu, żeby dzielić się informacjami. Dlaczego nie zadzwoni pani do Nota Lake i nie przekona się, co oni mają do powiedzenia? To byłoby najlepsze wyjście.

- Czy to znaczy, że pan ma informacje?

- To znaczy, że nie zamierzam każdemu, kto spyta, zdradzać istoty prowadzonego śledztwa. Jeśli zna pani jakieś fakty, ma coś nowego do dodania, to z wdzięcznością tego posłuchamy.

- Czy była już decyzja w tej sprawie?

- Jeszcze nie.

- Gazety pisały, że prowadzi się śledztwo jak w przypadku domniemanego zabójstwa.

- Zgadza się.

- Macie podejrzanego?

- Jak dotąd nie. Tego nie powiedziałbym, nie.

- A jakieś tropy?

- O żadnym nie zamierzam mówić. Jeśli zechce pani się tu wybrać, to mógłbym załatwić rozmowę z komendantem. O udzielaniu informacji przez telefon nie ma jednak mowy. Nie chcę nikogo oczerniać, ale pani może być licho wie kim... choćby dziennikarką.

- Boże uchojaj! - zaprotestowałam. - Chyba pan nie sądzi, że tak nisko upadłam.

Usłyszałam, że się śmieje. Przynajmniej dobrze się bawił.

- Spróbujmy zrobić tak - powiedział jakby po chwili zastanowienia. - Niech pani zostawi swój numer, to jak coś wyjdzie na światło dzienne, będę mógł pani dać znać. Pozostaniemy w kontakcie.

- Jest pan doprawdy aż za uprzejmy. Detektyw Boyd się zaśmiał.

- Miłego dnia życzę.

Olga Toth otworzyła drzwi swojego mieszkania w Perdido ubrana w jaskrawożółty strój, składający się z obcisłych spodni i elastycznej bawełnianej tuniki, przepasanej w talii szerokim, białym plastikowym paskiem ozdobionym świecidełkami. Tkanina opinała ją niczym bandaż, który nie zdołał całkiem przesłonić szkód, jakie tej sześćdziesięciosześcioletce i jej figurze wyrządził czas. Miała buty do kolan, chyba rozmiar jedenasty, z białej winylowej skóry aligatora z fantazyjnymi przeszyciami na podbiciu. Robiła już coś ze swoją twarzą, zapewne brała zastrzyki z kolagenu, sądząc z pulchności warg i lekkiej grudko-watości policzków. Platynowe włosy sprawiały wrażenie przesuszonych, piwne oczy miała mocno obwiedzione konturówką, a nad nimi zdumiewającym łukiem narysowane brwi. Wyczułam wermut w jej oddechu, zanim się odezwała.

Czterdzieści pięć kilometrów do Perdido jechałam w mżącym deszczu, w tego rodzaju delikatnym kapuśniaczku, który wymaga nieustannego kłapania wycieraczek na przedniej szybie i maksymalnej koncentracji. Szosa była śliska, asfaltowa nawierzchnia lśniła zwodniczym połyskiem od wody, co sprawiało, że jazda stawała się ryzykowna. W normalnych okolicznościach mogłabym odłożyć tę wyprawę o godzinę lub dwie, obawiałam się jednak, że gliny mogą uprzedzić byłą żonę Alfiego o moim zainteresowaniu i skłonić ją do trzymania języka za zębami, jeśli zapukam do jej drzwi.

Tuż przy plaży pod adresem, który mi podano, stał

dziesięcioczęściowy kompleks dwukondygnacyjnych, szeregowych domków z widokiem na Pacyfik. Mieszkanie Olgi znajdowało się na piętrze i wchodziło się do niego po zewnętrznych schodach i przez niewielki kryty ganek, gdzie stały kwiaty w donicach. Kobieta, która otworzyła mi drzwi, była starsza, niż przypuszczałam. W uśmiechu odsłoniła olśniewający komplet koronek na zębach.

- Pani Toth?

- Tak - odparła. Ton zdradzał wrodzony optymizm, jakby oczekiwała, że skoro zgłaszała się na konkursy, wytrwale obstawiała stosowne numery, co dawało odpowiednie uprawnienia, to mogła otworzyć drzwi komuś, kto przyniesie jej kluczyki do nowego auta albo, jeszcze lepiej, czek na kilka milionów dolarów.

Pokazałam swoją wizytówkę.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać o pani byłym mężu?

- Którym?

- Chodzi mi o Alfiego Totha.

Z jej twarzy zniknął uśmiech, wydawała się rozczarowana, jakby wśród licznych eksmężów byli inni bardziej zasługujący na zainteresowanie.

- Kochana, przykro mi, że właśnie muszę to oznajmić, ale on nie żyje. Jeśli więc przyszłaś tu z powodu nie zapłaconych rachunków, to jesteś do tyłu. - Chodzi o coś innego. Mogę wejść?

- Nie przychodzisz w sprawie procesu? - upewniała się na wszelki wypadek.

- Absolutnie nie. Daję słowo.

- Bo ja ostrzegam: dałam ogłoszenie do gazety, kiedy się rozstaliśmy, że nie odpowiadam za nie swoje długi.

- Jeśli chodzi o mnie, to ma pani czyste konto. Patrzyła na mnie i zastanawiała się przez chwilę, w końcu zrobiła krok do tyłu.

- Tylko żadnych dowcipów - ostrzegła.

- Nigdy nie dowcipkuję - powiedziałam.

Poszłam za nią przez małą sionkę. Widziałam, jak wzięła z konsolki szklanekę, w której było martini.

- Właśnie popijam drinka, może i pani ma ochotę.

- Na razie nie, dziękuję.

Weszliśmy do saloniku, który całkowicie zdominowała biel: biały nylonowy dywan, dość wydeptany, białe nylonowe przezroczyste firanki, kanapki obite białą skórą i białe winylowe krzesło. Paliła się tylko jedna lampa, a światło przesączaające się przez firanki przyciemnione było przez deszcz. Pokój wydał mi się przygnębiający. Na stoliku do kawy ze szkła i chromu królował wielki bukiet białych lilii, stał dzbanek z martini, leżało kilka numerów „Przeglądu Architektonicznego” i najnowszy numer „Nowoczesnej Dojrzałości”. Wzrok gospodyni padł nań niemal w tym samym momencie co mój. Zniecierpliwiona wychyliła się do przodu.

- To pismo należy do mojej znajomej. Ja naprawdę nie znoszę takich rzeczy. Jak tylko ukończysz pięćdziesiąt lat, Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów zaczyna cię namawiać do członkostwa. Co nie znaczy, że blisko mi do wieku emerytalnego -zapewniła. Nalała sobie kolejnego drinka, dodając do niego oliwki ze stojącej obok małej miseczki. Oblizwała z lubością czubki palców. - Oliwki są z tego najlepsze - oznajmiła. Paznokcie, jak zauważyłam, miała bardzo długie, różowe i na tyle grube, że wyglądały jak akrylowe albo kiepsko zrobione jedwabne ochraniacze.

- Jaką pracę pani wykonuje? - spytałam. Wskazała mi miejsce na końcu kanapki, sama usadowiła się na drugim końcu, wyciągając ramię na oparciu.

- Jestem kosmetyczką i jeśli nie będzie pani mieć nic przeciwko temu, to powiem...

Uniosłam rękę.

- Proszę nie udzielać mi kosmetycznych porad. Nie mogę ich znieść. Serdeczny gardłowy śmiech wstrząsnął jej biustem.

- Nigdy nie zaszkodzi spróbować. Gdyby pani kiedyś interesowała się zmianą wyglądu, to proszę do mnie przedzwonić. Mogłabym dokonać cudów z tą szopą, którą ma pani na głowie. No, ale co z tym Alfem? Myślałam, że biedak ma już za sobą wszystkie kłopoty.

Wyjaśniłam jej, do jakiej pracy zostałam wynajęta, licząc na to, że jako wdowa może zrozumie zaniepokojenie Selmy Newquist stanem psychicznym męża na kilka tygodni przed śmiercią.

- Pamiętam nazwisko Newquist. Odwiedził mnie kilka tygodni po zniknięciu Alfiego. Mówił, że to ważne, ale naprawdę nie było to nic pilnego, o ile wiem. Powiedziałam mu, że Alfie gdzieś tu jest i z chęcią go poszukam, jeśli da mi na to dzień lub dwa.

- Jak długo Alfie tu był?

- Dwa, może trzy dni. Nie pozwalałam żadnemu swojemu eksmeżowi zostać dłużej. Inaczej na schodach obozowaliby faceci, jak tylko byś się obróciła. Oni wszyscy chcą tego samego. - Uniosła prawą rękę, wyliczając: chcą seksu, chcą, żeby ich opruć i dać im kilka dolców do kieszeni, zanim wyprawisz ich z domu.

- Dlaczego Alfie wyniósł się z Gramercy?

- Odniosłam wrażenie, że był nerwowy. Zauważyłam, że jest nieswój, ale nie mówił, dlaczego. Alfie był zawsze niespokojny, tym razem jednak jakby szukał jakiegoś miejsca, gdzie by się ukryć. Liczył, jak myślę, że znajdzie stałą kryjówkę, a ja nie miałam żadnej. Próbowałam zniechęcić go do snucia jakichkolwiek dalekosiężnych planów. Był słodki, najśłodszy ze wszystkich, młodszy ode mnie o dwadzieścia lat, choć nigdy by pani tego się nie domyśliła. Byliśmy małżeństwem przez osiem lat. Oczywiście, większość tego czasu z przerwami spędził w kiciu i dlatego tak długo trwało nasze małżeństwo.

- Za co siedział w więzieniu? Machnęła lekceważąco ręką.

- Nigdy nie było to coś poważnego, czeki bez pokrycia, drobne kradzieże albo pijaństwo w miejscach publicznych. Czasami coś przeskrobał, no i wtedy lądował w ciupie. Nie chodziło o użycie przemocy ani o przestępstwa wobec osób. Jego słabą stroną było to, że nie potrafił wykombinować, jak przechytryć ten system. Takie miał usposobienie, no i co można było zrobić? Nie można go winić za durnotę. Taki się urodził. Miał skłonności do

wpadania w złe towarzystwo, zawsze zadał się z jakimś pechowcem z postrzelonym planem. Łatwo dawał sobą rządzić. Każdy mógł wodzić biedaka za nos. Wszystko wydawało mu się dobre. Takie było z niego niewiniątko. W większości wypadków kończyło się to katastrofą, ale nigdy nie potrafił wyciągnąć z tego nauczki. Musiało się to ludziom w nim podobać. Był też przystojny na swój zwariowany sposób. To, co robił, to robił dobrze, a resztę mogłaś odpisać na straty.

- A co robił dobrze?

- Był niezrównany w łóżku. Ten facet był dobrze podwieszony i mógł się pieprzyć na okrągło.

- Ach! A jak się poznaliście?

- W barze. W czasach, gdy jeszcze chodziłam na podryw, choć już zamierzałam to rzucić. Nie wiem jak pani, ale ja teraz przerzuciłam się na ogłoszenia. To o wiele zabawniejsze. Jest pani niezamężna? Wygląda pani na niezamężną.

- Owszem, jestem niezamężna, i to mi odpowiada.

- Och, wiem, o co pani chodzi. Mnie nie przeszkadza to, że mieszkam sama. Z tym nie mam problemów. Szczerze mówiąc, nawet to wolę. Tylko nie wiem, jak inaczej mogłabym się z kimś prześpać.

- Ogłasza pani, że szuka partnera do łóżka?

- No, nie mówi się tego tak otwarcie. To byłoby debilne - powiedziała.

- Istnieje sto różnych chytrych sposobów, jak to ująć. „Balanga sercowa”, „Dziewczyny chcą się bawić”, „Namiętne serce szuka podobnego”. Użyj właściwej terminologii, a facet się pokapuje.

- A czy nie wprawia to pani w zdenerwowanie?

- Co? - spytała, a jej duże oczy spoglądały na mnie bez wyrazu.

- No wie pani, poszukiwanie partnera do łóżka przez ogłoszenie w gazecie.

- A jak inaczej ma ich pani znaleźć? Nie jestem wcale rozpustna, mam po prostu normalną chętkę na te rzeczy. Trzy, cztery razy na tydzień aż mnie swędzi, żeby wyjść i poszukać miłości. - Kręciła się na kanapie, pstrykając

palcami, żeby podkreślić przyjemności striptizu w samotnym życiu, czego mnie najwyraźniej brakowało. - W każdym razie kiedy spotkałam Alfiego, krążyłam jeszcze po klubach, co, proszę mi wierzyć, w Perdido naprawdę ogranicza twój zasięg, nie mówiąc już o wyborze. Patrząc na Alfa, nigdy bym nie przypuszczała, że jego umiejętności pod tym względem będą tak imponujące. Ten facet nigdy się nie męczył, wciąż tylko pieprzył i pieprzył. W pewnym sensie był to szczęśliwy zbieg okoliczności, że tak dużo czasu spędzał w mamrze. - Przestała mówić, żeby pociągnąć łyżeczek martini, i z uznaniem uniosła brwi.

Zrobiłam jakąś uprzejmą uwagę, zastanawiając się, jak właściwie należałoby zareagować na tego rodzaju rewelacje.

- Był więc tu krócej niż tydzień w zeszłym roku, w czerwcu - powiedziałam, usiłując skierować rozmowę na neutralny tor.

Postawiła szklaneczkę na stole.

- Coś koło tego. Nie mogło to być dłużej, bo pod koniec maja poznałam faceta, z którym teraz sytam. Lesterowi nie podobałoby się, że Alfie urzęduje na mojej kanapie. Mężczyźni robią się zaborczy, zwłaszcza jak zaczną cię posuwać.

- Dokąd on poszedł, kiedy się stąd wyniósł?

- Tyle wiem, co i pani. Ostatni raz widziałam Alfiego, jak zbierał swoje manatki. A potem już pytano mnie tylko o jego uzębienie, gdy usiłowano go rozpoznać po koronkach na zębach trzonowych. To był środek stycznia, czyli minęło już sześć miesięcy od tamtego czasu.

- Myśli pani, że coś go wtedy wystraszyło i skłoniło do zniknięcia?

- Wtedy tak nie myślałam, ale mogło tak być. Gliniarze chyba uważali, że został zabity wkrótce potem.

- W jaki sposób to ustalili?

- Pytałam o to samo, ale nie podali mi żadnych szczegółów.

- Czy zidentyfikowała pani jego zwłoki?

- To, co z nich pozostało. Zgłosiłam zniknięcie Alfiego

chyba na początku września. Urzędnik sądowy, u którego Alfie powinien się meldować po zwolnieniu warunkowym, natrafił jakoś na mój adres i numer telefonu, no i pieklił się, że Alfie się nie stawił. Dał mi do wiwatu. Powiedziałam mu, co ma zrobić.

- Dlaczego tak długo czekała pani z zawiadomieniem policji?

- Niech pani się nie wygłupia. Jak ktoś spędził tyle czasu co Alfie na bakier z prawem, to nie leci się na policję tylko dlatego, że nie pokazał się przez dwa miesiące. Co do mnie, to ja na ogół go nie widywałam. Siedział w ciupie albo był poza miastem, w drodze... któż to, do diabła, może wiedzieć? W końcu zgłosiłam zaginięcie, ale gliniarze nie brali tego poważnie, póki nie znaleziono ciała w Ten Pines.

- Czy policja ma jakąś teorię na temat tego, co mogło mu się przydarzyć?

Potrząsnęła głową.

- Powiem pani jedno. On nie zginął z powodu forsy, bo nią nie śmierdział.

- Nie wyjawiała mi pani, dlaczego Newquist szukał Alfiego?

- W związku z zabójstwem w okręgu Nota. Słyszał, że Alfie przyjaźnił się z facetem, którego ciało znaleziono w marcu zeszłego roku. Jak przypuszczam, istniały powody, by uważać, że podróżowali razem mniej więcej w tym okresie, kiedy zginął ten facet.

- Alfie był podejrzany?

- Och, kochana, tego gliniarze nigdy ci nie powiedzą. Myślą, że będziesz chętniej współpracować, jak ci mówią, że poszukują potencjalnego świadka zbrodni. W tym wypadku pewnie to i prawda. Alfie był mięczakiem. Śmiertelnie bał się przemocy. Nigdy nikogo nie zabił, mogłabym przysiąc na górę kondomów.

- Jak Tom Newquist dowiedział się, gdzie szukać Alfiego?

- Facet w hotelu mu to powiedział.

- Ale mam na myśli w ogóle miasto Santa Teresa.

- Och, nie wiem. O tym nie wspomniał ani słowem. Mógł szukać go w komputerze. Alfie siedział niedawno w więzieniu, więc nazwisko od razu wyskoczyło.

- A ten zamordowany? Czy Newquist podał pani nazwisko tego drugiego mężczyzny?

- Nie musiał. Poznałam go przez Alfiego. Facet nazywał się Ritter. On i Alfie spotkali się w mamrze. To było przed sześciu laty w Chino. Zapomniałam, za co wtedy siedział Alfie, ale za coś głupiego. Ritter był złoczyńcą, prawdziwym sukinsynem, osłaniał jednak tyłek Alfiemu i potem, kiedy wyszli na wolność, trzymali się już razem. Alfie chciał, by Ritter też tutaj zamieszkał, ale ja powiedziałam: mowy nie ma. Rittera skazano za gwałt.

- Ritter to imię czy nazwisko?

- Nazwisko. Imię miał jakieś takie zwariowane, może Percival. Wszyscy wołali na niego Pinkie.

- Jak zareagował Alfie, gdy usłyszał o śmierci Rittera?

- Nie miałam okazji mu o tym powiedzieć. Szukałam go po całym mieście, ale jego już tu nie było, wykombinowałam więc, że wziął nogi za pas. Jak się okazało, zginął w ciągu kilku dni, przynajmniej według gliniarzy.

- Rozumiem, że starał się utrzymywać z panią kontakt?

- Ten facet nie wytrzymał nawet tygodnia, żeby nie zjawić się po pożyczkę. Nazywał to swoim bykowym, ale tak tylko sobie żartowaliśmy. Alfie był dumny.

- Jestem tego najzupełniej pewna - powiedziałam.

- Brakuje mi go, naprawdę. To znaczy, Lester jest okej, tylko że on bywa pruderyjny, jeśli idzie o pewne praktyki seksualne. Jest przeciwko wszystkiemu co latynoskie, jeśli wie pani, co mam na myśli.

- Nie sądzi pani, że Lester miał coś wspólnego ze śmiercią Alfiego? Mógł być zazdrosny.

- Jestem pewna, że byłby, gdyby wiedział, ale ja mu o tym nigdy nie pisałam ani słowa. Mówiłam, że Alfie sypia na moim tapczanie. Nie miał jednak pojęcia, że się gżymy jak króliki przy każdej okazji. Jak schyliłaś się, żeby zawiązać sznurowadło, to Alfie, wielkie głupie oślisko, zaraz na ciebie wskakiwał.

- I nikt więcej się nie zjawił ani go nie poszukiwał?

- Przez większość dnia byłam w pracy, naprawdę więc nie wiem, co Alfie porabiał, prócz picia, obstawiania koni i oglądania oper mydlanych w telewizji. Lubił chodzić po sklepach. Ubierał się elegancko i na to szła większość jego pieniędzy. Dlaczego towarzystwa kart kredytowych wciąż mu je posyłały, przechodzi moje wyobrażenie. Dwukrotnie składał wniosek o niewypłacalność. Tak czy inaczej, mógł mieć przyjaciół. Zazwyczaj miał. Jak mówiłam, był słodki. Rozumie pani, chutliwy, ale sympatyczny.

- Wydaje się, że był miłym człowiekiem - wymamrotałam, mając nadzieję, że Pan Bóg nie ukarze mnie nagłą śmiercią.

- Pewnie, że tak. Nie był kłótniwy ani uciążliwy. Nigdy nie wdawał się w bijatyki w barach, nikomu nie powiedział złego słowa. To był po prostu duży durny facio ze stojącym pindolem. - Głos jej drżał, gdy to mówiła. - Wydaje się, że ludzi nie mordują za pomyślunek. Coś takiego zdarza się, ot i tyle. Alfie był frajerem i nie zawsze miał łeb na karku. Ktoś mógł go zabić dla draki.

Jechałam z powrotem do Santa Teresa, starając się nie rozmyślać za wiele o zebranych informacjach. Pozwalałam, by myśli swobodnie sobie płynęły, i nie próbowałam ich porządkować ani nadawać im jakiegoś sensu. Zbliżyłam się do czegoś, ale jeszcze nie miałam pewności, co to jest. Jedna rzecz wydawała się jasna: Tom Newquist kroczył tą samą drogą i może to, co odkrył, przyprawiło go o niewypowiedzianą udramę.

Dotarłam do swojego mieszkania wkrótce po trzeciej. Deszcz chwilowo przestał padać, ale niebo zaciągnięte było ciemnymi chmurami, a ulice nadal mokre. Obeszłam kałuże, wetknąwszy pod pachę złożoną parasolkę, i, już minąwszy bramę, odczułam ulgę na myśl, że jestem w domu. Otworzyłam drzwi i zapaliłam światło. Ręka zaczynała mi już dokuczać, zmęczyły mnie też łupki. Zrzuciłam z siebie kurtkę, poszłam do kuchenki po wodę i łyknęłam

lek przeciwbólowy. Potem przysiadłam na stołku i zdjęłam gazę osłaniającą palce. Odrzuciłam łupki, zostawiłam jednak na miejscu plaster. Był to gest symboliczny, niemniej poprawił mi humor.

Sprawdziłam automatyczną sekretarkę, okazało się, że jest nagrana jakaś wiadomość. Nacisnęłam klawisz odtwarzania i usłyszałam głos osoby, z którą kontaktował się Tom Newquist w Biurze Szeryfa. Zostawiła mi jednozdaniową wiadomość. „Tu Colleen Sellers, w domu będę do piątej, jeśli to jeszcze panią interesuje”.

Wykreśliłam jej numer. Podniosła słuchawkę niemal natychmiast, jakby czekała na ten telefon.

- Halo - zabrzmiało obojętnie, bez śladu ciepła czy serdeczności.

- Mówi Kinsey Millhone, dzwonię w związku z pani telefonem - powiedziałam. - Czy to pani, Colleen?

- Tak. Dostałam wiadomość, że chce się pani ze mną skontaktować z powodu Toma Newquista.

- Zgadza się. Dziękuję, że pani oddzwoniła. Sytuacja jest dość nieprzyjemna. Zakładam, że słyszała pani o tym, że on odszedł. - Nie znoszę wyrażenia odszedł, kiedy naprawdę mamy na myśli umarł, ale pomyślałam, że powinnam postąpić taktownie.

- Słyszałam.

Ograniczyła się do tego jednego słowa, byłam więc zmuszona od razu przystąpić do rzeczy.

- Powód, dla którego dzwoniłam, to... jestem tutejszym prywatnym detektywem...

- Wiem, kim pani jest. Sprawdziłam.

- Doskonale. To oszczędzi mi wyjaśnień. W każdym razie dzwoniłam z powodów zbyt skomplikowanych, by je wyłuszczać. Zostałam wynajęta przez wdowę po Tomie i mam spróbować wyjaśnić, co działo się w jego życiu przez ostatnie dwa miesiące.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego te powody są zbyt skomplikowane, by je wyłuszczać?

- Czy mogłybyśmy o tym porozmawiać nie przez telefon? - spytałam. Zapanowało chwilowe milczenie, usłyszałam wciągnięcie powietrza, co mnie upewniło, że ona pali.

- Możemy gdzieś się spotkać - odparła.

- Byłoby dobrze. Mieszka pani w Perdido? Z przyjemnością tam przyjadę, jeśli pani chce, albo...

- Mieszkam w Santa Teresa, niezbyt daleko od pani.

- Doskonale, tym lepiej. Proszę mi powiedzieć, kiedy i gdzie się spotkamy.

Odpowiedź poprzedziła znowu chwilowa pauza.

- Może w dziecięcym parku rozrywki naprzeciw Emilek. Za jakieś pięć minut...

- Dobrze, tam się spotkamy - powiedziałam, ale ona już odłożyła słuchawkę.

Wypatrzyłam ją z daleka - na jednej z huśtawek, w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym i z kapturem na głowie. Obracała siodełko w bok, tak że skręcone łańcuchy utworzyły jakby X na wysokości piersi. Kiedy uniosła nogi, łańcuchy zaczęły się odkręcać, a stopy obracały się najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Przesuwała się do tyłu, utrzymując pozycję na palcach. Potem się odepchnęła. Patrzyłam, jak wyprostowywała nogi, jakby wykonując ruch pompowania, i wznosiła coraz wyżej i wyżej. Myślałam, że przerwę jej zabawę, gdy podejść, ale huśtała się dalej z obojętną miną i ze wzrokiem wbitym we mnie.

- Proszę zobaczyć! - zawołała i przy maksymalnym wychyleniu do przodu zeskoczyła z huśtawki. Po krótkim locie wylądowała na piasku na złączonych stopach i z uniesionymi nad głową rękami, jak przy zeskoku na pokazie gimnastycznym.

- Brawo!

- Potrafi pani to zrobić?

- Pewnie.

- No to zobaczmy.

O do licha, czego ja bym nie zrobiła w ramach swoich

obowiązków - pomyślałam. Jeśli chodzi o pozyskiwanie informacji, to zachowuję się jak bezwstydną lizus. Zajął jej miejsce na huśtawce, cofałam się tak jak ona, aż stanęłam na palcach. Odbiłam się, przytrzymując za łańcuchy. Wychyliłam się do tyłu, prostując nogi, po czym śmignęłam z powrotem, pochyłona do przodu, i tak się huśtałam, powiększając trajektorię lotu siodełka. Wzbijałam się coraz wyżej i wyżej. Na maksymalnej wysokości puściłam się i poleciałam do przodu tak jak ona. Sam koniec skoku niezbyt mi się udał, musiałam więc zrobić mały kroczek w bok, żeby chwycić równowagę.

- Nieźle. To wymaga ćwiczeń - orzekła łaskawie. -Może się przejdziemy? Ma pani parasolkę?

- Nie pada.

Ściągnęła kaptur z głowy i popatrzyła w górę.

- Za chwilę będzie. Może pani schować się pod moją. Otworzyła parasol i gdy ruszyliśmy na spacer, trzymała

go nad naszymi głowami jak duży czarny baldachim. Szłyśmy w nogę i ramię w ramię. Z bliska pachniała papierosami, ale w mojej obecności nie zapaliła ani razu. Miała według mnie czterdzieści lat z okładem, kwadratową twarz, przesadnie duże okulary w kwadratowych czerwonych oprawkach, jasne włosy do ramion i piwne oczy w odcieniu ciepłego brązu. Kiedy się uśmiechała, wokół szerokich ust pojawiały się liczne fałdki. Była grubokoścista i wysoka, a obuwie ze względu na rozmiar musiała zapewne zamawiać z katalogów.

- Dziś pani nie pracuje? - spytałam.

- Wzięłam urlop.

- Mogę zapytać, dlaczego?

- Może pani pytać, o co zechce. Proszę mi wierzyć, mam doświadczenie w unikaniu odpowiedzi na niewygodne pytania. W czerwcu skończę pięćdziesiąt lat. Nie przejmuję się tym, że się starzeję, skłania mnie to jednak do przyjrzenia się swojemu życiu. Nagle rozmaite rzeczy tracą sens. Nie wiem, co robię albo dlaczego to robię.

- Ma pani tu rodzinę?

- Już nie. Wychowałam się w Indianie, koło Evansville.

Moi rodzice nie żyją... tata umarł w siedemdziesiątym szóstym, mama w zeszłym roku. Miałam dwóch braci i siostrę. Jeden z braci, ten, który tu mieszkał, zachorował na rzadką formę leukemii i umarł w ciągu sześciu miesięcy. Drugi zginął w wypadku na łodzi, kiedy miał dwanaście lat. Siostra umarła w wieku dwudziestu paru lat, po spartaczonej skrobance. To bardzo dziwne uczucie być zupełnie samej na linii frontu.

- Ma pani dzieci? Potrząsnęła głową.

- Nie, i to jeszcze jedna sprawa, nad którą się zastanawiam. Uważam, że jest na to grubo za późno, niemniej rozmyślałam nad tym. Co nie znaczy, że kiedykolwiek chciałam mieć dzieci. Na tyle dobrze znam siebie, że wiem, jak okropną byłabym matką. Na tym etapie życia jednak zastanawiam się, czy nie powinnam była postępować inaczej. A pani? Ma pani dzieci?

- Nie. Byłam dwa razy mężatką i dwukrotnie się rozwiodłam, w obu wypadkach mając lat dwadzieścia kilka. Wtedy nie czułam się jeszcze na tyle dojrzała, by mieć dzieci. Nie dojrzałam jeszcze nawet do małżeństwa, ale skąd miałam o tym wiedzieć. Przy moim obecnym stylu życia rodzinny żywot chyba nie wchodzi w rachubę, a więc dobrze się stało.

- Wie pani, czego żałuję? Żałuję teraz, że nie słuchałam uważniej opowieści rodzinnych. Może chciałabym mieć kogoś, komu mogłabym je przekazać. Cała ta ustna tradycja zostanie wyrzucona przez okno. Martwię się, co się stanie z albumami rodzinnych fotografii, jak już mnie nie będzie. Wylądują na śmietniku... wszystkie ciotki i wujkowie. W rupieciarniach można czasami kupić stare czarno-białe fotografie o ząbkowanych brzegach. Biały drewniany dom, ogród warzywny z krzywym drucianym płotem, groźnie wyglądający rodzinny pies - powiedziała. Głos jej przycichł, po czym nagle zmieniła temat. - Co się pani stało w rękę?

- Jakiś facet wyłamał mi palce ze stawów. Powinna była je pani zobaczyć... sterczały na różne strony. Słabo mi się robiło na ten widok - odparłam.

Poszliśmy jeszcze trochę dalej. Na prawo od nas niski murek oddzielał chodnik od piasku wybrzeża. Do linii przyływu było ze dwieście metrów plaży; widok dość smętny przy obecnym stanie pogody.

- Dokąd to ma nas zaprowadzić? - spytałam.

- Pod jakim względem?

- Zakładam, że pani mnie ocenia, próbując ustalić, ile mi powiedzieć.

- Tak, rzeczywiście - przyznała. - Tom mi ufał i traktuję to poważnie.

Dlaczego miałabym nadużyć jego zaufania, nawet jeśli on już nie żyje?

- To zależy od pani. Może chodzi o nie dokończoną sprawę i ma pani okazję doprowadzić ją do końca.

- Rzecz nie dotyczy Toma, tylko jego żony - odparła.

- Może pani tak na to patrzeć.

- Dlaczego miałabym jej pomagać?

- Ze zwykłego współczucia. Ona ma prawo do spokoju sumienia.

- A my nie? Nie widziałam na oczy tej kobiety, a nawet gdybym widziała, pewno też nie żywiłabym do niej sympatii, guzik więc mnie obchodzi spokój jej sumienia.

- A pani sumienie?

- To moja sprawa.

Tyle z niej wyciągnęłam. Kiedy dotarliśmy na brzeg oceanu, deszcz znowu się nasilił.

- Myślę, że tu się pożegnam. Mieszkam o przecznicę stąd, w tym kierunku. Jeśli pani uzna, że ma mi coś więcej do powiedzenia, to proszę dać znać.

- Zastanowię się nad tym.

- Przydałaby mi się pomoc - dodałam.

Pobiegłam w stronę domu w gęstniejącym kapuśniaczku, który psuł mi fryzurę. Co jest z tymi ludźmi? Co to za banda zatwardziałców. Zdecydowałam, że czas skończyć z wygłupami. Wpadłam do mieszkania, osuszyłam włosy ręcznikiem, chwyciłam torebkę i parasolkę i znowu wypadłam. Samochodem pojechałam do Santa Teresa Hospital, który znajduje się dziesięć przecznic dalej.

Złapałam doktora Yee, gdy szedł na parking. Zostawiłam volkswagena przy krawężniku, w miejscu, gdzie wolno było stać przez dziewięćdziesiąt minut, naprzeciwko wejścia do izby przyjęć, i okrążałam budynek, zmierzając do głównego wejścia. Doktor Yee wyszedł z bocznych drzwi i zamierzał przejść przez ulicę w drodze na parking. Zawołałam go po nazwisku, obejrzał się, a wtedy pomachałam mu ręką. Zaczekał, aż podejdem.

W okręgu Santa Teresa stosowany jest nadal system sze-ryfa-korонера, w którym szeryf jako urzędnik wybieralny kieruje również Biurem Korонера. Sekcji zwłok dokonują różni sądowi anatomopatolodzy zatrudnieni przez okręg i współpracujący z detektywami korонера. Steven Yee miał czterdzieści lat, był Amerykaninem chińskiego pochodzenia w trzeciej generacji i wielkim miłośnikiem francuskiej kuchni.

- Szuka pani mnie?

Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był szczupły i przystojny, o gładkiej, okrągłej twarzy. Proste, błyszczące czarne włosy z egzotycznymi białymi pasemkami zaczesywał do tyłu.

- Cieszę się, że pana złapałam. Jedzie pan do domu? Czy zechciałby mi pan poświęcić z kwadrans?

Zerknął na zegarek.

- Nie muszę być w restauracji wcześniej niż za godzinę - powiedział.

- Słyszałam, że ma pan drugi zawód. Uśmiechnął się z satysfakcją, ale skromnie wzruszył ramionami.

- Pieniądzy z tego mam niewiele, tutaj jednak zarabiam wystarczająco. Przyjemnie jest dla odmiany kroić pory zamiast... innych rzeczy.

- Przynajmniej umie pan posługiwać się nożem do okrawania kości - zauważyłam.

Roześmiał się.

- Proszę mi wierzyć, że nikt nie kroić mięsa tak pieczołowicie jak ja. Musi pani wpaść któregoś wieczoru. Poczęstuję panią takimi daniami, że będzie pani płakać z czystej przyjemności.

- Przydałoby mi się coś takiego - powiedziałam. - Ja się odżywiam głównie czymś takim jak ćwierćfuniak z serem.

- Wracając do rzeczy, o co chodzi? Czy to sprawa służbowa?

- Szukam informacji o człowieku, który się nazywał Alfie Toth. Czy zna pan tę sprawę?

- Powiniennem znać. Robiłem sekcję - odparł. Wskazał kciukiem w stronę budynku. - Wrócimy do mojego gabinetu. Pokażę pani, co mamy.

- Wspaniale - powiedziałam uszczęśliwiona, podążając za nim. - Myślę, że śmierć Totha może być związana z domniemanym zabójstwem w Nota Lake... faceta o nazwisku Ritter. Jeden z tamtejszych detektywów pracował nad tą sprawą, ale zmarł na zawał przed kilkoma tygodniami. Nazywał się Tom Newquist. Czy kontaktował się z panem?

- Znam to nazwisko, lecz bezpośrednio ze mną się nie kontaktował. Rozmawiałem przez telefon z koronerem w Nota Lake i wspominał mi o nim. Jaki ma pani z tym związek? Czy chodzi o roszczenia ubezpieczeniowe?

- Nie pracuję teraz dla KTUoS. Jestem w firmie prawniczej Lonniego Kingmana przy Capillo.

- A co z KTUoS-em?

- Wyrzucili mnie na zbity pysk, co mnie zresztą nie martwi - odparłam. - Czas już był na zmianę, teraz pracuję głównie jako wolny strzelec. Wynajęła mnie żona Newquista. Uważa, że jej mąż czymś się zamartwiał,

i chce, bym stwierdziła, o co chodziło. Policja w Nota Lake skąpi informacji na ten temat, a tutejsi gliniarze nie są o wiele lepsi.

- Naturalnie.

Doszliśmy do windy, doktor nacisnął guzik z napisem W DÓŁ i, zjeżdżając w głąb budynku, gawędziliśmy o głupstwach.

Gabinet doktora Yee to była klitka na korytarzu koło kostnicy. Pod ścianami poczekalni stały szafki z segregatorami, a w samym gabinecie mieściło się z trudem tylko jego duże biurko, obrotowy fotel i zwykłe drewniane krzesło dla gości. Książki medyczne przestawiono na półki wolno stojącej biblioteczki, żeby zrobić miejsce na biurku równemu szeregowi francuskich książek kucharskich, podpartych z obu stron dużymi słojami pełnymi ciemnej formaliny, w której pływało coś, czemu nie miałam ochoty się przyglądać. Jako przycisku do papierów doktor używał silikonowego implantu piersi i obciążył nim stos luźnych notatek.

- Proszę sekundę poczekać, zaraz wyciągnę te akta -powiedział. - Niech pani usiądzie.

Na krześle piętrzyła się sterta czasopism medycznych, przysiadłam więc na samym brzeżku, wdzięczna za to, że zechciał mi zaufać. Doktor Yee nie szafował informacjami, ale nie zachowywał się tak paranoicznie jak detektywi policyjni. Powrócił z teczką i szarą kopertą, siadł na swoim obrotowym fotelu, a teczkę i kopertę rzucił przede mną na blat biurka.

- To są fotografie? Mogę je zobaczyć?

- Jasne. Niewiele jednak pani powiedzą. - Sięgnął po kopertę i wyciągnął z niej komplet kolorowych zdjęć formatu dwadzieścia na dwadzieścia osiem centymetrów. Wszystkie przedstawiały różne ujęcia miejsca, w którym znaleziono Alfiego Totha. Teren był wyraźnie dziki: głązy, cierniste, wiecznie zielone krzewy, prastary dąb.

- Zidentyfikowano Totha na podstawie szczątków szkieletu, głównie uzębienia. Zwłoki Percy'ego Rittera w Nota Lake odnaleziono niemal w identycznych okolicznościach-

ciach; taki sam *modus operandi* i podobnie odludne miejsce. W obu przypadkach upłynął jakiś czas, zanim ktoś natknął się na zwłoki.

Wpatrywałam się z zakłopotaniem w jedno zbliżenie, nie będąc pewna, na co patrzę; być może miałam przed sobą dolną część szkieletu Alfiego Totha, porzuconą na ziemi. Kości miednicy sprawiały wrażenie wciąż połączonych, ale piszczel, kość udowa i kości strzałkowe, splątane razem na jednej kupce, przypominały zbielałe drewno na podpałkę. Rozrzucone części szkieletu wyglądały jak dekoracje przygotowane na Halloween, które trzeba dopiero złożyć razem.

- Zmumifikowane zwłoki Ritтера znaleziono w kompletnym stroju - oznajmił doktor. - W kieszeniach miał rozmaite przedmioty osobiste... przeterminowane prawo jazdy wydane w Kalifornii, karty kredytowe. Identyfikację potwierdzono na podstawie odcisków palców, które trzeba było odtworzyć. Musiały ulec całkowitemu wyschnięciu, ponieważ rozwój bakterii i proces gnilny zostaje zahamowany, gdy wilgoć w ciele spada poniżej pięćdziesięciu procent. Zwłoki Rittera były sztywne jak skóra, Kirchnerowi jednak udało się odtworzyć wszystkie odciski prócz odcisków kciuka i palca serdecznego prawej ręki. Odciski palców Rittera mieliśmy w rejestrze od roku siedemdziesiątego drugiego. Co to był za ananas ten Ritter. Prawdziwa szumowina.

- Nie wiedziałam, że można w taki sposób pobrać odciski palców.

Wzruszył ramionami.

- Czasem najpierw trzeba palce uciąć. W celu ponownego nawodnienia zanurza się je na dzień lub dwa w trzy-procentowym roztworze ługu albo w jednoprocetowym roztworze Eastman Kodak Photo-Flo 200. Inną metodą jest stosowanie kolejnych roztworów alkoholu, zaczynając od dziewięćdziesięciu procent i stopniowo zmniejszając stężenie. W przypadku Rittera początkowo podejrzewano samobójstwo, choć Kirchner wyrażał poważne wątpliwości i to samo mówił szeryf. Trzeba pamiętać, że na miej-

scu nie znaleziono pożegnalnego listu, nie było też jakichś śladów zniszczeń środowiska ani urazów ciała. Żadnych złamań gnykowych, które sugerowałyby ucisk szyjny, żadnych śladów ran od noża, obrażeń czaszki, postrzału...

- Innymi słowy, żadnych śladów przestępstwa.

- Zgadza się. Co nie znaczy, że nie mógł zostać w jakiś sposób zamordowany. Tak samo było z Tothem, tyle że on nie miał przy sobie dowodu tożsamości. Biuro Szeryfa przewertowało meldunki o zaginięciu osób sprzed wielu miesięcy, kontaktowało się z rodzinami. W taki sposób postępowali podczas wstępnego poszukiwania.

- A co tu widzimy? - zapytałam, odwracając fotografię tak, żeby mógł zobaczyć.

- Wydaje się, że obaj faceci obwiązali głaz sznurem, założyli sobie na szyję stryczek, przełożyli kamień przez rozwidlenie konaru drzewa i sami się powiesili.

Spojrzałam na niego.

- To dziwne. - Popatrzyłam w dół na fotografię, na której teraz dostrzegłam sznur, którym obwiązany był na krzyż kamień wielkości dużego arbuza. Część tułowia Totha i kończyny dolne były osobno, po jednej stronie drzewa, a górna połowa z przytroczonym nadal sznurem, pociągnięta ciężarem kamienia, upadła po drugiej stronie.

- Nic specjalnego nie można powiedzieć o tym sznurze, gdyby to panią interesowało. Taki sznur do bielizny typu ogrodowego jest do kupienia w każdym supermarkecie czy sklepie żelaznym - rzekł. Obserwował moją twarz. - Nie chciałbym być rasistą, ale ta metoda bardziej pasuje do wrażliwości azjatyckiej. Jak coś takiego mogło wpaść do głowy facetowi w okręgu Nota? I na dodatek jeszcze temu drugiemu. Może Toth słyszał o domniemanym samobójstwie kumpla i zmałpował jego metodę, wydaje się to jednak mało prawdopodobne. O ile wiem, gliny z Nota Lake trzymają w tajemnicy te szczegóły. Informacje przekazano wyłącznie do dyspozycji służbowej.

- Właśnie. Gdyby Toth chciał się zabić, to pańskim zdaniem palnąłby sobie w łeb, sięgając po coś prostego

i nieskomplikowanego, bardziej pasującego do jego stylu życia.

Doktor Yee przechylił się do tyłu na fotelu, który zaskrzypiał.

- Bardziej prawdopodobne wydaje się to, że obu zabiła ta sama osoba.

A gliniarze zachowują się tak paranoicznie, obawiając się pomyleńców i małpowiczów, bo któryś z nich mógłby się zjawić i przyznać. Nie chcą, żeby ktoś oprócz zabójcy znał wszystkie szczegóły. Jak dotąd dziennikarze tego nie zwietrzyli. Wiedzą, że znaleziono tu zwłoki, ale tylko tyle. Nie jestem pewny, czy reporterzy połączyli ten fakt z denatem z Nota Lake. Tamta sprawa nie wywołała tutaj żadnego zainteresowania.

- Jak się przypuszcza, kiedy doszło do śmierci Rittera?

- Och, zdaniem Kirchnera leżał tam z pięć lat. Rachunek za benzynę znaleziony wśród jego rzeczy był z kwietnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Pracownik stacji benzynowej pamięta ich obu.

- Spora odległość w czasie dzieli te dwa zgony - powiedziałam. - Czy spotkał pan kiedyś tego rodzaju metodę?

- Tylko w podręcznikach. Dlatego właśnie wydaje się to takie osobliwe. Niech pani spojrzy na to. - Sięgnął do tyłu i z dolnej półki wyciągnął ciekawą książkę dużego formatu. - To *Atlas medycyny sądowej* Tomio Watanabe. Opublikowany po raz pierwszy w sześćdziesiątym ósmym w Japonii, toteż trudno go teraz znaleźć.

Przerzucał strony, aż dotarł do części dotyczącej powie-szeń, wtedy obrócił książkę, tak żebym mogła zobaczyć. Fotografii samobójców dostarczyły najwyraźniej różne komendy policji i lekarze sądowi w Japonii. Jakaś młoda kobieta zaklinowała sobie szyję w rozwidleniu konarów, co skutecznie zacisnęło jej tętnice szyjne. Inna zrobiła podwójny stryczek z długiego sznura, który założyła sobie na szyję, potem przełożyła przezeń nogi, doprowadzając do zadzierzgnięcia przez ligaturę. Pewien mężczyzna odebrał sobie życie, posługując się metodą, o której wspominał doktor Yee. Obwiązał kamień sznurem i umieścił na krześle, po czym ten sam sznur założył sobie na szyję, siadł tyłem do

krzesła, przewrócił je do przodu, a wtedy kamień stoczył się z siedzenia i udusił samobójcę. Przystudiowałam zdjęcia na sąsiednich stronach, które ukazywały z najdrobniejszymi szczegółami ludzką pomysłowość w metodach odbierania sobie życia. W każdym z tych przypadków patrzyłam w twarz rozpacz. Przez chwilę gapiłam się na podłogę, odtwarzając w głowie scenariusz jak kawałek filmu.

- Niemożliwe, żeby dwóch facetów na przeciwległych krańcach Kalifornii niezależnie od siebie wpadło na taki sam pomysł.

- Pewno nie - powiedział doktor Yee. - Chociaż byli kumplami, mogli więc słyszeć, jak ktoś opisywał tę technikę. Jeśli ktoś zdecyduje się na samobójstwo, to najwspanialsze jest to, że jak już przerzuci kamień przez rozwidlenie konarów, nie ma powrotu. A i śmierć następuje stosunkowo szybko, choć nie natychmiast, przytomność traci się jednak w ciągu minuty lub pręcej.

- I są to jedyne dwa wypadki tego rodzaju śmierci, jakie pan zna?

- Tak. Nie myślę, żeby chodziło o seryjne zabójstwa, niemniej trzeba ze sobą powiązać te dwa zgony.

- Jak się pan dowiedział o śmierci Rittera?

- Za pośrednictwem Newquist. On wiedział o śmierci Rittera od chwili znalezienia jego ciała w marcu zeszłego roku. Kiedy pewien turysta natrafił na szczątki Totha, zawiadomił o tym tutejsze Biuro Szeryfa, a ono ze względu na podobny *modus operandi* skontaktowało się z Nota Lake.

- Może Toth sprzątnął swego kumpla Rittera, licząc, że będzie to wyglądać na samobójstwo, a nie zabójstwo, po czym sam załatwił się w identyczny sposób? Byłaby w tym pewna doza ironii.

- To jest możliwe - odparł doktor bez wielkiego przekonania - ale jak pani to widzi? Toth popełnia morderstwo i mija całe pięć lat, zanim odkryje, że przytłacza go brzemień winy?

- Nie ma to specjalnie sensu, prawda? - powiedziałam, reagując na jego ton. - Rozmawiałam z jego byłą żoną i zgodnie z tym, czego się od niej dowiedziałam, nie za-

chowował się jak człowiek śmiertelnie przygnębiony. -Spojrzałam na zegarek. Prawie za kwadrans piąta. -W każdym razie będzie lepiej, jeśli pozwolę panu już iść. Dziękuję za informacje. To była wielka pomoc.

- Cieszę się.

Kiedy dotarłam o piątej do domu, w kuchni Henry'ego paliło się światło i zobaczyłam go, jak siedzi przy stole. Przed nim stało pudło. Zastukałam w szybę, a on dał mi znak, żebym weszła do środka.

- Nalej sobie herbaty. Właśnie ją zaparzyłem.

- Dzięki. - Wzięłam czysty kubek z suszarki, nalałam herbaty, po czym usiadłam przy stole i przyglądałam się działalności Henry'ego.

- To są kupony rabatowe. Moja nowa pasja, jeśli jesteś ciekawa - powiedział. Henry zawsze z entuzjazmem podchodził do kwestii oszczędzania pieniędzy. Codziennie zasiadał z lokalną gazetą w rękach, wycinał z niej kupony i sortował je, przygotowując trasę zakupów.

- Czy mogę w czymś pomóc?

- Możesz to uporządkować, a ja będę wycinał. - Przysunął mi stos kwitków sprzedaży, które, jak widziałam, porozdzielane były według firm oferujących zwrot części ceny. - Drugstory Shorta założyły Klub Rabatowy Zachowujących Kwity, który umożliwia zbieranie rabatów i przesyłanie im wszystkich naraz. Nie ma sensu starać się o zwrot pięćdziesięciu centów, kiedy znaczki kosztują cię prawie trzydzieści pięć.

- Wierzyć mi się nie chce, że tyle czasu na to poświęcasz - zauważyłam, porządkując kwity za środki dietetyczne sprzedawane bez recepty, detergenty, mydła, wodę do płukania ust.

- Niektórych produktów i tak używam, jak więc mogę im się oprzeć? Popatrz na to. Pasta do zębów za darmo. Mówią, że twój uśmiech stanie się ekstrabiały.

- Ty już masz biały uśmiech.

- Przypuśćmy, że zdecyduję się wybrać tę pastę ze

względu na smak. To nic złego próbować jakichś nowości - powiedział. - Tu jest jeden kupon na szampon. Dostaniesz za darmo jeden szampon, jeśli dokonasz zakupu przed pierwszym kwietnia. Po jednym na klienta, a ja już swój dostałem, schowałem więc kupon dla ciebie, na wypadek gdyby cię to interesowało.

- Dzięki. Robisz to dodatkowo, oprócz zbierania kuponów do sklepów?

- No tak, ale to wymaga o wiele większej cierpliwości. Czasami potrzeba od dwóch do trzech miesięcy, ale też potem dostaniesz porządną sumkę. Raz było aż piętnaście dolców. Jak znalazł. Zdziwiłabyś się, jak szybko się to uzbiera.

- Na pewno. - Wypiłam łyk herbaty.

Henry przysunął mi następną kupkę wycinków.

- Jak skończysz ten stos, możesz zabrać się do tych.

- Nie chciałam, żeby to wyglądało na małostkowość - zauważyłam, kierując rozmowę na interesujące mnie sprawy - ale szczerze mówiąc, wczoraj wieczorem Rosie poświęciła więcej uwagi tym gagatkom niż nam. Nie zraniło to moich uczuć, lecz dość mnie wkurzyło.

Henry uśmiechnął się pod wąsem.

- Nie przesadzasz przypadkiem?

- Być może użyłam za dosadnego słowa, ale wiesz, o co mi idzie. Henry, ile opakowań aspiryny dla dzieci wzięłeś w tych dniach? Naliczyłam ich już piętnaście.

- Podaruję nadmiar instytucji dobroczynnej. A jeśli mówimy o środkach przeciwbólowych, to jak tam twoja ręka?

- Dobrze. O wiele lepiej. Już nie boli - odparłam. - Nie przejmujesz się stosunkiem Rosie.

- Rosie to Rosie. Ona nigdy się nie zmieni. Jeśli ciebie to denerwuje, to jej powiedz, a mnie się nie skarż.

- Och, dobra. Rozumiem. Chcesz, żebym to ja się do tego wzięła.

- Chciałbym widzieć tę bitwę tytanów - oznajmił.

O szóstej wyszłam od Henry'ego, wstałam do siebie po kurtkę i parasolkę. Deszcz znowu się zmniejszył, ale

w powietrzu czuło się chłód, toteż z przyjemnością weszłam do tawerny. U Rosie było cicho, mocno pachniało kalafiolem, cebulą, czosnkiem, bekonem i wołowiną gotującą się na wolnym ogniu. Dwóch klientów siedziało w boksie, ale dojrzałam, że już ich obsłużono. Od czasu do czasu słyszałam jedynie brzęk sztućców na porcelanie.

Rosie siedziała samotnie przy barze i czytała wieczorną gazetę, którą miała przed sobą rozłożoną. Mały telewizor na drugim końcu kontuaru był włączony, ale dźwięk przyciszono. Nie widziałam ani śladu Williama i uświadomiłam sobie, że jeśli mam złapać Rosie, to jest to moja jedyna szansa. Czułam, jak wali mi serce. Moja odwaga rzadko sięga tego rodzaju interakcji. Wysunęłam pobliski stółek i siadłam obok Rosie.

- Coś tu fajnie pachnie.

- Mnóstwo różności - odparła. - Kazałam Williamowi przygotować smażonego kalafiora z sosem śmietanowym. A także marynowaną wołowinę i ozór wołowy w sosie pomidorowym.

- Moje ulubione danie - skonstatowałam sucho.

Za nami otworzyły się drzwi i weszło przez nie czworo ludzi, wpuszczając zimne powietrze, zanim znów się zatrzasnęły. Rosie zsunęła się ze stołka i jako gospodyni poszła ich przywitać. Drzwi znów się otworzyły i niespodziewanie stanęła w nich Colleen Sellers. A cóż o n a tu robi? Nici z mojej konfrontacji z Rosie. Może Colleen postanowiła mi jakoś pomóc.

- Nawet nie wiem, co ja miałabym tu robić - rzekła niechętnie. Na skutek wilgoci jasne włosy wisały jej w strąkach, a okulary zaparowały od ciepła w lokalu.

- Rozmawiać o Tomie.

- Tak przypuszczam.

- Chce mi pani opowiedzieć resztę?

- Niewiele jest do opowiadania.

Siedziałyśmy w tylnym boksie, który przywykłam uznawać za własny. Nalałam jej szklaneczkę wina, ale ta stała

przed nią wciąż nietknięta. Zdjęła okulary i, trzymając je za oprawki, sięgnęła po serwetkę, po czym zaczęła wycierać szkła w taki sposób, że martwiłam się, że je porysuje. Bez okularów sprawiała wrażenie bezbronnej, a w powietrzu między nami dało się wprost namacalnie wyczuć jej udrękę.

- Kiedy spotkała go pani pierwszy raz?

- Na konferencji w Redding przed rokiem. Był tam sam. Nigdy nie spotkałam jego żony. Nie lubiła z nim jeździć, a przynajmniej tak słyszałam. Wywnioskowałam, że musiała być marudna. To nie znaczy, że on kiedykolwiek tak powiedział, ale inni o tym mówili. Nie wiem, na czym polegał jej urok. On zawsze mówił o niej jak o bogini. - Odgarnęła włosy z twarzy i założyła je za uszy, co nie przysporzyło jej urody. Włożyła znów okulary, chociaż widziałam, że na szklach pozostały smugi.

- Spotkaliście się przez przypadek, czy było to zamierzone?

Colleen przewróciła oczami i słaby uśmiech zaigrał jej na ustach.

- Widzę, do czego pani zmierza, ale dobrze... będę śpiewać. Wiedziałam, że on tam będzie, i chciałam go odszukać. No i co?

Uśmiechnęłam się do niej.

- Chce pani o tym opowiadać po swojemu?

- Byłabym wdzięczna - oznajmiła sucho. - Przed konferencją w Redding kontaktowałam się z nim tylko przez telefon. Miał wspaniały głos, nic więc dziwnego, że chciałam osobiście go poznać. Od razu świetnie się rozumieliśmy, gadaliśmy o różnych sprawach, nad którymi pracowaliśmy, a przynajmniej o tych interesujących. Wie pani, jak to jest, taka zawodowa wymiana opowieści. Omawialiśmy politykę Wydziału, jego doświadczenia i moje odmienne doświadczenia, takie tam normalne sprawy.

- Nie zamierzam przybierać oskarżycielskiego tonu, ale ktoś pomyślał, że byliście bardzo zaprzyjaźnieni.

- Zaprzyjaźnieni?

- Że flirtowaliście. Powtarzam tylko to, co słyszałam.

- Nie ma zakazu flirtowania. Tom był chłopem na schwał. Nie spotkałam jeszcze takiego mężczyzny, któremu odrobina flirtu nie zrobiłaby dobrze, zwłaszcza w naszym wieku. Mój Boże. Kto, u diabła, naopowiadał pani takich głupstw? Ktoś próbuje narobić kłopotów, mówię pani.

- Jak dobrze pani go znała?

- Widziałam go tylko dwa razy. Nie, poprawka, widziałam go trzy razy. Z początku chodziło o sprawy służbowe i zaczęło się od tej, którą się zajmował.

- Co to była za sprawa?

- Szeryf Okręgowy w Nota Lake odkrył na odludziu domniemane samobójstwo eks-więźnia nazwiskiem Ritter, który powiesił się na gałęzi kalifornijskiego dębu białego. Tożsamość wisielca potwierdzono na podstawie odcisków palców i Tom, podążając jego śladami, ustalił, że wypuszczono go z Chino wiosną osiemdziesiątego pierwszego roku. Ritter miał rodzinę w tej okolicy, ściśle mówiąc, w Perdido. Tom zadzwonił do nich i dowiedział się, że Ritter podróżuje z jakimś kumplem.

- To był Alfie Toth - dodałam. Ciekawa byłam jej wersji, ale nie chciałam, by myślała, że nie znam żadnych faktów.

- Jak się pani o nim dowiedziała?

- Mam swoje źródła, podobnie jak pani. Wiem, że Tom przyjechał tutaj w czerwcu go szukać.

- Zgadza się. Ja miałam mieć na niego oko. Totha aresztowano za drobne przestępstwo. Zadzwoniłam do Toma, a on powiedział, że przyjedzie w ciągu jednego dnia. To był środek kwietnia. Mówiłam mu, że z przyjemnością zajmę się tym Tothem, ale on wolał zrobić to sam. Przypuszczam, że roboty miał po uszy, bo udało mu się przyjechać dopiero w czerwcu. Wtedy Toth wyszedł już z więzienia i zniknął.

- A więc Tom nigdy z nim nie rozmawiał?

- O ile wiem, to nie. Jak się okazało, szczątki Totha znaleziono w styczniu tego roku. Jak tylko dokonano identyfikacji, zadzwoniłam do Toma. *Modus operandi* był

identyczny w obu wypadkach, śmierci Rittera i Totha, i to stanowiło pewien kłopot. Te dwie śmierci należało połączyć, trudno jednak było ustalić motywację.

- Z tego, co słyszę, te morderstwa dzieli okres pięciu lat. Ma pani jakąś teorię na ten temat?

Widziałam, że usta jej się ściągnęły, pokręciła też głową, wyrażając sprzeczne uczucia.

- To był jedyny raz, kiedy nie zgadzaliśmy się z Tomem. Mogła to być podwójna gra... wie pani, na przykład napad na bank albo włamanie z Ritterem, potem wyrolo-wanie współsprawcy. Facet dopada ich i zabija na miejscu Rittera. Następných pięć lat zabiera mu odszukanie jego kumpla Totha.

- A jaka była hipoteza Toma?

- On uważał, że Toth mógł być świadkiem zamordowania Rittera. Coś się wydarzyło w górach i Pinkie Ritter umiera. Tothowi udaje się czmychnąć, ale zabójca go w końcu dopada.

- Albo może Alfie Toth zabił Rittera i zjawił się ktoś inny, by go pomścić - powiedziałam.

Uśmiechnęła się przelotnie.

- Prawdę mówiąc, ja też to sugerowałam, Tom jednak uważał, że sprawcą w obu wypadkach była ta sama osoba.

Pomyślałam o opinii doktora Yee, identycznej z opinią Toma.

- Pomogłoby mi, gdybym wiedziała, jak się skontaktować z rodziną Rittera.

- Mogę podać numer telefonu, tylko że nie mam go przy sobie. Jeśli pani chce, zadzwonię później.

- Świetnie. I jeszcze jedno. Wiem, że nic mi do tego, ale czy pani była zakochana w Tomie? Odnoszę takie wrażenie z naszej rozmowy.

Zmieniła się jej mimika i ruchy, widziałam, że zastanawia się, ile ma mi zdradzić.

- Tom był wierny jak pies, całkowicie oddany swojej żonie, co natychmiast dał mi do zrozumienia. Czyż nie jest tak zawsze? Wszystkie porządne chłopcy są żonate.

- Tak się mówi.

- Ale coś pani powiem. Między nami była jakaś prawdziwa sekretna więź. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, co to jest partnerstwo duchowe. Wie pani, co mam na myśli? Byliśmy partnerami duchowymi. Nie bujam. Zupełnie jakbym znalazła siebie pod postacią kogoś innego... swojego duchowego sobowtóra. I to było upajające. Siedzieliśmy w sali razem z pięciuset czy sześciuset osobami, a ja zawsze wiedziałam, gdzie on jest. Zupełnie jakby poprzez audytorium sięgały do mnie jakieś czuлки. Nie musiałam go nawet szukać. Tak silna była ta więź. Mogłam z nim rozmawiać o wszystkim. I śmiać się. Ach, ileż myśmy się naśmieli...

- Poszła pani z nim do łóżka? - spytałam z obojętną miną.

Rumieniec zaczynał zabarwiać policzki Colleen.

- Nie, ale poszłabym. Do diabła, tak wariowałam z jego powodu, że sama zaczęłam o tym mówić. Byłam bezwstydną. Byłam wyuzdana. Zgodziłabym się na wszystko... byleby być z nim chociaż raz. - Potrząsnęła głową. - On jednak by tego nie zrobił, a wie pani, dlaczego? Był prawy. Przyzwoity. Potrafi sobie pani wyobrazić coś takiego w dzisiejszych czasach? Tom był prawym człowiekiem. Przysiągł, że będzie wierny, i naprawdę tak postępował. To jedna z cech, które najbardziej w nim podziwiałam.

- Może dobrze się stało. Nie potrafiłby oszukiwać, nawet gdyby zechciał próbować.

- Tak też sobie mówiłam.

- Brakuje go pani - powiedziałam.

- Od kiedy usłyszałam o jego śmierci, nie ma dnia, żebym nie płakała. Nie dane mi było nawet z nim się pożegnać.

- To musi być przykre.

- Straszne. Po prostu straszne. Brakuje mi go bardziej niż własnej matki, kiedy umarła. Może więc, gdybym z nim sypiała, musiałabym się zabić czy coś takiego. Może strata i ból byłyby nie do zniesienia.

- Może mniej by go pani szanowała, gdyby uległ.

- Zdecydowałabym się na takie ryzyko, gdybym miała choć cień szansy.

- W każdym razie przykro mi, że pani cierpi.

- Nie bardziej niż mnie. Nigdy nie znajdę drugiego takiego jak on. Co więc można zrobić? Trzeba się trzymać. Jego żona przynajmniej miała ten przywilej, że mogła publicznie go opłakiwać. Ciężko jej było to znieść?

- Szuka pocieszenia i dlatego mnie wynajęła. Colleen odwróciła wzrok, usiłując ukryć swoje zainteresowanie.

- Jaka ona jest?

Zastanawiałam się przez chwilę, starając się być uczciwa.

- Szczodrze szafuje swoim czasem. Okropnie brak jej pewności siebie. Sprawna. Palaczka. Z szopą natapirowa-nych platynowoblond włosów. Ma dość kiepski gust. Uwielbia swojego syna, Branta. To pasierb Toma.

- Lubi ją pani? Jest miła?

- Ludzie twierdzą, że to neurotyczka, ale ja tę kobietę lubię. Niektórzy za nią nie przepadają, tak zresztą bywa z nami wszystkimi. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nas uważa za psie gówno.

- Czy ona go kochała?

- Powiedziałabym, że nawet bardzo. Zapewne było to dobre małżeństwo... może nie idealne, ale całkiem im się układało. Nie podoba się jej myśl, że Tom zmarł i nie doprowadził do końca jakiejś sprawy.

- I znowu do tego wracamy - zauważyła.

- To samo zrobiłabym dla pani, gdyby mnie pani wynajęła i miałabym to wyjaśnić.

Colleen znów na mnie spojrzała.

- Myślała pani, że chodziło o mnie. Że mieliśmy romans.

- Przemknęło mi to przez myśl.

- Gdybym miała z nim romans, czy powiedziała by pani jego żonie prawdę?

- Nie. Czemu to miałoby służyć?

- Racja. - Przez chwilę milczała.

- Czy pani wie, dlaczego Tom był taki przygnębiony? - spytałam.

- Może.

- Dlaczego tak ostrożnie?

- Uspokajanie jego żony to nie moje zadanie - odparła. - A kto uspokaja mnie?

Uniosłam ręce na znak, że się poddaję.

- Ja tylko zadaję pytanie. Pani robi to, co uważa za stosowne.

- Muszę iść - oznajmiła nagle, biorąc swój płaszcz. - Zadzwoń później i podam numer telefonu córki Rittera.

Podniosłam palec.

- Proszę zaczekać. Właśnie sobie przypominałam. Mam coś dla pani, jeśli będzie pani chciała. - Sięgnęłam do zamykanej na suwak zewnętrznej kieszeni torebki i wyciągnęłam jedną z czarno-białych fotografii Toma na bankiecie w kwietniu. - Zrobiłam je na wypadek, gdybym ich potrzebowała. Może chciałaby pani mieć coś, co by go przypominało.

Wzięła zdjęcie bez słowa, tylko lekki uśmiezek igrał na jej ustach, gdy je oglądała.

- Nie znałam go osobiście - powiedziałam - ale myślę, że jest na nim podobny do siebie.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez.

- Dziękuję.

Kiedy nazajutrz rano wróciłam z przebieżki, zastałam wiadomość od Colleen Sellers nagraną na sekretarce automatycznej. Podała mi nazwisko i adres w Perdido niejakiej Dolores Ruggles, jednej z córek Pinkiego Ritte-ra. Był to jedyny trop, jaki miałam, więc jak tylko wzięłam prysznic i się ubrałam, zatankowałam volkswagena i ruszyłam na południe szosą numer 101.

Po lewej stronie rozciągały się pola uprawne, widziałam na nich rzędkę świeżo posadzonych roślin osłoniętych plastikowymi płachtami, lśniącymi i siwymi jak lód. Strome góry, okryte niskimi porostami, zaczynały napierać na szosę. Po prawej stronie smętny Pacyfik tłukł o brzeg. Surferzy w czarnych gumowych kombinezonach czyhali na swoich deskach na fale, przypominając rozproszone stadko morskich ptaków. Deszcz powędrował dalej, niebo jednak nadal było zaciągnięte białymi nieruchomymi chmurami, a powietrze gęste od zmieszanych zapachów słonej wody i niedawnych opadów. W wyższych rejonach Sierry, w pobliżu Nota Lake, będzie padał śnieg.

Zjechałam na Leeward i po dwu zakrętach w lewo przejechałam znowu nad szosą w poszukiwaniu ulicy, przy której mieszka Dolores Ruggles. W tej okolicy było mnóstwo niskich otynkowanych budynków i wąskich, przecinających się uliczek. Jej dom przypominał pudełko i stał na pozbawionym drzew podwórku, bez najmniejszego krzaczka czy kępki trawy, które mogłyby naruszyć monotonię i bezbarwność tego miejsca. Ganek składał się z betonowej płyty z jednym schodkiem, prowadzącym

do drzwi wejściowych, i z małego daszka, który osłaniał przed deszczem, kiedy naciskało się dzwonek, co właśnie zrobiłam. Drzwi były fornirowane i zakończone u dołu długimi ostrymi drzazgami, jakby obgryzł je pies.

Mężczyzna, który mi otworzył, wycierał ręce w fartuch zatknięty za pasek spodni. Miał pewno sześćdziesiątkę z okładem, metr siedemdziesiąt wzrostu, poorly bruźdami twarz, mocno przerzedzone szpakowate włosy w kolorze popiołu drzewnego, piwne oczy i czarno-siwe krzaczaste brwi.

- Nie pali się - powiedział zirytowany.

- Przepraszam. Myślałam, że dzwonek się zepsuł. Nie byłam nawet pewna, czy jest ktoś w domu. Szukam Dolores Ruggles.

- A kim pani jest, do diabła?

Wręczyłam mu wizytówkę i patrzyłam, jak poruszając wargami, odczytuje moje nazwisko.

- Jestem prywatnym detektywem - dodałam.

- Widzę. To jest tu napisane. Teraz, gdy już to ustaliliśmy, czego pani chce od Dolores? W tej chwili jest zajęta i nie życzy sobie, by jej przeszkadzano.

- Potrzebuję pewnych informacji. Może mógłby mi pan pomóc i wtedy oszczędzilibyśmy jej kłopotu. Przyjechałam tu w związku z ojcem Dolores.

- Tę szuję zamordowano.

- Wiem o tym.

- No to o co pani chodzi?

- Próbuję się dowiedzieć, co się stało.

- A co za różnica? Facet umarł na dobre, tyle że zbyt późno jak na mój gust. Straciłem wiele lat na naprawianie szkód, które wyrządził.

- Czy mogłabym wejść do środka? Przyglądał mi się uważnie.

- Proszę - rzekł nieoczekiwanie i obróciwszy się na pięcie, pozwolił mi iść za sobą. Truchtałam za nim, dokonując w duchu błyskawicznego przeglądu pokoju, przez który przechodziliśmy. Nie chciałam, żeby uznano mnie za osobę żywiącą uprzedzenia, ale pokój wyglądał

tak, jakby projektował go mężczyzna. Podłoga z gołych desek, pomalowana na ciemno. Zauważyłam wysłużoną kanapę i zapadnięty fotel, jedno i drugie okryte grubo tkanymi indiańskimi kilimami. Myślałam, że stolik do kawy jest zrobiony na antyk, ale mijając go, zobaczyłam, że patyną był jedynie kurz. Na półkach wzdłuż ścian stały i leżały książki - prosto, ukośnie, bokiem, w stosach, w dwu rzędach na niektórych półkach, w trzech na innych. Spiętrzenie czasopism, gazet, ulotek reklamowych i katalogów sugerowało porażającą obojętność wobec schludności.

- Właśnie zmywam - powiedział, wchodząc do kuchni. - Niech pani chwyta ścierkę i zabiera się do wycierania. Może pani przecież coś robić i przy tym ciągnąć mnie za język. Nawiasem mówiąc, jestem Homer. Mąż Dolores. Dla pani pan Ruggles.

Jego ton się zmienił z nieuprzejmego na opryskliwy, ale nie wrogi. Musiał to być kiedyś przystojny mężczyzna; nie nadzwyczajnej urody, lecz coś znacznie lepszego - mężczyzna z charakterem i urokiem. Skórę miał opaloną na ciemny brąz i pełną plam od słońca, jakby całe życie spędził na uprawie roli, koszulę ziemistobrązową z karczkiem pracowicie wyhaftowanym złotymi i czarnymi nićmi, na nogach kowbojskie buty, które - jak podejrzewałam - miały mu dodać kilka centymetrów wzrostu.

Zanim zdążyłam wejść do kuchni, odkręcił już wodę i zabrał się znów do zmywania talerzy i szklanych naczyń.

- Ścierka jest tutaj - powiedział, wskazując szufladę na lewo od siebie. Wyjęłam czystą ścierkę i sięgnęłam po talerz, wciąż jeszcze gorący po spłukaniu. - Może je pani stawiać na kuchenny stół. Pochowam wszystko, jak skończymy.

Spojrzałam na stół.

- Hm, stół trzeba wytrzeć, panie Ruggles. Ma pan gąbkę?

Homer obrócił się i popatrzył na mnie.

- Lubi pani komenderować, prawda?

- Jasne.

- Proszę sobie darować to „panie Ruggles”, bo brzmi absurdalnie.

- Tak, proszę pana.

Skwitował to półuśmiechem. Wyjął szmatę i rzucił w moją stronę, potrząsnąwszy głową. Wytarłam blat stołu, odkładając na bok kilka przedmiotów: gazetę, pojemniczki na sól i pieprz w formie wilka i Czerwonego Kapturka, buteleczki pigułek z nalepionym nazwiskiem Dolores i różnymi ostrzegawczymi etykietkami. Zażywając te lekarstwa, miała unikać alkoholu, nadmiernego wystawiania się na słońce i prowadzenia ciężkich maszyn. Zastanawiałam się, czy odnosiło się to do samochodów i traktorów, czy może lokomotyw. Wytarłam stół, oddałam szmatę, wzięłam ścierkę i zabrałam się znów do talerza.

- Więc co to za historia? - zapytał z opóźnieniem. -Dlaczego panią interesuje Pinkie Ritter? Taka fajna dziewczyna jak pani powinna się wstydzić.

- Do wczoraj nic o nim nie wiedziałam. Tropiłam jego kumpla, który mógł być... Może byśmy to pominęli? To jest zbyt skomplikowane, żeby całą sprawę wyjaśniać.

- Ma pani na myśli Alfiego Totha.

- Dziękuję, rzeczywiście. Wszyscy chyba o nim słyszeli.

- Tak. Alfie miał ptasi mózdzek. Kobiety uważały go za interesującego, ale ja jakoś tego nie mogłam się dopatrzeć. Jak można uważać kogoś za przystojnego, kiedy się wie, że to tępak? W mojej opinii tępota psuje cały efekt. Myślę, że on się włóczył z moim teściem, bo potrzebował ochrony, a to już świadczy, jaki był z niego głupiec.

- Pan wiedział, że Alfie nie żyje.

- Pewnie. Policja poinformowała nas, jak znaleziono jego ciało. Wpadali tu i zadawali takie same pytania, na jakie i pani chciałaby dostać odpowiedź, to znaczy, co ich łączyło i kto i co komu zrobił? Dam pani taką samą odpowiedź jak im. Nie wiem.

- A jak by pan opisał Pinkiego? Wydaje mi się, że pan go nie lubił.

- To za słabo powiedziane. Ja go naprawdę nienawidziłem. Ten, kto zabił Pinkiego, ocalił mnie przed spę-

dzeniem życia w więzieniu. Pinkie miał sześcioro dzieci, trzech synów i trzy córki, i znęcał się nad każdym od dnia narodzin do chwili, gdy urosli na tyle, by się bronić. Teraz tak dużo jest gadaniny o złym traktowaniu, ale Pinkie naprawdę znęcał się nad dziećmi. Tłukł je, oblewał wrzątkiem, zmuszał do picia octu i palącego ostrego sosu, jeśli ośmieliły się pyskować. Zamykał je w szafie, wyrzucał na mróz. Wykorzystywał, głodził, groził. Bił je pasem, deską, metalową rurką, kijem, szczotką do włosów, pięściami. Pinkie to był najnędrniejszy skurwiel, jakiego spotkałem w życiu, a to już mówi samo za siebie.

- Nikt nie interweniował?

- Próbowano. Wiele osób skarżyło się na niego, nauczyciele, pracownicy poradni, najbliżsi sąsiedzi. Ale trzeba to było udowodnić. Czasami ludziom z Komitetu Opieki nad Dziećmi udawało się je od niego zabrać i powierzyć komuś innemu. Sędzia zawsze jednak nakazywał oddanie ich ojcu. - Potrzęsnał głową. - Pinkie wiedział, jak się gra w te klocki. Utrzymywał czystość w domu, bo dzieci jej pilnowały, lubił gotować, to była jego specjalność. Tym zarabiał na życie, kiedy nie rozbijał dzieciakom głów albo nie łamał prawa. Pracownicy socjalni wpadali do domu, a wtedy wszystko wyglądało cacy. Dzieci doskonale wiedziały, że mają trzymać język za zębami. Dolores pamięta, jak cała szóstka stała rzędem na środku pokoju i odpowiadała grzecznie na pytania. Pin-kiego tam nie było, ale zawsze czaił się gdzieś w pobliżu. Dzieciaki wiedziały, że jak się na niego poskarżą, to nie doczekają zmroku. Stały więc tam i kłamały. Pracownicy socjalni znali sytuację, nie mogli jednak nic mu zrobić bez ich pomocy. Ratowała je tylko jedna rzecz, to mianowicie, że łądował w więzieniu.

- A jego żona? Gdzie była przez ten cały czas?

- Dolores myśli, że on ją zabił, choć nie da się tego udowodnić. Twierdził, że uciekła z jakimś pijaczną i więcej o niej nie słyszał. Dolores mówi, że pamięta, jak obudziła się kiedyś w środku nocy. Pinkie z motorową piłą był w lasku za domem. Latarnia stojąca na ziemi

rzucała długie cienie na drzewa. Wokół światła trzepotały ćmy. Do dzisiaj śnią się jej o tym koszmarne sny. Była najmłodsza w rodzinie, miała wtedy sześć lat. Myślę, że najstarsze dziecko miało piętnaście. Następnego dnia poszła do lasu. Ziemia była tam poruszona, pewnie, żeby ukryć krew. Do dziś pamięta ten zapach, jakby kurczaka nie pierwszej świeżości, który nadaje się do wyrzucenia. Matki już nikt z nich więcej na oczy nie widział, niczego też o niej nie usłyszał.

- Wydaje się, że Pinkie to był typ spod ciemnej gwiazdy.

- Spod najciemniejszej.

- Każdy więc mógł go zabić, łącznie z którymś z jego dzieci. Czy tak mam to rozumieć?

- Do tego da się to sprowadzić - odparł. - Oczywiście, wtedy gdy zginął, dzieci już wymknęły się spod jego kontroli. Rozpierzchły się na cztery strony świata. Dwoje z nich mieszka wciąż w Kalifornii, ale nie widzimy ich często.

Homer skończył zmywanie i zakręcił kurek z wodą. Ja jeszcze wycierałam sztućce, gdy on chował czyste talerze.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Pięć lat temu w marcu. Jak tylko wypuszczono go z Chino, ruszył prosto tutaj. Zjawił się dwudziestego piątego i został przez tydzień.

- Ma pan dobrą pamięć - zauważyłam.

- Gliny pytały mnie o to, więc sprawdziłem. Datę ustaliłem następująco: podjąłem z konta w banku pięćset dolców w dniu, gdy Pinkie wyjechał, odliczyłem więc tydzień i data wbiła mi się w pamięć. Jeszcze o coś chce mnie pani spytać?

- Nie zamierzałam panu przeszkadzać. Proszę mówić dalej.

- Dolores to jedyne z jego dzieci, które nadal mieszka w tej okolicy, wobec czego uważał naturalnie, że powinna go przyjąć do domu i żywić tak długo, jak będzie mu się podobało.

- Ona się zgodziła?

- Oczywiście.

- Pan nie protestował?

- Protestowałem, ale to żaden argument. Ona czuła się winna. To wspaniała dziewczyna, a przez co przeszła, to proszę mi wierzyć, lepiej nawet nie wiedzieć. I w efekcie gotowa była na wszystko się zgodzić, pozwalała sobą manipulować, zwłaszcza jemu. Pragnęła miłości tego człowieka. Nie mogę tego zrozumieć, szczególnie po tym, co wycierpiała. Dla niej wciąż był tatą i nie mogła go nie wpuścić do domu. A on był taki sam jak zawsze, wymagający, krytyczny. Nawet palcem nie kiwnął, oczekiwał, że ona będzie go obsługiwała. W końcu miałem tego powyżej uszu i powiedziałem, żeby się wynosił. Pinkie na to: „Dobra, nie ma sprawy. Nie zostanę tam, gdzie mnie nie chcą. Do cholery z wami”. Był wściekły jak diabli i udawał obrażonego, ja byłbym jednak głupcem, gdybym ustąpił.

- Toth był wtedy z nim?

- Z przerwami. Myślę, że eks-żona Alfiego mieszkała gdzieś w mieście. Wykorzystywał ją, kiedy nie był tutaj i nie wykorzystywał nas.

- I wyjechali razem?

- O ile wiem, to tak. A przynajmniej taki mieli plan.

- Dokąd pojechali?

- Do Los Angeles. Jak się później wszystko to poskładało do kupy, okazało się, że ukradli auto w Los Angeles i pojechali nad Lake Tahoe.

- A co z urzędnikiem sądowym, do którego po zwolnieniu warunkowym Pinkie powinien się zgłaszać? Czyżby nie musiał tego robić?

- Hej, rozmawiamy o kryminaliście. Przestrzeganie reguł nie należało do jego mocnych stron. Kto wie, u licha, jak udało mu się wykręcić. To samo z Tothem.

- Myśli pan, że ktoś mógł ich poszukiwać?

- Nie wiem. Pinkie nie zachowywał się tak, jakby czymś się martwił. Dlaczego? Myśli pani, że ktoś mógł ich śledzić?

- To możliwe - powiedziałam.

- Tak, możliwe też, że Pinkie przekroczył tym razem jakieś granice. Był jednym z tych wojowniczych i zادیior-

nych. Nie dałoby się powiedzieć, by Alfie do nich należał. Wydawał się nieszkodliwy. Pinkie to co innego. Ten, kto go zabił, zasługuje moim zdaniem na medal. Tylko proszę tego nie cytować. Dolores zdenerwowałaby się, gdyby usłyszała, że tak mówię. Ale, ale, widzę, że przez cały czas tylko ja mówię.

- Jestem za to wdzięczna.

- To dobrze. Wdzięczny jestem za wdzięczność z pani strony. Teraz pani kolej. Co też robi prywatny detektyw w samym środku śledztwa w sprawie o morderstwo? Ostatnio słyszałem, że nie mają podejrzanego, a zatem nie może pani pracować dla biura obrońcy z urzędu.

Pomyślałam, że ze względu na okazaną chęć współpracy ma prawo do wyjaśnień. Wprowadziłam go w całą sprawę, poczynając od Selmy Newquist, a na Colleen Sellers kończąc. Pominęłam jedynie szczegóły obu zabójstw. Nie wyglądał na specjalnie ciekawego detali, a ja nie zdradziłabym tych informacji za żadne skarby świata. W trakcie rozmowy usłyszałam niemal na poziomie podświadomości jakieś dziwne głosy dochodzące z drugiego pokoju. W pierwszej chwili pomyślałam, że to radio albo telewizja, lecz zdania się powtarzały, a ton wydał mi się jakiś martwy, mechaniczny. Homer też to usłyszał i spojrzał mi w oczy. Kiwnął głową w stronę przedpokoju, który prowadził, jak się wydaje, do sypialni.

- Jest tam. Chce pani z nią porozmawiać?

- Jeśli pan uważa to za właściwe.

- Ona to wytrzyma. Niech pani sekundę zaczeka, powiem jej, o co chodzi. Może będzie mogła coś dodać.

Poszedł do przedpokoju i zapukał do drzwi, zanim wszedł. Kiedy za nimi zniknął, odczułam chwilowy niepokój. Oto byłam w obcym domu, w towarzystwie mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widziałam na oczy. Wzięłam wszystko za dobrą monetę, instynktownie mu ufając, choć właściwie nie wiem, dlaczego. W gruncie rzeczy miałam jedynie jego słowo na to, że w tamtym pokoju jest Dolores. Przeleciała mi przez głowę jedna z tych fantastycznych wizji: oto Homer wychodzi z sypialni z nożem

rzeźnickim w ręce. Na szczęście życie, nawet prywatnego detektywa, rzadko bywa tak interesujące. Drzwi znów się otworzyły i Homer gestem ręki zaprosił mnie do pokoju.

Na pierwszy rzut oka wydało mi się, że Dolores Ruggles nie może mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat. Później odkryłam, że ma dwadzieścia osiem, ale mimo wszystko wciąż była za młoda, by poślubić kogoś w wieku Homera. Szczupła, drobna, siedziała przy roboczym stole w pokoju pełnym lalek Barbie. Od sufitu do podłogi, od ściany do ściany widać było tutaj wyłącznie te nijakie plastikowe kobietki, wystrojone w zdumiewająco różnorodne ubiory - miniaturowe opalacze, suknie wieczorowe, kostiumy, futra, szorty, peleryny, spodnie do połowy łydki, kostiumy kąpielowe, seksowne piżamki, obcisłe suknie - wszystko z odpowiednimi dodatkami. Był tam cały rząd lalek Barbie w stroju ślubnym, choć nigdy nie przypuszczałam, że wyszła za mąż. W rzędzie poniżej znajdowało się dwadzieścia Barbie w stroju stewardesy i pielęgniarki, co zapewne ukazywało cały diapazon osiągalnych dla niej profesji. Niektóre lalki znajdowały się jeszcze w pudełkach, a inne stały na okrągłych plastikowych podstawkach. Jeden z rzędów tworzyły Barbie Murzynki, Latynoski, blondynki, brunetki - siedziały, wystawiając do przodu niczym tancerki w rewii swoje długie, idealnie zgrabne nogi. Były bose, toteż palce stóp ułożone w szpic stanowiły zakończenie ich nieskazitelnie pięknych ciał. Ręce miały długie i nieprawdopodobnie gładkie, a szyje musiano im chyba wyposażyć w dodatkowy kręgiel, by zdołały unieść ciężar natapirowanych fryzur. Przyznaję, że oniemiałam. Oparty o drzwi Homer obserwował moją reakcję.

Wiedziałam, że powinnam coś powiedzieć.

- Zdumiewające - wykrztusiłam, mam nadzieję, że odpowiednio zachwyconym tonem.

Homer się roześmiał.

- Wiedziałem, że to się pani spodoba. Nie znam kobiety, która oparłaby się pokojowi pełnemu lalek.

- Ach - powiedziałam.

Dolores spojrzała na mnie bojaźliwie. Na kolanach

trzymała lalkę, ale raczej nie Barbie, tylko jakąś inną. Rozcinała jej brzuch, posługując się młoteczką i specjalnym nożykiem. Obok niej znajdowało się pudło ze stojącymi blisko siebie, identycznymi, małymi, bezpłciowymi plastikowymi dziewczynkami, które klatkę piersiową miały podziurawioną otworkami - jak staromodne głośniki radiowe. Stało tam też pudło z głowami małych dziewczynek o skromnie spuszczonej oczkach i lekkim uśmiechu, igrającym w kącikach pięknie wykrojonych usteczek.

- To Mówiące Cathy - wyjaśniła. - Nowe hobby. Naprawiam je, żeby mogły znowu mówić.

- Wspaniale.

- Zostawię was, dziewczęta. Będziecie miały sobie sporo do powiedzenia - wtrącił Homer.

Zamknął mnie z Dolores w pokoju, zadowolony z siebie niczym ojciec, który poznał ze sobą dwie nowe serdeczne przyjaciółki. Oczywiście, nie mógł się domyślać moich nieszczęsnych doświadczeń z namiastką dzieci. Pierwsza z nich, lalka zwana Siusiącą Betsy, gdyby jeszcze istniała, w pewnym momencie swojego życia musiałaby poddać się terapii. W wieku lat sześciu uznałam, że nudzi mnie nieustanne pojenie jej wodą z małych buteleczek i denerwuje, gdy zsiusia mi się na kolana. Jak tylko odkryłam, że chodzi o wodę, przestałam ją Betsy podawać, a potem już używałam lalki jako przechodnia, którego przejeżdżałam trójkołowym rowerkiem. Tak wyglądały moje wyobrażenia o miłości macierzyńskiej, co prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego dziś nie mam dzieci.

- Ile ma pani lalek Barbie? - spytałam, udając entuzjazm wobec tych prototypów kobiecości.

- Trochę więcej niż dwa tysiące. Oto duma mojej kolekcji, pierwsza Barbie, jeszcze w oryginalnym opakowaniu. Pieczęć zerwano, ale lalka jest całkiem jak nowa. Aż się boję przyznać, ile za nią zapłaciłam. - Ani w jej tonie, ani w zachowaniu nie wyczuwało się podniecenia. Prawie na mnie nie patrzyła, kierując na ogół swoje uwagi

do lalki, nad którą pracowała. - Bardzo mi zawsze pomaga Homer.

- Mogłam to zauważyć - rzekłam.

- Jestem trochę purystką, jeśli chodzi o Barbie. Większość kolekcjonerów interesuje się innymi lalkami, wie pani, takimi jak Francie, Tutti i Todd, Jamie, Skipper, Christie, Cara, Casey, Buffy. Ja nigdy. I na pewno nie interesuje mnie Ken. Miała pani w dzieciństwie Barbie?

- Nie mogłabym tego powiedzieć. - Wzięłam jedną lalkę do ręki i zaczęłam ją oglądać. - Wygląda tak, jakby cierpiała na jakieś dolegliwości gastryczne, prawda? Co skłoniło panią do przerwania się na Mówiące Cathy? To chyba całkiem niepodobne do purystki.

- W większości to nie są moje lalki. Reperuję je dla znajomej, która prowadzi klinikę dla lalek. To wcale nie jest coś tak wyszukanego, jakby się wydawało. Mówiące Cathy wprowadzono na rynek w roku sześćdziesiątym, rok po Barbie. Cathy była bardziej realistyczna, miała piegi, wystające zęby, wypukły brzusek, a ponadto umiała mówić. Lata od roku sześćdziesiątego siódmego do siedemdziesiątego trzeciego znane są jako Era Mowy, mimo że była już Barbie. Do mówiących należały lalki typu Twist'n'Turn. Mało ludzi zdaje sobie z tego sprawę.

- Nie miałam o tym pojęcia. A co to jest?

- To ośmiocentymetrowa winylowa taśma z nagraniem kwestii Cathy. Kiedy pociągniemy za sznurek, uruchamiamy sprężynę, a ta sprawia, że gumowy pasek porusza talerz obrotowy. Wczesne wersje tej lalki miały nagranej jednaście kwestii, potem zwiększono ich liczbę do osiemnastu. Ciekawe, że każda z tych lalek wyglądała inaczej. Oczywiście, produkowano je masowo, niemniej różniły się od siebie. W pewnym sensie budzi to niemal przerażenie. No, ale jestem pewna, że nie przyjechała pani z tak daleka, żeby rozmawiać o lalkach. Interesuje panią mój ojciec.

- Homer dostarczył mi o nim informacji, chciałabym

jednak usłyszeć pani wersję. O ile wiem, po zwolnieniu z Chino on i Alfie Toth spędzili jakiś czas u pani.

- Zgadza się. Tacie było przykro, bo żadne inne z jego dzieci nie chciało mieć z nim nic wspólnego. Próbował przenocować u mojego brata Clint, który mieszka w Inglewood, koło lotniska Los Angeles. Clint wciąż ma pretensje do taty. Nie wpuścił go do domu, powiedział tylko, że jeśli chce, to może spać w szopie na narzędzia. Tata naturalnie wpadł we wściekłość, no i wyniósł się stamtąd obrażony, a przedtem jeszcze włamał się do jego domu. Zaczekali, on i Toth, aż Clint wyjdzie, i ukradli mu pieniądze, poniszczyli też wszystkie meble.

- Musiała to być wielka draka. Czy Clint zgłosił to na policję?

Dolores sprawiała wrażenie zaskoczonej i była to pierwsza prawdziwa reakcja, jaką u niej ujrzałam.

- Dlaczego miałyby tak postąpić?

- Słyszałam, że mniej więcej w tym czasie, gdy Toth zginął, poszukiwał go jakiś detektyw w cywilu z nakazem aresztowania. Zastanawiam się, czy nie miało to związku z tamtym wydarzeniem.

Dolores potrząsnęła głową.

- Jestem pewna, że nie. Clint nigdy czegoś takiego by nie zrobił. Mógł nie chcieć mieć taty w swoim domu, ale nigdy by na niego nie doniósł. Dziwna rzecz, kiedy moja siostra Marne mniej więcej rok temu zatelefonowała i dała mi znać, że znaleziono jego zwłoki, zaczęłam się śmiać, i to tak, że aż się posusiałam. Homer musiał wezwać lekarza, bo nie mogłam przestać się śmiać. Doktor dał mi zastrzyk na uspokojenie. Powiedział, że to histeria, a tak naprawdę była to ulga. Nie mieliśmy o tacie żadnych wiadomości od pięciu lat, przypuszczam więc, że się tego spodziewałam.

- Dlaczego pani myśli, że pojechał od Clint, nad Lake Tahoe?

- Tam mieszka moja siostra. Jedna z nich w każdym razie. Nie nad samym Lake Tahoe, ale w tamtej okolicy.

- Naprawdę? Byłam ciekawa, co go skłoniło, żeby tam pojechać.
- Nie sądzę, żeby mąż Marne, widząc go, był bardziej uszczęśliwiony niż Homer.
- Jak długo był u niej?
- Tydzień albo coś koło tego. Mame mówiła mi potem, że on i Alfie wybrali się na ryby i, o ile wiem, już nikt więcej taty nie widział.
- Myśli pani, że mogłabym z nią porozmawiać? Jestem pewna, że policja ten teren badała, ale dla mnie rozmowa z pani siostrą mogłaby być pomocna.
- Och, na pewno. Nietrudno ją znaleźć. Pracuje tam jako urzędniczka w Biurze Szeryfa.
- Tam, czyli gdzie?
- W Nota Lake. Ma na imię Margaret, ale wszyscy w rodzinie nazywają ją Mame.

Kiedy przyjechałam do domu, Henry był w ogródku i klęczał przy kwietniku. Przechodząc przez trawnik, przystanąłam, żeby przyjrzeć się, jak pracuje. Zdawał sobie sprawę z mojej obecności, ale wolał się nie odzywać. Miał na sobie białą koszulkę i farmerskie spodnie z poduszeczkami na kolanach, a jego gołe stopy, długie i kościste, z wysokim podbiciem, aż raziły bielą na tle wyblakłej trawy. Powietrze było przyjemne i słodkie. Mimo że południowe słońce świeciło nam prosto nad głową, temperatura wydawała się umiarkowana. Obok garażu dostrzegłam kępy wychodzących już z ziemi krokusów i hiacyntów. Usiadłam na drewnianym ogrodowym krześle, a Henry tymczasem przekopywał ziemię łopatką. Grunt był miękki i wilgotny, a robaki pierzchały przed intruzem, gdy im przeszkodziły jego działania. Krzewy róż przypominały suche patyki najeżone kolcami, ale pojedynczy listek w pączku wskazywał nadejście wiosny. Trawniki, drzemiący przez większość zimy, zaczynały się budzić zachęceni niedawnymi deszczami. Widziałam zieloną mgiełkę, tam gdzie świeże źdźbła zaczynały się przebijać przez zbrązowiałą trawę.

- Ludzie mają tendencję do kojarzenia jesieni ze śmiercią, a mnie zawsze wydaje się jej bliższa wiosna - odezwał się Henry.

- A to dlaczego?

- Nie ma to jakiegoś głębokiego filozoficznego uzasadnienia. Tak się złożyło w moim życiu, że wiele kochanych przeze mnie osób zmarło właśnie o tej porze roku. Może

pragnęły wyrzucić przez okno i zobaczyć jeszcze nowe listki na drzewach. To czas nadziei i może to wystarcza, kiedy człowiek jest na wylocie, bo pozwala odejść ze świadomością, że na świecie wszystko toczy się dalej po staremu.

- Muszę jechać z powrotem do Nota Lake - oznajmiłam.

- Kiedy?

- W przyszłym tygodniu. Wolałabym tu zostać na tyle długo, żeby wykurować sobie rękę.

- Po co tam w ogóle jedziesz?

- Muszę z kimś porozmawiać.

- Nie możesz tego zrobić przez telefon?

- Ludziom zbyt łatwo jest kłamać w czasie rozmowy przez telefon. Chcę widzieć twarz - odparłam. Zamilkłam i słuchałam, jak łopatka obraca z młażnięciem ziemię. Podciągnęłam nogi i objęłam rękami kolana. - Pamiętasz, jak kiedyś rozmawialiśmy o przeczuciach?

Zobaczyłam, że Henry się uśmiecha.

- Masz złe przeczucia?

- Najgorsze. - Uniosłam prawą rękę i próbowałam zgiąć palce, nadal tak opuchnięte i sztywne, że ledwie mogłam zacisnąć pięść.

- Nie jedź. Nie masz nic do udowodnienia.

- Oczywiście, że mam, Henry. Jestem dziewczyną. My zawsze mamy coś do udowodnienia.

- Co na przykład?

- Ze się nie poddajemy. Że jesteśmy tak samo dobre jak mężczyźni, co zresztą, muszę to z dumą oświadczyć, wcale nie jest takie trudne.

- Jeśli to prawda, po co masz ją udowodniać?

- Przecież to jasne jak słońce. My w to wierzymy, co jednak jeszcze nie znaczy, że oni też.

- Kogo obchodzą mężczyźni? Nie bądź taka męska.

- Nic na to nie poradzę. Zresztą nie chodzi o dumę. Chodzi o zdrowie psychiczne. Nie mogę sobie pozwolić, żeby jakiś facet tak mnie zastraszał. Wierz mi, gdzieś w Nota Lake on pęka ze śmiechu na myśl, że popędził mi kota i wykurzył z miasta.

- Kodeks Zachodu. Dziewczyna robi to, co ma robić dziewczyna.
 - Cała ta sprawa wygląda źle. Nie pamiętam, żebym kiedyś czuła się tak przestraszona. Ten skurczybyk zrobił mi krzywdę. Nie mam ochoty dać mu szansy na to, by skrzywdził mnie jeszcze raz.
 - Przynajmniej niedawno dostałaś zastrzyk przeciwțęczowy.
 - No tak. I dotąd boli mnie pośladek. Mam tam twardą gulę wielkości jajka.
 - Więc czym się martwisz?
 - Martwię się tym, że wyłamano mi palce, zanim rozpoznałam skurwiela. Co on robi teraz, gdy jestem już bliższa celu? Myślisz, że się podda, nie próbując pociągnąć mnie za sobą?
 - Dzwoni telefon - oznajmił Henry.
 - Boże, jak ty możesz go słyszeć? Masz osiemdziesiąt sześć lat.
 - Trzy dzwonki.
- Zerwałam się z krzesła i w jednej chwili byłam w połowie trawnika. Drzwi do siebie zostawiłam otwarte, tak że słuchawkę złapałam w locie - w momencie, gdy włączyła się automatyczna sekretarka. Nacisnęłam guzik „Stop”, przerywając nagrywanie wiadomości.
- Halo, halo, halo.
 - Kinsey, to ty? Myślałam, że to twoja automatyczna sekretarka.
 - Cześć, Selmo. Miałaś szczęście. Byłam na dworze, w ogródku.
 - Przepraszam, że muszę ci zawrócić głowę.
 - Nie szkodzi. O co chodzi?
 - Ktoś przeszukiwał gabinet Toma. Wiem, to brzmi dziwnie, ale jestem pewna, że ktoś tu wszedł i grzebał w papierach na jego biurku. Nie ma żadnych szkód, ale coś się zmieniło. Nie widzę, żeby czegoś brakowało, i nie wiem, jak miałabym udowodnić, nawet gdyby tak było.
 - Jak ten ktoś się tam dostał? Sekundę się zawahała.

- Nie było mnie zaledwie godzinę, może trochę więcej. Na tak krótki okres nigdy nie zamykam drzwi na klucz.

- Skąd masz pewność, że ktoś tam był?

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Siedziałam w gabinecie Toma, zanim wyszłam z domu. Czułam się przygnębiona i samo siedzenie na jego krześle przynosiło mi ulgę. Wiesz, jak to jest, gdy człowiek rozmyśla o różnych rzeczach. Zdajesz sobie sprawę ze swojego otoczenia, bo wędrujesz wzrokiem tu i tam, choć myślą jesteś gdzie indziej. Przypuszczam, że zaczęłam sobie uświadamiać, ile roboty odwaliałam. Wróciwszy do domu, zostawiłam torebkę na kuchennym stole i wyszłam jeszcze do samochodu. Wzięłam kilka pudeł, żeby skończyć pakowanie książek Toma. Jak tylko weszłam do jego gabinetu, zauważyłam, że coś się zmieniło.

- Nie było żadnych gości?

- Och, daj spokój. Wiesz, jak ludzie mnie traktują. Równie dobrze mogłabym wywiesić szyld: „Miejscowy wamp. Błądzący mężowie, tu się zgłaszajcie!”

- A co Brant? Skąd wiesz, że on nie szukał czegoś na biurku Toma?

- Pytałam go. On był u Sherry i wrócił parę minut temu. Kazałam mu sprawdzić najbliższe otoczenie, ale nie znalazł żadnych śladów włamania.

- Kto zawracałby sobie głowę włamywaniem się do domu, w którym żadne drzwi nie są zamknięte na klucz? - spytałam. - A Brant potrafi określić, czy coś zginęło?

- Wie tyle co i ja. Jeśli w ogóle coś zginęło, to z pewnością nic rzucającego się w oczy. Ten osobnik pewno pracował bardzo ostrożnie. Tylko przypadek zrządził, że byłam tam dzisiaj rano, bo inaczej niczego bym nie zauważyła. Myślisz, że powinnam zawiadomić Biuro Szeryfa?

- Tak, lepiej to zrób - powiedziałam. - Później, jeśli okaże się, że coś skradziono, będziesz mogła to wykorzystać.

- To samo mówi Brant. - Nastąpiła mała pauza, po czym Selma zmieniła temat, przybierając ton lekko uražo-

nej. - Muszę przyznać, że się denerwowałam, bo się nie odzywasz. Oczekiwałam od ciebie wiadomości.

- Przepraszam, ale nie miałam wcześniej możliwości. Za chwilę chciałam do ciebie zadzwonić. - Zdałam sobie sprawę, że to brzmi tak, jakbym się broniła przed krytyką z jej strony.

- Skoro już cię mam przy telefonie, to może mi powiesz, co się dzieje. Zakładam, że nadal dla mnie pracujesz, choć nie kontaktujesz się ze mną.

- Oczywiście. - Zapanowałam nad chęcią najeżenia się i opowiedziałam jej, co zdrażałam w ciągu półtora dnia, pomijając osobiste aspekty kontaktów Toma z Colleen Sellers. Mówienie półprawdy jest znacznie trudniejsze niż bezczelne kłamstwo. Ja tu usiłuję ją chronić, a ona mnie karci za zaniedbywanie obowiązków. Mówi o niewdzięczności. Kusiło mnie, żeby jej wygarnąć, ale zdusiłam w sobie tę pokusę. Zachowałam zawodowy spokojny ton, choć w duchu się gotowałam: Kit ci w oko! - Tom przyjeżdżał tu w czerwcu w związku ze śledztwem. Pamiętasz? Nie wrócił pewno na noc.

- Tak - odparła po namyśle. - Zabrało mu to dwa dni. Jakie to ma znaczenie?

- Doszło tu do zabójstwa, które według Toma miało związek z ludzkimi szczątkami znalezionymi wiosną w okręgu Nota.

- Znam tę sprawę, o której mówisz. Tom wiele o niej nie opowiadał, ale ja wiem, że się nią martwił. A co jest z tą sprawą?

- Jeśli mówimy o śledztwie dotyczącym zabójstwa, śledztwie, które się nadal toczy, to ja nie mam takich uprawnień. Jestem prywatnym detektywem, co oznacza prowadzenie poszukiwań na własną rękę. Nie mogę wtykać nosa w sprawy policji, nawet gdybyś mnie o to prosiła.

- Nie rozumiem, dlaczego. Z pewnością nie ma zakazu zadawania pytań.

-Zadawałam pytania i właśnie ci mówię, co stwierdziłam. Tom martwił się sprawą, która z tobą nie miała nic wspólnego.

- Dlaczego nie powiedział mi o niej, jeśli to prawda?
- Sama przecież twierdziłaś, że był skryty, zwłaszcza jeśli chodziło o jego pracę.
- No tak, ale jeśli to sprawa ściśle zawodowa, to dlaczego ktoś zadaje sobie trud, żeby przeszukiwać jego dom?
- Może Wydział potrzebował jego notatek albo papierów, albo jakiegoś numeru telefonu, albo brakującego raportu. To może być wszystko - odparłam, syjąc możliwościami, jakie tylko przyszły mi do głowy.
- Dlaczego nie zadzwonili i nie zapytali?
- Skąd mogę wiedzieć? Może im się bardzo śpieszyło, a ciebie nie było w domu - odparłam zirytowana. Brzmiało to nieprzekonująco, ale Selma zepchnęła mnie do narożnika, a ja tego po prostu nie znoszę.
- Kinsey, płacę ci, żebyś to rozgryzła. Gdybym wiedziała, że mi nie pomożesz, mogłam poświęcić te półtora tysiąca dolarów na sprawienie sobie koronek na zęby.
- Robię, co mogę! Czego ty ode mnie chcesz?
- Nie powinnaś mieć takiego stosunku. Przed tygodniem byłaś chętna do współpracy, a teraz słyszę tylko usprawiedliwienia. Musiałam ugryźć się w język. Musiałam zmusić się do wyraźnego cedzenia sylab, żeby na nią nie wrzasnąć. Zaczepnęłam powietrza.
- Został mi jeszcze jeden trop. Jak tylko dotrę na miejsce, z wielką radością zacznę go sprawdzać. Jeśli jednak sprawą zajmuje się Biuro Szeryfa, nie będę mieć do niej dostępu. Zapadła cisza zawierająca w sobie jakby wykrzyknik.
- Dlaczego po prostu mi nie powiesz, że nie chcesz kończyć tej roboty?
- Ja tego nie mówię.
- To kiedy wrócisz?
- Jeszcze nie wiem. W przyszłym tygodniu. Może we wtorek.
- W przyszłym tygodniu? A dlaczego nie dzisiaj?

Jeśli teraz wsiądziesz w samochód, to możesz tu dojechać w ciągu sześciu godzin.

- Po co aż taki pośpiech? Przecież to kwestia tygodni.

- A choćby dlatego, że nadal jesteś mi winna pięćset dolarów i musisz je odpracować. Myślę, że z powodu tych pieniędzy zechcesz znaleźć się tutaj, i to najszybciej jak się da.

- Selmo, nie zamierzam tu siedzieć i dyskutować na ten temat. Zrobię, co będę mogła.

- Świetnie. Kiedy mam się ciebie spodziewać?

- Nie mam pojęcia.

- Na pewno możesz z grubsza określić czas przyjazdu. Ja mam różne zobowiązania. Jutro nie będzie mnie w domu cały dzień. Jadę na dziesiątą na nabożeństwo, potem spędzę jakiś czas z kuzynką w Big Pine. Nie mogę tu siedzieć i czekać, aż się zjawisz, kiedy ci się zachce. Ponadto będę musiała to i owo załatwić w związku z twoim przyjazdem.

- Zadzwoń, jak już się tam znajdę, ale nie zamierzam zatrzymać się w Nota Lake Cabins. Nie znoszę tego pustkowia i nie dam się tam wpakować. To miejsce zbyt odludne i niebezpieczne.

- Dobra - zgodziła się szybko. - Możesz zatrzymać się u mnie.

- Nie śmiałybym się narzucać. Znajdę sobie inny motel, co dla żadnej z nas nie będzie kłopotliwe.

- To żaden kłopot. Potrzeba mi towarzystwa. Brant uważa, że już najwyższy czas, by wrócił do siebie. Właśnie pakuje manatki. Pokój gościnny jest zawsze przygotowany. Nalegam. Kolacja będzie czekać i nie chcę słyszeć żadnych protestów z twojej strony.

- Dobra, porozmawiamy o tym, jak przyjadę - powiedziałam, starając się ukryć irytację. Gwałtownie skorygowałam swoją opinię o tej kobiecie, gotowa zgodzić się z licznymi jej krytykami. Nie znałam dotąd Selmy od tej strony i złość we mnie kipiała. Rzecz jasna, zdawałam sobie sprawę, że w duchu już zaczynam zmieniać harmonogram i nastawiać się na jak najszybsze wyruszenie w dro-

gę. Skoro się na wyjazd zgodziłam, to teraz chciałabym już to mieć za sobą. Skróciłam więc pożegnanie, usiłując czym prędzej skończyć rozmowę.

Położyłam słuchawkę, po czym znów ją podniosłam i zatelefonowałam do Colleen Sellers. Słyszałam, że telefon u niej dzwoni i dzwoni, a we mnie rosło zniecierpliwienie.

- No, no, bądźże tam...

- Halo?

- Colleen, tu Kinsey.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

Nie sprawiała wrażenia podekscytowanej tym, że mnie słyszy, ale na wszelki wypadek obrałam okreśną drogę.

- Spędziłam pół godziny z Dolores, córką Pinkiego Rittera, i jej mężem. Okazuje się, że Pinkie ma drugą córkę w Nota Lake i dlatego właśnie on i Alfie najpierw tam pojechali.

- No i?

- To osoba, którą poznałam, ma na imię Margaret i pracuje jako urzędniczka w Biurze Szeryfa. Będę musiała tam pojechać i znowu z nią pogadać, ale nie mogę wyruszyć w drogę, dopóki nie wiem, o co chodzi.

- Dlaczego dzwonisz do mnie? Ja nie mogę pomóc.

- Owszem, możesz...

- Kinsey, nie wiem absolutnie nic na ten temat i niepokoi mnie, szczerze mówiąc, że forsujesz tę sprawę.

- No cóż, szczerze mówiąc, przypuszczam, że będę musiała po prostu narazić cię na ten niepokój. O co ci chodzi, Colleen?

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że dla mnie może to być bolesne? To znaczy, współczuję jak diabli Selmie, ale nie ona jedna cierpi po śmierci Toma. Ja też byłam w nim zakochana i nie podoba mi się, że nieustannie rozdrapujesz moją ranę.

- Och, rzeczywiście. Ciekawe, że tak mówisz, bo przecież chcesz wiedzieć, o co moim zdaniem chodzi. Myślę, że nigdy nie kontrolowałaś tego związku ani nie odgrywałaś w nim decydującej roli, i to cię wkurza. Postępując

zgodnie ze swoimi górnolotnie brzmiącymi zasadami, Tom może i stał na gruncie wysoce moralnych nakazów, ale w istocie zostawił cię z niczym, jest to więc twoja zemsta.

- Nieprawda.

- Pudło. Zgaduj jeszcze raz - powiedziałam.

- Zemsta za co? Nigdy nic mi nie zrobił.

- Z Toma było niezłe ziółko. Chętnie sobie poflirto-wał, ale szybko wyznaczył granicę, której nie mogłaś przekroczyć. Mógł sobie pozwolić na wykorzystywanie twoich względów, bo nic go to nie kosztowało. Przyjmował hołdy, nie narażając się na żadne ryzyko. Co oznaczało, że on musiał czuć się cnotliwy, podczas gdy tobie przypadała rola dziecka z nosem przyklepionym do szyby. Mogłaś widzieć to, czego pragnęłaś, ale nie wolno ci było tego dotknąć. I teraz myślisz, że była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałaś, co jest doprawdy bzdurą, bo nie miałaś nic. Cała ta gadanina o cierpieniu to próba uświęcenia wielkiego emocjonalnego zera. - Wiedziałam, że dokuczam jej tylko dlatego, że Selma dokuczyła mnie, niemniej jednak sprawiło mi to przyjemność. Później będę mieć wyrzuty sumienia, że postąpiłam jak wstrętne babsko, ale teraz była to jedyna metoda, by osiągnąć to, czego chciałam.

Milczała przez chwilę. Słyszałam, że zaciągnęła się papierosem, po czym wypuściła dym i powietrze.

- Może.

- Może. Akurat. To prawda - oznajmiłam. - Wszyscy uważali go za szlachetnego, a ja myślę, że był skrajnym egoistą. Jak mógł być człowiekiem honoru, skoro nie miał odwagi powiedzieć o tym swojej żonie?

- O czym?

- Że miał ochotę ją zdradzić, bo go pociągałaś. Ostatecznie nie poszedł za swoim uczuciem, trudno się jednak dziwić, że ona czuje się niepewnie. A ty co z tego miałaś? Wciąż jesteś z nim związana i może nigdy nie uda ci się z tych pęt uwolnić.

- Słuchaj, naprawdę nie wiesz, o czym mówisz, zo-

stawmy więc tę domorosłą psychologię. Powiedz mi, czego chcesz, i skończmy już z tym wszystkim.

- Musisz powiedzieć mi prawdę.

- Dlaczego?

- Bo od tego może zależeć moje życie - warknęłam. - No, Colleen. Jesteś przecież profesjonalistką. Nic sobie nie wmawiaj. Siedzisz tam i cedzisz informacje, kurczowo trzymając się okruchów, bo nic innego nie masz. To cholerne gówno. Myślisz, że gdyby Tom był na twoim miejscu, odmawiałby informacji w takiej sytuacji jak ta?

Znowu się zaciągnęła.

- Pewno nie - odparła z wahaniem.

- No to przystąpmy do rzeczy. Jeśli wiesz, o co chodzi, to na miłość boską, wywal kawę na ławę.

Zdawała się wahać.

- Tom stanął wobec kryzysu moralnego. Ja się do tego przyczyniłam, ale nie chodziło jedynie o mnie.

- Co masz na myśli, mówiąc o przyczynieniu się?

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Myślę, że wobec mnie mógł postąpić w sposób właściwy i to go podnosiło na duchu. Ta sytuacja miała jakiś sens, a ten inny problem, przed którym stanął, był bardziej skomplikowany.

- Podejrzewasz to czy wiesz na pewno?

- Nigdy mi tego otwarcie nie powiedział, ale robił na ten temat aluzje. Wspominał coś w tym sensie, że nie wie, jak pogodzić mózgownicę z wyczuciem na nos.

- W związku z czym?

- Poczował się do odpowiedzialności za to, że zamordowano Totha.

- Poczował się do odpowiedzialności? W jakim sensie?

- Za naruszenie poufności.

- Czego? Nie rozumiem.

- Ujawnił miejsce pobytu Totha. Dałam mu adres i numer telefonu Gramercy. Tom uważał, że ktoś wykorzystał tę informację, wyszedł i zabił Totha. Do szaleń-

stwa doprowadzała go myśl, że być może ten człowiek zginął na skutek jego nieostrożności.

Stwierdziłam, że wpatruję się tępo w aparat, usiłując zrozumieć coś z tego, co mówiła.

- Przecież Selma twierdzi, że Tom zawsze był małomówny. To jedna z rzeczy, które miała mu za złe. Nigdy

o niczym nie mówił, zwłaszcza o swojej pracy.

- Wcale nie chodzi o mówienie. Tom uważał, że ktoś nie uprawniony zajrzał do jego notatek.

- Ale jego notes zginął.

- Wtedy jeszcze nie.

- Kogo podejrzewał? Wymienił jakieś nazwisko?

- Podejrzewał kogoś, kto z nim pracował. Nawiasem mówiąc, to tylko mój domysł, bo wprost nic takiego mi nie powiedział. A czy mógł się martwić czymś innym poza zdradą kogoś z Wydziału?

Poczułam, że wewnątrznie zaczynam drętwieć. Przez myśl przemknęli mi funkcjonariusze poznani w Nota Lake: Rafer LaMott; brat Toma, Macon; Hatch Brine; James Tennyson; mąż Earlene, Wayne. Nawet zastępca szeryfa Carey Badger, któremu składałam relację z nocnej napaści. Lista wydawała się bardzo długa i wszystkie te osoby związane były z Biurem Szeryfa w Nota Lake albo z kalifornijską drogówką. W głębi duszy igrałam z możliwością, do której nie ośmieliłabym się przyznać. A mianowicie z podejrzeniem, że człowiek, który mnie zaatakował, przeszedł przeszkolenie w Akademii Policyjnej. Broniałam się przed tym pomysłem, ale jednocześnie czułam, że zaczyna on zapuszczać korzenie w mojej fantazji. Napastnik powalił mnie z taką sprawnością, jakiej swego czasu uczono również mnie. Czy obecnie pracował w jakichś siłach policyjnych, tego nie byłam pewna, ale już sama taka możliwość mnie zmroziła.

- Czyżbyś twierdziła, że któryś z kolegów Toma jest zamieszany w podwójne zabójstwo?

- Myślę, że miał takie podejrzenie, i to go gryzło.

i znów, on tego nie powiedział. To mój domysł.

Tym razem chwilę milczałam.

- Powinam była na to wpaść. Ależ jestem głupia. Cholera!

- Co teraz zrobisz?

- Żebyś mnie zabiła, to nie wiem! Co ty byś sugerowała?

- Może pogadać z kimś z Wydziału Spraw Wewnętrznych?

- I co powiedzieć? Chętnie oczywiście przekażę im wszystko, co mam, tylko że w tej chwili są to same spekulacje, nic więcej, prawda?

- No tak. Przypuszczam, że to jeden z powodów, dla których sama też tam nie pójde. Nie mam nic konkretnego. Może jak pogadasz z córką Pinkiego, sytuacja się wyjaśni.

- I zaalarmuje tego faceta, że zmierzam jego śladami i jestem już blisko - zauważyłam.

- Ale nie możesz zajmować się tym na własną rękę.

- A do kogo mam zadzwonić? Do Biura Szeryfa w Nota Lake?

- Nie jestem pewna, czybym to zrobiła - przyznała i tym razem się roześmiała.

- No cóż, jak coś wymyślę, dam ci znać - powiedziałam. - Masz jeszcze jakieś uwagi albo rady, jak już jesteśmy przy tym temacie?

Zastanawiała się chwilę.

- Jedna rzecz... choć może już o tym pomyślałaś. Było rzeczą ogólnie znaną, że Tom pracował nad tą sprawą. A kiedy nagle umarł, ten facet musiał sobie pewnie pomyśleć, że nic mu już nie grozi.

- Tymczasem pojawiłam się ja. Co za pech! Oczywiście facet nie ma pewności, ile informacji Tom przekazał swoim zwierzchnikom.

- Słusznie. Jeśli nie ma ich w jego raportach, to i tak mogą gdzieś krążyć, zwłaszcza że zginął jego notatnik. Lepiej liczyć na to, że dotrzesz do tych informacji, zanim zrobi to ktoś inny.

- Może ten facet już je ma.

- To dlaczego boi się ciebie? Ty jesteś niebezpieczna, tylko jeśli masz te notatki - zauważyła.

Przypomniała mi się wiadomość od Selmy o przeszukaniu gabinetu Toma.

- Masz rację.

- Postępowałabym ostrożnie.

- Zaufaj mi - zapewniłam. - Jeszcze jedno pytanie, jak już mam cię przy telefonie. Czy byłaś kiedykolwiek w Nota Lake?

- Chyba żartujesz. Tom był zbyt nerwowy, żeby tam się ze mną spotykać.

Skłopotana, odłożyłam słuchawkę. Poziom adrenaliny groźnie się we mnie podnosił, jak nie przymierzając, w misce klozetowej woda, która za chwilę zacznie się przelewać. Strach jak coś wilgotnego i ciężkiego przenikał do moich kości. Mam słabość do ludzi władczych, zwłaszcza policjantów w mundurach, słabość, która zapewne wywodzi się z pierwszego z nimi kontaktu, gdy jako pięcioletnie dziecko uwięziona byłam we wraku samochodu rodziców. Do dziś pamiętam swoje przerażenie i ulgę wywołaną tym, że ratują mnie ci wielcy mężczyźni z bronią i pałkami. Na dodatek z obrazem tym łączyło się również poczucie zagrożenia i ból. Mając pięć lat, nie potrafiłam ich od siebie oddzielić. Dezorientacja i krzywda, jakiej doznałam, związały się nieodwołalnie z widokiem mężczyzn w mundurach. W dzieciństwie uczono mnie, że policjanci to moi przyjaciele, że do nich mam się zwracać, jeśli się zgubię albo będę się czegoś bać. A jednocześnie wiedziałam, że policjanci mogą wsadzić do więzienia, co napawało lękiem, gdy bywało się czasami takim „niegrzecznym dzieckiem” jak ja. Patrząc wstecz, widzę, że zgłosiłam się do Akademii Policyjnej częściowo dlatego, by dołączyć do tych właśnie ludzi, których się obawiałam. To, że chciałam stać po stronie prawa, oznaczało niewątpliwie próbę uporania się z tym dawnym lękiem. Większość znanych mi policjantów to byli ludzie przyzwoici, dbający o innych, toteż myśl, że jeden z nich mógł zła-

mać prawo, stawała się jeszcze bardziej alarmująca. Nie mogłam myśleć, gdy wszystko przerażało mnie prawie tak samo jak pomysł wystąpienia przeciw temu facetowi. Ale co mam robić? Jeśli rzucę tę pracę, to co potem? Czy za następnym razem, jak mnie postraszą, też rzucę robotę?

Poszłam na górę i posłusznie zaczęłam pakować rzeczy do podróznego worka.

Ocean był biały od mgły, horyzont znikał w mleku sto metrów od brzegu. Słońce wysyłało spoza chmur ostre, niemal oślepiające światło. Kolory wydawały się przytłumione oparem, czuło się też jego chłód w powietrzu. Przed wyjazdem rzuciłam okiem na prognozę pogody w telewizji, przewidywano duże opady na tym obszarze Kalifornii, do którego się wybierałam. Po pierwszych pięćdziesięciu kilometrach już wyczuwało się zmianę.

Jechałam szosą numer 126, przez Santa Paula i Fillmore, do szosy numer 5, potem skręciłam na szosę numer 14. Przejeżdżałam przez krainę kanionów - łysawe brązowe pagóry z kępami wiecznie zielonych krzewów, pomarszczone i włochate jak słonie. Linie energoelektryczne kroczyły po fałdach ziemi, a szosa snuła się sześcioma pasmami betonu przez rowy i szczeliny. Wszędzie było widać osiedla willowe, grzbiety górskie obsypano kropkami domków, tak że naturalne formacje skalne wydawały się tu dziwnie nie na miejscu. Wiele wskazywało na to, że nadal prowadzi się tu budowy -koparki, betoniarki, prowizoryczne parki maszynowe ogrodzone drutem, gdzie na dłuższy okres odstawiano ciężkie maszyny. Szeroki pas między pasmami szosy sporadycznie zajmowały przenośne toalety Porta-Potty. Cała kraina miała kolor suchej ziemi i wyschłej trawy. Drzew było niewiele i chyba nie rościły sobie pretensji do obecności tutaj.

Zanim minęłam bazę lotniczą Edwards, kierując się prosto na północ, niebo zrobiło się szare. Chmury pię-

trzyły się coraz wyżej i przesłaniały zanikające słońce. Mżawka, która zaczęła padać, przypominała raczej delikatną parę unoszącą się w powietrzu. W oddali mgliście majaczyły ustawione w ordynku domostwa, płaskie i nieduże, przypominające bazę na Księżycu. Blżej drogi stał jakiś pojedynczy gospodarski budynek, pozostałość Bóg wie sprzed ilu lat. Pustynia, choć bezlitosna, toleruje jednak budowle wzniesione przez człowieka, które - pochylone, z powybijanymi szybami, z zapadającymi się dachami - trwają jeszcze długo po wymarciu lub wyprowadzeniu się ich mieszkańców. Widziałam przed sobą całą chłostaną deszczem równinę aż po żółtobrazowe góry. Na słupach telegraficznych, biegnących aż po horyzont, można by pogładowo uczyć zasad perspektywy. W miarę jak deszcz się nasilał, ciemniały poszarpane granitowe skały, wyłaniające się spoza szpiczastych gór. Droga stopniowo zbliżała się do podnóża masywu. Dalej góry wyglądały imponująco. Nic nie zakłócało ich monotennie bladego lica - żadne drzewa, żadna trawa, żadne ślady ludzkiej obecności. W wyższych partiach, tam gdzie nisko wiszące chmury zapewniały wystarczająco dużo wilgoci, by umożliwić rozwój flory, mogłam dojrzeć roślinność.

Włożyłam do worka podróznego swój półautomatyczny pistolet. Znawcy broni, wśród nich Dietz, na ogół skłonni są do podkpiwania z davisą, ale ja byłam z nim obyta i wydawał mi się bez porównania bliższy aniżeli nowe nabytki, jak heckler czy koch. Wątpę, czy przy obecnym stanie swoich palców zdołałabym w razie potrzeby pociągnąć za spust, mimo to broń poprawiała mi samopoczucie przy żywionych teraz lękach.

Z wolna pozbywałam się irytacji, w którą wprowadziła mnie początkowo Selma. Podobnie jak ze wszystkim innym, gdy jakiś proces zostanie uruchomiony, nie ma sensu bronić się przed losem. Żałowałam, że nie miałam czasu skontaktować się z Lelandem Peckiem, recepcjonistą z Hotelu Gramercy. Uwierzyłam na słowo jego współpracownikowi, że Peck nie ma nic do powiedzenia. Każdy

dobry detektyw wie swoje. Powinnam była zadać sobie trud, znaleźć go i wypytać o tego detektywa w cywilu, który przyszedł z nakazem aresztowania Totha.

Tymczasem spokojnie, bo nieświadoma byłam przyszłych wydarzeń, rozmyślałam o nocy, która mnie czekała. Naprawdę nie cierpię być gościem w czyimś domu. Łóżko rzadko mi odpowiada. Kołdry zazwyczaj są krótkie, poduszka płaska albo zrobiona z twardej sztucznej gąbki, która pachnie jak piłka do koszykówki z na pół wypuszczonym powietrzem. Woda w ubikacji nie daje się porządnie spuścić, a kurek bez niespodzianek otworzyć, ewentualnie skończy się papier toaletowy, musisz więc przeszukiwać wszystkie szafki, żeby znaleźć tak chytrze zawsze ukrytą zapasową rolkę. A co najgorsze, trzeba „być miłym” o każdej porze. Nie chcę, żeby ktoś siedział naprzeciwko mnie przy stole, gdy jem śniadanie. Nie chcę dzielić się z kimś gazetą i nie chcę z nikim rozmawiać pod koniec dnia. Gdybym była zainteresowana takim szajsem, do tej pory już bym znowu wyszła za mąż i ostatecznie położyła kres całemu spokojowi i ciszy.

Kiedy za kwadrans siódma znalazłam się w Nota Lake, noc spowiła krajobraz, a pogoda była naprawdę paskudna. Mżawka zamieniła się w zacinający deszcz ze śniegiem. Wycieraczki ciężko pracowały, zgarniając łukiem stopniały śnieg, który niemal zasypywał mi przednią szybę. Podejrzewam, że ludzie w Nota Lake, podobnie jak inni mieszkający w zimnym klimacie, mają własną strategię radzenia sobie ze zmienną naturą śniegu. Z mojego ograniczonego doświadczenia wynikało, że zamarzający deszcz jest niezwykle niebezpieczny, ponieważ z drogi robi się ślizgawka. Chwilami czułam, że auto ślizga się z jednej strony na drugą, zwalniałam więc i jechałam niemal z prędkością ślimaka. Na skraju drogi sterczała zeschnięta trawa, zatrzymując nawiewane przez wiatr puszyste płatki śniegu. Selma zmusiła mnie, żebym zjadła z nią kolację. Łatwo ulegam wpływom, jeśli chodzi o jedzenie, bo przez ostatnie lata przywykłam do kulinarnej władczości Rosie.

Gdy kobieta autorytatywnie mną komenderuje, robię to, co mi każe, i zupełnie nie umiem się bronić.

Zaparkowałam auto przed domem Selmy, wzięłam swój worek podróżny i pobiegłam na ganek, schylając głowę i kuląc ramiona, jakbym chciała uniknąć dmącego wiatru i zacinającego śniegu. Zapukałam grzecznie i przestępując z nogi na nogę, czekałam, aż mi otworzy drzwi. Wymieniłyśmy zwykłe frazesy powitalne, gdy weszłam do holu i wycierałam obuwie na szmacianym chodniczku. Zrzuciłam skórzaną kurtkę i zdjęłam buty, pamiętając o nowym dywanie. Dom był przegrzany i pełen dymu z papierosów, który utrzymywał się w pokojach o oknach hermetycznie uszczelnionych na zimę. Trzęsłam się, toteż ulżyło mi, że nie muszę dłużej przebywać na zimnie. Podreptałam za Selmą, która zaprowadziła mnie do pokoju gościnnego.

- Masz tyle czasu, ile chcesz, żeby się oporządzić i rozgościć. Zrobiłam ci trochę miejsca w szafie i opróżniłam szufladę na twoje rzeczy. Pójdę teraz do kuchni skończyć przygotowanie kolacji. Orientujesz się tu, ale nie wahaj się i wołaj, jeśli czegoś będziesz potrzebować.

- Dzięki.

Jak tylko drzwi się za mną zamknęły, rozejrzałam się ze zgrozą po pokoju. Był tu jaskraworóżowy kosmaty bawełniany chodnik, łożo z baldachimem i różowo-białą kapą, pikowaną w kratkę. Z tej samej tkaniny zrobiono pokrowce i poszewki na trzy poduszki ułożone w stertę. Na siedzisku koło okna umieszczono kolekcję sześciu miśków. Tapetę w różowe i białe paski wieńczyła kwiatowa lamperia. Przed staromodną toaletką stał puf z biało-różową falbaną. Wszystko obszyto szeroką białą lamówką w ząbki. W łazience dla gości również trzymano się tego samego stylu; był tam nawet wymyślny pokrowiec na zapasową rolkę papieru toaletowego. Pokój pachniał tak, jakby przez jakiś czas pozostawał zamknięty, i wydawał się cieplejszy niż reszta domu. Czulałam, że zaczynam oddychać w przyspieszonym tempie, tak brakowało mi świeżego powietrza.

Podkrađłam się do okna niczym złodziej próbujący ucieczki. Udało mi się dobrać do ramy, ale natrafiłam na

solidną podwójną szybę zimowego okna. Tak długo manipulowałam jednak zasuwkami, aż udało mi się wszystkie poodsuwać. Pchnęłam zimowe okno, które wyleciało z futryn i spadło w krzaki na dole. Oj! Wysunęłam głowę przez otwór, wystawiając ją na wiatr i śnieg. Okno wylądowało poza zasięgiem moich rąk, zostawiłam więc je, tam gdzie leżało - na jałowcach. Opuściłam znów ramę i poprawiłam falbaniaste zasłony, żeby nie było widać braku zimowego okna. Przynajmniej będę mogła spać w odpowiednio wychłodzonym pokoju.

Selma namawiała mnie, żebym się odświeżyła, skorzystałam zatem z jej rady, nie spiesząc się z powrotem do kuchni. Zrobiłam siusiu, umyłam ręce, wyczyściłam zęby, zadowolona, że mogę poświęcić czas na takie domowe ablucje. Stałam w łazience i oglądałam się w lustrze, rozmyślając, czy kiedykolwiek zdecyduję się na bolesny zabieg regulacji brwi. Chyba nie. Na szczęście miałam nadal siniaka i przez chwilę podziwiałam jego nieustannie zmieniający się kolor. Potem stanęłam na środku pokoju i dokonałam szybkiego przeglądu. Wyciągnęłam z worka pistolet i schowałam go między materac a sprężyny u wezglowia łóżka. Nikogo nie wyprowadzi to w pole, ale pozwoli mi mieć broń pod ręką. Nie sądziłam, żeby w tym mieście mądrze było nosić przy sobie spluwę, zwłaszcza bez odpowiedniego pozwolenia. W końcu nie pozostało mi nic innego, tylko wziąć głęboki wdech i udać się na kolację.

Selma wydawała się poskromiona. Zdziwiło mnie jej zachowanie, bo przecież postawiła na swoim. Przyjechałam do Nota Lake, zatrzymałam się u niej w domu, a to była ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę.

- Przygotowałam same proste potrawy. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza - powiedziała.

- Ani trochę - zapewniłam.

Jeszcze chwilę zajęło jej dogaszenie papierosa i wydmuchnięcie na stronę ostatniej smużki dymu. W opinii palaczy należy to do dobrego tonu. Wysunęłyśmy krzesła i usiadłyśmy przy kuchennym stole.

W porównaniu z tym, co jadam normalnie, każde jedzenie przyrządzone w domu wydaje mi się nadzwyczajną ucztą. A przynajmniej tak sądziłam, zanim stanęłam wobec tego, co podała Selma. Menu było następujące: mrożona herbata z rozpuszczonym już słodzikiem, zielona galaretka z mieszanymi owocami i prążkiem bitej śmietany, lodowa sałata przyprawiona sosem z butelki w kolorze zachodzącego słońca. Jako główne danie - puree ziemniaczane z proszku z margaryną i solidny kawał klopsa, pływający w rozrzedzonej zupie nazwanej kremem grzybowym. Podczas jedzenia natrafiłam widelcem na grudki nie rozrobionego, suchego proszku ziemniaczanego. Klops bardzo przypominał coś, co dawano w Okręgowym Więzieniu w Perdido, gdzie pewien rodzaj kary, budzący szczególny postrach, określano mianem „bycia na klopsie”. Oznacza to, że więzień otrzymuje trzy razy dziennie klops i dwa płatki białego gumiastego chleba, a do picia wodę z kranu. Piętnastocentymetrowy klops, zrobiony z indyka, fasoli i innych bogatych w proteiny składników, podaje się z czymś, co formalnie nosi nazwę sosu. Po trzech dniach - zgodnie z regulaminem - więzień przez jeden dzień ma dostawać trzy porządne posiłki, po czym znowu jest „na klopsie”. W porównaniu z kolacją w wersji Selmy zwyczajny ćwierćfuniak z serem wydawał mi się wprost wspaniałą ucztą. Zwłaszcza że Selma nie karmiła w taki sposób Branta, o czym dobrze wiedziałam.

W czasie kolacji Selma była małomówna, a i ja nie miałam wiele do dodania. Czułam się jak jedno z pary małżonków, których widuje się w restauracji - nie patrzą na siebie, nic nie mówią. Jak tylko skończyłyśmy jeść, Selma zapaliła kolejnego papierosa, nie ominęło mnie więc ani przez chwilę wdychanie dziegciu i szkodliwych gazów unoszących się ponad stołem.

- Chcesz kawy czy deser? Mam w zamrażarce doskonałe ciasto kokosowe ze śmietaną. Odmrożenie nie zabierze nawet minuty. Mogę je wstawić do mikrofalówki.

- O rety, jestem najedzona po uszy. To była wspaniała kolacja.

- Zimno ci? Zauważyłam, że drzysz. Mogę nastawić ogrzewanie na wyższą temperaturę, jeśli chcesz.

- Nie, nie. Naprawdę. Jest mi wprost gorąco. To była doskonała kolacja.

Strząsnęła popiół z papierosa na brzeg swojego talerza.

- Nie spytałam, jak twoje palce. Uniosłam prawą dłoń.

- Są jeszcze trochę sztywne, ale już lepsze.

- No to świetnie. Teraz, jak już tu jesteś, powiedz, jaki masz plan.

- Właśnie się nad nim zastanawiam - odparłam. - Nie jestem pewna, jak to rozumieć, i nie chcę, żeby to szło dalej, ale jak myślę, trafiłam na trop tego, czym dręczył się Tom.

- No proszę.

- Po naszej rozmowie telefonicznej dziś rano dzwoniłam jeszcze do kogoś. Nie wchodząc w szczegóły... - zrobiłam pauzę - nie jestem nawet pewna, jak ci to powiedzieć. Bo to chyba dość nieprzyjemne.

- Na miłość boską, po prostu to powiedz.

- Wygląda na to, że Tom, prowadząc dochodzenie w sprawie podwójnego zabójstwa, podejrzewał swojego kolegę, też policjanta.

Przyswajając sobie tę informację, Selma patrzyła na mnie i mrużyła oczy. Zaciągnęła się papierosem, po czym wydmuchnęła kłęb dymu.

- W to nie uwierzę.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale zastanów się przez chwilę. Tom próbował ustalić związek między tymi dwiema ofiarami, prawda?

- Tak.

- Najwyraźniej był przekonany, że jeden z jego kolegów przepisał z notatnika adres Totha. Wkrótce Totha zamordowano. On był stale w rozjazdach, ale wtedy właśnie wypuszczono go z więzienia; na jakiś czas zatrzymał się w pewnym nędznym hoteliku. Po raz pierwszy komuś udało się go namierzyć. W Nota Lake nikt oprócz Toma nie wiedział, gdzie się zakwaterował Alfie Toth.

- Skąd ta pewność? Mógł przecież komuś o tym wspomnieć. Albo może ktoś jeszcze pojawił się z tą informacją.

- Tu masz rację. Problem w czym innym. Toma doprowadzała do szału myśl, że to on przyczynił się do śmierci Totha. Co gorsza, podejrzewał, że ktoś z Wydziału maczał w tym palce.

- Ale tak naprawdę tego nie wiesz - oponowała. - To tylko twój domysł.

- Jak będziemy wiedzieć, jeśli ktoś się nie przyzna? A to wydaje się nieprawdopodobne. Mam na myśli to, że na razie ten „ktoś” tego unika.

- Kto ci to powiedział?

- O to się nie martw. Ktoś z Biura Szeryfa. Wiarygodne źródło.

- Wiarygodne, bzdura! Stawiasz poważne oskarżenie.

- Myślisz, że nie wiem? Oczywiście, że tak. Posłuchaj, mnie się to również wcale nie podoba, tak jak i tobie. Dlatego właśnie przyjechałam, żeby to sprawdzić.

- A jak się nie uda?

- Szczerze mówiąc, brak mi dalszych pomysłów. Jest jedna możliwość. Córka Pinkiego Rittera, Margaret...

Selma zmarszczyła brwi.

- Słusznie. Zapomniałam o tej koligacji. Ale związek ten wydaje się osobliwy, bo co z tego, że ona pracowała z Tomem?

- Nota Lake jest małym miastem. Ona musi gdzieś pracować, dlaczego więc nie w Biurze Szeryfa? Wygląda zresztą na to, że wszyscy inni też tam pracują - zauważyłam.

- Dlaczego nic nie mówiła, gdy byłaś tu poprzednio?

- Aż do wczoraj nie wiedziałam o Ritterze.

- Myślę, że lepiej porozmawiaj z Raferem.

- A ja myślę, że najlepiej będzie na razie trzymać go z dala od tego. - Zauważyłam dziwny wyraz, który przemknął przez jej twarz. - Co?

Zawahała się.

- Natknęłam się na niego po południu i powiedziałam mu, że przyjedziesz dziś wieczorem.

Obróciłam oczy w słupek z rozpacz i zapragnęłam walnąć głową o blat stołu, żeby tę swoją rozpacz zaakcentować.

- Żałuję, że nie trzymałaś języka za zębami. Już i tak jest wystarczająco ciężko. Tu wszyscy orientują się w sprawach swoich bliźnich.

Machnęła ręką, broniąc się przed moją pretensją, jakby odganiała natrętnego końskiego gza latającego w powietrzu pełnym dymu.

- Nie bądź głupia. To najlepszy przyjaciel Toma. Co zrobisz?

- Porozmawiam jeszcze dziś wieczorem z Margaret i zobaczę, co ona wie - odparłam. - Potem zostanie mi już tylko powrót do Santa Teresa i skomunikowanie się z tamtejszym Biurem Szeryfa.

- I co im powiesz? Niewiele masz.

- Nie mam właściwie nic. O ile coś nie wyskoczy, znajdę się w ślepych zaułku.

- Rozumiem. Przypuszczam, że to koniec. - Selma zgasiła papierosa i wstała bez słowa. Zaczęła sprzątać naczynia po kolacji, krążąc między stołem a zlewem.

- Pomogę ci - zaproponowałam, zrywając się z krzesła.

- Nie kłopot się. - Ton głosu był lodowaty, a zachowanie świadczyło o dystansowaniu się ode mnie.

Zaczęłam zbierać talerze i sztućce i zanosić je do zlewu, przy którym Selma zeskrobywała już resztki galaretki z talerza do pojemnika na odpadki. Polała talerz wodą, otworzyła drzwiczki zmywarki i umieściła go na niższej półce. Milczenie było nieprzyjemne, a w szczękę talerzy wyczuwało się nerwowość.

- Masz coś na myśli? - spytałam.

- Mam nadzieję, że wynajmując cię, nie popełniłam błędu.

Zmierzyłam ją ostrym spojrzeniem.

- Nie dawałam ci nigdy gwarancji. Żaden odpowiedzialny prywatny detektyw nie może składać tego rodzaju obietnicy. Czasami informacji po prostu nie ma - powiedziałam.

- Nie o to mi chodzi.

- No to co masz na myśli?

- Nigdy nie poprosiłam cię o referencje.

- Trochę na to za późno. Jeśli chcesz porozmawiać z któryś z moich dawnych pracodawców, przygotuję ci ich listę.

Znowu milczała. Nie potrafiłam zrozumieć zmiany w jej zachowaniu. Może myślała, że ja się poddam.

- Nie mówię, że się wycofam - dodałam.

- Rozumiem. Mówisz, że to cię przerasta.

- Chcesz występować przeciw glinom? Ja mam więcej oleju w głowie.

Trzasnęła tak mocno talerzem o stół, że rozpadł się na dwie równe części.

- Mój mąż umarł.

- Wiem o tym. Przykro mi.

- Wcale nie. Nikogo nie obchodzi, co ja przeżyłam.

- Selmo, wynajęłaś mnie, żebym się tym zajęła, i ja się zajmuję. Tak, to mnie przerasta. Podobnie jak i Toma, jeśli o to chodzi. Zobacz, co się z nim stało. To złamało mu serce.

Stała przy zlewie, gorąca woda lała się z kranu, a jej drgały ramiona i łzy płynęły po policzkach. Przystanąłam i przez chwilę zastanawiałam się, co mam robić. Było dla mnie jasne, że Selma nie przestanie płakać, jeśli nie okażę jej swojego współczucia. Poklepałam ją niezgrabnie po ramieniu i coś zamruczałam. Wyobraziłam sobie, że Tom za życia robił mniej więcej to samo, pewnie nawet w tym samym miejscu. Woda z gulgotem spływała do ścieku, a łzy po twarzy Selmy. W końcu nie mogłam już tego znieść. Wyciągnęłam rękę i zakręciłam kurek. Jak się przeżyło tyle susz, nie można patrzeć na takie marnowanie wody. Początkowo rozpacz Selmy wydawała się szczerą, ale teraz podejrzewałam, że wystawia swoje uczucie na pokaz. W końcu się uspokoiła, obficie smarkając i wydmuchując nos. Kiedy skończyłyśmy ze zmywaniem naczyń, wycofała się do swojego pokoju, skąd po chwili wychynęła w nocnej koszulce i szlafroku, żeby wypić przed położeniem się do łóżka szklankę gorącego mleka.

Wymknęłam się z tego domu najszybciej, jak mogłam, nie naruszając dobrych obyczajów. Nic tak nie utwardza twego serca, jak przebywanie z kimś, kto sam uznał się za inwalidę.

Margaret i Hatch mieszkali w pobliżu centrum miasta, przy Second Street. Zadzwoiłam od Selmy, zanim wyszłam z domu. Nawet porządnie się nie przedstawiłam, a Margaret już mi przerwała.

- Dolores mówiła, że byłaś u niej. O co chodzi?

W świetle śmierci jej ojca odpowiedź wydawała się oczywista.

- Próbuję stwierdzić, co się przydarzyło twojemu ojcu - odparłam. - Zastanawiam się, czy mogłabym dziś wieczór z tobą porozmawiać. Czy ta pora ci odpowiada?

Chyba nie była przygotowana na moją prośbę, bo zgodziła się z wahaniem. Nie mogłam zrozumieć jej stosunku, ale przypisałam go swojej wyobraźni. Ostatecznie ten temat musiał być dla niej denerwujący, zwłaszcza jeśli się pamiętało dawne, fatalne zachowanie Rittera. Dwukrotnie przesłaniała dłonią słuchawkę i z kimś konferowała. Podejrzewam, że był to Hatch, chociaż ona w ogóle o nim nie wspomniała.

Jazda do ich domu przebiegła bez przygód mimo zdradliwych dróg i nieustannego śniegu z deszczem. Śnieg jeszcze się nie nagromadził, ale bruk lśnił i opony miały skłonność do piszczenia, gdy tylko wjechałam na śliski kawałek. Musiałam z wielką ostrożnością posługiwać się hamulcem, naciskałam go lekko i z przerwami już w połowie odległości między przecznicami, jak tylko zobaczyłam, że zmieniają się światła na skrzyżowaniu przede mną. Odnotowałam, zachowując się trochę paranoicznie, że dom Brine'ów znajduje się niedaleko parkingu tawerny U Tiny, gdzie mnie napastowano. Kiedy Wayne i Earlene podwieźli ich do domu, Hatch z łatwością mógł tam wrócić. Złapałam się na tym, że lustruję wzrokiem ulicę, szukając ciemnej furgonetki, ale oczywiście niczego nie znalazłam.

Wjechałam w uliczkę parterowych domków z cegły, sądząc po otoczeniu zbudowanych jakieś piętnaście lat temu. Drzewa miały już solidne pnie, o średnicy mniej więcej dwudziestu centymetrów, a krzewy dawno sięgnęły nad parapety. Zwolniłam, widząc poszukiwany numer domu. Na podjeździe lub obok stały dwa auta osobowe i pikap. Znalazłam miejsce do zaparkowania samochodu o dwa domy dalej i, siedząc w aucie, zastanawiałam się, czy u Brine'ów nie odbywa się jakieś przyjęcie. Obróciłam się na siedzeniu i oglądałam ich dom. Od frontu światło było przyćmione, jaśniejsze po bokach i z tyłu, w tej części, którą mogłam stąd zobaczyć. To sobotni wieczór. Margaret nie wspominała

o wieczorku prezentacji jakichś wyrobów ani o spotkaniu poświęconym czytaniu Biblii, nie zaproponowała też, bym przyjechała kiedy indziej. Może zebrało się u nich grono przyjaciół, żeby oglądać lokalną telewizję. Rozważałam sprawę. Nie odpowiadała mi perspektywa znalezienia się na towarzyskim spotkaniu, zwłaszcza że mogłam porozmawiać z nią jutro. Z drugiej strony, powiedziała, że mogę przyjść, ponadto spotkanie się z nią dzisiaj oddalało powrót do domu Selmy. Miałam klucz

i mogłam wejść frontowymi drzwiami o dowolnej godzinie w nocy. Im dłużej siedziałam w samochodzie, tym wyraźniej robiło się w nim chłodniej. Dzielnica należała do spokojnych, ruch samochodowy był słaby, nie widziałam też żadnych przechodniów. Jeśli ktoś wyjrzy zza firanki, pomyśli, że przyjechałam na przeszpiegi.

Wysiadłam z auta i zamknęłam drzwiczki na klucz. Chodniki musiały być cieplejsze niż jezdnia, bo płatki śniegu od razu na nich topniały i powstawały płytkie kałuże zamiast języków lodu. W ogródku rosły jakieś liściaste drzewa i zaskoczył mnie widok małych zielonych pączków na ich gałęziach. Marzec w tym rejonie musi być chyba nie kończąca się serią psikusów przyrody. Zapukałam do drzwi z nadzieją, że nie wkroczę w sam środek jakiegoś obrzydliwego wieczorku promocji luksusowej bielizny. Może właśnie dlatego Margaret mnie zaprosiła, bo

liczyła, że sprawię sobie całą szufladę majtek, by zastąpić nimi swoje liche figi.

Margaret otworzyła mi drzwi ubrana w dżinsy i gruby czerwony sweter w norweski wzór na przodzie: płatki śniegu i renifery. Na nogach miała stare, podbite barankiem zamszowe kozaczki do połowy łydki, chyba za ciepłe na taką noc. Ze swoimi czarnymi włosami i okrągłymi okularkami wyglądała jak nastolatka wynajęta do pilnowania dzieci.

- Cześć. Wchodź.

- Dzięki. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Widziałam samochody na podjeździe.

- To pokerowy wieczorek Hacha. Chłopcy są w gabinecie - odparła, wskazując kciukiem do tyłu. - Przygotowuję coś w kuchni. Możemy tam porozmawiać.

Podobnie jak dom Selmy i ten pachniał, jakby zapieczętowano go na zimę, gumowe uszczelki w zimowych oknach zapewniały konserwację dymu i zapachów przygotowywanych potraw. Wszędzie na podłodze leżała brązowo-pomarańczowa wykładzina, ściany pokoju dziennego pomalowane były na kolor kawy z mlekiem. Stała tam ośmionożna brązowoczekoladowa kanapa, a po obu stronach stolika do kawy dwa czarne płócienne krzeselka.

- Nie miałaś kłopotów z trafieniem tu? - spytała.

- Absolutnie żadnych - odparłam. - Wolisz Margaret czy Mame? Wiem, że Dolores mówi ci Mame.

- Wszystko jedno, nazywaj mnie, jak chcesz.

Poszłam za nią do kuchni na końcu korytarza. Przygotowywała właśnie poczęstunek, półmiski z zimnymi przekąskami stały na długim blacie z laminatu o wzorze przypominającym słoje drewna. Zobaczyłam też miseczki z chipsami, dwa pojemniki z jakąś maczanką ze śmietaną i mieszanką orzechów oraz ziarna z dodatkiem masła i czosnku w proszku. Wiedziałam to, bo wszystkie składniki były nadal widoczne.

- Jeśli pomożesz mi odnieść zakąski do jadalni, to się ich pozbędziemy i będziemy mogli porozmawiać.

- Jasne.

Wzięła dwie miseczki i odepchnąwszy biodrem wahadłowe drzwi, przytrzymała je, gdy przechodziłam z tacą pokrajanych serów i wędlin. Wszystko to oczywiście było tak niezdrowe, że natychmiast nabrałam apetytu, który jednak nie trwał długo, bo przez łuk po lewej stronie ujrzałam w gabinecie Hatcha i jego pięciu kumpli siedzących przy stoliku do kart na składanych metalowych krzesłach. Zobaczyłam tam też mnóstwo butelek piwa i kufle, papierosy, popielniczki, pokerowe żetony, banknoty dolarowe, miseczki z fistaszkami. Wszyscy panowie obejrżeli się jak jeden mąż i na mnie patrzyli. Rozpoznałam Wayne'a, Jamesa Tennysona i Branta; dwóch pozostałych nie widziałam przedtem na oczy. Hatch rzucił jakąś uwagę i James się roześmiał. Brant uniósł rękę w geście powitania. Margaret nie zwracała na nich uwagi, ale z gabinetu emanował wyraźny chłód.

Postawiłam miseczki na stole i wróciłam do kuchni, usiłując zachowywać się tak, jakby ich obecność nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Oto prawda o moim życiu. Prawie wszystkich zagrożeń, z którymi stykałam się jako osoba dorosła, doświadczyłam najpierw w szkole podstawowej. Faceci płątający psie figle wydają mi się groźni od chwili, gdy każdego ranka w drodze do przedszkola musiałam przechodzić koło szóstoklasistów. Już wtedy wiedziałam, że niczego dobrego nie można się spodziewać po takich grupkach, i unikałam ich, jak tylko się dało.

Wzięłam półmisek z kuchennego stołu i zatrzymałam Margaret, gdy zbliżała się do drzwi.

- Może oddam półmisek tobie, ty będziesz wiedziała, gdzie go postawić - powiedziałam, udając chęć pomocy. A naprawdę to nie mogłam znieść myśli, że znów stanę się obiektem zbiorowej obserwacji.

Wzięła ode mnie półmisek bez słowa, przytrzymując sobie drzwi biodrem.

- Może zechcesz otworzyć jeszcze parę piw. Są w lodówce na dolnej półce, tam, w spiżarni.

Znalazłam sześć piw i otwieracz i zabrałam się do otwierania butelek. Kiedy jedzenie stało już na stole, Margaret zamknęła wahadłowe drzwi, a sama odetchnęła z ulgą.

- Na szczęście nie grają częściej niż raz w miesiącu -oznajmiła. - Mówiłam Hatchowi, że powinni się zmieniać, ale on lubi przyjmować ich tutaj. Zazwyczaj Earlene przyjeżdża z Wayne'em i pomaga mi przy poczęstunku. Niestety, jest zaziębiona i poradziłam jej, żeby siedziała w domu. O cholera, przepraszam za to wyrażenie, zapomniałam dać talerze. Zaraz wracam. - Chwyciła gigantyczną pakę cienkich papierowych talerzy i pobiegła do jadalni. - Jeśli masz ochotę coś przegryźć, to sobie weź -dodała. Mnie jednak odbijał się jeszcze klops, pomyślałam więc, że lepiej będzie unikać jedzenia.

Wróciła do kuchni, wyrzuciła celofanowe opakowanie do śmieci, po czym odwróciła się i, oparta o roboczy blat, skrzyżowała ręce na piersiach.

- W czym mogę ci pomóc? - Pytanie sugerowało chęć współpracy, ale jej zachowanie było rzeczowe.

- Zastanawiam się, co mogłabyś mi powiedzieć o ostatniej wizycie swojego ojca. Zakładam, że on i Alfie Toth zjawili się tutaj tej wiosny, żeby się z tobą zobaczyć.

- Zgadza się - potwierdziła. Jakby chcąc odwrócić uwagę od tej sprawy, zabrała się do zakręcania pokrywek na słoikach marynat i odstawiania musztardy i majonezu z powrotem do lodówki. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz tego za brak szacunku, ale mój ojciec był człowiekiem przegranym i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Doprawdy byłam najszcześniejsza, kiedy siedział w więzieniu. Wiecznie tylko sprawiał kłopoty.

- Czy w czasie tych odwiedzin też?

- Oczywiście, głównie polował na kobiety. Jakby każda tutejsza babka była taka napalona.

- Wiem o nim niewiele, nie wyobrażałam go sobie jednak jako babiarza.

- Nie był babiarzem, ale dopiero co został wypuszczo-

ny z więzienia i miał ochotę na te rzeczy. O czwartej musiał się zjawić w tawernie U Tiny, zaraz po otwarciu lokalu, i jak zaczynał pić, napastował każdą babkę, która się nawinęła. Wyobrażał sobie, że żadna mu się nie oprze, i wpadał w złość, stawał się agresywny, gdy jego grubiańskie zaloty nie dawały mu tego, czego pragnął.

- A kogoś szczególnie napastował? Margaret wzruszyła ramionami.

- Kelnerkę z Tęczy i jedną od Tiny. Alice, tę rudą.

- Znam ją - poinformowałam.

- Opowiadał, jaki to jest napalony. Na posuwanie, jak to nazywał. Czulałam się zażenowana. Czy coś takiego słyszy się z ust własnego ojca? Już nie mógł być bardziej nieznośny. Wdawał się w bójkę. Pożyczał pieniądze. Rozbił ciężarówkę. Tutejsi ludzie nie tolerują takiego zachowania. Doprowadzało to też Hacha do szału, więc między mną a nim dochodziło do kłótni. Hatch chciał, żeby obaj się stąd wynieśli, i z pewnością nie mogłam mieć do niego o to pretensji. Ale co człowiek ma zrobić z własnym ojcem? Nie mogłam go przecież poprosić, żeby wyjechał. Był tu krócej niż tydzień.

- No i co w końcu się stało?

- Wysłaliśmy obydwu na ryby. Gotowi byliśmy na wszystko, żeby tylko pozbyć się ich choć na kilka dni. Hatch pożyczył im parę swoich wędek i nigdy ich nie odzyskał. Był wściekły z tego powodu. Nie wiem, co się stało, ale musiało stać się coś złego. Nazajutrz rano zjawił się Alfie i oznajmił, że postanowili wyjechać, dlatego przychodzi po ich rzeczy.

- Gdzie był twój ojciec?

- Alfie powiedział nam, że tata na niego czeka, a więc musi się spieszyć, bo inaczej Pinkie będzie się złościł. Ja uważałam to za całkiem normalne. To znaczy, to było do niego podobne, zawsze posyłał Alfiego po różne rzeczy.

- Czy Tom o tym wszystkim wiedział?

- Powiedziałam mu o tym w marcu, gdy znaleziono szczątki taty. Zaraz po zidentyfikowaniu zwłok Tom mnie

zawiadomił, a ja dałam znać reszcie rodziny. Przedtem, o ile wiem, tacie nic nie było.

- Czy nie wydało ci się dziwne, że od swojego rzekomego wyjazdu nie odezwał się do nikogo z całej rodziny?

- Dlaczego miałyby to być dziwne? Złe wieści rozchodzą się szybko. Zawsze uważaliśmy, że jeśli coś mu się stanie, ktoś nam da znać. Policja albo jakiś szpital. On zawsze miał przy sobie dowód osobisty. Ponadto odzywał się od czasu do czasu Alfie. Przypuszczałam, że się rozstali, przynajmniej on robił takie wrażenie.

- Dlaczego telefonował? Margaret wzruszyła ramionami.

- To dla mnie zagadka. Mówił, że po prostu chce wiedzieć, co u nas słychać.

- Czy kiedyś pytał o twojego tatę?

- Tak, ale chyba mu nie zależało na skontaktowaniu się z nim. Wiesz, jak to bywa. Jak się miewa twój tata?... Jakie masz od niego wieści?... I tego rodzaju gadki.

- Był zatem ciekaw, czy Pinkie kiedykolwiek się jeszcze pokazał?

- Przypuszczam, że tak. W końcu przestał telefonować i straciliśmy z nim kontakt.

- Może zdał sobie sprawę z tego, że Pinkie nigdy już się nie pojawi.

- Tak mówił Tom. On uważał, że tatę pewnie zamordowano tego dnia, gdy wyjechał Alfie. Choć nie można było tego w żaden sposób udowodnić. Znalaziono tylko w jego kieszeni rachunek za benzynę z datą z poprzedniego dnia. W drodze nad jezioro zatankowali bak do pełna. Myślisz, że Alfie coś wiedział?

- Prawie na pewno - powiedziałam.

- Może się pokłócili.

- To jest zawsze możliwe. Sądząc z jego zachowania, albo starał się stworzyć wrażenie, że Pinkie żyje, albo sam naprawdę nie był pewien. Kiedy widziałas go ostatni raz... wtedy gdy wpadł zabrać ich rzeczy... wydawał ci się w porządku?

- W jakim sensie?

- Nie był zdenerwowany albo nie zanadto się spieszył?
- Spieszył się z pewnością, ale jeśli tata na niego czekał, to było zrozumiałe.
- Nie widziałaś jakichś śladów, że brał udział w bójce?
- Niczego nie zauważyłam. Żadnych podrapań czy zabrudzeń.
- Jak zamierzali podróżować? Autobusem, koleją, samolotem? Autostopem?
- Musieli jechać chyba autobusem. Tak przypuszczałam, bo ciężarówkę porzucili na przystanku autobusowym Greyhouna. Hatch odkrył ją na parkingu tego samego dnia.

Kiedy wyszłam od Margaret, było prawie pół do dziesiątej. Otworzyłam drzwiczki swojego volkswagena, wśliznęłam się za kierownicę i włożyłam kluczyk do stacyjki. W moim kierunku jechał jakiś samochód i kiedy się ze mną zrównał i zatrzymał, zobaczyłam, że to Macon w swoim czarno-białym aucie. Nawet przez szybę widziałam, że jest znacznie lepiej ode mnie ubrany na tę zimnicę. Włożyłam brązową skórzaną kurtkę, ale nie miałam rękawiczek, szalika ani czapki. Opuściłam szybę. Silnik w jego aucie pracował na jałowym biegu, słychać było trzaski z radia. Temperatura się obniżyła. Dmuchnęłam na palce, po czym przekreśliłam kluczyk w stacyjce, żeby rozgrzać silnik volkswagena. Nastawiłam ogrzewanie, co w samochodzie tego typu sprowadza się do przesunięcia jednej dźwigni z pozycji WYŁĄCZONE na WŁĄCZONE.

- O co chodzi? - spytałam.

- Mam dziś w nocy służbę, no to pomyślałem, że mógłbym pani towarzyszyć do domu. Rozmawiałem niedawno z Selmą i ona mi opowiedziała, co się dzieje. Cieszę się, że pani wróciła. Bardzo się martwiła, że porzuciła pani statek.

- Proszę mi wierzyć, że miałam taką pokusę. Wolałabym być w domu - przyznałam.

- Pamiętam tę historię z Ritterem. Zwyczajny sukin-kot. Czy Margaret w czymś pomogła?

- Tak jak się dało oczekiwać - odparłam wymijająco. - Pojadę teraz do tawerny U Tiny. Margaret wspomniała, że on przystawiał się do jednej z kelnerek, zobaczę więc,

co ona mi powie. Może okazać się to bez znaczenia, ale mogę też zyskać jakieś dodatkowe informacje. Być może, to porachunki zazdrosnego męża albo ukochanego. Sugerowałby pan coś jeszcze?

- Na razie nie. Chyba nieźle pani sobie radzi - powiedział, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco. - Może gdybym popytał tu i ówdzie, to czegoś bym się dowiedział. Wydaje się, że im mniej osób wie, o co pani chodzi, tym lepiej.

- Mam dokładnie takie samo wrażenie. Lepiej będzie w każdym razie, jeśli już pojedę, bo zamarznę na sople lodu.

Macon spojrzał na zegarek.

- Ile czasu to potrwa?

- Niedługo. Najwyżej z pół godziny. Nie jestem nawet pewna, czy w sobotę Alice pracuje. Tylko przypuszczam, że tak.

- To może bym towarzyszył pani na parking? Potem wrócę za pół godziny i pojedziemy do Selmy. Jeśli tej kelnerki nie będzie, niech pani weźmie sobie coca-colę albo coś innego i na mnie poczeka.

- Będę wdzięczna. Dziękuję.

Podkreśliłam szybko i wrzuciłam bieg. Macon ruszył pierwszy i zaczekał, aż obróć samochód, by jechać za nim. Teraz, gdy tamta paczka siedziała zajęta grą w pokera, czułam się o wiele bezpieczniejsza niż przez cały dzień.

Na parkingu przed tawerną U Tiny pełno było aut, samochodów turystycznych i pikapów z przyczepami kempingowymi. Wcisnęłam volkswagena w niewielką lukę na końcu ostatniego rzędu. Macon zaczekał, póki nie przeszłam przez dwie alejki, pokonując ciemności między autami. Przy tylnym wejściu do tawerny odwróciłam się i pomachałam mu, a on lekko zatrząbił i odjechał. Spojrzałam na zegarek: 10.05, a zatem do 10.30 powinnam mieć wystarczająco dużo czasu.

W sobotni wieczór w tawernie U Tiny panował okropny harmider - grały na zmianę dwie kapele, były tańce,

konkursy, okrzyki, pohukiwania, a ponadto tupot kowbojskich butów na drewnianym parkiecie do tańca. Sześć kelnerek krążyło nieustannie między barem a stolikami, obsługując tłumy klientów. Dojrzałam jaskrawopomarańczową fryzurę Alice na środku sali i zaczęłam torować sobie drogę ku niej, przepychając się przez trzy rzędy widzów otaczających parkiet. Musiałam krzyknąć, żeby mnie usłyszała. Zrozumiała i pokazała palcem w stronę damskiej toalety. Przyglądałam się, jak niosła pełen dzbanek piwa i sześć szklaneczek tequila, potem zebrała kupkę rachunków, złożyła i schowała za bluzkę. Następnie skierowała się w moją stronę, zbierając po drodze zamówienia. Wpadłyśmy obie do pustej damskiej toalety i zatrzasnęłyśmy za sobą drzwi. Cisza, jaka tu panowała, była wprost oszałamiająca, bo hałas z sali zmniejszył się o połowę.

- Przepraszam, że zabieram ci czas - powiedziałam.

- Chyba żartujesz. Jestem zachwycona. To piekło na ziemi. Tak wygląda większość weekendów, a napiwki są gówniane. - Otworzyła drzwi do pierwszej z brzegu kabiny i weszła do środka. Z kieszeni fartuszka wyciągnęła paczkę papierosów. - Popilnuj, dobra? Nie powinnam przerywać pracy, żeby sobie zapalić, ale nie mogę wytrzymać bez dymka. - Wytrząsnęła papierosa z paczki i błyskawicznie zapaliła. Zaciągnęła się z westchnieniem zadowolenia i ulgi. - Boże, ale frajda. Co ty tu robisz? Myślałam, że pojechałaś do domu, gdziekolwiek on się znajduje.

- Wyjechałam, a dziś wróciłam.

- Szybko.

- Wiem teraz o wiele więcej niż przed dwoma dniami.

- To dobrze. Powodzenia. Słyszę, że prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa ojca Margaret Brine. Tak przynajmniej mówią.

- Trochę to bardziej skomplikowane, ale i o to chodzi również. Byłam właśnie u niej, pytałam o jego ostatnią wizytę.

Alice parsknęła.

- Z niego to był numer. Ten napalony zasraniec przy-

walał się do mnie. Opieprzyłam go, jak się patrzy, ale trudno było się go pozbyć.

- Do kogo jeszcze się przywalał? Do kogoś konkretnego? Margaret mówiła, że był napalony jak wszyscy, których wypuszczają...

Alice uniosła rękę.

- Pozwolisz, że ci przerwę na sekundę? Muszę o czymś wspomnieć, zanim posuniesz się dalej.

Wahałam się, zaniepokojona jej tonem.

- Oczywiście.

Alice studiowała koniuszek palącego się papierosa.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale wydaje mi się, że ludzie chyba się ciebie obawiają.

- Dlaczego? Co takiego zrobiłam?

- O to właśnie wszyscy pytają. Poczta pantoflową rozchodzi się wieść, że masz coś wspólnego z narkotykami.

- Nie mam! To po prostu śmieszne. Co za absurd! -powiedziałam.

- A ponadto kiedyś z zimną krwią zabiłaś dwie osoby. -Ja?-
Roześmiałam się, zaskoczona. - Gdzie ty to słyszałaś?

- Nigdy nikogo nie zabiłaś?

Poczułam, że śmiech zamiera mi na ustach.

- No, owszem, ale w samoobronie. Obaj byli zabójcami i polowali na mnie...

Alice mi przerwała.

- Posłuchaj, nie znam szczegółów i tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Chciałabym ci wierzyć, ludzie wokół nie mają jednak do ciebie zaufania. Nie lubimy, żeby ktoś się tu zjawiał i powodował kłopoty. Dbamy o swoich.

- Alice, zapewniam cię, że nigdy do nikogo nie strzelałam, o ile nie zostałam sprowokowana. Taki pomysł jest wstrętny. Przysięgam. Skąd się wziął?

- Kto wie? Dowiedziałam się o tym wcześniej. Podśluchałam rozmowę facetów.

- To było dzisiaj?

- I wczoraj też o tym mówiono. Zaraz po twoim

wyjeździe. Przypuszczam, że ktoś trochę pokopał i przyszedł z tymi faktami.

- Faktami?

- Aha. Jeden z nich schował się w pojemniku na śmieci, a ty go zabiłaś...

- Co za bzdura! To nie on się schował, tylko ja.

- No dobrze, może tak właśnie słyszałam. Czyhałaś w zasadzce, a to jest tchórzostwo, jak ktoś zauważył. Mówią, że ostatni przypadek zdarzył się trzy lata temu. Pisały o tym gazety w Santa Teresa. Ktoś widział ten artykuł.

- W to nie uwierzę. Jaki artykuł?

Alice zaciągnęła się i spojrzała na mnie ze sceptycyzmem.

- Nie byłaś zamieszana w strzelaninę w pewnym biurze prawniczym?

- Ten facet usiłował mnie zabić. Przecież ci już mówiłam. Porozmawiaj z glinami, jeśli mi nie wierzysz.

- Nie bądź taka przewrażliwiona. Mówię to dla twojego dobra. Pewnie zrobiłabym to samo, gdybym znalazła się na twoim miejscu. Ale tu mieszkają prowincjusze i wszyscy trzymają ze sobą. Mówię ci tylko, żebyś lepiej zachowała ostrożność.

- Ktoś próbuje mnie zdyskredytować. O to właśnie chodzi - powiedziałam z oburzeniem.

- Nie ja. Mnie to guzik obchodzi. Możesz rąbnąć każdego, kogo chcesz. Czasami sama chętnie bym to zrobiła, gdybym tylko miała cień szansy - odparła. -Rzecz w tym, że ludzie zaczynają być wkurzeni. Pomyślałam, że muszę cię ostrzec, zanim to się posunie za daleko.

- Doceniam to. Szkoda, że nie możesz mi powiedzieć, skąd się to bierze.

Alice wzruszyła ramionami.

- Tak to bywa w małych miastach.

- Jeśli przypomnisz sobie, skąd się wzięła ta historia, dasz mi znać?

- Pewnie. A tymczasem na twoim miejscu wystrzegalabym się wchodzenia w paradę gliniarzom.

Poczułam ukłucie strachu, zupełnie jakby sople lodu przeszył mi klatkę piersiową.

- Dlaczego to mówisz?

- To przecież oczywiste, Tom był gliniarzem. Oni są wściekli jak diabli.

Alice wrzuciła palącego się papierosa do muszli klozetowej, splukała niedopałek i machała ręką, jakby w ten sposób mogła się pozbyć dymu.

- Chcesz jeszcze czegoś?

Potrząsnęłam głową, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

Czekałam przy bocznym wyjściu, trzymając ręce w kieszeniach, choć zimno, jakie odczuwałam, zrodziło się we mnie. Próbowałam myśleć o czym innym, broniąc się przed narastającą falą niepokoju. Może właśnie z tego powodu Macon zrobił się nagle taki opiekuńczy.

Nocne niebo było zachmurzone, a tuż nad ziemią, gdzie powietrze powinno być krystalicznie czyste, zaczynała podnosić się mgła i przepływała przez ciemny teren parkingu. Z tawerny wyszły dwie pary. Jedna z kobiet była zupełnie zalana i, hałaśliwie chichocząc, zataczała się na oblodzonej nawierzchni. Partner obejmował ją ramieniem, a ona musiała oprzeć się na nim, żeby utrzymać równowagę. W pewnym momencie przystanęła, uniosła rękę niczym policjant regulujący ruch, po czym odwróciła się i zaczęła rzygać. Druga kobieta z okrzykiem protestu odskoczyła do tyłu. Tamta wymiotowała dalej, trzymając się zaparkowanego samochodu, i dopiero po chwili mogła ruszyć w dalszą drogę.

Dotarli we czwórkę do swojego samochodu i wsiedli do niego, choć ta, która chorowała, przez dobrych pięć minut siedziała bokiem z głową wywieszoną za okno, nim wreszcie mogli odjechać. Lustrowałam wzrokiem rzędy pustych aut, przepatrując ciemności. Muzyka z baru za mną została zredukowana do głuchego, rytmicznego dudnienia. Dostrzegłam błysk światła nadjeżdżającego samochodu. Cofnęłam się w mrok, póki się nie upewniłam, że to

Macon w swoim czarno-białym wozie. Podjechał i stanął obok mnie, nie gasząc silnika. Wychyńłam z ciemności, przeszłam przed maską wozu patrolowego i skierowałam się do okna po stronie kierowcy. Macon opuścił szybę, gdy się zbliżałam.

- Jak poszło? - spytał. Słyszałam radio gadające w jego wozie, dyspozytor z kimś jeszcze rozmawiał. Macon je przyciszył.

Położyłam rękę na drzwiczkach.

- Dowiedziałam się od Alice, że krążą tu na mój temat plotki. Podobno jestem kimś w rodzaju zbzikowanej na punkcie narkotyków strażniczki moralności.

Spojrzał w inną stronę. Wiercił się niespokojnie, stukając w kierownicę dłońią w rękawicze.

- Proszę się nie przejmować plotkami. W tym mieście wszyscy plotkują.

- A więc pan też o tym słyszał?

- Nikt nie przywiązuje wagi do takich gadek.

- To nieprawda. Ktoś zadał sobie trud, żeby mnie sprawdzić.

- I czego się dowiedział? To są bzdury. Nie wierzę w ani jedno słowo z tej gadaniny. - Co znaczyło, że i on słyszał te same historyjki, którymi raczono wszystkich innych. - Lepiej odwiozę panią do domu. Dostałem polecenie, żeby coś skontrolować.

Wsiadłam do swojego auta, a on towarzyszył mi aż do podjazdu przed domem Selmy. Czekał z pracującym na luzie silnikiem, kiedy szłam przez frontowy trawnik.

Selma zostawiła światło na ganku, bez trudności więc otworzyłam zamek kluczem. Pomachałam Maconowi od drzwi i wtedy odjechał. Zdjęłam mokre buty i niosłam je w ręce, idąc przez hol do pokoju gościnnego. W domu panowała cisza, nie słychać było nawet grającego telewizora, co mogłoby wskazywać, że Selma nie śpi.

Wśliznęłam się do pokoju gościnnego i zamknęłam za sobą drzwi. Selma zapaliła lampkę na nocnym stoliku, pokój więc tonął w wiśnioworóżowej poświacie. Na stoliku zostawiła mi talerz z domowymi ciasteczkami czekola-

dowymi, osłonięty plastikową folią. Zjadłam dwa, delektując się smakiem masła i wanilii. Potem schrupałam jeszcze dwa z grzeczności, zanim jeszcze zdjęłam z siebie kurtkę. Najwyraźniej Selma nie miała zwyczaju przykręcać ogrzewania na noc, bo w pokoju panował upał. Po-deszłam do okna, rozchyliłam firanki i podsunęłam w górę dolną część okna. Lodowate powietrze wpadło przez otwór po wstawianym na sezon zimowy oknie, które nadal leżało metr niżej, na krzakach.

Patrzyłam na ten kawałek ulicy, który można było stąd zobaczyć. Wolno przejeżdżał jakiś samochód, cofnęłam się więc od okna i zastanawiałam się, czy osoby jadące w nim mogły mnie widzieć. Czułam się podle, bo byłam w Nota Lake. Czułam się podle, bo byłam tu outsiderem i obiektem plotek, fałszywie przedstawiających moją działalność. Czułam się podle, z powodu swoich podejrzeń. Na myśl o mundurze zaczynałam się ślinić jak pies poddany jakiemuś dziwnemu doświadczeniu Pawłowa. Kiedyś policyjna odznaka i pałka stanowiły dla mnie symbol osobistego bezpieczeństwa, a teraz sama myśl o nich przyprawiała mnie o dreszcze, zupełnie jakby aplikowano mi elektryczne szoki. Jeśli miałam rację, uważając, że ów facet związany jest z policją, to on miał urzędową władzę. A ja czym byłam? Jakimś nic nie znaczącym prywatnym detektywem z przesadnym poczuciem sprawiedliwości. Absolutnie nieporównywalni przeciwnicy.

A może należałoby po prostu wskoczyć do samochodu i jeszcze dzisiaj pognać do domu? Pragnęłam być tam, gdzie ludzie mnie lubią. Przez moment ta pokusa była przemożna. Gdybym wyjechała w ciągu godziny, to już koło czwartej nad ranem mogłabym znaleźć się w Santa Teresa. Przed oczami stanęło mi moje przytulne posłanie z niebiesko-białą kołdrą, gwiazdy nad głową widoczne przez kopułę z pleksiglasu. Niebo na pewno będzie tam bezchmurne, a w powietrzu wyczuję zapach pobliskiego oceanu. Wyobraziłam sobie poranek. Henry upiecze cynamonowe bułeczki i śniadanie zjemy razem. Później mogłabym mu pomóc w ogródku, gdzie będzie klęczał przy

grządkach z kwiatami, a białe podeszwy jego stóp będą wyglądać jak gipsowe odlewy. Odeszłam od okna, skutecznie unicestwiając te rojenia.

W ciągu paru minut zrzuciłam z siebie ubranie i włożyłam obszerny podkoszulek, który mi służył za nocną koszulę. Zazwyczaj śpiam nago, ale jak się jest w obcym domu, warto być przygotowanym na wypadek pożaru. Umyłam twarz i z normalną w obecnym stanie trudnością wyczyściłam zęby. Wróciłam do pokoju i krążyłam po nim nerwowo. Na półkach pełno było bibelotów. Nie zauważyłam ani jednego czasopisma, a tym razem zapomniałam zabrać ze sobą jakąś książkę do czytania. Byłam za bardzo podekscytowana, żeby spać.

Wyjęłam z worka podróznego swoje papiery i położyłam się do łóżka, obróciwszy lampkę tak, bym mogła przejrzeć notatki, które napisałam na maszynie. Jediną rzeczą, jaka zwróciła w nich moją uwagę, była informacja Jamesa Tennysona o kobiecie idącej po szosie tej nocy, gdy umarł Tom. Zgodnie z tym, co mówił, szła od strony pikapa Toma i skręciła w las na widok wozu patrolowego. Czy on kłamał? Czy wymyślił sobie tę kobietę, żeby mnie wywieść w pole? Nie wyglądał na człowieka przebiegłego, jednakże dostarczenie mi tej informacji mogło być zręcznym posunięciem, bo sugerowało, że Tom przebywał w towarzystwie jakiejś kobiety, gdy dostał zawału. Zastanawiałam się, cóż to za kobieta mogła tak odejść i zostawić go konającego. Pewnie taka, która nie mogła sobie pozwolić, żeby ją z nim widziano. Wiedząc to, czego się o nim dowiedziałam, nie wierzyłam, żeby miał romans. Jeśli ta kobieta istniała, to dlaczego miano by ukrywać jej obecność? Wiedziałam również, że Tom był w Tęczy o niezwyklej porze.

Ciekawe, że James powiedział mi o tej kobiecie dodatkowo, jakby uzupełniając poprzednie informacje. Zazwyczaj podejrzliwie podchodziłam do uzupełnianych relacji. Opowieści naocznych świadków są notorycznie nieścisle. Za każdym razem zmieniają je i dostosowują do kolejnych słuchaczy; rozbudowują, przyozdabiają, aż w końcu

ostateczna wersja jest przeinaczonym wariantem prawdy. Wiadomo, że pamięć potrafi płatać figle. Obrazy mogą być zakamuflowane przez emocje i pojawić się później, gdy odtwarzamy wydarzenia sfilmowane przez umysł. I na odwrót, czasem ludzie przysięgają, że widzieli coś, czego w ogóle nie było. Ponownie rozważałam kwestię, czy Tom nie pojechał na spotkanie z kimś do Tęczy. Pytałam już

O to Nancy, ale może pora ją przycisnąć.

Odłożyłam notatki i zgasłam światło. Materac był miękki i chyba pochylony na jedną stronę. Adamaszkowa bielizna pościelowa wydawała się śliska i zapewniała słabe szanse na zmniejszenie tendencji do zjeżdżania z łóżka. Pikowana puchata kołdra nabita była pierzem. Leżałam i prażyłam się w ciepłe własnego ciała. Zgodnie ze swoim usposobieniem zasnęłam niemal natychmiast.

Obudził mnie daleki dźwięk dzwoniącego w kuchni telefonu. Oczekiwałam, że włączy się sekretarka automatyczna, ale przy ósmym upartym dzwonku odrzuciłam kołdrę i w podkoszulku i majtkach potupałam przez sień. Ani śladu Selmy, a sekretarka była wyłączona. Podniosłam słuchawkę.

- Mieszkanie Newquistów - powiedziałam.

Ktoś dyszał mi do ucha, po czym przerwał połączenie.

Odłożyłam słuchawkę i stałam tam jeszcze przez chwilę. Często ktoś, telefonując pod niewłaściwy numer, wykręca go po raz drugi, przekonany, że wina jest po twojej stronie, bo nie jesteś tą osobą, do której chce się dodzwonić. Cisza się przedłużała. Włączyłam sekretarkę, potem sprawdziłam kalendarz spotkań Selmy przyczepiony do drzwiczek lodówki. Nic tam na dziś nie zaznaczono, ale była niedziela, a jak pamiętałam, ona wspominała, że po kościele zamierza odwiedzić kuzynkę w Big Pine. Stojak na naczynia ział pustką. Otworzyłam zmywarę. Przekonałam się, że Selma zjadła śniadanie, opłukała talerz

i filiżankę po kawie i zostawiła je w zmywarce, w której poza tym niczego nie było. Wewnętrzne ścianki emanowa-

ły resztką ciepła, stąd wniosek, że Selma rano, jeszcze przed wyjazdem, zmyła całą górę naczyń. Maszynka do kawy była włączona. Szklany pojemnik na cztery filiżanki pachniał tak, jakby parzono ją zbyt długo. Nalałam sobie kawy do kubka, dodając odpowiednio dużo mleka, żeby zagłuszyć smak lekkiej spalenizny.

Pomaszerowałam z powrotem do pokoju gościnnego. Wyczyściłam zęby, wzięłam prysznic i ubrałam się, popijając kawę i gotując się do boju. Nie cieszyła mnie myśl

o spędzeniu następnego dnia w tym mieście, ale nie pozostawało mi nic innego jak skończyć swoją robotę. Posłałam łóżko, jak przystało na porządnego gościa, zjadłam pozostałe trzy ciasteczka, żeby się posilić, odniosłam do kuchni pusty kubek, a następnie, idąc za przykładem Selmy, wstawiłam je do zmywarki. Chwyciłam swoją skórzaną bluzę i torebkę na ramię, zamknęłam dom i poszłam do samochodu. Phyllis wjeżdżała właśnie na podjazd o dwa domy dalej. Pomachałam jej, przekonana, że mnie widzi, ale ona omijała mnie wzrokiem, stałam więc z uśmiechem na ustach, czując się dość głupio. Wsiadłam do samochodu, zmuszając się do skupienia uwagi na najbliższej czynności. Kończyła mi się benzyna, a ponieważ zmierzałam do Tęczy, zatrzymałam się przy wyjeździe z miasta, żeby uzupełnić paliwo.

Wjechałam na stację benzynową, wyłączyłam silnik

i sięgnęłam do torby, szukając portfela i karty kredytowej na benzynę. Popatrzyłam w okna kantoru, gdzie zobaczyłam dwóch pracowników w kombinezonach, gawędzących przy kasie. Obaj obrócili się, spojrzeli na mojego volkswagena, po czym wrócili do pogawędki. Przy dystrybutorach nie było innych samochodów. Czekałam, ale nikt nie nadchodził, by mnie obsłużyć. Przekręciłam kluczyk i nacisnęłam klakson. Czekałam jeszcze dwie minuty. Nic się nie działo. To irytujące. Musiałam gdzieś pojechać, nie miałam też ochoty siedzieć tu przez cały dzień i czekać, aż ktoś naleje mi cholernej benzyny do baku. Otworzyłam drzwiczki, wysiadłam i ponad dachem auta popatrzyłam w otwarte okno. Tamtych dwóch mężczyzn

już nie zobaczyłam. Zirytowana, zatrzasnęłam drzwiczki i ruszyłam w stronę kantorku. Nikogo tam nie było...

- Halo! - zawołałam. Żadnej odpowiedzi.

- Czy mogłabym tu zostać obsłużona? Nikt się nie pojawił.

Wróciłam do auta i czekałam kolejną minutę. Może ci dwaj młodzieńcy w sposób wręcz niezrozumiały porzucili pracę albo zostali pożarci przez pozaziemskie istoty, ukrywające się w męskiej toalecie. Włączyłam starter i głośno zatrałam na znak zniecierpliwienia, ale nic mi to nie dało. Żeby zademonstrować swoje niezadowolenie, odjechałam z piskiem opon. Włączyłam się w strumień samochodów na głównej ulicy i przejechałam sześć kwartałów, zanim ujrzałam następną stację. Ha, ha, ha - pomyślałam. No to byśmy mieli konkurencję. Nie mam karty kredytowej tej firmy, ale mogę zapłacić gotówką. Pełny bak w przypadku volkswagena to nie taki znów wielki wydatek. Wjechałam na drugą stację i zrobiłam mniej więcej to co i na poprzedniej. Zgasiłam silnik, sprawdziłam, czy mam gotówkę w portfelu. Przy sąsiednim dystrybutorze stał jakiś samochód i pracownik stacji właśnie wyjmował wąż z baku. Zerknął na mnie i wtedy zobaczyłam, że wzrok mu się zmienił.

- Jak się wiecie? - zagałam.

Wziął od tamtej klientki kartę kredytową, zniknął w kantorze i po chwili wrócił, niosąc na tacy pokwitowanie. Kobieta złożyła podpis i wzięła swój kwitek. Przez chwilę jeszcze rozmawiali, potem ona odjechała. A pracownik stacji wrócił do kantoru i więcej już go nie zobaczyłam. Co się dzieje? Bacznie skontrolowałam, czy we śnie przypadkiem nie stałam się niewidzialna.

Gapiałam się w okna kantoru, po czym upewniłam się, gdzie w pobliżu są inne stacje. W odległości trzech domów widziałam stację innej firmy. Nawet wtedy, gdy wskaźnik poziomu benzyny pokazywał, że bak jest pusty, mogłam polegać na swoim wiernym volkswagenie - potrafi jeszcze przejechać sporo kilometrów, jak wiedziałam

z doświadczenia. Nie miałam jednak ochoty marnować resztek paliwa na poszukiwanie miejsca, gdzie mogłabym znów napełnić bak. Zapaliłam silnik, wrzuciłam bieg, wyjechałam z tej stacji i skierowałam się do tamtej, odległej o dwieście metrów.

Tym razem zobaczyłam kogoś z obsługi przy dystrybutorze, zajechałam więc prosto tam. Niech się wreszcie okaże, o co chodzi. Nachyliłam się i opuściłam szybę od strony pasażera.

- Stacja jest otwarta? - zapytałam uprzejmie.

W jego mętym wzroku błysnęło na moment zmieszanie. Co mu się stało?

Usiłowałam przywołać uśmiech, który niezbyt tu pasował, ale jedynie na to mogłam się zdobyć.

- Mówicie po angielsku? *Habla Inglés!* - Czy coś takiego. W odpowiedzi posłał mi niespieszny i złośliwy uśmiezek.

- Tak, proszę pani. A teraz jazda stąd. Jeśli chce pani być obsłużona w tym mieście, to nie ma na co liczyć.

- Przepraszam - powiedziałam. Odwróciłam wzrok i z obojętnym wyrazem twarzy odjechałam. Skręciłam w prawo w pierwszą przecznicę. Czułam, że pod kurtką bluzkę na plecach mam przeпоconą.

Kiedy nie było mnie już widać z tamtej stacji, skręciłam w boczną uliczkę i zatrzymałam się, by ocenić swoją sytuację. Najwyraźniej dostali instrukcje, nie wiedziałam tylko, czy opisano im mój samochód, czy mnie. Zdjęłam skórzaną lotniczą bluzę i rzuciłam ją na tylne siedzenie, potem pogrzebałam w różnych ciuchach, które trzymam na wszelki wypadek. Włożyłam czerwoną bluzę, ciemne okulary i czapkę bejsbolówkę. Wysiadłam z auta, otworzyłam bagażnik i wyjęłam z niego dwudziestolitrowy kanister, który zawsze wożę ze sobą. Zamknęłam samochód i skierowałam się do stacji przy głównej ulicy, gdzie jeszcze nie próbowałam kupić benzyny.

Minęłam kantor i poszłam wprost do stanowiska obsługi, gdzie mechanik, klnąc, usiłował odkręcić nieustępliwą mutrę na kole z przebitą oponą. Sprawdziłam tabliczkę przy drzwiach z napisem: MECHANIK DYŻURNY -na plastikowym pasku wsuniętym w szparę widniało nazwisko ED BOONE. Teraz poszłam do kantoru i wsadziłam głowę przez drzwi. Pompierz miał może dziewiętnaście lat, krótko ostrzyżone blond włosy, polakierowane na zielono paznokcie i całą swoją uwagę skupiał na błyszczących stronach pornograficznego pisma.

- Wujek Ed powiedział, że mogę to napełnić. W moim pikapie skończyła się benzyna, stanął mniej więcej o przecznicę stąd. To mój kanister, nawiasem mówiąc - dodałam, podnosząc go i pokazując. Nie chciałam, żeby ten chłopak twierdził potem, że go ukradłam. Skoro miałam już reputację zabójcy z zimną krwią, to kradzież kanistra

całkiem by do tego obrazu pasowała. Wydawało mi się, że dojrzałam cień niepewności na jego twarzy, niemniej przystąpiłam do realizacji swojego zamiaru, zupełnie jakbym była tu właścicielką.

Udałam się do samoobsługowego dystrybutora, sprawdzając z pewnej odległości, czy młodzieniec nie sięga po telefon. Gapił się przez okno z wyrazem obojętności na twarzy, jak napełniam kanister. Należność wynosiła siedem dolarów i czterdzieści pięć centów. Wróciłam do kantoru, wręczyłam mu dziesięciodolarówkę, którą włożył do kieszeni, nawet nie proponując, że wyda mi resztę. Gdy wychodziłam, zajął się znów oglądaniem swojego pisma. Miło wiedzieć, że niezależnie od tego, jak nisko upadniesz, ktoś zawsze zechce na tobie zarobić. Wróciłam do volkswagena i wlałam do baku dwadzieścia litrów benzyny. Kanister włożyłam z powrotem do bagażnika i odjechałam, mając teraz niemal do połowy napełniony bak.

Serce mi waliło, jakbym brała udział w wyścigu, i może tak właśnie było. Z całą pewnością odtąd moje działania będą obserwowane i ograniczane wszędzie, gdzie się da. Nigdy jeszcze nie czułam się tak wyobcowana z otoczenia. Znajdowałam się na nie znanym mi terenie, a przecież moje dobre samopoczucie zależało w sposób mniej lub bardziej subtelny od zwykłych codziennych żarcików. Teraz ludzie mnie unikali i napawało mnie to przerażeniem. Obserwując ruch uliczny, uświadomiłam sobie, że mój jasnoniebieski volkswagen wyróżnia się spośród tych wszystkich pikapów, aut kempingowych, dostawczych, do przewozu koni i wozów terenowych.

Tęcza znajdowała się w odległości dziesięciu kilometrów od miasta. Wysypany żwirem parking okrążyłam z lewej strony i wjechałam tyłem na wolne miejsce na samym końcu, obok dużych pojemników na śmieci. Przez chwilę siedziałam w samochodzie, próbując „scentrować się”, jak mówią Kalif orni j czy cy. Nie mam pojęcia, co to ma oznaczać, ale w obecnej sytuacji powiedzonko wydawało mi się odpowiednie. Skoro zostałam wygnana z ple-

mienia, to zanim podejmę dalsze kroki, muszę być pewna, że mam nad sobą kontrolę. Wzięłam kilka głębokich oddechów, po czym wysiadłam z auta. Ranek był pochmurny, góry rysowały się w oddali niczym spiętrzone burzowe chmury. Tu, na dole, gdzie wielkie połacie ziemi były puste i nie zamieszkane, świszczał wiatr, mroząc wszystko na swojej drodze. Prószył śnieg i wisiał w lodowatym powietrzu jak mączny pył.

Idąc przez parking, miałam wrażenie, że jestem widoczna jak na patelni. Spojrzałam w okna Tęczy i mogłabym przysiąc, że zobaczyłam dwóch klientów, jak się na mnie gapią, a potem odwracają wzrok. Przeniknął mnie chłód na myśl o odwiecznej potędze ostracyzmu, jaką dysponował klan. Wyobraziłam sobie nabożeństwa odprawiane właśnie w kościołach. Katolicy, baptyści, luteranie - wszyscy śpiewają hymny i wznoszą modły do Boga, z uwagą słuchają wygłaszanych nauk. Później religijni mieszkańcy Nota Lake, odświętnie ubrani, ruszą tłumnie na lunch do restauracji. Odmówiłam w duchu swoją własną krótką modlitwę, wkraczając do Tęczy.

W lokalu było pustawo. Omiotłam go szybko spojrzeniem. James Tennyson, ubrany w dżinsy, siedział przy bufecie nad filiżanką kawy. Przed sobą miał rozłożoną gazetę. Obok stała pusta szklanka po wodzie i leżało zmięte niebiesko-czarne opakowanie po alka-seltzerze. Nie widać było jego żony, Jo, ani córeczki, której imię wypadło mi z głowy. Córka Rafera, Barrett, stojąca tyłem do mnie, zajęta była grillowaniem. Miała na sobie dżinsy i trykotową koszulkę osłoniętą dużym białym fartuchem. Jej niesforne, skręcone jak sprężynki włosy przykrywał biały kucharski czepek. Zręcznie manewrowała łopatką, obracając rzędy kiełbasek i złożone we czworo naleśniki. Kiedy ją obserwowałam, przełożyła parujące jedzenie na dwa półmiski. Nancy wzięła zamówione dania i zaniósła je parze siedzącej pod oknem. Rafer i Vicky LaMottowie siedzieli w boksie w połowie rzędu pustych stolików. Skończyli już jeść i Vicky, jak widziałam, sięgnęła po

torebkę i płaszcz. James Tennyson miał podpuchnięte oczy i wyglądał na zbolełego. Zauważył mnie i skinął głową; jego zachowanie stanowiło doskonałą mieszankę dobrych manier i rezerwy. Na skutek kaca - bo moim zdaniem wszystko na to wskazywało - aparycja tego przystojnego blondyna poniosła tylko nieznaczny uszczerbek. Skierowałam się do boksu na samym końcu, pozdrawiając w przelocie Rafera i Vicky. Bałam się czekać, aż mi odpowiedzą, bo mogli mnie zignorować. Usiadłam w taki sposób, żeby mieć na oku drzwi.

Zwróciła moją uwagę Nancy. Wyglądało na to, że idąc do bufetu po dodatkową porcję owsianki, przeżywa rozterkę, ale nie jest wrogo nastawiona.

- Za chwilę podejść. Chcesz kawy?

- Marzę o niej. - Najwyraźniej nie brała udziału w bojkocie. Alice wczoraj też była przyjazna... przynajmniej poinformowała mnie o zamrożeniu stosunków. Może tylko faceci się ode mnie odcinają - myśl niezbyt pocieszająca. Ostatecznie to mężczyzna wyłamał mi zaledwie przed trzema dniami palce. Złapałam się na tym, że je pocieram. Po raz pierwszy zauważyłam, że opuchlizna i zasinienie nadały im egzotyczny wygląd nie całkiem dojrzałych bananów. Obróciłam fajansową filiżankę na spodku w oczekiwaniu na kawę, a przy okazji zauważyłam, że palce nadal nie chcą się zginać. Miałam takie uczucie, jakby uniemożliwiała im to zeszywniała skóra.

Kiedy czekałam na obsłużenie, obserwowałam z profilu Jamesa, zastanawiając się nad tym, czy miał możliwość kontaktowania się z Ritterem i Tothem. Jako policjant z drogowki odsunięty był od wszelkich czynności podejmowanych przez Biuro Szeryfa, ale mógł przecież wykorzystać przyjaźń z jego zastępcami i uzyskać informację o śledztwie w sprawie zabójstwa. Tej nocy, gdy umarł Tom, pierwszy pojawił się na miejscu, miał więc jak nikt okazję, by świsnąć notatnik. Wciąż nie odrzuciłam jeszcze ewentualności, że wymyślił sobie tę kobietę na szosie, choć pozostawało dla mnie niejasne, co mogłoby go do

tego skłonić. Colleen nie wchodziła w rachubę. Zapewniała, że nigdy nie pojawiła się w tej okolicy, i skłonna byłam jej wierzyć. Tom miał zbyt wiele do stracenia, gdyby ją z nim zobaczono. Zresztą gdyby to ona siedziała z nim w pikapie, przecież by go nie opuściła.

LaMottowie wyszli z boksu i wkładali płaszcze, przygotowując się do wyjścia. Vicky podeszła do bufetu pogadać z Barrett, a Rafer udał się do kasy i regulował rachunek. Jak zwykle Nancy występowała w podwójnej roli: odstawiła dzbanek z kawą, żeby wziąć od niego dwudziestodo-larówkę i wydać resztę. James Tennyson też wstał ze stołka i zostawił pieniądze na bufecie obok talerzyka. Zamienił z Raferem kilka słów i, jak zauważyłam, ten spojrzał w moją stronę. James włożył kurtkę i wyszedł z restauracji, nie oglądając się za siebie. Vicky dołączyła do męża, który musiał jej chyba powiedzieć, żeby zaczekała na niego w samochodzie. Kiwnęła głową, po czym zajęła się rękawiczkami i włóczkową czapką. Nie miałam pewności, czy udaje, że mnie nie widzi, czy też nie.

Po jej wyjściu Rafer ruszył w moją stronę. Ręce trzymał w kieszeniach płaszcza, szyję miał omotaną czerwonym kaszmirowym szalikiem. Płaszcz leżał na nim doskonale, a ciemny, czekoladowy brąz materiału znakomicie podkreślał jego karnację. Ten facet umiał się elegancko ubrać.

- Witam pana, panie LaMott - powiedziałam.

- Na imię mam Rafer - skorygował. - Jak tam dłoń?

- Wciąż jest przyczepiona do ręki. - Uniosłam ją i poruszyłam palcami, jakby nie sprawiało mi to bólu.

- Mogę się przysiąść?

Wskazałam miejsce naprzeciwko siebie. Wśliznął się do boksu. Sprawiał wrażenie zakłopotanego, ale minę miał pełną współczucia, w piwnych oczach niepokój, a nie chłód czy wrogość, czego na pół się spodziewałam.

- Odbyłem długą rozmowę z pewnymi ludźmi w Santa Teresa na pani temat.

Poczułam, że serce zaczyna mi walić.

- Doprawdy? A z kim?

- Z koronerem, paroma gliniarzami. Z oficerem śled-

czym, o nazwisku Jonah Robb, z Wydziału Zabójstw. -Oparł łokieć na stole i palcem wskazującym stuknął w blat, wędrując wzrokiem po całym lokalu.

- Aha, żeby sprawdzić krążące tu opowieści na mój temat.

Zerknął znów na mnie ukradkiem.

- Zgadza się. Mogę równie dobrze panią poinformować, że w opinii Biura Szeryfa jest pani w porządku, choć słyszałem plotki, które mi się nie podobają, więc się martwię.

- Ja też nie jestem całkiem beztroska, tylko że nie widzę na to rady. Reagowanie na plotki prowadzi jedynie do tego, że człowiek sprawia wrażenie winnego i przewrażliwionego. Wiem to, bo próbowałam reagować, ale nic to nie dało.

Wiercił się niespokojnie. W końcu tak się usadowił, że znalazł się twarzą w twarz ze mną, a dłonie położył przed sobą. Ściszył głos o ton.

- Wiem o pani podejrzeniach. Proszę mi powiedzieć, co pani ma, a ja zrobię, co będę mógł, żeby pomóc.

- Doskonale - odparłam, zastanawiając się, dlaczego to nie brzmi bardziej serio i bardziej entuzjastycznie. Dumałam nad tym przez chwilę, odczuwając lekki dreszcz niepokoju. - Powiem panu, co mnie obecnie martwi. Detektyw w cywilu albo ktoś, kto się za niego podawał, zjawił się w nędznym hotelu w Santa Teresa z nakazem aresztowania Totha. Biuro Szeryfa w Santa Teresa nie ma w komputerze informacji o ważnym nakazie aresztowania Totha, ten papier więc był zapewne sfalszowany. Nie mogę jednak tego sprawdzić, bo nie mam dostępu do ich komputera.

- Ja to mogę zrobić - zapewnił przyjaźnie. - Co jeszcze? Uświadomiłam sobie, że starannie dobieram słowa.

- Myślę, że ten facet też nie był prawdziwym detektywem. Mógł być gliniarzem, ale nie sądzę, żeby mówił prawdę.

- Jakie nazwisko podał?

- Pytałam o to. Niestety, recepcjonista, z którym rozmawiałam, nie był w tym dniu na służbie i twierdził, że jego kolega nie zna tego nazwiska.

- Myśli pani, że to ktoś z naszego Wydziału - powiedział i zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie.

- Może.

- Na jakiej podstawie?

- A czy zbieżność w czasie nie wydaje się zbyt duża?

- Jak to?

- Tom chciał rozmawiać z Tothem w związku ze śmiercią Rittera. Tamten drugi gość zjawił się pierwszy i to był koniec biedaka Alfiego. Tom martwił się od połowy stycznia, gdy znaleziono szczątki Totha, prawda?

- Tak twierdzi Selma. - Rafer zrobił się teraz ostrożny i zaczął wystukiwać czubkiem palca wskazującego całą serię szybkich puknięć. Może przekazywał mi jakąś wiadomość alfabetem Morse'a.

- Czy nie jest więc możliwe, że właśnie tym martwił się Tom? Bo o co innego mogłoby chodzić?

- Tom był znakomitym fachowcem, z trzydziestopięcioletnią praktyką. Prowadził śledztwo w sprawie o zabójstwo, które, jak bym to określił, żywo go zainteresowało, ale w żadnym wypadku nie spędzało mu snu z powiek i nie skłaniało do obgryzania paznokci po nocach. Oczywiście, myślał o swojej pracy, to jednak nie było przyczyną zawału. To absurdalny pomysł.

- A czy przeżycie wielkiego stresu nie mogło się do niego przyczynić?

- Dlaczego śmierć Totha miałyby w ogóle być dla niego stresem? To przecież była jego praca. On nawet nie znał tego człowieka, o ile wiem.

- Czuł się odpowiedzialny.

- Za co?

- Za śmierć Totha. Sądził, że ktoś dorwał się do jego notatnika, w którym miał zapisany aktualny adres Totha i numer telefonu Hotelu Gramercy.

- Skąd pani wie, co Tom sądził?

- Bo zwierzał się jednemu z detektywów szeryfa.

- Colleen Sellers.

- Tak.

- I Tom jej to powiedział?

- No, nie dosłownie. Ale w taki właśnie sposób zabójca odnalazł Totha i go zamordował.

- Nadal jednak nie wyjaśniła mi pani, dlaczego podejrzewa kogoś z naszego Wydziału.

- Rozszerzę zakres przypuszczeń. Powiedzmy, że podejrzewam kogoś z organów ścigania.

- To już strzał na ślepo.

- A kto miał dostęp do jego notatnika?

- Każdy - odparł. - Jego żona, jego syn Brant. Dom na ogół nie był zamykany. Ponadto sprzątaczką, ogrodnik, bezpośredni sąsiad albo ten z przeciwka. Nikt z nich nie jest związany z organami ścigania, ale każdy mógł otworzyć drzwi frontowe i wejść. A skąd ma pani taką pewność, że to nie ktoś z Santa Teresa? Do tego przecieku nie musiało przecież dojść tutaj.

Popatrzyłam na Rafera.

- Ma pan rację - przyznałam. Punkt dla niego. Przestał stukać palcem i złagodniał.

- Dlaczego pani się nie wycofa i nie pozwoli, żebyśmy się sami tym zajmowali?

- Zajmowali? Czym mianowicie?

- Nie próżnowaliśmy. Pracujemy nad pewnym tropem.

- Cieszę się, że to słyszę. W samą porę, do cholery. Nie podoba mi się myśl, że jestem tu jedyną osobą, która nadstawia karku.

- Proszę sobie darować sarkazm i nie naciskać. To nie dla pani robota.

- Czyżby pan mówił, że zdobyliście informacje o zabójcy Alfiego?

- Mówię, że powinna pani być mądra i jechać do domu, a nam zostawić tę sprawę.

- A co z Selmą?

- Ona wie, że lepiej nie przeszkadzać w urzędowym śledztwie. Pani zresztą też.

Spróbowałam powrócić do kwestii Selmy.

- Nie ma prawa zakazującego zadawania pytań.

- To zależy, komu się je zadaje. - Spojrzał na zega-

rek. - Vicky czeka w aucie, już i tak spóźnimy się do kościoła - powiedział. Wstał, poprawił płaszcz, wyciągnął z kieszeni skórzane rękawiczki. Przyglądałam się, jak je wygładza na dłoni, i pomyślałam - nie wiem, dlaczego -jak wczesnym rankiem zjawił się w izbie przyjęć w szpitalu. Prosto spod prysznic, świeżo ogolony, ubrany jak z żurnala, całkiem obudzony. Spojrzał na mnie z góry. -Czy ktoś panią zaznajomił z historią tej okolicy?

- Tak, Cecilia.

Kontynuował swoją przemowę, jakbym nic nie powiedziała.

- Wielu skazańców wysyłano statkami z Anglii do kolonii. Byli to zatwardziali kryminaliści, dosłownie napiętnowani z powodu potworności swoich przestępstw.

- Stąd *nota* w nazwie Nota Lake - odpowiedziałam grzecznie.

- Słusznie. Najgorsi z nich ruszyli na zachód i osiedli w tych górach. Ci, z którymi ma pani teraz do czynienia, to ich potomkowie. Musi pani bardzo uważać.

Nerwowo się zaśmiałam.

- Jak w westernie, co? Czy to nakaz? Muszę wynieść się z miasta przed zachodem słońca?

- To nie nakaz, tylko rada. Dla pani dobra. Patrzyłam, jak wychodził z restauracji, i uświadomiłam

sobie, że zaschło mi w ustach. Miałam takie uczucie jak przed pierwszym dniem szkoły - taki niewielki strach, który odbierał mi apetyt. Śniadanie nie wydawało się już tak doskonałym pomysłem. Lokal opustoszał. Para pod oknem szykowała się do wyjścia. Widziałam, że regulują rachunek. Barrett poszła do kasy, a Nancy z przepaszającą miną pospieszyła w moją stronę z dzbankiem kawy i jadłospisem. Podała mi kartę.

- Przepraszam, że to tak długo trwało, ale zaparzałam świeżą kawę. Widziałam też, że konferujecie z Raferem -usprawiedliwiła się. Nalała mi do filiżanki gorącej kawy. - Masz pogląd na to, co chciałabyś zjeść? Nie zamierzam popędzać, nie spiesz się. Tylko nie chcę przedłużać oczekiwania, bo taka byłaś cierpliwa.

- Nie jestem głodna - odparłam. - Może przeszłabym do bufetu i tam byśmy pogadały?

- Naturalnie.

Wzięłam filiżankę i sięgnęłam po sztućce.

- Ja je zabiorę - powiedziała. Wzięła kartę i sztućce i poszłyśmy do bufetu, gdzie zrobiła mi miejsce między kasą a płytą do pieczenia. Barrett płaską łopatką oczyszczała grill. Tłuszcz z bekonu i zbrązowiałe resztki naleśników i kiełbasek zsunęła do pojemnika. Nancy wypluła ścierkę, wyżeła i wytarła nią do czysta blat bufetu. - Alice mówi, że rozpytujesz o Pinkiego Rittera.

- Pamiętasz go?

- Każda kobieta w Nota Lake go pamięta - odparła sarkastycznie.

- Czy on cię napastował?

- To znaczy co? Robił niepożądane propozycje seksualne? Napadł na mnie pewnej nocy, kiedy wyszłam z pracy. Czekał na parkingu i złapał mnie za szyję, gdy wsiadałam do swojego samochodu. Walnęłam go między łopatki i na tym się skończyło. Dwukrotnie był skazany za gwałt i najwyższy czas, żeby go złapali.

- Zgłosiłaś to?

- Po co? Troszczyć się sama o siebie. Co by zrobiła policja, zjawiała się potem i dałaby mu po łapach?

Barrett podeszła teraz do małego zlewu, umieszczonego pod blatem bufetu koło nas, i zabrała się do płukania talerzy i układania ich na stojaku. Przypuszczałam, że zanieśie je do zmywarki na zapleczu. Miała piwne oczy -jak ojciec - i nie robiła tajemnicy z tego, że słucha opowieści Nancy i podziela jej stanowisko.

- Czy on się kiedyś przystawiał do ciebie? - spytałam Barrett.

- Ech, nie - odparła, zaczerwieniona po uszy. - Nie miałam wtedy jeszcze osiemnastu lat, więc byłoby to karalne. On wolał się ze mną nie zadawać.

Obróciłam się do Nancy.

- A co z innymi kobietami? Może do którejś specjalnie się przystawiał? Do Earlene czy Phyllis?

Nancy potrząsnęła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo, co nie znaczy, że nie próbował. Taki facet zawsze czepia się każdej, która wydaje się słaba.

- Czy mogę cię jeszcze o coś zapytać?

- Pewnie.

- Tom Newquist był tu wcześniej tej nocy, gdy zmarł, prawda?

- Owszem. Przyszedł koło dziewiątej. Zamówił cheese-burera i frytki, siedział i palił papierosy, jakby dla zabicia czasu. Spoglądał na zegarek. Nie mogłam tego pojąć. O tej porze nigdy tu nie przyjeżdżał. Wykombinowałam, że miał się z kimś spotkać, a ona nie przyszła.

- Dlaczego mówisz „ona”? Nie mógł to być jakiś mężczyzna?

Nancy to chyba zaskoczyło.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu tak przypuszczałam.

- Czy wspomniał jakieś nazwisko?

- Nie.

- Korzystał z telefonu?

Potrząsnęła głową z pewną dozą niepewności, po czym spojrzała pytająco na Barrett.

- Pamiętasz, czy tej nocy Tom Newquist korzystał z telefonu?

- Nie, nie widziałam.

Zwróciłam się znowu z pytaniem do Barrett.

- Czy odniosłaś wrażenie, że on tu przyszedł z kimś się spotkać?

Barrett wzruszyła ramionami.

- Tak przypuszczam.

- Wiesz, dlaczego tak myślałam? - odezwała się Nancy. - On był świeżo ogolony. Pamiętam, że zrobiłam uwagę na temat jego wody kolońskiej albo wody po goleniu. Wyglądał bardzo elegancko, jakby się specjalnie wystroił. A nie zrobiłby czegoś takiego, gdyby tu przyszedł na spotkanie z jakimś mężczyzną.

- Zgadzasz się z tym? - zagadnęłam Barrett.

- Wyglądał rzeczywiście elegancko, tak jak mówisz -potwierdziła. - Ja też to zauważyłam.

- Czy sprawiał wrażenie zirytowanego albo zdenerwowanego, jakby dostał kosza?

- Wcale nie - powiedziała Nancy. - O pół do dziesiątej wstał, zapłacił rachunek i poszedł do swojego pikapa. Potem już go nie widziałam. Tej nocy ja zamykałam lokal, więc musiałam tu sterczeć. Widziałas go na dworze?

- Na parkingu? Nie.

- Ale musiałas go widzieć, przecież wyszłaś tuż przed nim.

Barrett zastanawiała się, marszcząc lekko brwi, po czym potrząsnęła głową.

- Może parkował z tyłu.

- A ty gdzie tej nocy zaparkowałaś samochód? - spytałam.

- Nigdzie. Nie miałam samochodu. Zabrał mnie tata.

- Ona mieszka tam, po drugiej stronie tej parceli, ale jej starzy nie lubią, kiedy na piechotę wraca po nocy do domu. Są nastawieni bardzo opiekuńczo, szczególnie tata.

Barrett się uśmiechnęła, ciemny odcień skóry podkreślił rumieniec zażenowania.

- Mogłabym być córką kaznodziei. To byłoby jeszcze gorsze.

Gadałyśmy tak jeszcze tylko przez chwilę. Lokal zaczął się wypełniać, przychodzili ludzie po kościele, a ja wyraźnie im przeszkadzałam. Miałam też nadzieję, że uniknę kolejnej konfrontacji z jakimiś rozgniewanymi mieszkańcami. Włożyłam kurtkę i poszłam do samochodu. Ponieważ miejsce, które znalazłam, znajdowało się na tyłach parkingu, nie sądziłam, żeby można mnie było zobaczyć z przejeżdżających aut. Nie mogłam się jeszcze zdobyć na to, by jechać do miasta. Myśl o samotnej jeździe po ulicach, o narażaniu się na grubiaństwa i odrzucenie z powodu krążących plotek wydała mi się nie do zniesienia. Ludzie w restauracji zachowywali się miło, może więc tylko obsługa stacji benzynowych wyraziła mi wotum nieufności.

Zobaczyłam, że z szosy zjechał pikapem Macon New-quist i stanął na parkingu. Miał na sobie garnitur, który wyglądał na nim tak nienaturalnie jak strój króliczka. Wiedziałam, że jeśli mnie zauważy, to zacznie wyciągać ode mnie informacje. Odwróciłam się i sięgnęłam po aktówkę, jakby bardzo zaaferowana. Wraz ze swoimi notatkami dotyczącymi sprawy włożyłam do niej paczkę kart do katalogu lub kartoteki. Zaczekałam, aż Macon wejdzie do restauracji, i dopiero wtedy wysiadłam i zamknęłam samochód. Z aktówką pod pachą pomaszerowałam szosą do Nota Lake Cabins.

Od frontu jarzył się czerwony neon: Wolne miejsca. Sionka w biurze była nie zamknięta, na klamce wisiał plastikowy cyferblat ze wskazówkami ustawionymi na pół do dwunastej. Na tabliczce widniała informacja: ZARAZ WRACAM. Weszłam do środka; dwudzielne drzwi, których górna połowa była otwarta, ukazywały puste biuro.

- Cecilio, jest pani tu?

Nie było odpowiedzi.

Jak zwykle widok tych wszystkich oszałamiających biurkowych szuflad stanowił dla mnie pokusę. Biurka i kartoteki prosiły się niemal o przeszukanie, ale w żaden sposób nie mogłam wymyślić, jakiemu celowi mogłoby to służyć. Usiadłam więc na wyściełanym krześle i otworzyłam paczkę z kartami. Zaczęłam studiować swoje notatki i pożyczonym długopisem przepisywać każdą informację na odrębną kartę. Z pewnych względów było to pożyteczne zajęcie. Miałam uczucie, że coś robię, i to efektywnie, nie będąc przy tym na widoku publicznym. Przepisywanie notatek miało jeszcze ten plus, że odwracało uwagę od niemiłego położenia, w jakim się znalazłam. Wprawdzie poprzedniej nocy tęskniłam za domem, ale przecież nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zdrzeć ogon i umknąć pod wpływem zawołowanej „rady” Rafera, dotyczącej mojego osobistego bezpieczeństwa. Co zatem robiłam? Próbowалам uspokoić się, że uczyniłam, co mogłam. Obiecałam sobie, że będę nadal podążać za śladami, dopóki nie zgubię tropu. Jeśli stanę przed ślepą ścianą,

wtedy z czystym sumieniem będę mogła wrócić do domu. A na razie miałam zadanie do wykonania i zamierzałam je wykonać. Tak, racja, ty strachają - pomyślałam.

Zużyłam pół paczki kart i nie natrafiłam na specjalne rewelacje. Dwukrotnie je przetasowałam i rozłożyłam jak przy pasjansie. Przeglądałam rząd po rzędzie w poszukiwaniu znaczących danych. Na przykład na jednej z kart zanotowałam: Cecilia mówiła mi, że tej nocy, gdy umarł Tom, wróciła do domu koło dziesiątej. Widziała ambulans, ale nie miała pojęcia, że wezwano go do jej brata. Czy mogła widzieć kobietę na szosie? Przyszło mi do głowy, że ta kobieta mogła mieszkać w Nota Lake Cabins, a w takim wypadku jej wędrowka nie musiała mieć w ogóle związku z Tomem. W każdym razie warto spytać, choćby po to, żeby wyeliminować taką ewentualność.

Cecilia się spóźniała. Zamiast wrócić o pół do dwunastej, stanęła w drzwiach dopiero prawie kwadrans na pierwszą. Ubrała się do kościoła w workowaty, niebieski tweedowy kostium z ozdobną szpilką w kształcie trzmiela w klapie. Spod zakietu wyglądała biała bluzka, suto ozdobiona przy szyi koronką. Cecilia nie zdziwiła się, widząc mnie, a ja w swoim paranoicznym stanie sądziłam, że będzie uprzedzona o mojej obecności. Otworzyła dwudzielne drzwi do biura, zamknęła je za sobą, położyła torebkę na biurku i odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć.

- W czym mogę pomóc? Słyszałam, że mieszka pani u Selmy, nie może więc chodzić o wynajem chatki.

- Pracuję wciąż nad sprawą śmierci Toma.

- Jutro mijają siedem tygodni. Trudno w to uwierzyć -powiedziała.

- Czy może pamięta pani, kto tu mieszkał podczas tamtego weekendu?

- W motelu? To łatwo sprawdzić. - Siegnęła po książkę meldunkową, pośliniła palec wskazujący i zaczęła przerzucać stronicę, cofając się do minionych tygodni. Zamiast marca pojawiały się kolejne dni lutego. Wreszcie dotarła do tygodnia, w którym przypadał pierwszy dzień lutego. Wodziła palcem wzdłuż listy nazwisk. - Grupa narciarzy, chyba sześćosobowa, w dwóch chatkach. Dałam im Świerka i Tsugę, możliwie jak najdalej od biura, bo wiedziałam, że będą urządzać balangi. Takie typy zawsze to robią. Pamiętam, że przywieźli ze sobą więcej skrzynek piwa niż całego bagażu. Bardzo też narzekali na

ciśnienie wody, na ogrzewanie. Nic im się nie podobało -powiedziała, rzucając mi spojrzenie.

- I kto jeszcze tu był? Jakaś samotna kobieta?

- Co to ma znaczyć?

- Nic nie ma znaczyć - wyjaśniłam cierpliwie. -Sprawdzam informację drogówki. Tennyson twierdzi, że widział jakąś kobietę na szosie. Mogła być jedynie tworem jego wyobraźni. Możliwe też, że nie miała nic wspólnego z Tomem. Pomogłoby mi, gdybym ją odnalazła. Mam więc mimo wszystko nadzieję, że tu mieszkała tamtej nocy. Wtedy mogłaby mi pani powiedzieć, jak się z nią skontaktować.

Sprawdziła listę jeszcze raz.

- Nie. Para małżeńska z Los Angeles. A przynajmniej tak twierdzili. Oglądałam ich tylko wtedy, gdy opuszczali łóżko, żeby się posilić. I jeszcze rodzina z dwójką dzieci. Kobieta była na wózku, wątpię więc, żeby to ją widział.

- A pani? Kiedy wracała pani z kina, czy był ktoś na szosie? Między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści.

Zastanawiała się przez chwilę, potem przecząco potrząsnęła głową.

- Pamiętam jedynie, że ktoś korzystał z telefonu na dworze. Usiłuję zniechęcać obcych do zatrzymywania się tutaj, żeby telefonować. Szwendają mi się po schodkach ganku, wyrwijają strony z książki telefonicznej. Dwa razy ukradziono mi słuchawkę. To jest teren prywatny.

- Myślałam, że to publiczny telefon.

- Ja tak nie uważam. Jest przeznaczony wyłącznie dla gości tego motelu. To jedno z udogodnień. Tak czy inaczej, widziałam, że Tęcza jest zamknięta, światła zewnętrzne wygaszono. Wyrzłam przez drzwi i przekonałam się, że to Barrett. Dzwoniła do ojca, żeby po nią przyjechał. Zaproponowałam, że ją podrzucę. Powiedziała jednak, że on już jest w drodze.

- Orientuje się pani, czy Rafer przejął wiadomość, gdy dzwoniono pod numer dziewięćset jedenaście?

- Chodzi pani o wezwanie karetki do Toma? Zapewne tak - odparła. - A może James telefonował do niego, bo

wiedział, że byli serdecznymi przyjaciółmi. - Zatrzasnęła książkę meldunkową. - Mam nadzieję, że teraz już mnie pani zwolni. Ktoś ma przyjść do mnie na lunch.

- Oczywiście. Nie ma sprawy. Dziękuję za pomoc.

Zapakowałam swoje papiery do aktówki, zebrałam karty, ściągnęłam je gumką i również schowałam. Włożyłam kurtkę, wzięłam torebkę i aktówkę i wróciłam do samochodu na parkingu przy Tęczy. W myślach postawiłam sobie pytanie: Jeśli Barrett wyszła z pracy o pół do dziesiątej, to dlaczego telefonowała po ojca dopiero po upływie czterdziestu pięciu minut? Siedziałam w samochodzie i obserwowałam, jak na ciemnoszarym niebie zbierają się chmury, a światło przygasa niczym o zmroku. Była zaledwie pierwsza po południu, ale zrobiło się tak ciemno, że fotokomórka włączyła zewnętrzne światła u Cecylii. Zaczął padać śnieg, wielkie puszyste płatki osiadały na przedniej szybie samochodu jak warstwa piany mydlanej. Czekałam, obserwując tylne wejście do Tęczy.

Przed pół do trzeciej tłum klientów już się rozjechał. Siedziałam niby kot z wrodzoną cierpliwością czyhający na ponowne pojawienie się jaszczurki w szczelinie między skałami. O drugiej czterdzieści cztery z tylnych drzwi restauracji wyszła Barrett, w fartuchu i kucharskim czepku, z dużym plastikowym workiem odpadków, który niosła do pojemnika stojącego po mojej lewej stronie. Opuściłam szybę.

- Cześć, Barrett. Masz chwilkę czasu?

Wyrzuciła worek i podeszła bliżej. Przechyliłam się i otworzyłam drzwiczki od strony pasażera, uchylając je trochę.

- Wskakuj. Zamarzniesz tam na śmierć. Nawet nie drgnęła.

- Myślałam, że już pani pojechała.

- Odwiedziłam Cecylię. Kiedy kończysz pracę?

- Pozostaje mi jeszcze sporo czasu.

- Dlaczego nie zrobisz sobie przerwy? Chciałabym z tobą pogadać.

Wahała się, spoglądając w stronę Tęczy.

- W gruncie rzeczy nie powinnam, ale na krótką chwilę odpoczynku mogę sobie pozwolić. - Wsiadła, zatrzasnęła drzwiczki i skrzyżowała gołe ręce na piersiach, broniąc się przed zimnem. Mogłam wcześniej zapalić silnik i ogrzać samochód, ale szkoda mi było benzyny, ponadto liczyłam, że chłód skłoni ją do powiedzenia tego, co chciałam wiedzieć.

- Twój tata mówi, że wybierasz się do szkoły medycznej.

- Jeszcze nie zostałam przyjęta - odparła.

- Dokąd zamierzasz pójść?

- Czy chce pani czegoś konkretnego? Bo Nancy nie wie, że tu jestem, a ja naprawdę nie mam przerwy na kawę wcześniej niż koło trzeciej.

- Powinnam przejść do rzeczy, skoro tak - powiedziałam. Czułam, że zaczyna się rodzić drobne kłamstewko. Dla mnie to takie samo uczucie, jak gdy zbiera się na kichanie, ta cudowna reakcja autonomicznego systemu nerwowego, kiedy coś łaskocze w nosie. - Ciekawa jestem jednej rzeczy. - Zauważmy, że nie zapytała, czego mianowicie. - Czy to nie z tobą miał się tamtej nocy spotkać Tom Newquist?

- Po co miałyby to robić?

- Nie mam pojęcia. I dlatego cię pytam - odparłam. Kiedyś musiała grać w jakimś przedstawieniu - może

na ostatnim roku w szkole średniej, w sztuce dla młodzieży - ale nie główną rolę. Demonstracyjnie zmarszczyła brwi, po czym potrząsnęła głową, udając zmieszanie.

- Nie sędzę - powiedziała, jakby łamiąc sobie głowę.

- Muszę cię poinformować, że on to sobie zanotował w kalendarzu na biurku. Napisał: Barrett. Czarno na białym.

- Tak?

- Wpadłam na to dzisiaj, dlatego już raz pytałam, z kim miał się tu spotkać. Miałam nadzieję, że będziesz uczciwa, ty jednak nie grałaś czysto. Dałabym temu spokój, ale potem to się potwierdziło i dlatego tu jestem. Chcesz mi opowiedzieć, jak to było?

- Potwierdziło się?
- Przy sprawdzaniu.
- Kto to potwierdził?
- Cecilia.
- To nic nie było - protestowała.
- No to świetnie. W takim razie wykrztuś to, bo chciałabym usłyszeć.
- My tylko rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem on się źle poczuł.
- O czym rozmawialiście?
- O głupstwach. Gadaliśmy o moim tacie. To znaczy o niczym specjalnym. Taka sobie rozmowa. Ja i Brant chodziliśmy ze sobą przez dłuższy czas i Tom mnie pytał, dlaczego to się skończyło. Zawsze żałował, że już nie trzymamy się razem. Wiedziałam, że do czegoś zmierza, nie wiedziałam tylko, do czego. Potem on się źle poczuł. Widziałam, że zbladł i zaczął się pocić. Byłam przerażona.
- Czy powiedział, że coś go boli? Pokiwała głową, a jej głos drżał, kiedy mówiła.
- Chwyił się za pierś i chrapliwie oddychał. Zaproponowałam, że wrócę do motelu i sprowadzę pomoc, a on powiedział: dobrze, zrób to. Kazał mi zamknąć na klucz drzwi pikapa i nikomu nie wspominać o naszym spotkaniu. Bardzo musiało mu zależeć, bo zmusił mnie, żebym obiecała. Gdyby nie to, byłabym powiedziała za pierwszym razem, jak pani pytała. - Znalazła w kieszeni chusteczkę. Otarła oczy i wysiąkała nos.
- Zaczekałam, aż się trochę uspokoi, po czym przystąpiłam do dalszej indagacji.
- Czy mówił coś jeszcze? Wzięła głęboki oddech.
- Zejdź z szosy, jeśli będą jechać jakieś samochody. Nie chciał, by ktoś wiedział, że z nim rozmawiałam.
- Dlaczego?
- Nie chciał narażać mnie na niebezpieczeństwo, jak mi wyjaśnił.
- Nie powiedział, z czyjej strony?
- Nie wymienił nikogo z nazwiska.

- I co jeszcze mówił?
- To wszystko.
- Nie dał ci na przechowanie swojego notatnika? Potrząsnęła w milczeniu głową.
- Jesteś pewna?
- Absolutnie.
- Myślałam, że ci dał małą czarną książeczkę ze swoimi notatkami.
- Nie, nie dał.
- Barrett, powiedz prawdę. Proszę, bardzo proszę. Grzecznie cię proszę, bądź tak dobra. Zaufaj mi, nie pisnę nikomu ani słowa, że masz ten notatnik.
- Mówię prawdę. Potrząsnęłam głową.
- Przykro mi, że muszę twierdzić coś przeciwnego, ale Tom zawsze miał go przy sobie, a od chwili gdy umarł, nikt notatnika nie widział.
- No to co?
- Wszyscy przypuszczali, że był tej nocy sam. Teraz okazuje się, że ty siedziałaś z nim w pikapie. Gdzież więc mógłby podziąć się notatnik? Tom pragnął za wszelką cenę zabezpieczyć swoje zapiski, musiał więc dać notatnik tobie. Tylko w ten sposób wszystko klapuje. Jeśli potrafisz wymyślić inne rozwiązanie tej zagadki, to z przyjemnością posłucham.
- Głucha cisza. Pozwoliłam, by trwała, nie przerywając jej ani słówkiem.
- Poszłam po pomoc.
- To dla mnie jasne - powiedziałam. - Policjant z drogówki widział cię na szosie. A co z notatnikiem?
- Barrett wyglądała przez okno samochodu.
- Nie ma pani żadnego dowodu - zaprotestowała słabo.
- Tak, wiem. To znaczy oprócz tego, że Cecilia widziała cię tej nocy na ganku w motelu. Ona twierdzi, że tata przyjechał po ciebie, czyli to, co i ty mówiłaś. Tyle tylko że trochę zmieniałaś kolejność wydarzeń. Nie mogę u d o w o d n i ć, że masz ten notatnik, ale jest to logiczne.

Przez tylne drzwi restauracji wyjrzała Nancy. Barrett otworzyła drzwiczki samochodu, wychyliła się i zawołała:

- Zaraz przyjdę!

Nancy kiwnęła głową i pomachała jej ręką.

- Więc gdzie jest ten notatnik?

- W mojej torebce - odparła kwaśno Barrett.

- Mogłabyś mi go dać?

- A co tak bardzo ważnego jest w tych notatkach?

- Tom prowadził śledztwo w sprawie dwóch zabójstw, przypuszczam więc, że jego notatki są istotne. Czytałaś je?

- Tak, ale to tylko kupa jakichś wywiadów i gadaniny. Dużo dat i skrótów. Nic nadzwyczajnego.

- Czy zatem miałoby znaczenie, gdybyś mi go udostępniła?

- Kazał mi go przechować, dopóki sam nie zdecyduje, co z nim zrobić.

- Nie wiedział, że umrze.

- Co za klops!

- Posłuchaj, jeśli dasz mi notatnik teraz, to jutro z samego rana zrobię odbitki i ci go zwrócę.

- Dobra - powiedziała po chwili pełnej napięcia. Wysiadła z auta na swoją stronę, a ja na swoją. Szybko

zamknęłam drzwi na klucz i poszłam za nią.

Torebkę przechowywała w składziku na lewo od drzwi do kuchni. Wyjęła notatnik, po czym mi go wręczyła. Wyglądała na zirytowaną, że udało mi się ją przechytrzyć.

- Powiedział jeszcze, że klucz jest na jego biurku -dodała.

- Klucz jest w jego biurku?

- Tak mi powiedział. Powtórzył to dwa razy.

- Na biurku czy w biurku?

- Myślę, że na. Muszę już iść.

- Dzięki. Jesteś super. - Przytknęłam palec do ust. -Ścisła tajemnica.

Ani mru-mru nikomu.

- Guzik prawda. To po co powiedziałam tobie? Nancy wyjrzała z kuchni.

- Och, Kinsey, tu jesteś. Dzwoni Brant! - zawołała.

Poszłam do sali restauracyjnej, teraz praktycznie opustoszałej. Słuchawka leżała na bufecie przy kasie.

- To ty, Brant?

- Cześć, Kinsey - powiedział.

- Gdzie jesteś? Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Jestem u mamy. Przejeżdżałem niedawno koło Tęczy i widziałem twój wóz zaparkowany z tyłu. Chciałem tylko sprawdzić, czy nic ci się nie przydarzyło.

- Nic mi nie dolega. Czy twoja matka jest już w domu?

- Nie wróci wcześniej niż koło dziewiątej. Potrzebujesz czegoś?

- Właściwie nie. Jeśli możesz się z nią skontaktować, to powiedz jej, że to znalazłam.

- Co znalazłaś?

Osloniłam palcami mikrofon, czując się niemal jak postać z filmu szpiegowskiego.

- Notatnik.

- Jak ci się to udało?

- Wytłumaczę ci później. Będę w domu za kilka minut. Możesz poczekać?

- Nie za bardzo. Wpadłem tu tylko po coś, co zabieram do mieszkania Sherry.

- Pracujesz w weekendy?

- Normalnie nie - odparł. - Dzisiaj kogoś zastępuję i mam nadzieję, że przedtem jeszcze załatwię parę spraw. Porozmawiamy jutro.

- Dobrze. No, to do zobaczenia.

Otworzyłam drzwi do domu Selmy i skierowałam się do kuchni. Było ciemno, cicho i niemiłosiernie ciepło. Kuchnia wyglądała tak samo jak wtedy, gdy z niej wychodziłam, jeśli nie liczyć opakowanego w folię talerza z ciasteczkami z czekoladową polewą stojącego na blacie z przyklepioną kartką: CZĘSTUJ SIĘ. Para, która zebrała się na opakowaniu, wskazywała na to, że talerz jeszcze niedawno znajdował się w lodówce lub zamrażalniku. Brant pewno uznał, że kartka jest adresowana do niego,

bo na miejscu, gdzie siedział przy stole, zostawił talerz i widelczyk ze śladami czekolady. Szkoda, że się z nim rozminęłam. Moglibyśmy się naradzić.

Udałam się do gabinetu Toma i usiadłam na jego obrotowym krześle. Zapaliłam lampę na biurku i zaczęłam przeglądać notatnik. Okładkę miał z groszkowanej czarnej skóry, dość już wytartej, rogi pozałamywane. Wybrałam normalny tryb postępowania: lekturę zaczęłam od pierwszej strony, z datą 1 czerwca, i doszłam do ostatniej, na której widniała data 1 lutego, dwa dni przed śmiercią Toma. I tak oto miałam nareszcie w rękach brakujące notatki z ośmiu miesięcy. Te bazgroły na cienkim papierze w linie odnosiły się do najrozmaitszych spraw, nad którymi wtedy pracował. Każda notatka oznaczona była na lewym marginesie numerem sprawy i zawierała informacje o zgłoszeniu i o badaniu miejsca przestępstwa oraz nazwiska, adresy i numery telefonów świadków. W szeregach skrótów niemal nie do rozszyfrowania domyślałam się przebiegu kolejnych rozmów na różne tematy, notatek robionych na własny użytek, informacji o sprawie, komentarzy i pytań pojawiających się w toku śledztwa. W jednej z notatek sporządzonych nieomal hieroglifami przeczytałam o znalezieniu zwłok Pinkiego, o konstatacjach koronera Treya Kirchnera... którego Tom określał jako III. Każde powtarzające się nazwisko skracał na ogół do pierwszej litery. Znajdowałam wzmianki o R i B, czyli - jak przypuszczałam - o Raferze i szefie Toma, szeryfie Bobie Stafferze. Wyobraźnia pomogła mi zorientować się, że Toma zainteresowała przeszłość Pinkiego, cofając się od momentu jego śmierci do czasów więzienia w Chino i przyjaźni z Alfiem Tothem, faktu potwierdzonego przez MB, Margaret Brine z BSNL, czyli z Biura Szeryfa w Nota Lake. CS uznałam za Colleen Sellers, niekiedy określaną jako C, która telefonowała, zawiadamiając o uwięzieniu Alfiego w ST. Znalazłam krótkie podsumowanie wyjazdu do Santa Teresa w czerwcu, wraz z datami, czasem, kilometrażem oraz wydatkami na noclegi i jedzenie. Jak już wiedziałam, rozmawiał w Gramercy z Dave'em Este-

sem piątego czerwca. Później rozmawiał z Olgą Toth, której adres i telefon starannie zostały zanotowane. Od czasu gdy dzwoniła znowu CS z wiadomością o znalezieniu zwłok Totha, notatki stały się bardziej powierzchowne. Przedtem pieczołowicie i szczegółowo zapisywał treść rozmów, a teraz nagle zrobił się ostrożny, przechodząc, jak podejrzewałam, na pewnego rodzaju szyfr. Na ostatniej stronie notatnika widniało tylko kilka liczb - 8, 12, 1, 11 i 26 - napisanych wielkimi cyframi, podkreślonych i z wykrzyknikiem oraz znakiem zapytania. Już nawet sama interpunkcja sugerowała niedowierzanie, i to najwyższego stopnia. Siedziałam i wpatrywałam się w te liczby, aż mi zaczęły wirować przed oczami.

Wstałam i poszłam do kuchni i tam zaczęłam krążyć. Nalałam sobie trochę wody z kranu, wypiłam ją z przyjemnym dla ucha gulgotem. Odbiło mi się głośno. Wstawiłam szklankę do zmywarki, po czym w przystępie schludności włożyłam tam też talerz i widelczyk Branta. Próbując rozwiązać zagadkę, puściłam wodze fantazji, a jednocześnie wykonywałam czynności nie wymagające myślenia. Co, do diabła, mogły oznaczać liczby 8, 12, 1, 11 i 26? Datę? Kombinację cyfrową do jakiegoś sejfu? Pomyślałam, że Tom mówił Barrett o „kluczu” w swoim biurku lub na biurku. Przez tydzień pracowałam przy nim i nie przypominam sobie, żebym widziała jakiś klucz. Co to za klucz? Klucz do czego? Przecież jego notatnik nie miał zameczka jak pamiętniki nastolatek.

Wróciłam do gabinetu, usiadłam przy biurku i natychmiast przystąpiłam do ponownego przeszukiwania szuflad. Może miał zamykaną na klucz kasetkę. Albo domowy sejf. A może szafkę z zamkiem szyfrowym. Ileż worków śmieci wyrzuciłam w zeszłym tygodniu? Skąd mogłam mieć pewność, że nie wyrzuciłam klucza, o którym mówił? Ogarnęło mnie przerażenie na myśl, że wyrzuciłam coś, co dla niego miało podstawowe znaczenie, a dla mnie mogło się okazać przełomowe.

Opróżniłam po kolei wszystkie szuflady, wyjęłam je z biurka, sprawdziłam tylne ścianki i spód. Pełzając na

czworakach zajrzałam pod biurko, obmacałam boki, bo klucz mógł być gdzieś przyczepiony taśmą. W szufladzie, gdzie leżały kajdanki i pałka, trafiłam na latarkę, którą wzięłam, by sobie poświecić w czasie sprawdzania przewodnic od szuflad. Przechyliłam do tyłu obrotowe krzesło i zajrzałam pod siedzenie. Czy on miał na myśli klucz jako „rzecz, która coś wyjaśnia lub rozwiązuje”, czy też literalnie klucz - narzędzie lub przyrząd do otwierania zamka? Wsunęłam z powrotem szuflady i opróżniłam blat biurka. Jeździłam palcem po bibula-rzu, poszukując wśród gryzmołów i zapisków Toma powtórki owych liczb. I znalazłam - 8, 12, 1, 11, 26 figurowało w samym środku pętli. Napisano je jeszcze dwukrotnie, raz piórem i ujęto w kółko, drugi raz w zakre-skowanej ołówkiem ramce. Co będzie, jeśli wyrzuciłam najistotniejszą informację? Czy śmieci już zostały wywiezione? Z wielkim wysiłkiem próbowałam zdusić w sobie dokuczliwy niepokój. Wystąpiły na mnie siódme poty. Dom jak zwykle przypominał piec. Podeszłam do okna i podsunęłam je w górę. Zwolniłam zaczepy okna wstawianego na zimę i bezceremonialnie je wypchnęłam, po czym z zadowoleniem obserwowałam, jak spada na ziemię. Zaczerpnęłam haust świeżego powietrza z nadzieją, że się uspokoję.

Usiadłam znowu przy biurku i potrząsałam głową. Staralam się na chłodno przeanalizować wszystko, co robiłam przez ten tydzień. Nie przypominałam sobie żadnego klucza, ale gdybym jakiś widziała, to wiem, że z pewnością nigdy bym go nie wyrzuciła. Jak dotąd klucza nie znalazłam, wciąż więc jeszcze była szansa, że gdzieś go odkryję. No tak. Należało szukać dalej, i to możliwie najspokojniej i najbardziej pieczołowicie. Znowu więc skontrolowałam zawartość wszystkich szuflad. Obejrzałam każdy papierek w teczkach spraw prowadzonych przez Toma, zagłębiałam do kopert, otwierałam pudełka ze spinaczami i zszywaczami, brałam do ręki pióra, linijki, nalepki, taśmę. Ten klucz to może jakaś fraza lub powiedzonko, które wszystko wyjaśni? Podświadomie wracałam do pomysłu, że te licz-

by to szyfr. Nie słyszałam, by ktoś wspominał, że Tom pracował w wywiadzie, jeśli więc miałam rację, ów szyfr był prawdopodobnie prosty i łatwy do odgadnięcia. Na biurku lub w biurku.

Znalazłam kawałek papieru i wypisałam po kolei wszystkie litery alfabetu, a pod nimi umieściłam cyfry od 1 do 26. Jeśli 8, 12, 1, 11 i 26 zastępują litery, wtedy jako nazwisko albo inicjały miałibyśmy HLAKZ. Co by to mogło znaczyć? Pozornie nic. Coś - Los Angeles - Coś - Coś? Z niczym mi się to nie kojarzyło. Spróbowałam postąpić tak samo, tyle że wspan, przyporządkowując literze A liczbę 26, B 25 i tak dalej, aż doszłam do 1, która - jak zakładałam - oznaczała Z. W takim wypadku 8, 12, 1, 11, 26 dawałoby SOZPA. Kolejna zagadka. Co to, do diabła, było? Nazwisko? Byłam coraz bardziej zdezorientowana i w nie mniejszym stopniu sfrustrowana.

8, 12, 1, 11, 26. Czyżby miesiące? Sierpień, grudzień, styczeń, listopad? A co by oznaczało 26? I dlaczego w niewłaściwej kolejności? Czy należało te liczby dodać? Odjąć? Przeczytać w brzmieniu fonetycznym, jak specjalnie dobrane cyfry na tablicy rejestracyjnej? Powtarzałam na głos: - Osiem, dwanaście, jeden, jedenaście, dwadzieścia sześć. - To nic nie znaczyło. Jeśli liczby oznaczały litery i tworzyły jakiś wyraz, to jedyną rzeczą, jaka wydawała mi się oczywista, było to, że chodziło o pięć różnych liter... bo żadna się nie powtarzała. Czyjeś imię? Pomyślałam o Nota Lake i o tym, ile poznałam tu osób o imionach składających się z pięciu liter. Brant, Macon, Hatch, Wayne. James Tennyson. Rafer. Popatrzyłam na wykrzyknik

i znak zapytania. !? Co oznaczały - konsternację, przerażenie?

Uświadomiłam sobie, że umieram z głodu... tak niewątpliwie przejawiał się mój niepokój. Czekając na Barrett na parkingu pod Tęczą, zrezygnowałam z lunchu i teraz musiałam za to zapłacić. Był kwadrans po czwartej. Poszłam do kuchni na poszukiwanie czegoś do zjedzenia. Zgłodniałam i otepiałam do tego stopnia, że komórki mózgowy miały ochotę przestać trzymać się w kupie.

Zajrzałam do lodówki, gdzie zobaczyłam resztki potraw z wczorajszej kolacji, zawinięte w folię. Od początku niezbyt jadalne, na pewno nie zasługiwały na odgrzanie. Otworzyłam szufladę na chleb. Ani śladu choćby sucharów. Otworzyłam kredens. Ani śladu masła orzechowego. Co za gospodarstwo prowadzi ta Selma? Rzuciłam okiem na pozostawioną kartkę i wobec braku czegokolwiek do jedzenia pozwoliłam sobie unieść róg folii, w którą zapakowany był talerz, i wziąć kilka ciasteczek z czekoladową polewą. Przypominały, moim zdaniem, trociny - tak wydały mi się suche - za to polewa była smaczna i lepka, tylko lekki chemiczny zapaszek wskazywał, że Selma zrobiła ją z proszku. Każdy, kto jada Miracle Whip, zje i to świństwo - pomyślałam. Tych ciasteczek w żaden sposób nie można by uznać za wielkie osiągnięcie Selmy, miałam jednak nadzieję, że bliski jest już moment, gdy przestanę jeść to, co ona pichci. Napiałam się mleka z kartonu, oszczędzając na myciu szklanki.

Posiliwszy się, gotowa byłam przystąpić do rozwiązywania zagadki. Wróciłam na obrotowe krzesło Toma i zaczęłam się na nim kręcić. A może 8, 12, 1, 11 i 26 to numery stron w notatniku? Sprawdziłam tę możliwość, ale treść stron chyba nie zawierała wspólnych elementów ani określonych numerów. Popołudnie chyliło się ku wieczorowi, a ja do niczego nie doszłam. Wróciłam do punktu wyjścia. Selma wynajęła mnie, żebym odkryła, dlaczego Tom był zgnębiony. Skuliłam się i położyłam głowę na oparciu krzesła. Dlaczego Tom się zadreślał - pytała siebie Kinsey. Huśtałam się na krześle, pozwalając sobie na rozważania bez zbytniego pośpiechu. Jeśli ktoś, kogo znał, naruszył jego prywatność, przestudiował notatki i wykorzystał zawarte w nich dane, żeby znaleźć Alfiego Totha i go zabić, to niewątpliwie w tym należało upatrywać przyczyny przygnębienia Toma. Dlaczego jednak możliwość wplątania w to Hacha czy Jamesa albo Wayne'a miałyby spowodować chwilę niepewności lub wahania? Tom przestrzegał reguł gry. Jak mi wielokrotnie powtarzano, był człowiekiem niezwykle praworządnym.

Gdyby podejrzewał któregośkolwiek z nich, działałby niezwłocznie. A jeśli tak nie postąpił, to dlaczego? Dla niego przecież nie miałyby żadnego znaczenia, jeśli Wayne naruszyłby świętość jego operacyjnych notatek. Opuściłam wzrok na bibularz. Odsunęłam na bok stos teczek. W prawym rogu na dole Tom narysował kalendarz, w który wpisał dni lutego jakiegoś nieokreślonego roku. 1 lutego wypadł w niedzielę, 28 w sobotę. Dwie ostatnie soboty miesiąca -dwudziestego pierwszego i dwudziestego ósmego - były wykreślone. Czy był to rok 1908? 1912, 1901, 1911 albo 1926? Wstałam i podeszłam do regału po almanach. W indeksie wyszukałam strony z wiecznym kalendarzem. Po lewej stronie tabeli znajdowały się lata między rokiem 1800 a 2063. Obok każdego z nich widniała liczba odpowiadająca wykazowi, w którym umieszczono wszystkie kombinacje dni tygodnia w miesiącach. Jedyńka odnosiła się do roku, w którym 1 stycznia wypadł w niedzielę; 1 lutego - w poniedziałek i tak dalej w każdym kolejnym miesiącu. Dwójka reprezentowała wszystkie lata, kiedy 1 stycznia wypadł w poniedziałek, i lutego w czwartek i tak dalej. Jeśli chciało się poznać dzień tygodnia przy konkretnej dacie - powiedzmy, 5 marca 1966 roku -odszukiwało się w głównym wykazie rok 1966, obok którego znajdowała się siódemka. Następnie należało spojrzeć pod tę liczbę, by się dowiedzieć, że 5 marca wypadł w sobotę.

Zapaliłam lampę na biurku i przeglądałam almanach, szukając lutego, w którym dni tygodnia wypadłyby tak, jak te zakreślone przez Toma. Tak było w wykazie numer pięć. 1 lutego wypadł w niedzielę, a 28 w ostatnią sobotę miesiąca. Podobnie w dwunastce, tyle że tu luty miał dwadzieścia dziewięć dni zamiast dwudziestu ośmiu. Sprawdziłam, poczynając od roku 1900, w których latach tak się złożyło. W roku 1903, ale nie w 1908 ani w 1912. 1 lutego w 1914 wypadł w niedzielę, a 28 w ostatnią sobotę, jednakże nie było tak w latach 1925, 1926, 1931, 1942, 1953, 1959, 1970, 1981, 1987, 1998. Dlaczego ważne były te konkretne miesiące? Czy rok mógł być

nieistotny? I dlaczego Tom skreślił ostatnie dwie soboty w tym miesiącu? Dumiałam nad tym przez chwilę. Wyeliminowanie tych dwu sobót zmniejszyło liczbę dni z dwudziestu ośmiu do dwudziestu sześciu - liczby liter w alfabecie. Spróbowałam tej metody, pisząc litery nad dniami miesiąca. I wciąż mi wychodziło HLAKZ.

Huśtając się na obrotowym krześle, obróciłam się w stronę okna. Zbliżało się pół do szóstej, na dworze panowały ciemności. Zimne powietrze płynęło wciąż przez szparę, którą zrobiłam, podsuwając w górę część okna. Mogłam niemal widzieć fale domowego ciepła uchodzące na zewnątrz. W pokoju zrobiło się zdecydowanie zimno. Pochyliłam się do przodu, zamknęłam okno i wpatrzyłam w swoje odbicie na zamglonej szybie. Do diabła, co oznaczały te liczby? Poczułam, że skądś ciągnie. Czyżby od kominka? Zaciekawiona, wstałam i wyszłam z gabinetu. Przez frontowy hol przeszłam do saloniku, zapaliłam lampę na stole. Zasłony falowały, jakby poruszane niewidzialną ręką. Zajrzałam w głąb kominka i zasunęłam szyber. Sprawdziłam wszystkie drzwi. Frontowe były zamknięte na klucz, podobnie tylne i te od garażu. A więc to co innego. Zajrzałam do sypialni Selmy. Wszystko było po staremu, tylko przeciąg tak silny, że fruwały firanki. Poszłam dalej przez hol. Okna w dawnym pokoju Branta były zamknięte.

Potem stanęłam jak wryta. Drzwi do mojego pokoju nie były zamknięte. Czyżbym je tak zostawiła? Z lękiem otworzyłam je na oścież. Firanki trzepotały na oknie. Pokój wyglądał na zdemolowany. Na dywanie leżały ostre kawałki szkła. Okno, które tak pieczołowicie zamknęłam, zostało rozbite młotkiem pozostawionym przez kogoś na podłodze. Kryształki szkła, wielkości ziarenek soli kamiennej, rozsypane były na parapecie niczym porzucone diamenty. Ramę podsunęto w górę zapewne od zewnątrz. Ktoś najwyraźniej wszedł do środka. Podeszłam do łóżka i wsunęłam rękę między materac a sprężyny. Broń zniknęła.

Spojrzałam na zegarek. 5.36. Poszłam z powrotem do kuchni, by zadzwonić pod 9 1 1. Zawahałam się jednak z ręką na słuchawce. Kogo zamierzałam wezwać? Rafera? Branta? Brata Toma, Maçona? Nie byłam pewna, czy komukolwiek z nich ufam. Stałam tam, usiłując się zdecydować, komu w tym momencie mogłabym wierzyć. Przejął mnie chłód. Podczas mojej obecności w domu nikogo z pewnością tu nie było. Nie zajrzałam do pokoju gościnnego od chwili powrotu wczesnym popołudniem, zatem intruz musiał pewno tu być i dawno się wynieść, zanim pojawiłam się w domu. Normalnie weszłabym do swojego pokoju, żeby zostawić tam kurtkę. Po takim dniu mogłam wziąć prysznic albo trochę się zdrzemnąć - zrobić cokolwiek, żeby poprawić swoje samopoczucie i odzyskać pewność siebie - ale ja chciałam bez chwili zwłoki przestudiować notatnik Toma, skierowałam się więc prosto do jego gabinetu. Poczułam się tak, jakbym utraciła swoją cielesną powłokę, pod wpływem ogarniającego mnie strachu mój umysł oddzielił się od ciała.

Nadzwyczaj głośno zadzwonił telefon, co wywołało we mnie falę mdłości. Podskoczyłam, nerwy miałam napięte do ostateczności, niemal do granic bólu. Chwyciłam słuchawkę, zanim telefon przestał dzwonić.

- Halo?

- Cześć, Kinsey. Mówi Brant. Czy moja mama jest już w domu? - Głos miał młody i beztroski, spokojny i obojętny.

W odpowiedzi zakotłowało mi się w żołądku.

- Powinieneś przyjechać do domu - powiedziałam. Mój głos dochodził jakby z niezwyklej odległości.

Musiał go zaniepokoić mój ton, bo głos mu się zmienił.

- Dlaczego? Co się dzieje?

- Ktoś się tu włamał. Na podłodze w pokoju gościnnym pełno szkła i zniknęła moja broń.

- Gdzie mama?

- Nie wiem. Zaraz, poczekaj, u waszej kuzynki w Big Pine. Jestem tu sama - odparłam.

- Zostań tam. Zaraz przyjadę. Rozłączył się.

Odłożyłam słuchawkę. Odwróciłam się i, popłakując, oparłam plecami o ścianę. Miasto pełne kowbojów, a na dodatek ktoś na mnie poluje. Wyciągnęłam ręce przed siebie. Widziałam, że dłonie mi drżą, niedawno wyłamane palce były opuchnięte i wyglądały na bezużyteczne. Skradziono mój rewolwer. Muszę mieć jakąś broń, jakiś sposób obrony przed zbliżającym się atakiem. Zaczęłam wyciągać jedną po drugiej szuflady w kuchni w poszukiwaniu jakiegoś noża. Jedna z szuflad wypadła z prowadnic i rąbnęła mnie w udo. Wysypała się z niej na podłogę u moich stóp cała zawartość. Łzy szczypały mnie w powieki. Zebrałam garść przedmiotów z podłogi, wrzuciłam z powrotem do szuflady, ale nie mogłam osadzić jej na prowadnicach. Walnęłam nią o blat tak mocno, że aż podskoczyła i wypadła na ziemię metalowa łopatką. Zostawiłam szufladę tam, gdzie była. Znalazłam nóż do krojenia mięsa, ten typ, który dodaje się gratis do pudełka detergentów. Światło górnej lampy odbijało się od ostrza noża. Zauważyłam, że jest w ukośne ząbki. Jak mogę się obronić przed kulą takim nożem?

Wydawało mi się, że upłynęły całe godziny.

Słyszałam tykanie kuchennego zegara po każdej upływającej sekundzie.

Z dworu doleciał pisk hamulców, potem odgłos zatrzaskiwanych drzwiczek od samochodu.

Odwróciłam się i wpatrzyłam w drzwi frontowe. A jeśli to ktoś inny? Co będzie, jeśli to będą oni? Drzwi się otworzyły i zobaczyłam Branta w cywilnym ubraniu. Sunął w moją stronę z majestatycznym spokojem, jak okręt wojenny. Wyciągnęłam rękę, a on wziął ją w swoje dłonie.

- Jezu, okropnie wyglądasz. Jak ten facet tu się dostał? Wskazałam na mój pokój i poszłam za Brantem, gdy

ruszył w tamtą stronę przez hol. Jednym szybkim spojrzeniem ocenił sytuację. Następnie odwrócił się i metodycznie skontrolował resztę domu, zaglądając do wszystkich schowków, każdego kąta i każdej dziury. Zszedł nawet do sutereny. Czekałam u szczytu schodów, trzymając jedną dłoń w drugiej. Dziwnie mnie fascynowały własne kontuzjowane, spuchnięte i nieforemne palce. Gdzie jest mój rewolwer? Jak będę mogła się bronić, skoro zostawiłam nóż na stole kuchennym?

Brant wrócił do kuchni, a ja poczłapałam za nim jak małe kaczątko. Zorientowałam się z jego tonu, że stara się nad sobą panować. Coś w jego zachowaniu sugerowało powagę sytuacji.

- Czy on zabrał ten notatnik? Zacisnęłam zęby.

- Kto?

- Facet, który się tu włamał - wyjaśnił opryskliwie.

- Miałam go w torebce. Czy on szukał właśnie notatnika?

- Oczywiście - zapewnił. - Nie wyobrażam sobie, z jakiego innego powodu ryzykowałby coś takiego. Powiedz mi dokładnie, co dziś robiłaś? Kiedy stąd wyjechałaś i jak długo cię nie było?

Czułam, że mówię nieskładnie. Opowiadam o tym, że zostałam odrzucona, że pracownicy stacji benzynowych nie chcieli mnie obsłużyć, że potem wstąpiłam do Tęczy na rozmowę z Nancy. Wspomniałam, że spotkałam Rafera i Vicky, że rozmawiałam z Cecilią i Barrett. Mózg pracował dwa razy szybciej niż moje wargi, czułam się więc spowolniona i dezorientowana. Dzięki Bogu Brant wydawał się pojmywać tę płynącą staccato opowieść, a gdy od czasu do czasu zabrakło mi jakiegoś słowa, wypełniał lukę. Co się ze mną dzieje? Wiedziałam, że już kiedyś

czułam się podobnie - taka przerażona, bezwolna, bezradna.

Brant wpatrywał się we mnie.

- Naprawdę z nim rozmawiałaś? O czym on mówi?

- Z kim? - zahuczałam jak sowa.

- Z Raferem.

O co pytałam? Co on przedtem mówił? Co Rafer miał z tym wszystkim wspólnego?

- Co?

- Z Raferem. W Tęczy.

- Tak. Wpadłam na niego w Tęczy.

- To wiem. Już mi mówiłaś. Pytam cię, czy z nim rozmawiałaś? - wyjaśniał z udawaną cierpliwością.

- Oczywiście.

- Rozmawiałaś z nim?! - Przerazenie zabrzmiało w jego głosie. Niemal widziałam, jak płynie ku mnie w powietrzu ten pytajnik i wykrzyknik.

- Poinformowałam go o aktualnej sytuacji - oznajmiłam. Słyszałam swój głos z opóźnieniem, jak w komorze pogłosowej. Bańki ze słowami zbijały się w gromadę nad moją głową, obrazy leciały na wszystkie strony niczym race.

- Mówiłem ci, żebyś zaczekała, aż będę mógł to sprawdzić. Jak ci się wydaje, kto rozpuścił te wszystkie plotki?

- Kto?

Brant chwycił mnie za ramiona i lekko mną potrząsnął. Wyglądał na rozgniewanego. Jego palce wbijały mi się w ciało.

- Kinsey, obudź się i uważaj. To poważna sprawa - powiedział.

- Nie twierdzisz chyba, że to on?

- Oczywiście, że to on. A któż by inny? Pomyśl tylko, głuptasie.

- O czym mam myśleć? - spytałam, zbita z pantafelku. Nagły niepokój Branta okazał się zaraźliwy. Liczyłam na pomoc z jego strony, tymczasem nerwowość spychała mnie w strefę zagrożenia.

W jego głosie brzmiała teraz prośba i przekonanie, i pochlebstwo.

- Powiedziałaś mamie, że to ktoś z policji. Czy ty naprawdę myślisz, że mój ojciec miałby chociaż jedną bezsenną noc, gdyby chodziło o kogoś innego, a nie o Rafera? Rafer to był jego najlepszy przyjaciel, pracowali razem od wielu lat. Tata go uważał za jednego z najlepszych gliniarzy na świecie. I nagle odkrył, że zabił dwóch ludzi. Niech to szlag trafi! Musiał chyba porządnie dostać w kość, gdy zrozumiał, co się dzieje. Czy tego nie napisał? Nie ma nic o tym w jego notatkach?

Słowa Branta wybuchały mi jak race nad głową. Usłyszałam jakby furkot flag.

- Notatki są zaszyfrowane. Nie mogę ich odczytać.

- Gdzie one są? Możesz mi je pokazać? Może mnie się uda.

- Tam. Myślisz, że on zamierzał zwrócić się do Wydziału Wewnętrznego?

- Oczywiście! Ta decyzja nie była łatwa, ale dla niego liczył się przede wszystkim Wydział, przy całej lojalności wobec Rafera. Pewno musiał się modlić o jakieś wyjście, liczyć na to, że się pomylił.

Umysł pracował mi na pełnych obrotach. To usta zawodziły, myśli obijały się o zęby jak kamyki. Musiałam zacisnąć szczęki i ledwie poruszałam wargami.

- Rozmawiałam z Barrett. Siedziała z Tomem w aucie tuż przed jego śmiercią - powiedziałam.

- O czym rozmawiali? Dlaczego on to zrobił?

- O czymś tam. Nie pamiętam.

- Nie nacisnęłaś, żeby ci to opowiedziała? Miałaś tę dziewczynę w rękach - zauważył. Słowa te, wypisane dużymi literami, pojawiły się w powietrzu.

- Przestań krzyczeć.

- Nie krzyczę. Co się z tobą dzieje?

- Barrett ani słowem nie wspomniała o Raferze. -Wtedy sobie przypomniałam: - Ona mówiła, że Tom pytał o jej ojca.

- A dlaczego miałyby wspominać? Nie zna cię od

czasów Adama, więc nie będzie się zwierzać. Nie mówiłaby ci takich rzeczy. Jej własny ojciec! Na miłość boską, musiałaby być niespełna rozumu! - wrzasnęła.

- To dlaczego dała mi notatnik? Czyżby nie przypuszczała, że zapiski mogą świadczyć przeciwko niemu?

- Barrett nie miała do tego klucza. O niczym nie miała pojęcia.

- Skąd wiesz, co on zrobił?

- Bo potrafię liczyć - odparł zirytowany. - I dodać dwa do dwóch. Słuchaj, Tom spotkał się z Barrett. Prawdopodobnie próbował się dowiedzieć, gdzie był Rafer w czasie, gdy został zamordowany Pinkie. A także Alfie Toth. Dostrzegł związek między nimi. Martwił się, że ktoś z Wydziału domyśli się jego podejrzeń. Czy sama tak nie mówiłaś? Ktoś tymczasem wykradł mu informacje dotyczące Totha. Twoim zdaniem, kto to mógł być? Rafer.

- Rafer - powtórzyłam, kiwając głową. Miałam zrozumienie dla tego, co mówi Brant. Ja też tak myślałam. Tom tak był zaprzyjaźniony z Raferem, że długo wszystko rozważał i głęboko się zastanawiał, zanim odda go do dyspozycji władz, a tym samym zdradzi przyjaciela. Konflikt tak wielkiej wagi musiał wywołać w nim bezgraniczne przygnębienie. W mózgu klikało mi i brzęczało. Klik, klik, klik. Rafer. Zupełnie jak przy grze w mechaniczne kręgle. Myśli odbijały się rykoszetem, obalały kule, uderzały o bandy. Pomyślałam o recepcjoniście z Gramercy. Dlaczego nie wspomniał, że ten fałszywy tajniak był Murzynem? Przecież zapamiętałby coś tak rzucającego się w oczy. Myśli wciąż mi się rozbiegały. Nie mogłam żadnej utrzymać, by doprowadzić do ostatecznej konkluzji. Klik, klik. Zupełnie jak kule bilardowe. Bila zostaje uderzona kijkiem, a reszta kul na stole toczy się w różne strony. Szkoda, że nie porozmawiałam z Lelandem Peckiem przed wyjazdem z Santa Teresa. Czułam się bardzo dziwnie. Taka jakaś przerażona. Dźwięki nasilały się i przycichały. Widziałam, jak wibrują w przestrzeni, a zdania unoszą się na powietrznych falach niczym surferzy.

Brant wciąż mówił. Chyba żargonem, ale to wszystko miało jakiś specyficzny sens.

- Pinkie uganiał się za Barrett. Ona poszła na wędrownkę w góry i przypadkiem natknęła się na ich wędkarskie obozowisko.

Mówił i mówił, tworząc ze słów obrazy tak żywe, że to wszystko chyba się zdarzyło mnie samej, jak pomyślałam.

- Barrett została napadnięta. Przyłożył jej rewolwer do głowy. Potem ją zgwałcił. Została zaatakowana i seksualnie wykorzystana. Pinkie kopulował z nią od tyłu i porządnie ją poranił. Zmuszał też do robienia rzeczy, które nie mieszczą się wprost w głowie. Alfie nawet nie kiwnął palcem w jej obronie, wziął nogi za pas, zostawiając ją na łasce Pinkiego. Dziewczyna wróciła do domu w stanie szoku, rozhisteryzowana. Rafer odszukał Pinkiego i dał mu nauczkę. Skrępował, powiesił na gałęzi i pozwolił, by umierał powoli za to, co jej zrobił. Byłby zabił również Alfiego, tylko że ten zniknął z miasta. Przez te wszystkie lata Rafer uważał, że nic mu nie grozi, aż tu nagle znaleziono zwłoki Pinkiego i tata powiązał tych dwu ludzi, Pinkiego i Totha. Pojechał do Santa Teresa, żeby z nim porozmawiać, ale Rafer dotarł tam przed nim. Powiesił Totha w taki sam sposób jak Pinkiego. - Brant przyjrzał mi się uważnie. - Co z twoimi oczami?

- Z moimi oczami? - Kiedy o tym wspomniał, uświadomiłam sobie, że pole widzenia zaczyna wibrować, obrazy przesuwają się w bok, jak złe ujęcie w kamerze. Kręciło mi się w głowie, jakbym miała zemdleć. Usiadłam. Wetknęłam głowę między kolana. Huczało mi w uszach.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze. - Światła pulsowały, dźwięki nasilały się i cichły. Nie mogłam sobie z tym poradzić. Wiedziałam, co on mówi, ale nie mogłam skłonić słów, by stały spokojnie. Widziałam Rafera ze stryczkiem. Widziałam, jak zaciska go na szyi Pinkiego. Widziałam, jak na odludziu wiesza Alfiego. Czułam wściekłość i ból Rafera z powodu tego, co tych dwóch mężczyzn zrobiło jego jedynej córce. - Skąd o tym wszystkim wiesz? - spytałam.

- Barrett mi powiedziała, kiedy to się wydarzyło. Jezu, Kinsey. To dlatego z nią zerwałem. Miałem dwadzieścia lat. Nie mogłem się z czymś takim pogodzić - odparł, robiąc udęconą minę.

- Tak mi przykro, bardzo przykro — wykrztusiłam i natychmiast zapomniałam, kto zasługuje na większe współczucie z mojej strony: Barrett, bo ją zgwałcono, czy Brant, bo nie był na tyle dojrzały, żeby się z tym uporać.

Głos Branta brzmiał teraz oskarżycielsko.

- Jesteś na haju. To nie do wiary. Czym się tak, do cholery, naćpałaś?

- Jestem na haju? - Oczywiście. Daniel gra na pianinie. Mój były mąż. Tak pięknie. Oczy jak u anioła, aureola ze złotych kędziorów. Jak ja go kochałam! Dał mi kiedyś bez uprzedzenia LSD. I podłoga zapadła się pode mną w otchłań piekła.

Głowa Branta podjechała w górę.

- Co to takiego? - syknął.

- Co?

- Coś słyszałem. - Udzieliła mi się jego nerwowość. Strach był zaraźliwy jak wirus unoszący się w powietrzu. Wyczuwałam odór zgnilizny i śmierci. Bywałam już przedtem w takich sytuacjach.

- Zostań tu. - Brant ruszył przez hol. Widziałam, że wyrzał przez niewielkie ozdobne okienko w drzwiach. Gwałtownie się cofnął, po czym zaczął machać ręką w moim kierunku. - Jakiś samochód przejechał ze zgaszonymi światłami. Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, mniej więcej sześć domów dalej. Masz broń?

- Przecież ci mówiłam, że ktoś mi ją ukradł. Ten, kto się tu włamał. Nie mam broni. Co się dzieje?

- To Rafer - odparł ponuro. Podeszedł do kuchennego stolika, przy którym jego matka układała swoje menu, wysunął szufladę, wyjął z niej rewolwer i włożył mi go do ręki. - Masz. Weź ten.

Wstałam i oszołomiona wpatrywałam się w broń.

- Dzięki - wyszeptałam.

Był to standardowy policyjny rewolwer, Smith and Wesson. Kiedyśomalże takiego sobie nie kupiłam, magnum 357 z czterocalową lufą i rękojeścią wykładaną drewnem orzechowym. Studiowałam rowki na rękojeści. Niektóre były tak głębokie, że nie mogłam dojrzeć dna.

- Rafer wpadnie tu, strzelając - powiedział Brant. -To nie żarty. Wszędzie opowiadał, że masz na koncie zabójstwa, że jesteś narkomanką, no i fakt, naćpałaś się czymś jak ta lala.

- Nie naćpałam się - protestowałam, a w ustach miałam okropnie sucho. To te ciasteczka z czekoladową polewą. Byłam na haju, i to silniejszym, niż myślał. Pogrzebałam w pamięci, cofając się w myślach do wykładów w Akademii Policyjnej i lat spędzonych w mundurze na ulicy, próbując przypomnieć sobie symptomy. Fenylocyklidyny, środki pobudzające, halucynogeny, środki uspokajająco-usypiające, narkotyki. Czego ja się najadłam? Dezorientacja, paranoja, zlewanie się mowy, oczopląs. Ujrzałam kolumny maszerujące przez strony tekstu. Mowa jak przy PCP. Paliwo Rakietowe, zgon przed przywiezieniem do szpitala, KJ, Super Joint, Miętowe Nasionka, Goryle Ciasteczka. Wysiadał mi mózg na amfetaminie.

- Ty go zdemaskowałaś. Będzie cię musiał zabić. Musimy się ostrzeżliwać - powiedział Brant.

- Nie opuszczaj mnie. Zagadaj go, to będę się mogła wymknąć - wymamrotałam.

- Pomyśl o tym, będzie miał pomocników. Pewno Maçona i Hacha. Oni obaj cię nienawidzą. Lepiej zabierzmy się do roboty.

Kiedy ściągał z siebie kurtkę, poczułam zapach potu typowy przy stresie, szczypiący i przenikliwy jak amoniak. Zerknęłam na jego rękę. W określonym polu widzenia wzrok przyciąga coś pojedynczego, wyróżniającego się spośród innych podobnych rzeczy. Nawet pod bombami dojrzałabym na jego nadgarstku plamę, ciemne piętno... może tatuaż lub pieprzyk... w kształcie jakby dzioba łodzi. Ta plama przypominała jakby piętno wypalone na gładkiej, białej powierzchni jego skóry. Mój

mózg pośpiesznie rozważał różne możliwości: blizna, pryszcz, ubrudzenie, strup. Byłam mało inteligentna. Popatrzyłam znowu i wtedy uświadomiłam sobie, co to takiego. To oparzelina. Gojące się przebarwienie to był ślad po czubku rozpalonego żelazka, które przycisnęłam mu do ręki. Poczułam przyływ adrenaliny. Przepęłniło mnie uczucie zbliżone do euforii. Mój umysł przeskoczył znów, całkiem zbytecznie, do czegoś zupełnie innego. Próbowałam złamać szyfr przy użyciu logiki i analizy, a tymczasem odpowiedzi należało szukać w jednej z relacji przestrzennych. Pionowej, nie poziomej. Tak funkcjonowały te liczby. W górę i w dół, zamiast do przodu i do tyłu wzdłuż linii.

Położyłam rewolwer na stoliku w kuchni.

- Zaraz wrócę - oznajmiłam. Z wielkim wysiłkiem poszłam do gabinetu, trzymając się ściany, by zapewnić sobie stabilność przy chwiejnym chodzie. 8, 12, 1, 11 i 26. Siadłam przy biurku i spojrzałam na kalendarz narysowany przez Toma. Widziałam, że jest to luty, bo miał wpisane w kratki dwadzieścia osiem dni, z pierwszym dniem miesiąca wypadającym w niedzielę i z przekreślonymi dwiema ostatnimi sobotami, dwudziestego pierwszego i dwudziestego ósmego. Pozostawało więc dwadzieścia sześć liczb. Podejrzywałam, że szyfr będzie prosty. Jeśli Tom szyfrował swoje notatki, to musiał mieć niezbyt skomplikowany sposób zamieniania liter na liczby.

Znalazłam ołówek. Wróciłam do kalendarza narysowanego w rogu bibularza. Wpisałam litery alfabetu, po jednej literze na dzień, tym razem pionowo. Jeśli moja hipoteza była słuszna, szyfr potwierdzi jedynie to, co już wiedziałam: 8 to będzie litera B. Liczba 12 będzie oznaczać literę R. Liczba 1 to będzie A, 11 - N, a 26 - T.

BRANT.

B rant.

Czułam, że wzbiera we mnie huraganowy śmiech. Sterczałam w tym domu z Brantem. On mógł łatwo dobrać się do notatek ojca. Przeszukanie gabinetu, rozbita szy-

ba - to wszystko miało jedynie odwrócić uwagę, zasugerować, że ktoś z zewnątrz włamał się do domu, licząc na znalezienie notatnika. Nie chodziło w ogóle o Barrett. Pinkie wcale jej nie zgwałcił. To jego, Branta, upokorzył i pohańbił.

- Co ty robisz?

Podskoczyłam. Brant stał w drzwiach. Wdepnęłam po kolana w gówno. Jego sylwetka rozplywała mi się przed oczami, falowała, przesuwająca na boki. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Oczopląs. Coś było w tych ciasteczkach, zapewne PCP. Agresja, paranoja. Czułam się mądrzejsza od niego. I to o wiele mądrzejsza. Tego dnia byłam mądrzejsza od wszystkich.

- Na co ty patrzysz?

- Na notatki Toma.

- Dlaczego?

- Nie mogę nic z nich wykombinować. Przez ten szyfr. Wpatrywał się we mnie. Widziałam, że próbuje ustalić,

czy mówię prawdę. W głowie miałam pustkę. Chyba nigdy Brant nie wydawał mi się taki szczupły, młody i przystojny. Śmierć podobna jest do kochanka, w którego ramiona wpadasz bez ostrzeżenia, zmysłowe oddanie się zamiast ucieczki albo oporu. Wyciągnął rękę.

- Wezmę te notatki.

Podałam mu je, widząc oczami duszy rewolwer Smith and Wesson. Gdzie ja niedawno słyszałam o takim rewolwerze? Czułam wprost, jak trzeszczy mi mózg, a myśli niczym ziarenka kukurydzy prażone na patelni uderzają o pokrywkę. Przecież w żadnym wypadku nie dałby mi broni, gdyby nie liczył na to, że przez nią zginę. Przed domem nie było Rafera LaMotta ani nikogo innego. To tylko gra, która miała mnie w jakiś sposób uwikłać. Wyobraziłam sobie tę scenę - skradamy się oboje po domu w oczekiwaniu na rzekomy atak, do którego nigdy nie dojdzie. Brant mógł mnie zastrzelić, kiedy by tylko zechciał, a potem twierdzić, że pomyłkowo wziął mnie za intruza, twierdzić, że zrobił to w obronie własnej, twierdzić, że byłam zaćpana na cacy, bo tak rzeczywiście było.

Na tę myśl poczułam, że narkotyk dodaje mi sił. Doznałam wrażenia, że rosnę, że zdołam go przechytrzyć. On jest silny, ja za to mam więcej doświadczenia. Wiem o nim więcej niż on o mnie. Przez jakiś czas byłam policjantką. Wiem tyle co i on i jeszcze trochę więcej.

- Czy ten samochód stoi tam nadal? - zapytałam. Brant powrócił do swojej fałszywej gry. Podeszedł do

okna, przysunął twarz do szyby i spojrział w prawo.

- Stoi w połowie drogi do następnej przecznicy. Prawie go stąd nie widać.

- Myślę, że powinniśmy zgasić światła. Nie mam ochoty stać tu na pełnym widoku.

Przyglądał mi się przez sekundę, wyobrażając sobie, że dom pogrąży się w smolistych ciemnościach.

- Masz rację. Sięgnij do kontaktu. Ja się zajmę resztą lamp.

- Dobra. - Zgasiałam światło w gabinecie. Zaczekałam do chwili, gdy usłyszałam, że idzie przez hol do frontowej części domu. Wtedy podeszłam do okna, podsunęłam je w górę na jakieś piętnaście centymetrów, po czym padłam na podłogę, przeczołgałam się przez pokój do szafy bibliotecznej i wśliznęłam się nogami do przodu pod półki z książkami. Poniekąd odwrotność porodu. Byłam niewidoczna. Mijały chwile, dom ogarniała coraz większa ciemność, w miarę jak Brant gasił lampy w kolejnych pokojach.

- Kinsey? - Brant wrócił. Cisza.

Słyszałam, że wszedł do gabinetu. Stał chyba na progu i czekał, aż oczy przywykną mu do ciemności. Skierował się w stronę okna, wpadając po drodze na tekturowe pudła. Słyszałam, jak otworzył okno i wyjrzał na dwór. Zniknęłam. Nie zostawiłam żadnych śladów na trawie.

- Cholera! - Zatrzasnął okno, klnąc: - Cholera, cholera, cholera! - Miał broń, bo słyszałam, że ją załadował.

Potem wybiegł z gabinetu, wykrzykując moje imię. Teraz zachowywał się jak szaleniec. Już nie przejmował się, że będę wiedzieć, kiedy się zbliża. Wypełzłam spod szafy

bibliotecznej i przytrzymując się półki, stanęłam na nogi. Podkrađłam się do biurka i najciszej, jak umiałam, otworzyłam dolną szufladę, z której wzięłam kajdanki Toma. Włożyłam je do tylnej kieszeni. Czułam, że przepęlnia mnie nadzwyczajna siła. Nagle stałam się większa niż normalnie, nie znająca lęku, oświecona przez wściekłość. Wyszłam z gabinetu, skręciłam w prawo, do ciemnego holu, i zobaczyłam Branta poruszającego się przede mną - jego sylwetka tworzyła ciemniejszą plamę na tle czarnego otoczenia. Ruszyłam biegiem, nabierając szybkości, a w swoich reebokach poruszałam się po dywanie bezszelestnie. Brant wyczuł moją obecność i odwrócił się, gdy podskoczyłam. Kopnęłam go z całej siły w splot słoneczny i tym jednym kopniakiem zwałiłam z nóg. Słyszałam, jak rewolwerem grzmotnął w ścianę, po czym broń, wypadając mu z ręki, uderzyła w drewno. Kopnęłam Branta jeszcze raz, mierząc w skroń. Wygramoliłam się i stanęłam nad nim. Mogłam rozwalić mu czaszkę, ale powstrzymałam się od tego - z kurtuazji. Wyciągnęłam kajdanki z kieszeni. Odgięłam do tyłu palce jego prawej ręki, wymuszając w ten sposób uległość. Założyłam kajdanki na prawy nadgarstek i zatrzasnęłam, uśmiechając się pod nosem, gdy ruchome ramię kajdanek znalazło się na właściwym miejscu. Postawiłam lewą stopę na karku Branta, prawą rękę założyłam do tyłu, na plecy, i sięgnęłam po drugą rękę. Deptałabym mu po twarzy, puszczając bańki z nosa, gdyby tylko ośmielił się pisnąć. Był jednak nieprzytomny. Zatrzasnęłam kajdanki na obu nadgarstkach. Wszystko bez chwili wahania. I to jeszcze w ciemnościach.

W kuchni rozbłysło światło. W drzwiach stanęła Selma, jeszcze w futrze. Stała bez ruchu jak żołnierz i oglądała widok roztaczający się przed jej oczami. Brant teraz jęczał. Z nosa płynęła mu krew, z trudem usiłował złapać oddech.

- Mamuś, uważaj. Ona jest na ćpana - zaskrzeczał. Selma cofnęła się do kuchni. Ja skierowałam się na drugą stronę holu, żeby poszukać rewolweru Branta, gdy

pojawiła się ponownie, tym razem dzierżąc w prawej ręce rewolwer Smith and Wesson. Nie miałam pojęcia, gdzie podziła się broń Branta. Pamiętałam, że kończąc swój lot, głucho w coś uderzyła.

- Stój tam - rozkazała. Trzymała teraz broń w obu rękach wyciągniętych sztywno przed siebie na wysokości ramion. Robiłam dalej swoje, ignorując jej mały dramat. Nie mogła wiedzieć, że zostałam uświęcona Anielskim Proszkiem. Byłam na wściekłym haju po fenocyklidynie, amfetaminie czy co to było - w stanie jakiejś zdumiewającej mieszanki podniecenia i nieśmiertelności. Nieprzyjemne efekty uboczne już zniknęły i pozbyłam się wszelkich uczuć, zachowując jedynie poczucie pewności co do tego, że zatriumfuję nad tą suką i każdym, kto mnie zaatakuje.

- Nie zabierzesz mi mojego syna. Zdenerwowała mnie jak się patrzy.

- Mówiłam ci, żebyś lepiej dała sobie z tym spokój. Teraz utraciłaś nie tylko Toma, lecz także Branta - oznajmiłam konwersacyjnym tonem i uklękłam, żeby pomacać pod krzesłem. Gdzie, do diabła, jest broń Branta?

- Grubo się mylisz. Wcale nie utraciłam Branta - odparła. - A teraz natychmiast wstań! Rób, co mówię!

- Odchrzań się, Selmo! Widzisz gdzieś broń Branta? Słyszałam, jak gruchnęła o ścianę. Musi tu gdzieś być.

- Ostrzegam cię. Liczę do trzech, potem cię zastrzele.

- Zrób to - powiedziałam. Poszłam do pokoju stołowego, przekonana, że broń zaklinowała się w jakiś sposób pod kredensem - centralnym obiektem ładnego tradycyjnego kompletu mebli Selmy na wysoki połysk. Oparłam się ramieniem o podłogę i sięgnęłam, najdalej jak się dało, pod kredens. To właśnie w tej kłopotliwej sytuacji - ja rozplaszczona na brzuchu, Brant skuty kajdankami i pojękujący w holu, Selma w pozycji odpowiedniej do roztrzaskania mi głowy kulką, jeśli tylko zdoła - zaryzykowałam popatrzenie na nią. I przyglądałam się ze spowolnionym zdumieniem, jak się krzywi, zamyka oczy, odwraca głowę i naciska spust. Mocno

błysnęło i huknęło jak diabli. Kula opuściła ze śmiertelnością prędkością lufę. U jej wylotu buchnął płomień w kształcie piłki futbolowej, a oślepiające, żółte, pionowe wachlarze płomieni wydawały się rozrastać przy szczelinie bębnekowej. Brant widocznie napełnił pierwszy nabój zbyt dużą ilością materiału kruszącego. Pomyślałam, że teraz już wiem, kim był kochanek Judy Gelson owej nocy, kiedy zrobiła mężowi dziurę w klatce piersiowej. Rozerwało komorę naboju. Wybuch przemieścił bębenek na lewą stronę rewolweru. Mosiężna łuska rozpadła się na drobne kawałeczki i obsypała ręce Selmy, a drobiny nie wypalonego prochu upudrowały jej twarz. Jednocześnie, jakby na skutek czarów, wszystkie szyby w drzwiach serwantki, a także kryształowe kieliszki i porcelanowe talerzyki eksplodowały niczym fajerwerki i roziskrzona kaskada szkła poleciała na podłogę.

- Nielicho! To było wspaniałe. Powinnaś spróbować jeszcze raz - powiedziałam.

Selma płakała, gdy poszłam do telefonu i wykręciłam 9 1 1 .

Epilog

Później Biuro Szeryfa Okręgowego w Nota Lake pozwoliło mi zaznajomić się z aktami dotyczącymi morderstw Rittera i Totha. Usiedliśmy nad nimi we dwójkę z Raferem i, po zestawieniu notatek Toma z innymi meldunkami dotyczącymi tej sprawy, zdołaliśmy odtworzyć przebieg śledztwa Toma. O ironio, okazało się, że dowody, którymi dysponował, były nie tylko ograniczone, lecz miały także charakter całkowicie poszlakowy. Żaden z nich nie mógł być podstawą aresztowania, a co dopiero skazania. Tom zorientował się, że Brant popełnił podwójne morderstwo. Wiedział też, że nie będzie mógł tego faktu zbyt długo ukrywać. Ujawnienie prawdy unicestwiłoby jego małżeństwo, a ukrycie jej unicestwiłoby to, co wysoko sobie cenił. Umarł, zachowując milczenie, i gdyby Selma nie chciała się dowiedzieć, co go gnębiło, cała ta sprawa mogła zejść z tego świata razem z nim.

Brantowi postawiono zarzut usiłowania zabójstwa w związku z tym, co zrobił ze mną; obecnie znajduje się jednak na wolności za kaucją. Selma wynajęła eleganckiego adwokata, który mu (oczywiście) poradził, żeby do winy się nie przyznawał. Podejrzewam, że kiedy znajdziemy się w sądzie, ten sam adwokat wymyśli sposób, jak zwalić wszystko na mnie. Tak właśnie dzisiaj funkcjonuje sprawiedliwość.

Dom Selmy wystawiono na sprzedaż, a ona sama wynosi się z Nota Lake. Miasto jej nie wybaczy, zresztą nigdy nie cieszyła się tu sympatią. Przypuszczam, że można by

to podsumować jako pokazową lekcję braku pewności siebie i poczucia własnej godności. Gdybym była jasnowidzem - gdybym potrafiła z góry przewidzieć wszystkie te zdarzenia - powiedziałabym jej, żeby zrobiła sobie koronki na przednie zęby zamiast mnie zatrudniać. Wyszłaby na tym lepiej.

Kreślę się z wyrazami szacunku Kinsey Millhone